ArsMACHINA

Nakładem własnym

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Karl Schroeder

Słońce Słońc

PIERWSZA KSIĘGA VIRGI

ArsMACHINA
NAKRĘCAMY WYOBRAŹNIĘ

Lublin 2011

WSTĘP

Jak tchnąć nowe życie w starą, wysłużoną powieść piracką, a jednocześnie stworzyć całkowicie oryginalny wszechświat, w którym dzięki fantastyce naukowej można będzie snuć spekulacje na temat dalekiej przyszłości? Nie zastanawiałem się nad żadną z tych kwestii, kiedy w roku 2005 zasiadłem do pisania *Sun of Suns*. Skupiłem się natomiast na obrazie, który powracał do mnie przez lata. Nie potrafiłem wyrzucić go z pamięci. Tym, co pojawiało się przed moimi oczami w przypadkowych momentach, kiedy myślałem o czymś zupełnie innym, był widok młodej kobiety stojącej w oknie wysokiej wieży i spoglądającej na... cóż, w tym tkwił problem. U stóp budowli nie rozciągał się wcale krajobraz, lecz nieskończone morze otwartej przestrzeni i chmur.

W taki oto sposób sposób przychodzą mi do głowy pomysły na opowieści: nie dają mi spokoju, dopóki nie zrobię czegoś, by je uciszyć. W roku 2005 ukończyłem właśnie pisanie *Lady of Mazes*, będącej przykładem poważnej, socjologicznej fantastyki naukowej, i zamierzałem powrócić do wszechświata brązowych karłów oraz podróży z prędkością podświetlną, który stworzyłem na potrzeby swojej poprzedniej książki, powieści przygodowej pod tytułem*Permanence*. Poinformowałem agenta i wydawcę, że tym właśnie będę się zajmował i zacząłem ciężko pracować nad kontynuacją. *Permanence* spotkała się z całkiem niezłym przyjęciem, a pisząc ją dobrze się bawiłem. Miałem więc wszelkie powody, by powrócić do tego świata.

Nie mogłem jednak wyrzucić z głowy widoku wieży i dziewczyny. I tak, po kilku miesiącach pracy nad kontynuacją, zadzwoniłem w końcu do swojego agenta i powiedziałem: „Don, przykro mi, że muszę ci to mówić, ale niechcący napisałem zupełnie inną książkę”.

Na szczęście zarówno Donowi, jaki i mojemu wydawcy, Davidowi Hartwellowi, spodobało się *Sun of Suns*. Jednak nawet gdyby tak się nie stało i tak napisałbym tę powieść; musiałem dowiedzieć się więcej o tym

niebie. Pragnąłem wypełnić je niezwykłymi realiami: groźnymi mężczyznami i ekstrawaganckimi kobietami, statkami powietrznymi i pociskami, szalonymi planami i tajemnicami. Chciałem stworzyć taki świat, by żadna z moich postaci nie musiała postawić stopy na pewnym gruncie. Tak powstała Virga. Jak na ironię, kiedy skończyłem, ani wieża, ani dziewczyna nie stały się częścią mojej historii; ale mnóstwo innych rzeczy owszem. Książka, którą trzymasz w swoich rękach, jest przygodą osadzoną w zupełnie nowym, fikcyjnym świecie oraz podróżą nastawioną na jego poznawanie; odkrywanie go w procesie tworzenia było i dla mnie niesamowitym przeżyciem. Na każdej stronie czekały na mnie nowe możliwości i miejsca, w które mógłbym zabrać swoich bohaterów, nie miałem jednak na to czasu, miałem zresztą do opowiedzenia jedną, konkretną historię. Mam nadzieję, że uda ci się odnaleźć pozostawione przeze mnie wskazówki i dzięki wyobraźni wyruszysz w jeszcze dalsze i bardziej fantastyczne zakątki stworzonego przeze mnie świata, który szczerze pokochałem.

Baw się dobrze ze *Słońcem Słońc* pod błękitnym przestworem Virgi.

- Karl Schroeder
(czerwiec 2011)

Hayden Griffin oskubywał właśnie rybę, gdy rozbrzmiał dzwonek grawitacyjny. Jego głuchy odgłos przebił się nawet przez grube, drewniane ściany miejskiej gospody; był tak zaprojektowany, by dało się go słyszeć w każdym zakątku miasta. Hayden przerwał pracę, zmarszczył brwi, po czym na próbę wypuścił rybę z dłoni. Cztery spadające pióra błysnęły niczym płomienie świeczek w pojedynczym promieniu światła, który przesączał się pomiędzy deskami. Ryba wylądowała trzy stopy dalej. Hayden patrzył jak pióra opadają łagodnym łukiem, by ostatecznie spocząć obok niej.

– Trochę za wcześnie na nakręcanie, nie sądzisz? – zapytał. Miles odburknął coś nieprzytomnie. Były żołnierz, a obecnie miejski kucharz, zajęty był polewaniem sosem przypieczonego indyka, którego przed chwilą uratował z niewielkiego pożaru w piecu. Jego łysa czaszka lśniła w świetle ognia.

– Mimo wszystko mogą mnie potrzebować – ciągnął Hayden. – Pójdę zobaczyć.

Miles uniósł głowę.

– Matka zostawiła cię ze mną – rzekł. – Znów byłeś niegrzeczny. Podnieś tę rybę.

Hayden przysiadł na krawędzi stołu, krzyżując ręce na piersi. Próbował wymyślić jakąś odpowiedź, która nie brzmiałaby jak narzekanie, gdy dzwonek rozbrzmiał ponownie, tym razem natarczywiej.

– Widzisz? – powiedział. – Potrzebują kogoś. Nikt w całym mieście nie zna się na aerocyklach, tak jak ja. Tak czy inaczej, jak zamierzasz ugotować tę rybę, jeśli wysiądzie grawitacja?

– Grawitacja nie wysiądzie, chłopcze – uciął Miles. – Wszystko z nią w porządku.

– Więc lepiej pójdę tam i sam zobaczę, w czym rzecz.

– Po prostu chcesz obejrzeć, jak twoja staruszka zapala słońce – skwitował kucharz.

– A ty nie?

– To tylko testy. Poczekam do jutra, kiedy odpalą je naprawdę.

– Daj spokój, Miles. Zaraz wrócę.

Kucharz westchnął.

– Dobrze, idź. Ustaw aerocykle, a potem wracaj. – Gdy Hayden ruszył biegiem w stronę drzwi, usłyszał jeszcze głos za jego plecami: – Nie zostawiaj tej ryby na podłodze!

Idąc korytarzem w stronę wejścia do gospody, chłopak spostrzegł kolejny zbłąkany promyk światła przeświecający przez podłoże z desek. Był to zły znak; matka musiała czekać na duże zachmurzenie przed rozpaleniem nowego słońca, w przeciwnym razie mogliby je dostrzec Slipstreamowcy. Władza Slipstreamu nie zniosłaby innego słońca tak blisko ich własnego. Dlatego właśnie projekt był tajny – aż do teraz. Jutro miał się o nim dowiedzieć cały świat.

Hayden przecisnął się obok wypolerowanego baru, po czym niedbale wzruszając ramionami, rzekł:

– Dzwonią. Muszę zadbać o aerocykle.

Jeden z klientów obdarzył go powątpiewającym uśmieszkiem, a Mama Fifty zmierzyła go wymownym spojrzeniem ze swojego miejsca za kontuarem. Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, chłopak był już przy drzwiach.

Jak zwykle wiał porywisty wiatr, świszcząc między deskami ulicy. Promienie słońca okalały krawędzie jej spadzistego dachu, a smugi i prostokąty światła prześlizgiwały się po odeskowaniu ścian budynków zajmujących wszystkie wolne przestrzenie. Drewniane podłoże sprężynowało pod stopami Haydena, który wbiegał w stromy łuk alei, niemal pustej o tej porze dnia.

Gavin Town ożywało o zmierzchu, gdy robotnicy, którzy tutaj sypiali, ciągnęli doń ze wszystkich sześciu kierunków, śmiejąc się i plotkując. Kupcy otwierali okiennice na czas nocnych targów, a wzdłuż ulic rozpalano lampy gazowe. Sala taneczna otwierała swoje podwoje dla tych, którym kondycja pozwalała jeszcze na zaliczenie kilku rundek na parkiecie. Czasami Hayden dorabiał sobie, zapalając światła uliczne. Koniec końców, całkiem nieźle radził sobie z ogniem.

Hayden wybrał okrężną drogę do stanowiska aerocykli, gdyż inaczej nie mógłby zobaczyć słońca. Przemknąwszy wąską alejką wciśniętą między dwa wysokie budynki, dotarł na jedną z dwóch zewnętrznych ulic miasta –

będącą w zasadzie zaledwie wąskim, krytym pomostem. Dach tworzyły tutaj dobudówki domów i sklepów, których wejścia położone były po jego lewej stronie. Po jego prawej, wznosiło się ogrodzenie z nierównych desek zwieńczone na szczycie wąską szczeliną. Powierzchnię bariery od czasu do czasu przetykały framugi okien, ale Hayden postanowił nie zatrzymywać się przy żadnym z nich. Szybkim krokiem ruszył w stronę otwartej galerii położonej ćwierć długości ulicy dalej.

W takich chwilach – samotnych i pracowitych – chłopak z reguły zupełnie się zapominał albo pogrążał w żalu. Wciąż ciążyła mu śmierć ojca, choć minął od niej już niemal rok; czy naprawdę upłynęło aż tyle czasu odkąd przeprowadził się tu wraz z matką? Ona uważała, że tak będzie najlepiej; że jeśli zostaną w mieście Dwadzieścia–dwa będą nieustannie otoczeni pamiątkami po ojcu. Ale czy to na pewno było takie złe?

Ojciec nie mógł być świadkiem zapalenia nowego słońca – ukoronowania wysiłków całej rodziny. Zobaczyć, jak jego żona dokończyła zaczęty przez niego projekt. Za każdym razem, gdy Hayden przypominał sobie ich rozmowy na ten temat, w głowie słyszał jedynie głos ojca przepełniony nutami entuzjazmu i nadziei. Matka mówiła mniej, ale jej duma i miłość pobrzmiewały w szeptach, jakie dochodziły przez ścianę sypialni i kołysały Haydena do snu. Stworzyć własne słońce! Tak powstawały narody. Rozpalenie nowego słońca miało zostać zapamiętane na zawsze.

Gdy Hayden miał dwanaście lat, rodzice zabrali go na jego pierwszą przejażdżkę do Rushu. Narzekał, ponieważ niedługo wcześniej dowiedział się, że choć Slipstream był wspaniałym narodem, to nie był to *jego* naród. Przyjaciele naigrywali się z niego, że wyrusza na zwiad do obozowiska wroga, choć on sam nie do końca rozumiał, dlaczego Slipstreamowcy byli źli ani co to właściwie oznaczało być obywatelem Aerie.

– Dlatego właśnie tam jedziemy – powiedział jego ojciec. – Byś mógł zrozumieć.

– A przy okazji, żeby zobaczyć, co teraz nosi się w księstwach – dodała matka z uśmiechem. Ojciec spojrzał na nią spode łba - wydawało się, że ów grymas stworzony został specjalnie dla jego grubo ciosanej twarzy - ale ta zupełnie go zignorowała.

– Spodoba ci się – powiedziała, zwracając się do Haydena. – Przywieziemy ze sobą rzeczy, których będą ci zazdrościć twoi koledzy.

Ta myśl przypadła mu do gustu, lecz w pamięć zapadły mu głównie słowa ojca. Udawał się do Rushu, by *zrozumieć*.

I wydało mu się, że zrozumiał wszystko w chwili, kiedy ich statek przebił ostatnią warstwę chmur i po raz pierwszy dane mu było ujrzeć miasto. Gdy się przejaśniło, Hayden wraz z innymi dzieciakami podfrunął do ciasno zakratowanego okna – niewielki okręt nie posiadał wirówki, dlatego podróżowali w stanie nieważkości – i osłonił oczy, by przyjrzeć się celowi swojej podróży.

Okoliczna przestrzeń pełna była podróżnych; część z nich korzystała z aerocykli, inni poruszali się dzięki urządzeniom napędzanym pedałami, podczas gdy jeszcze inni przebierali nogami, by wprawiać w ruch ogromne, białe skrzydła przymocowane do ich pleców. Wieźli pakunki, holowali towary, a jeśli korzystali z napędów odrzutowych, zostawiali za sobą powoli blednące łuki przecinających niebo smug kondensacyjnych.

Ich cylindryczna fregata wyłoniła się spomiędzy chmur w pobliżu słońca Slipstreamu, przemieniającego połowę nieboskłonu w morze ognia. Choć wyłonili się z mgły zaledwie kilka sekund temu, temperatura wewnątrz zazwyczaj chłodnej kabiny pasażerskiej zaczęła rosnąć. Inni chłopcy wskazywali coś palcami, pokrzykując z podniecenia; Hayden spojrzał w tę stronę, próbując dociec, co rzucało ten niesamowity cień, przesłaniający niemal połowę widoczności. Ogromny kształt był nieregularny, podobnie jak skały, które mijali po drodze. Jednak podczas gdy one osiągały najwyżej rozmiary domu i z reguły porastało je zaledwie kilka sterczących drzew, to ten twór był znacznie oddalony, o czym świadczyłoby jego zszarzenie, a na dodatek pokrywał go regularny dywan zieleni. Haydenowi zabrało kilka sekund, by zdać sobie sprawę, że również w tym przypadku miał przed sobą skałę, lecz taką, której średnica wynosiła przynajmniej kilka mil.

Gapił się na nią z otwartymi ustami. Ze środka wiklinowego kosza restauracyjnego dobiegł go śmiech ojca siedzącego obok matki.

– To największa rzecz, jaką kiedykolwiek widziałeś, Haydenie. Wiedz jednak, że istnieją miejsca o wiele większe. Slipstream nie jest dużym księstwem. Pamiętaj o tym.

– Czy to Rush? – spytał chłopak, wskazując palcem.

Ojciec odepchnął się od kosza i zawisł obok syna. Szerokie barki robotnika oraz spracowane dłonie wyróżniały jego postać na tle gromadki dzieci, które zrobiły dla niego miejsce obok Haydena.

– Ta asteroida? Nie, to nie Rush. To jedynie źródło bogactwa Slipstreamu, nie licząc ich słońca. – Mężczyzna wychylił się przez reling i wyciągnął dłoń. – Nie... *To* jest Rush.

Być może stało się tak dlatego, że chłopak nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego, ale Hayden w ogóle nie zauważył miasta aż do tej chwili. Koniec końców, miasteczka Aerie rzadko miały więcej niż dwieście metrów szerokości i były zwykłymi kołami wykonanymi z drewnianych desek, które wiązano ze sobą kawałkami liny. Następnie całą konstrukcję nakręcało się i wznosiło budynki na wewnętrznej stronie koła. Proste. Nigdy też nie widział więcej niż pięć czy sześć takich kół w jednym miejscu.

Dziesiątki miasteczek tworzących Rush połyskiwały wypolerowanym na gładko metalem. Przypominały bardziej walce aniżeli pierścienie i żadne z nich nie miało mniej niż pięćset metrów średnicy. Najciekawsze było to, że wszystkie uwiązano do zalesionej asteroidy czwórkami; po zewnętrznej stronie każdego cylindra w powietrze wznosiły się czerwono-złote żagle, które przemieniały je ze zwykłych miast w przepiękne wiatraki.

– Asteroida jest zbyt duża, by wiatr miał na nią wpływ – rzekł ojciec. Hayden niespokojnie zmienił pozycję; ojciec nawet nie próbował ukryć gardłowego, prowincjonalnego brzmienia akcentu typowego dla Aerie. – Miasta są na tyle małe, że podróżują wraz z podmuchami wiatru. Tutejsi mieszkańcy korzystają z żagli, by utrzymywać koła w ruchu.

Dla Haydena brzmiało to sensownie, jako że wiatr powstawał wskutek poruszania się z inną prędkością niż otaczające cię masy powietrza. Przez większość czasu różne obiekty migrowały wewnątrz Virgi w rytm krążących powoli pływów. Zazwyczaj wiatr odczuwalny był jedynie na murach miast oraz podczas latania. Jednak Hayden wielokrotnie składał niewielkie wiatraki z papieru i wypuszczał je w przestrzeń na żyłkach. Ruch powietrza sprawiał, że wirowały. Podobnie było z miastami Rushu, tyle że na znacznie większą skalę.

Hayden zmarszczył brwi.

– Skoro ta wielka skała nie porusza się wraz z podmuchami wiatru, to dlaczego nie oddala się od reszty Slipstreamu?

– Trafiłeś tym pytaniem w samo sedno – odparł ojciec z uśmiechem. – Slipstream migruje szybciej niż większość narodów. Slipstreamowcy muszą podążać za orbitą swojej asteroidy wewnątrz Virgi. Stąd tego nie zobaczysz,

ale ich słońce również przytwierdzone jest do tej skały. Dziesięć lat temu Slipstream wprost wleciał w Aerie. Przed tym wydarzeniem byliśmy mniejszym i biedniejszym narodem, ze względu na oddalenie wszystkich znaczących słońc. Lecz mieliśmy swoją dumę. Byliśmy kowalami własnego losu. A teraz, kim jesteśmy? Zaledwie wasalami Rushu.

Hayden prawie go nie słuchał. Nie mógł oderwać wzroku od miasta.

Ich okręt dotarł na miejsce w środku dnia, natrafiając na korek, który powstał przy osi jednego z największych cylindrów. Zejście na ląd zajęło im niemal godzinę, ale Hayden nie dbał o to. Cały ten czas spędził obserwując gęstą zabudowę wewnętrznej powierzchni miasta pozostającego w ciągłym ruchu. Szukał wzrokiem miejsc, które mógłby odwiedzić. Z osi cylindra, którego doki przypominały stos ogromnych, drewnianych kości do gry, odchodziły ścieżki kablowe do innych miasteczek, tworząc cały kompleks. Jedno z kół szczególnie przyciągnęło jego uwagę – ogromny walec, którego wnętrze wydawało się być pojedynczym budynkiem ozdobionym balkonami, arkadami oraz połyskującymi oknami ze szklanymi szybami. Cylinder otaczały okręty wojenne, które Hayden widywał na fotografiach, ale nigdy z bliska. Ciężkie, drewniane statki o kadłubach najeżonych otworami dział, ciągnęły za sobą strużki dymu, olinowanie oraz maszty przypominające kręgosłupy ryb. Wyglądały naprawdę dostojnie i fascynująco.

– *Tam* nigdy się nie dostaniesz – rzekł oschle ojciec. – To pałac Pilota.

Po długo ciągnącym się oczekiwaniu mogli w końcu zejść długimi, spiralnymi schodami prowadzącymi na ulicę. Tutaj Hayden musiał znieść kolejne, wydające się nie mieć końca minuty, podczas których mężczyzna w mundurze przeglądał dokumenty jego ojca. Chłopiec był w tym momencie zbyt zaaferowany, by zauważyć ostentacyjnie jowialne zachowanie swego rodzica oraz to, jak opuścił on swe ramiona z ulgą, gdy w końcu wpuszczono ich do miasta. Po pewnym czasie ojciec zwrócił się do matki i całując ją, rzekł cicho:

– Wkrótce wrócę. Znajdź dla nas miejsce w hotelu, ale nie czekajcie na mnie. Pójdźcie na zakupy, to pozwoli ci nie myśleć o tym wszystkim.

– Dokąd on idzie? – spytał Hayden, patrząc jak ojciec znika w tłumie.

– Załatwić interesy – odparła kobieta, choć w jej głosie pobrzmiewał smutek.

Chłopiec szybko zapomniał o wszystkich obawach, jakie mogła wywołać ta rozmowa. Miasto było ogromne i fascynujące. Nawet grawitacja wydawała się inna, powodując wolniejszy obrót płynu w uchu wewnętrznym. Ponadto, istniały tutaj miejsca, z których nie było widać krawędzi cylindra. Hayden podążał za matką do różnych punktów sprzedaży i podczas gdy ona targowała się o cenę papieru dla gazety, którą pomagała prowadzić, on zadowalał się możliwością obserwowania przechodniów przez witryny sklepów.

Powoli jednak zaczął zauważać coś niezwykłego. Matka ubrana była w wielowarstwowy i kolorowy strój typowy dla mieszkańców zewnętrznych dystryktów Aerie i, podobnie jak ojciec, w ogóle nie kryła swojego akcentu. Nawet czarne włosy oraz ciemne oczy wyraźnie odróżniały ją od jasnowłosych i jasnookich mieszkańców miasta. I choć sklepikarze nie odnosili się do matki z wrogością, to nie byli również specjalnie mili. Podobnie rzecz miała się z dziećmi napotkanymi przez Haydena na ulicy. Uśmiechnął się do nich raz lub dwa razy, ale one jedynie odwracały spojrzenia.

Zapewne zapomniałby o wszystkich tych szczegółach, gdyby nie następne wydarzenia. Gdy późnym popołudniem wrócili do hotelu – Hayden objuczony pakunkami, a matka mrucząca wesoło pod nosem – zauważyli ojca stojącego z rękami za plecami przed hotelowym wejściem. Kiedy jednak chłopiec zaczął do niego machać i wołać, poczuł ucisk palców matki na ramieniu. Dopiero wtedy spostrzegł otaczających ojca mężczyzn w mundurach, którzy obrócili się jak jeden mąż na dźwięk jego głosu.

– Cholera – szepnęła matka, gdy policjanci ruszyli w jej kierunku. Hayden stał obok skołowany.

Reszta podróży upłynęła na oczekiwaniu w różnych bladozielonych, pustych pomieszczeniach, w których siedzieli razem. Matka była blada i nie odpowiadała na żadne z coraz bardziej natarczywych pytań Haydena. Na noc nie wrócili do hotelu. Zamiast tego zapewniono im dwa niewygodne sienniki w niewielkim pokoiku na tyłach komisariatu policji.

– To nie cela – powiedział odprowadzający ich sierżant. – To pokój gościnny dla krewnych.

Ojciec dołączył do nich następnego dnia. Był potargany, małomówny i miał siniaka na policzku. Matka wpadła z płaczem w jego objęcia, podczas

gdy Hayden stał obok, ściskając ramiona w bezsilnej złości. Jeszcze tego samego dnia wsiedli na okręt pasażerski o zdecydowanie niższym standardzie od tego, którym przybyli na miejsce, a Hayden obserwował migoczące osie Rushu znikające w oddali i nieodkryte.

Wkrótce ojciec wyjaśnił mu, czym jest Ruch Oporu oraz skąd bierze się potrzeba gromadzenia uzdolnionych ludzi i surowców potrzebnych Aerie do wyzwolenia. Hayden myślał, że rozumie, choć polityka go nie interesowała; znacznie ważniejsze było wspomnienie obrazu – on, w tłumie mieszkańców Rushu, kroczący u boku ojca ze skutymi rękami za plecami.

Galeria była zaledwie odcinkiem ulicy pozbawionym ogrodzenia, jednak z relingiem, przez który można było się wychylić. Matka zwykła nazywać to miejsce „pomostem śmiałków", jednak Miles używał znacznie bardziej intrygującej nazwy – „rzygowisko". Hayden przypadł do barierki, ściskając ją obiema dłońmi.

Widok przesłonił mu ogromny kłąb chmur będących niemal na wyciągnięcie ręki. Nowe słońce musiało znajdować się za nimi; liny drogowe z Gavin Town do placu budowy przechodziły teraz prosto przez serce mlecznego oparu i znikały w jego wnętrzu. Hayden poczuł zawód; jeśli rozpalą słońce w tym momencie, nie będzie mógł go zobaczyć.

Nagle wybuchnął śmiechem. Och, będzie mógł. Ojciec powtarzał mu to w kółko: po rozpaleniu słońca, nie sposób będzie go przegapić.

– Chmury w zasięgu wielu mil wyparują. Ot, tak – powiedział, pstrykając palcami. – Temperatura gwałtownie wzrośnie. W zasadzie wszystkie rzeczy w odległości jednego kilometra staną w ogniu. Dlatego słońca umieszcza się tak daleko od miast. Oczywiście, mają na to jeszcze wpływ kwestie bezpieczeństwa. A światło... Haydenie, musisz mi obiecać, że nie będziesz na nie patrzeć. Będzie jaśniejsze niż wszystko, co do tej pory widziałeś. Z bliska poparzy twoją skórę i oślepi cię przez zamknięte powieki. Nigdy nie spoglądaj bezpośrednio w słońce, dopóki nie przesuniemy miasta.

Chmura wydawała się obracać na oczach Haydena; koniec końców, Gavin Town podobnie jak inne miasteczka przypominało koło, które wprawiano w ruch, by dostarczyć jego mieszkańcom wirówkowej grawitacji. Była to jej jedyna forma, jaką kiedykolwiek mieli poznać, dlatego też traktowano ją jako cenny zasób, kosztowny i wymagający dużych nakładów pracy. Grant's Chance, inne najbliżej położone miasteczko, zlokalizowane było

kilkanaście kilometrów za placem budowy słońca. Obecnie przesłaniały je chmury.

Pokrywa chmur była jednym z powodów, dla których Griffinowie wybrali to miejsce. Na skraju strefy oświetlonej przez Slipstream temperatura powietrza spadała i dochodziło do kondensacji. Mleczne opary w najróżniejszych kształtach tworzyły tutaj mur oddzielający słoneczne królestwo od pustych, bezkresnych przestrzeni zimy. Tu leżała granica. Tutaj można było ukryć istnienie wielu rzeczy – na przykład tajnych projektów.

Miasto nie przestawało się obracać, aż w końcu otworzyło się przed nim niebo bez zasłony z chmur – niebo pozbawione jakichkolwiek granic. Dwa odległe słońca wycięły okrąg bladego powietrza na nieskończonym firmamencie, którego bezkres definiowały setki tysięcy chmur w najróżniejszych kształtach i rozmiarach, większość w barwach różu i bursztynu. Poszarpane korony słoneczne oznaczały miejsca przepływu prądów i strumieni powietrza; tuż obok wyrastały mgliste purchawki oraz wieloramienne, gwiaździste kształty; wiele mil dalej, w miejscu, gdzie jakiś chłodny prąd zderzał się z wilgotnym powietrzem, formował się kapelusz muchomora, którego kształty częściowo przesłaniał sunący przez pustkę pył. Z dołu i z góry widoczność blokowały ściany bieli, zaś świat po drugiej stronie słońc przesłaniał złotawy blask.

Jako że światło to pokonywało setki mil otwartej przestrzeni, stopniowo słabło i czerwieniało, albo też zupełnie przesłaniały je niezliczone chmury oraz inne obiekty tworzące nację Aerie. Wędrując w górę lub w stronę środka, w kierunku bardziej ucywilizowanych obszarów, promienie światła z innych odległych słońc padłyby na podróżnika jeszcze zanim straciłby z oczu ich poprzedniczki; jednak obierając kurs w dół lub na zewnątrz, w końcu dotarłby on do miejsca, gdzie nie było już jakiegokolwiek blasku. Tam niepodzielnie rządziło przeszywające zimno. W mroku i chłodzie nic nie miało prawa rosnąć. Właśnie tam znajdowała się granica zimy, która panowała w większej części posiadającego rozmiary planety i wypełnionego powietrzem balonu zwanego Virgą, wewnątrz którego żył Hayden.

Gavin Town unosiło się na skraju cywilizacji, gdzie przefiltrowane światło odległych kul ognia z trudem wystarczało do podtrzymania roślin przy życiu. Nie istniało jednak w odosobnieniu; wszędzie wokół wisiały w

powietrzu miejsca zamieszkiwane przez ludzi. Trzy mile dalej, po lewej stronie i nieco powyżej, jedna z farm chwytała promienie słońc: uprawiający ją rolnik zgromadził na ponadtrzydziestometrowej sieci sproszkowane skały oraz glebę, na których hodował żółty rzepak. Wszystkie rośliny wpijały się we własne, niewielkie kule błota, wirując powoli i chwytając promienie słoneczne lub tracąc je w cieniu sąsiadek. Obok farmy przebiegała ruchliwa autostrada. Przynajmniej tuzin małych pojazdów sunął teraz wzdłuż lin stanowiących zasadniczo samą drogę. Gruby sznur wydawał się ciągnąć w nieskończoność, prowadząc w stronę Rushu. Poniżej, po prawej stronie, połyskiwała kula wody wielkości domu. Nagły podmuch wiatru na chwilę zmącił jej gładką powierzchnię. Hayden spostrzegł ławicę wodnych ryb wirujących wewnątrz kuli niczym rozbiegane diamenciki.

Było tego zbyt wiele, by można było ogarnąć wszystko za jednym razem, dlatego Hayden niemal nie zauważył nagłego poruszenia. Jego uwagę zwrócił ruch dostrzegalny jedynie kącikiem oka; wychyliwszy się przez barierkę, powiódł wzrokiem w lewo wzdłuż zakrzywionej ściany miasta i zobaczył niezwykłe zagęszczenie smug kondensacyjnych. Ich pióropusze prowadziły w kierunku słońca. Na jego oczach z chmur wystrzeliły trzy połyskliwe kształty, mknąc dokładnie w tę samą stronę.

Dziwne.

Gdy zaczął się zastanawiać, co mogło to oznaczać, ponownie rozbrzmiał dzwonek grawitacyjny. Hayden odepchnął się od barierki i pomknął w kierunku głównej ulicy. Wolał, żeby nikt inny nie odpalał aerocykli, skoro już obiecał Milesowi, że się tym zajmie.

Prowadząca do silników grawitacyjnych klatka schodowa odchodziła od środka ulicy. Grawitacja była dobrem publicznym, dlatego ojcowie-założyciele miasta postanowili, że dostęp do związanych z nią urządzeń powinien być łatwy i otwarty dla wszystkich. Tym większe było zdziwienie Haydena, gdy po zejściu schodami do zimnej, wietrznej maszynowni, nie zastał na miejscu żywej duszy.

Aerocykl numer dwa wciąż wisiał na wysięgniku nad otwartym włazem w podłodze. W zasadzie nie był to aerocykl w klasycznym rozumieniu; dyszę turboodrzutową stanowiła zwykła, metalowa tuba otwarta z obu stron, z wiatrakiem po jednej stronie oraz palnikiem alkoholowym na środku. Trzeba było rozpędzić wiatrak przy użyciu pedałów, a następnie

rozpalić palnik i można było ruszać. Należący do Haydena aerocykl leżał w kącie, częściowo rozłożony. Chłopak miał zamiar przywrócić go do użytku jeszcze tego samego wieczora.

Po odpaleniu i opuszczeniu przez właz w podłodze, oba aerocykle były w stanie wytworzyć dostatecznie silny odrzut, by nadać Gavin Town przyzwoite pięć obrotów na minutę. Czynność tę należało powtarzać raz lub dwa razy w ciągu dnia, dlatego z reguły w maszynowni można było zastać kogoś pracującego, czy to napełniającego baki aerocykli czy też wykonującego drobne naprawy. Zawsze, gdy rozbrzmiewał dzwonek grawitacyjny, w kilka sekund ktoś pojawiał się na miejscu, zaś aerocykle były gotowe do użytku w ciągu niecałej minuty.

Wiatr hulał pomiędzy łukowatymi ścianami pomieszczenia. Hayden nie słyszał dźwięku rozmów ani odgłosów biegnących stóp.

Jednak po kilku sekundach inny hałas odbił się echem od podłogi. Gdzieś w odległości jednej lub dwóch mil rozbrzmiał nieregularny huk wystrzałów.

Odgłosu broni palnej nie dało się pomylić z niczym innym.

Ogłuszający huk zatrząsł maszynownią. Hayden padł na brzuch, by wyjrzeć przez właz w podłodze, w samą porę, aby zobaczyć przelatujący w odległości kilku metrów aerocykl. W złotych barwach Slipstreamu. Ułamek sekundy później mignął za nim zielony pojazd Aerie. W następnej chwili miasto zatoczyło łuk i jego oczom ukazała się jedynie pusta przestrzeń. Wciąż huczały wystrzały, choć teraz częściowo tłumiło je cielsko miasta.

Dopiero teraz Hayden usłyszał nad głową tupanie oraz krzyki. Podskoczył na dochodzący z niedaleka dźwięk strzelaniny. Oddane serie były jednak sporadyczne i niezorganizowane, podczas gdy z oddali usłyszał znacznie regularniejszą odpowiedź.

Gdy wbiegał na schody, coś świsnęło mu tuż obok głowy i uderzyło w ścianę z głuchym trzaskiem. Poleciały drzazgi. Hayden przykulił się, doskonale zdając sobie sprawę, że będzie w opałach, gdy ta sekcja miasta znajdzie się w polu widzenia strzelającego. Pociski bez problemu przechodziły przez odeskowanie.

W końcu wyszedł na wciąż opustoszałą ulicę i pobiegł w prawo, skąd dochodziły go odgłosy kanonady. Na zewnętrzną stronę miasta prowadziła wąska alejka. Wypadł zza rogu na pomost śmiałków – i zobaczył ciała.

Sześciu mężczyzn zajęło pozycje strzeleckie przy barierce. Teraz wszyscy osunęli się po niej albo bezładnie leżeli na deskach z bronią u boku.

Drewniany reling oraz podłogę znaczyło kilkadziesiąt dziur po kulach. Wszędzie pełno było krwi.

Coś przesunęło się w jego polu widzenia po drugiej stronie barierki. Hayden zamrugał oczami, nie mogąc ukryć zdumienia. Czerwono-złote maszty okrętu wojennego Slipstreamu majestatycznie prężyły się na wietrze w odległości zaledwie dwustu metrów. Hayden był w stanie rozróżnić sylwetki ludzi krzątających się we wnętrzu potwora. Nieco dalej, w jego cieniu, sunął inny statek, a za nim następny. Powietrze pomiędzy oraz za nimi znaczyły smugi kondensacyjne.

Hayden zrobił krok w kierunku pomostu i przystanął. Spojrzał na ciała, a następnie omiótł wzrokiem okręty wojenne i wykonał kolejny krok.

Coś śmignęło obok miasta. Chwilę później usłyszał krzyk dochodzący z pustej przestrzeni na zewnątrz. Z dołu doszły go odgłosy wystrzałów, zaś powietrze zaledwie kilka metrów od relingu rozdzierała smuga kondensacyjna.

Hayden podbiegł do pomostu, wyciągając jedną ze strzelb z martwych palców jej byłego właściciela. Z trudem rozpoznał w nim kogoś, kto od czasu do czasu odwiedzał gospodę.

– Co ty u licha wyprawiasz? – Chłopak odwrócił się na pięcie i zobaczył idącego w jego kierunku Milesa. Usta kucharza przypominały cienką linię. – Jeśli tylko wystawisz głowę, to ci ją odstrzelą.

– Musimy przecież coś zrobić!

Były żołnierz pokręcił głową.

– Już na to za późno. Mówi ci to ktoś, kto już przez to przechodził. Możemy jedynie dać się zabić albo to przeczekać.

– Ale na słońcu jest moja matka!

Miles wcisnął ręce w kieszenie kurtki i odwrócił spojrzenie. Rzecz jasna to właśnie słońce było celem ataku Slipstreamowców. Odkryto ich tajny projekt. Gdyby Aerie udało się rozpalić własne słońce, jego obywatele nie byliby już uzależnieni od Slipstreamu w kwestii pozyskiwania światła oraz ciepła. A teraz Slipstream mógł zdusić rolnictwo Aerie, przesłaniając tę stronę słońca; wszystkie korzyści, jakie nacja Haydena osiągnęła w ostatnich latach – rzekomo w ramach mecenatu Slipstreamowców – przepadłyby. Lecz sytuacja ta uległaby zmianie tuż po wzejściu słońca jego rodziców. Sąsiedzi Aerie z góry oraz z dołu, z lewej i z prawej, nagle znaleźliby powód do zmiany lojalności. Lud Aerie nie byłby w stanie sam

obronić słońca, ale budując je tutaj, na skraju ciemności, otwierał ogromne przestrzenie pustego powierza dla osadnictwa. Możliwość pozyskania nieruchomości miała być zachętą dla niezdecydowanych. A przynajmniej taki był plan.

Lecz gdyby słońce zostało zniszczone jeszcze przed ostatnimi testami... W tym momencie nie miało to dla Haydena żadnego znaczenia. Potrafił myśleć jedynie o matce, która była teraz tam, prawdopodobnie w samym celu tego ataku.

– Jestem najlepszym lotnikiem w mieście – zauważył Hayden. – Ci tutaj byli łatwymi celami, pozostawali w bezruchu. Musimy teraz wysłać wszystkich strzelców w powietrze.

Miles pokręcił głową.

– Posłuchaj, dzieciaku – zaczął. – Za dużo tu Slipstreamowców, byśmy mogli stawić im czoła. Musisz umieć zdecydować, kiedy walczyć. To wcale nie oznacza, że jesteś tchórzem. Jeśli teraz oddasz życie, nie będziesz mógł pomóc, kiedy nadarzy się prawdziwa okazja.

– Racja – odparł Hayden, odstępując od barierki.

– Rzuć broń – rzekł Miles.

Na te słowa chłopak odwrócił się na pięcie i pomknął w głąb alejki, z powrotem w kierunku głównej ulicy. Kucharz krzyknął, po czym ruszył za nim.

Hayden zbiegł po schodach do maszynowni, ale dopiero na miejscu przypomniał sobie, że jego aerocykl wciąż leżał rozrzucony po całej podłodze. Miał zamiar wytoczyć go przez otwarty właz i odpalić będąc już w powietrzu. Dzięki ruchowi obrotowemu miasta maszyna z miejsca uzyskałaby prędkość ponad stu mil na godzinę; to w zupełności wystarczyłoby, żeby uruchomić silnik... gdyby ten był na chodzie.

Siedział już okrakiem na podnośniku podtrzymującym aerocykl numer dwa, gdy do pomieszczenia wpadł Miles.

– Co ty do diabła wyprawiasz? Złaź stamtąd!

Nie odwracając wzroku, Hayden raz jeszcze szarpnął za trzpień przytrzymujący motor przy wysięgniku.

– Ona mnie potrzebuje!

– Potrzebuje cię żywego! Poza tym, jak zamierzasz sterować tym...

Bolec w końcu puścił. Aerocykl opadł. Hayden z trudem się na nim utrzymał, ale przy okazji zgubił strzelbę.

Wiatr świszczał wokół, oślepiając go i odbierając mu oddech. Stawiając mu opór, chłopakowi udało się owinąć nogi wokół beczkowatej maszyny i wykorzystać własne ciało jak płetwę, by skierować silnik w stronę przepływu powietrza. W następnej chwili zacisnął dłonie na kierownicy i odpalił solenoid.

Silnik pod nim zakaszlał, a cały świat niespodziewanie zmienił swoją geometrię: dół znajdował się za wylotem dyszy aerocykla, góra zaś dokładnie na wprost – teraz Hayden mógł jedynie zwisać u boku maszyny, która coraz szybciej mknęła w stronę pobliskiej chmury.

Boleśnie uderzył nosem o siodełko aerocykla. Oblała go lodowata mgiełka, grożąc zerwaniem zeń całego ubrania. Sekundę później znów był na otwartej przestrzeni. Szybko zerknął ponad dziobem odrzutowca, próbując odzyskać poczucie przestrzeni.

Połyskliwe łuki kryształków migotały w świetle rakietowych śladów: nowe, lecz martwe, słońce Aerie znajdowało się dokładnie przed nim. Smugi kondensacyjne splotły gęstą sieć wokół półprzezroczystej kuli, której boki zostały już w kilku miejscach przedziurawione. Misternej maszynerii z jej wnętrza nie sposób było wymienić; systemy te sprowadzono z księstw Candesce odległych o tysiące mil, a wykorzystywały one technologię, jakiej nie był w stanie skopiować żaden z żyjących ludzi. Mimo tego dwa krążowniki Slipstreamu zatrzymały się dokładnie nad słońcem, otulone dymem kolejnych salw oddawanych z obu burt.

Matka zapewne tankowała teraz paliwo, szykując się do ewakuacji jej zespołu. Nikt nie mógłby zbliżyć się do słońca, gdyby to już płonęło; należało więc dostarczyć mu odpowiedniej ilości paliwa na przewidziany okres żarzenia. Inżynierowie planowali na dziś dwuminutowy test, przy założeniu, że pokrywa chmur byłaby na tyle gruba, by przesłonić niebo od strony Slipstreamu.

Czyjeś ciało przeleciało obok Haydena, ciągnąc za sobą czerwoną smugę krwi. Chłopak zupełnie przypadkowo zauważył, że mężczyzna miał na sobie zakazany, zielony mundur Aerie. Miał czas tylko na krótkie spojrzenie, ponieważ w każdej chwili sam mógł uderzyć w słońce.

Aerocykl numer dwa nie został przystosowany do użytku na otwartej przestrzeni. Był to przemysłowy silnik odrzutowy, dostatecznie silny, by nadać całemu miastu szybszy ruch wirowy. Posiadał kierownicę jedynie

dlatego, że wymagały tego przepisy – nikt nie miał przecież zamiaru kiedykolwiek z niej korzystać. Na dodatek szybko przyspieszał do prędkości, przy której Hayden mógł zostać zdmuchnięty z siodełka przez strumień powietrza.

Chłopak wierzgnął nogami, wykorzystując ich siłę, by skręcić ciało pomimo rwącego wiatru. To z kolei odrobinę przekrzywiło kierownicę w lewo; potem jeszcze trochę. Wewnątrz aerocykla poruszyły się łopatki turbiny. Maszyna bardzo powoli zaczęła skręcać.

Połyskliwa powierzchnia słońca śmignęła tuż obok, na wyciągnięcie ręki. Przez chwilę widział twarze, zielone mundury oraz strzelby. Gdy ponownie podniósł wzrok, spostrzegł formację wrogich aerocykli, przez której sam środek właśnie przemykał. Za jego plecami rozbrzmiało kilka spóźnionych strzałów, ale Hayden ledwie usłyszał je ponad rykiem silnika.

Teraz, dokładnie przed nim, wyrosła nowa przeszkoda – okręt wojenny w kształcie wałka. Powiewały na nim jasne proporce statku flagowego. Za nim widać było jeszcze jeden kłąb chmur oddzielających cywilizację od olbrzymich przestrzeni zimy.

Haydenowi brakowało już energii. Zdał sobie jednak sprawę, że nie miało to już znaczenia. Upewnił się, że jego aerocykl zmierzał dokładnie w kierunku wrogiego okrętu, a następnie podkulił nogi i odepchnął się z całej siły.

Wirując, znów znalazł się w stanie nieważkości, jednak przemieszczał się zbyt szybko, by móc oddychać powietrzem świszczącym wokół jego ust. Gdy zaczęło mu ciemnieć przed oczami, wykonał obrót w powietrzu i zobaczył, jak aerocykl numer dwa uderza w burtę okrętu, wgniatając jego kadłub i powodując wybuch, który oświetlił nazwę statku namalowaną na metalowym poszyciu: *Arogancja*.

Ostatkiem sił Hayden rozpostarł ręce i nogi, chcąc maksymalnie zwiększyć opór powietrza. Gdy w końcu wpadł w chmury za okrętem wojennym, świat przesłoniła srebrnoszara mgła. Ławica wystraszonych ryb pierzchła na widok jego gwałtownego upadku. Chłopak czekał już tylko aż zacznie zamarzać, straci przytomność z braku powietrza albo w coś uderzy.

Nic takiego się nie stało, choć palce u rąk i nóg grabiały mu coraz bardziej w miarę jak zwalniał. Problem polegał na tym, że mógł utknąć wewnątrz chmury, gdzie nikt nie byłby w stanie go dostrzec. Bitewna wrzawa sprawiała, że nikt by go również nie usłyszał. Hayden znał historie

ludzi, którzy umierali z pragnienia, po tym jak utknęli w pustej przestrzeni. Gdyby tylko pomyślał o tym wcześniej, zabrałby ze sobą przynajmniej parę płetw.

Zaczynał właśnie zdawać sobie sprawę, że wszystkie dodatkowe akcesoria zostałyby z niego zdarte przez strumień powietrza, gdy chmurę rozświetlił blask podobny do płomienia.

Uniósł dłoń do twarzy i odwrócił się od źródła światła, było ono jednak bardzo intensywne, a dodatkowo rozpraszały je otaczające go drobiny wody. W ciągu kilku następnych sekund dotarła do niego fala ciepła, po czym, ku zdumieniu Haydena, otaczająca go chmura zwyczajnie wyparowała niczym sen o poranku.

Żar narastał. Hayden spojrzał między palcami i zauważył ciemną sylwetkę pomiędzy nim a niesamowitym blaskiem. Okręt wojenny Slipstreamowców topniał, jednak trawiące go płomienie były zbyt blade, by dało się je dostrzec na tle nowego słońca Aerie.

Choć zwalniał, Hayden wciąż oddalał się od pola walki. To uratowało mu życie, gdyż w ciągu kilku następnych minut wszystko w bezpośredniej bliskości słońca zostało spalone na popiół. Nie miało to jednak znaczenia dla matki chłopaka: zarówno ona, jak i pozostali obrońcy byli już martwi. Spłonęli w pierwszych sekundach życia nowego słońca. Musieli je zapalić, by nie wpadło w łapy Slipstreamowców.

Światło osiągnęło maksymalne natężenie, po czym niespodziewanie zgasło. Hayden zdał sobie sprawę, że sferyczna plama pomarańczowego światła przypominającego zorzę polarną to fala uderzeniowa, w chwili gdy ta natarła na niego niczym mur.

Tracąc przytomność, chłopak poszybował w szaroniebieski bezkres zimy, z dala od jakiejkolwiek cywilizacji i nadziei.

Ból głowy nie był tego dnia tak silny, ale Venera Fanning mimo tego przesunęła palcami po niewielkiej bliźnie na podbródku, wchodząc do wyłożonego płytkami korytarza oddzielającego jej komnaty od biur admiralicji Slipstreamu. Strzelisty, wypełniony kolumnami hall biegł niemal przez całą szerokość królewskiego miastokoła Rushu; każdego dnia kobieta zmuszona była przemierzać go kilkakrotnie. I za każdym razem na nowo przeżywała ten wydający się nie mieć końca moment po trafieniu kulą, gdy leżała tu na posadzce, oczekując na śmierć. Żałosna i opuszczona.

Nigdy więcej nie weszła do hallu samotnie. Wiedziała, że świadczyło to o jej słabości, ale w tym miejscu musiała słyszeć za sobą odgłos kroków służącego, nawet jeśli nie miała zamiaru spojrzeć mu prosto w oczy i tego przyznać. Poza wyciem wiatru na zewnątrz, wokół rozbrzmiewał jedynie stukot jej obcasów oraz butów mężczyzny podążającego za nią.

Ten przeklęty korytarz przywodził na myśl bolesne wspomnienia za każdym razem, gdy do niego wchodziła, jednak Venera nie rozkazała go wyburzyć, a następnie wybudować na nowo, tak jak uczyniłyby jej siostry. A przynajmniej nie zamierzała tego robić do czasu, aż ból pulsujący w jej skroniach rankiem, w południe i nocą nie zniknie. Niestety, za każdym razem, gdy domagała się odpowiedzi na pytanie, kiedy to nastąpi, lekarze wymieniali jedynie niepewne spojrzenia.

Venera otworzyła na oścież podwójne drzwi admiralicji i natychmiast została zaatakowana przez głośny gwar i unoszący się zapach tytoniu, potu oraz skóry. Tuż za drzwiami, czterech paziów różnych płci opróżniało szafę z dokumentami, podczas gdy sterczące w różnych kierunkach ceremonialne miecze u ich pasów, zderzały się ze sobą w nieświadomej potyczce. Venera zręcznie ich wyminęła, a następnie przemknęła obok dwóch rumianych oficerów, którzy wrzeszczeli na siebie nad rozłożoną płachtą pergaminu. Potem uskoczyła przed wózkiem z książkami, którego kierowca był niewidoczny zza sterty ułożonych na nim woluminów, i po trzech kolejnych

krokach, znalazła się w przedsionku admiralicji, gdzie zastał ją harmider biura szykującego się do wojny.

Pomieszczenie podzielono na dwie części niską, drewnianą barierką. Po lewej usytuowano poczekalnię, zupełnie pustą, jeśli nie liczyć kilku foteli dla interesantów w podeszłym wieku. Po prawej zaś ustawiono rzędy wypolerowanych biurek, za którymi siedzieli urzędnicy rozpatrujący nadchodzące raporty. Do ich zadań należało przekazywanie najświeższych wiadomości małej armii gońców, zajętych głównie przesuwaniem stromych drabin pomiędzy biurkami. Ci ostatni od czasu do czasu zatrzymywali się, zadzierali głowy, po czym któryś z nich wspinał się na szczeble, by dostosować wysokość lub pozycję jednego z modeli zawieszonych nad głowami urzędników niczym ryby zastygłe w bezruchu. Pomiędzy biurkami stali dwaj kapitanowie statków oraz admirał, wszyscy nieruchomi, zupełnie jakby przerażało ich niebezpieczeństwo grożące im ze strony śmigających wokół drabinek.

Venera podeszła do barierki i zapukała w nią energicznie. Chwilę zajęło nim ktoś ją zauważył. Gdy to się stało, jeden z gońców porzucił pracę przy drabinie i podbiegł, aby się ukłonić.

– Mogę prosić o klucz do salonu dam? – spytała.

Paź skinął głową, po czym podszedł do pobliskiej szafki i wrócił z dużym, bogato zdobionym kluczem.

Venera posłała mu słodki uśmiech; ten przejaw życzliwości wywołał jednak falę bólu płynącą od szczęki aż do wysokości oczu. Obróciwszy się na pięcie, szybko minęła tłumek gońców i ruszyła w głąb wyłożonego palisandrem korytarza odchodzącego od przeciwległej ściany przedsionka. Przejście kończyło się dębowymi drzwiami, przyozdobionymi płaskorzeźbami sójek oraz gili. Mimo że ich powierzchnię wypolerowano na wysoki połysk, to rzadko używana srebrna klamka wyraźnie zmatowiała.

Gdy kobieta pchnęła jedno skrzydło drzwi, sługa zrobił krok, by ruszyć jej śladem.

– Mógłbyś? – spytała, mierząc go gniewnym spojrzeniem. Mężczyzna oblał się rumieńcem. Venera dopiero teraz naprawdę mu się przyjrzała; był całkiem młody i przystojny. Lecz był tylko sługą.

Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem i ruszyła w głąb salonu. Na podłodze rozpostarto dywan w kolorze głębokiej czerwieni, natomiast ściany pokrywały panele z drewna dębowego, które pociemniały i stały się niemal

czarne. Brakowało okien, a jedyne światło dawały zawieszone tu i ówdzie lampy gazowe o brzoskwiniowych kinkietach. I chociaż stało tu dość foteli i kanap, by, gdy obie wygódki były zajęte, mógł w nich czekać nawet tuzin dam, to Venera nigdy nie spotkała w tym miejscu żadnej innej kobiety. Wyglądało na to, że była jedyną żoną admirała, jaka kiedykolwiek odwiedzała swojego męża w pracy.

– I co? – odezwała się do trzech czekających na nią mężczyzn. – Czego się dowiedzieliście?

– Wygląda na to, że miała pani rację – odparł jeden z nich. – Capper, pokaż pani zdjęcia.

Na środku pomieszczenia stał fotel z wysokim oparciem. Siedzący w nim młodzieniec w kurtce lotnika ociężale przeszukiwał wewnętrzne kieszenie kurtki. Jego prawa noga była solidnie obandażowana, ale krew przesiąkła przez opatrunek i kapała na dywan, znikając pośród czerwonych włókien.

– Wygląda mi to na uszkodzoną arterię – rzuciła Venera, mrużąc oczy w wyuczonym odruchu. Młody chłopak odpowiedział słabym uśmiechem. Drugi mężczyzna zmarszczył brwi, po czym zacieśnił opaskę uciskową umieszczoną wysoko na udzie lotnika. Ostatni z obecnych obserwował wszystko obojętnie. Był to łagodnie wyglądający jegomość o łysiejącej głowie i wydętych ustach kogoś przyzwyczajonego bardziej do obcowania ze stertami dokumentów niż innymi ludźmi. Venera wiedziała, że gdy Lyle Carrier się uśmiechał, unosił jedynie górną wargę oraz brwi, co w wyrazie twarzy miast rozbawienia sugerowało raczej zdumienie. Doszła do wniosku, że brało się to z tego, że emocje innych ludzi były dla niego zupełną abstrakcją.

Carrier był niezwykle niebezpiecznym człowiekiem. Nikt inny spośród poznanych w tym zapomnianym kraju nie jawił jej się jako bratnia dusza bardziej niż on. Właściwie był jedyną osobą, której Venera nigdy nie mogła w pełni zaufać. I właśnie to jej się w nim podobało.

Krzywiąc się z bólu, młody lotnik wydobył w końcu z kurtki plik kwitów. Gdy podał je Venerze, jego ręka drżała jakby trzymał w dłoni nie papier a ołowiane odważniki. Kobieta szybko chwyciła zdjęcia i przyjrzała im się kolejno, podsuwając je do światła.

– Ach... – Piąta fotografia była tą, którą chciała zobaczyć. Przedstawiała ona częściowo przesłoniętą chmurami przestrzeń powietrza, zajętą przez przypominającą pajęczynę, drewnianą konstrukcję doku. Tuż przy nim

cumował rząd przysadzistych, metalowych cylindrów, połyskujących dyszami silników odrzutowych. Venera znała te modele: ciężkie krążowniki, z których każdy posiadał tuzin stanowisk rakietowych i obsadę złożoną z przynajmniej trzystu ludzi.

– Zbudowali dok w sargassie, tak jak pani mówiła – rzekł młody szpieg. – Podczas przelotu mogłem oddychać jedynie powietrzem z butli. Pompują tlen na teren budowy przy użyciu tych grubych rur...

Venera w zamyśleniu pokiwała głową.

– Odkrył to jeden z twoich kolegów. Zauważył, że ktoś instaluje pompy powietrzne na zewnątrz sargassa, po czym dodał dwa do dwóch. – Szybko przejrzała pozostałe zdjęcia, by upewnić się, że żadne z nich nie przedstawia lepszego ujęcia krążowników.

– Zapewne to kolejny tajny projekt – mruknął Carrier z nutą dezaprobaty. – Wygląda na to, że ludzie nic nie wynieśli z lekcji, jakiej udzieliliśmy Aerie.

– To było osiem lat temu – powiedziała Venera, unosząc jedno ze zdjęć. – Ludzie zapominają... Co to jest?

Capper przebudził się gwałtownie na swym siedzisku
i z wyraźnym wysiłkiem podciągnął się do góry, żeby spojrzeć na fotografię.

– Ach, to... Nie wiem.

Na zdjęciu można było dostrzec mglisty, niewyraźny kształt, który częściowo zasłaniała obręcz miasta. Szary, wrzecionowaty zarys sugerował okręt, ale to było niemożliwe: wielkością przewyższałby on miasto. Venera przyjrzała się fotografii z bliska w świetle jednej z lamp gazowych. Dopiero teraz dostrzegła małe kropeczki otaczające szarego kolosa.

– Co to za punkciki?

– Aerocykle – wyszeptał szpieg. – Widzi pani smugi kondensacyjne?

Dopiero je zauważyła, a chwilę później obrazek wydawał się otworzyć na ułamek sekundy niczym okno. Venera zamrugała oczami, wodząc spojrzeniem po olbrzymiej przestrzeni pełnej doków, miast oraz statków, której ściany stanowiła pokrywa chmur. Na samej jej krawędzi czyhał gigantyczny wieloryb, okręt tak wielki, że z łatwością połknąłby koła Rushu.

Jednak to musiała być gra świateł.

– Jak wielkie jest to coś? Dobrze się temu przyjrzałeś? Jak długo tam byłeś?

– Niedługo... – Szpieg machnął ręką z ociąganiem. – Zrobiłem jeszcze jedno zdjęcie...

– Nie przeżyje, jeśli zaraz nie zabierzemy go do lekarza – powiedział mężczyzna doglądający nogi młodego lotnika. – Potrzebuje krwi.

Venera znalazła drugie zdjęcie i przytrzymała je obok pierwszego. Były niemal identyczne. Wyraźnie zrobiono je w odstępie kilku sekund. Różniły je jedynie długości smug kondensacyjnych.

– To nie wystarczy. – Narastająca frustracja sprawiła, że tępe fale bólu zaczęły pulsować w jej szczęce. Warknęła zupełnie nieświadomie. Gdy się odwróciła, napotkała spojrzenie Carriera; jak zawsze nie wyrażało zupełnie nic. Ubrany w kurtkę pilotkę szpieg stracił przytomność, a jego pomocnik wyglądał na zmartwionego.

– Zabierzcie go stąd – powiedziała, wskazując na drzwi dla służby na tyłach salonu. – Będziemy potrzebować go później w pełnej gotowości.

Capper został ocucony na tyle, by mógł wesprzeć się na ramieniu swojego pomocnika, który pomógł mu wyjść. Venera przysiadła na jednej z kanap i spojrzała spode łba na Carriera.

– Te spory z Pilotem Mavery to jedynie zasłona dymna – powiedziała. – Ma na celu wywabienie większości naszych okrętów z Rushu, żeby te krążowniki oraz to... coś, cokolwiek to jest, mogło zaatakować nas od strony Formacji Sokoła. Formacja musiała zawrzeć z Mavery jakiś pakt.

Carrier pokiwał głową.

– Całkiem możliwe. To znaczy - mnie wydaje mi się to prawdopodobne, pani. Trudniejsze może być przekonanie pani męża oraz Pilota o tym, że zagrożenie z ich strony jest bardzo realne.

– Sama zajmę się moim mężem – odparła Venera. – Ale Pilot... to może okazać się kłopotliwe.

– Oczywiście zrobię wszystko, co będzie leżało w najlepiej pojętym interesie naszego kraju – rzekł Carrier.

Venera niemal wybuchła śmiechem.

– Chyba nie będzie to konieczne – skwitowała. – W porządku. Idź już. Muszę zanieść te zdjęcia mojemu mężowi.

Carrier uniósł jedną brew.

– Zamierza pani powiedzieć mu o naszej organizacji?

– Czas, by dowiedział się, że dysponujemy dodatkowymi zasobami – odpowiedziała, wzruszając ramionami. – Jednak nie mam zamiaru ujawniać mu naszego zasięgu... ani tego, że to *moja* organizacja. Nie powiem też ani słowa na temat twojej osoby.

Carrier ukłonił się i opuścił pomieszczenie tylnymi drzwiami. Jeszcze długo po wyjściu mężczyzny Venera stała na środku pokoju.

Tysiąc mil dalej, wokół słońca jej ojca zapadała właśnie noc. Bez wątpienia Pilot Hale'u jak zwykle spał niespokojnie pod baldachimem z kutego żelaza, pilnie strzeżony przez swych gwardzistów. Jego królewska intuicja podpowiadała mu, że zasadą rządzącą światem był spisek – jego poddani spiskowali przeciwko niemu, ich trzoda hodowlana spiskowała przeciwko nim i nawet atomy powietrza musiały mieć taki czy inny plan. Nie mieściło mu się w głowie, że ktokolwiek mógłby działać pod wpływem bezinteresownej lojalności lub miłości, i tak też rządził swoim państwem. Swoje trzy córki wychował tak, aby hołdowały tej zasadzie. Venera spodziewała się, że ojciec będzie chciał ją wydać za jakiegoś wsobnego wieprza, dlatego w wieku szesnastu lat wzięła sprawy w swoje ręce i wymusiła na rodzicielu wybranie lepszego kandydata. Pierwsza próba szantażu zakończyła się pełnym sukcesem, kobieta usidliła upatrzonego mężczyznę, młodego admirała potężnego Slipstreamu. Rzecz jasna, ojczyzna Slipstreamowców oddalała się od Hale na tyle szybko, że do czasu wypracowania własnej pozycji, Venera nie stanowiłaby już dla staruszka żadnego zagrożenia.

Szczerze nienawidziła Rushu, stolicy Slipstreamu. Mieszkający tu ludzie byli przyjaźni, serdeczni i beznamiętnie wyniośli. Spiskowanie nie było w modzie. Młodzi szlachcice obrażali się nawzajem, ciągnąc za pióra w kapeluszach lub składając publicznie skandaliczne oskarżenia, po czym szybko chwytali za broń, nie pozwalając żadnej obeldze uchodzić na sucho dłużej niż jeden dzień. Politykę prowadzono otwarcie – w świetle obowiązujących praw, na jasnych salonach oraz w komnatach rad, a jeśli nawet ktoś spiskował w cieniu, to nie była w stanie tego odkryć. Nawet teraz, gdy nadciągała wojna, Pilot Slipstreamu odmówił wzmocnienia tajnych służb w jakikolwiek sposób.

To było nie do przyjęcia. Dlatego właśnie Venera postanowiła osobiście zmienić sytuację. Dzięki tym zdjęciom troskliwe pielęgnowanie własnej paranoi znalazło wreszcie konkretne uzasadnienie.

Kobieta z zapamiętaniem wcisnęła fotografie do torebki przy pasie – wyraźnie wystawały, ale kto miałby na to zwracać uwagę? – i opuściła komnatę frontowymi drzwiami.

Jej sługa czekał niewinnie dobry metr od drzwi. Venera natychmiast zaczęła podejrzewać go, że podglądał przez dziurkę od klucza. Posłała mu nieprzyjemne spojrzenie.

– Nie wydaje mi się, bym wcześniej korzystała z twoich usług.

– Nie, madame. Jestem nowy.

– Zakładam, że uważnie sprawdzono twoje pochodzenie?

– Tak, pani.

– Cóż, sprawdzimy je w takim razie ponownie. – Kobieta ruszyła w kierunku pomieszczeń admiralicji. Chłopak bezszelestnie podążył za nią.

W poczekalni wciąż panował harmider, jednak teraz wydawał się on bez sensu – żołnierze przygotowywali się do rozstrzygnięcia sporu granicznego z Mavery, podczas gdy zagrażało im znacznie większe niebezpieczeństwo. Nikt nie lubił migrujących nacji, a Slipstreamu w szczególności. Powinni zawsze być gotowi na taką ewentualność. Powinni wykazać się większym profesjonalizmem.

Jakiś paź potrącił Venerę. Zdjęcia wypadły jej z torebki. Kobieta uderzyła go w głowę wierzchem dłoni i pochyliła się, chcąc je pozbierać – tylko po to, by zobaczyć, że sługa zrobił to za nią.

Najwyraźniej zupełnie przez przypadek, chłopak spojrzał na dwa spośród trzymanych przez siebie zdjęć, po czym zrobił to jeszcze raz. Venera zaczęła zastanawiać się, czy by móc rzucić na nie okiem, za jej plecami nie podstawił gońcowi nogi.

– Daj mi to! – Wyrwała mu je z rąk, zauważając przy tym, że sługa przyglądał się fotografiom przedstawiającym wielki, szary obiekt. Natychmiast postanowiła, że gdy tylko wrócą do rezydencji Fanningów, każe go aresztować pod pretekstem jakiegoś wymyślonego oskarżenia.

Gotując się ze złości, Venera utorowała sobie łokciami drogę przez tłum kurierów oraz pomniejszych funkcjonariuszy, po czym wyszła bocznym wyjściem. Od strony schodów prowadzących do wagoników kolejki linowej łączącej inne miasta tej czwórki wionęło chłodem. Wściekłość i zimno spotęgowały ból tak, że kobieta miała zamiar obrócić się i uderzyć bezczelnego młodziana. Z trudem się powstrzymała, powoli odzyskując

spokój. Ucieszyła ją własna wyrozumiałość.*Potrafię być dobrą osobą*, przypomniała sobie.

– Tysiąc pięćset stóp – mruknął sługa, prawie niesłyszalnie.

Venera obróciła się na pięcie. Chłopak szedł kilka kroków za nią, zupełnie rozkojarzony i pogrążony w myślach.

– Co powiedziałeś? – syknęła.

– Okręt ze zdjęcia... ma tysiąc pięćset stóp długości – odparł ze skruchą.

– Skąd to wiesz? Mów!

– Na podstawie smug kondensacyjnych, pani.

Spoglądała na niego przez dłuższą chwilę. Był młody, to nie ulegało żadnej wątpliwości, a jego twarz o wystających policzkach byłaby uosobieniem niewinności, gdyby nie ogorzała skóra, czerwieniąca jego czoło i nos. Na głowie miał burzę czarnych włosów, które opadały na brwi niczym krucze skrzydła. Oczy otaczała siateczka drobnych zmarszczek, przywodząc na myśl zwyczaj ciągłego ich mrużenia przez lotników.

Albo cechował go o wiele większy spryt niż początkowo sądziła, albo był skończonym idiotą.

Niechętnie przyznała, że chłopak mógł nie mieć pojęcia, że spotkała się z kimś przed damską toaletą i że nie podejrzewał kogoś takiego jak ona o posiadanie niezwykle ważnych informacji. W takim wypadku widziane przez niego zdjęcia były tylko zdjęciami.

– Wyjaśnij mi – wydobyła z pliku dwa zdjęcia molocha i wręczyła mu je.

Teraz wyglądał, jakby ogarnęły go wątpliwości.

– Nie jestem pewien.

– Po prostu powiedz mi, jak do tego doszedłeś!

Sługa wskazał pierwsze zdjęcie.

– Na bliższym planie widać przelatujący aerocykl. To standardowy Gray 45. Leci z optymalną prędkością, która wynosi sto dwadzieścia pięć węzłów. Widzi pani kształt smugi kondensacyjnej? Przybiera ona taki pierzasty wygląd jedynie przy optymalnej prędkości spalania. Aerocykl przelatuje tuż obok doków, więc można określić – przeszedł do drugiego zdjęcia – że zdołał przelecieć około sześćset stóp, o ile ten dok jest takich rozmiarów, na jakie wygląda. Oznacza to, że druga fotografia została zrobiona jakieś dwie sekundy po pierwszej.

Teraz proszę spojrzeć na smugi kondensacyjne wokół wielkiego statku. Nie widzę na tym zdjęciu żadnych aerocykli, które *nie byłyby modelami*

Gray 45, więc jeśli założymy, że te maszyny w oddali to również Graye i że podróżują z optymalną prędkością, to te sunące niemal po powierzchni wielkiego okrętu przebyły nieco mniej niż połowę jego długości. To by oznaczało, że statek ten ma nieco ponad tysiąc dwieście stóp.

– Matko Virgi. – Venera spoglądała to na zdjęcie, to na chłopaka. Dopiero teraz zauważyła, że brakowało mu opuszek kilku palców: odmrożenia?

Odebrała mu fotografie.

– Jesteś lotnikiem.

– Tak, proszę pani.

– Więc dlaczego pracujesz jako sługa w moim domostwie?

– Zawód lotnika nie ma przyszłości – odparł młodzieniec, wzruszając ramionami.

Ruszyli z miejsca. Venera porządkowała w głowie fakty. Gdy dotarli na szeroką, klekoczącą galerię stacji kolejki linowej, kobieta ostro kiwnęła głową i powiedziała:

– Nie mów o tym nikomu, jeśli cenisz swoją pracę. To poufne informacje.

– Dobrze, madame. – Sługa spojrzał ponad jej ramieniem. – O nie.

Venera podążyła za jego spojrzeniem i zmarszczyła brwi. Długa platforma kolejki linowej była pełna ludzi, którzy tłoczyli się w cieniu pordzewiałych przęseł i dźwigarów tworzących sklepienie komnaty. Sześć pustych zielonych wagoników kolejki linowej wisiało na samym jej środku.

– Skąd ten korek? – spytała stanowczo jednego ze stojących w pobliżu oficerów.

– Urwała się jedna z lin – odparł mężczyzna, wzdychając. – Podmuch wiatru odsunął miasta od siebie, a sprężyny nie były w stanie wytrzymać naprężenia.

– Oszczędź mi szczegółów. Kiedy to naprawicie?

– Musiałaby pani spytać monterów, a oni już wyruszyli do pracy.

– Muszę dostać się do pałacu!

– Jestem pewien, że monterzy pani współczują, madame.

Kobieta miała właśnie wygłosić oficerowi tyradę, gdy poczuła dotyk sługi na ramieniu.

– Tędy – mruknął chłopak.

Parsknąwszy ze złością, Venera ruszyła za nim z dala od tłumu. Młodzieniec zmierzał w kierunku niewinnie wyglądającego bocznego wejścia.

– Co tam jest? – spytała.

– Stanowiska aerocykli – rzekł sługa, otwierając drzwi na kolejną, smaganą wiatrem galerię. Ta była niemal pusta. Biegnąc w górę, gładkim łukiem znikała z pola widzenia. Prawą ścianę zajmowały drzwi z mlecznego szkła, prowadzące do niewielkich biur, natomiast lewą stroną ciągnął się rząd łukowato sklepionych okien sięgających od podłogi do sufitu. Za szybami widać było wąską kładkę, a za nią już tylko otwartą przestrzeń.

Podłogę galerii przetykały włazy. Mniej więcej nad połową z nich wciąż wisiały aerocykle. Całe to miejsce pachniało olejem silnikowym, męskim zapachem, który wydał się Venerze jednocześnie odpychający i intrygujący. Nieopodal, kilku mężczyzn w kombinezonach zajmowało się właśnie przebudową aerocykla. Jego części zostały ułożone w równej linii na plandece, a ich rozmieszczenie świadczyło o potwornym chaosie, jaki musiał panować we wnętrzu maszyny.

Venera znalazła się w męskim świecie i całkiem jej się to podobało.

– Masz własny aerocykl? – spytała sługę.

– Tak. Jest tam. – Chłopak zaniósł kwit zarządcy portu, a w zamian otrzymał kluczyki oraz znoszoną, skórzaną kurtkę. Następnie podszedł do aerocykla i otworzył właz pod delikatnie rozkołysaną maszyną.

– Niech zgadnę – powiedziała. – Gray 45?

Młody lotnik skwitował to śmiechem.

– Tamto to woły pociągowe. To jest ścigacz. To Canfield Arrow, model czternaście. Kupiłem go za pierwszą wypłatę.

– Ma siedzenie dla pasażera – zauważyła arystokratka, niespodziewanie podniecona możliwością przejażdżki czymś takim.

Chłopak spojrzał na nią z ukosa.

– Nigdy nie leciała pani aerocyklem?

– Nie. Czy to cię zaskakuje?

– Zapewne zawsze czekały na panią przytulne, kryte taksówki – rzekł, wzruszając ramionami. – Ma to sens. – W końcu udało mu się otworzyć właz. Venera cofnęła się o krok. Nie obawiała się otwartej przestrzeni, ale przerażała ją prędkość. W tej chwili strumień powietrza tuż poniżej włazu uderzał z siłą huraganu.

– Zmiecie nas!

Sługa pokręcił głową.

– Zarządca doku opuszcza tarczę przed włazem. To da nam kilka sekund, żeby wśliznąć się w strumień powietrza. Niech pani trzyma głowę nisko za moimi plecami a nic pani nie będzie - owiewka jest naprawdę duża. Poza tym, nie wylecimy stąd z maksymalną prędkością. To zbyt niebezpieczne na terenie miasta.

Siadł okrakiem na aerocyklu i wyciągnął dłoń. Venera tłumiła uśmiech do czasu, aż usiadła na miejscu za nim. Pod stopami wyczuła miejsce na nogi, ale nie miała się czego uchwycić, poza plecami kierującego, dlatego ciasno oplotła go ramionami w pasie.

Gdy lotnik wcisnął przycisk startu, kobieta poczuła drżenie ożywającego silnika. Po chwili doszły ją słowa młodzieńca:

– Gotowa?

W chwilę później zwolnił zaczep.

Wypadli na otwartą przestrzeń. Przez kilka sekund zakrzywiona powierzchnia spodniej strony miasta tworzyła dach nad ich głowami. Przed nimi znajdowała się tarcza, długi, zwisający jęzor metalu, który jednak szybko się chował.

– Głowa w dół! – krzyknął chłopak. Venera wtuliła twarz w jego plecy. Ryk silnika zagłuszał myśli, a wibracje metalowej konstrukcji przechodziły ciarkami wzdłuż całego ciała. W końcu byli wolni, szybując w strumieniach powietrza pomiędzy cylindrami miasta. Wiatr nie był dość silny, by zmieść ją z siedzenia, dlatego Venera ostrożnie wyprostowała się i rozejrzała wokół. Z jej ust dobyło się mimowolne westchnienie zachwytu.

Smugi kondensacyjne w kształcie kolców oraz lin wisiały nieruchomo wokół nich. Gdzieniegdzie powiewały jasne flagi, a przestrzeń powietrzna roiła się od taksówek, skrzydlatych ludzi oraz innych aerocykli. Kwartet miast, których częścią była admiralicja, zdążył już oddalić się na znaczną odległość; kobieta odwróciła głowę i zobaczyła, że system kolejki linowej, którego niezależna obręcz dotykała osi obrotowego cylindra, rzeczywiście był uszkodzony. Jacyś ludzie unosili się w powietrzu wokół uszkodzenia, trzymając narzędzia i głośno debatowali nad tym, co zrobić. Venera ponownie spojrzała przed siebie, chichocząc beztrosko z poczucia mocy, która pchała ją coraz wyżej i wyżej, w kierunku następnego kwartetu.

Minęli ciężkie, stalowe liny, a następnie szerokie szprychy przyłączone krzyżowo do osi miasta. Z bliska widać było, że barwne żagle miały dziury i łaty. W stanowczo zbyt krótkim czasie ich aerocykl znalazł się pod

kolejnym miastem. Nad ich głowami otworzyła się szczelina dokowa dla odrzutowców. Sługa Venery perfekcyjnie wyliczył tor lotu – mogło się wydawać, że zakrzywione podbrzusze miasta wyciągnęło się, a następnie połknęło ich w całości. Chłopak wyłączył silnik, jednocześnie unosząc w górę hak, który zaczepił się o stalową linę, gdy zaczęli ponownie spadać. Osiedli na platformie niemal identycznej jak ta, którą niedawno opuścili. Jeden z pałacowych piechurów podbiegł do ich stanowiska i odciągnął maszynę od włazu. Dotarli na miejsce.

Venera zsiadła i postąpiła kilka niepewnych kroków. Nogi miała jak z waty. Jej sługa zeskoczył z siodełka, jak gdyby nigdy nic i posłał jej przyjazny uśmiech.

– To dobra bestia – powiedział.

– Cóż – kobieta nie wiedziała, co powiedzieć. – Cieszę się, że płacimy ci dość, byś mógł sobie na nią pozwolić.

– Och, nigdy nie mówiłem, że mnie na nią stać.

Arystokratka zmarszczyła brwi i ruszyła w stronę wyjścia z galerii. Doskonale wiedziała, którymi schodami i korytarzami musi pójść, by dotrzeć do biura dowództwa strategicznego Slipstreamu. Jej mąż, admirał Fanning, miał odbyć tutaj szereg spotkań, była jednak pewna, że będzie miał dla niej czas. Przez chwilę zastanawiała się na tym, ile mu powiedzieć na temat siatki szpiegowskiej. Ostatecznie uznała, że im mniej, tym lepiej.

Przed wejściem do biura odwróciła się i spojrzała na sługę.

– Dalej nie pójdziesz. Zaczekaj na mnie w dokach. Odwieziesz mnie w ten sam sposób, w jaki tu dotarliśmy.

Chłopak wyglądał na rozczarowanego.

– Dobrze, madame.

– Hmm. Jak ty się w ogóle nazywasz?

– Griffin, madame. Hayden Griffin.

– W porządku. Pamiętaj, co powiedziałam, Griffin. Nie mów nikomu o tych zdjęciach. – Pogroziła mu palcem, ale choć łupało jej w skroniach, nie była w stanie w tej chwili zmusić się choćby do odrobiny gniewu. Obróciła się na pięcie, a następnie nakazała strażnikowi pałacowemu gestem, by ten otworzył przed nią ogromne drzwi z drewna tekowego.

Wchodząc do środka, rozmyślała o cudownej wolności, którą Griffin mógł się rozkoszować za każdym razem, gdy latał sam. Poczuła jej przedsmak, gdy podróżowała wraz z nim. Obawiała się jednak, że w życiu

pełnym obowiązków i tajemnic, które wiodła, nigdy nie będzie miała szansy zasmakować jej w pełni.

Hayden obserwował kobietę z narastającym poczuciem frustracji. Był tak blisko! Znalazł się w odległości zaledwie kilku metrów od celu. A jednak pokrzyżowano mu plany, nie wpuszczając do centrum dowodzenia. Zlustrował spojrzeniem strażnika pałacowego, a ten w odpowiedzi również zmierzył go wzrokiem. Wiedział, że w pojedynkę nie da mu rady. Odwrócił się zatem niechętnie i ruszył w kierunku doków.

Niemal zepsuł wszystko, podnosząc te zdjęcia. Najwyraźniej nie doceniał Lady Fanning. Nie miał zamiaru drugi raz popełnić tego błędu. Ale od kiedy został do niej przydzielony, nie miał możliwości zbliżenia się do Fanninga. Jednak, gdyby go polubiła...

Uznał, że to tylko kwestia czasu. Któregoś dnia admirał Fanning znajdzie się w zasięgu jego ręki.

A wtedy Hayden go zabije.

Ławica zbłąkanych ryb dostała się w przestrzeń powietrzną wewnątrz Drugiego Cylindra Pierwszego Kwartetu. Zdezorientowane przez krążące wokół nich światła miasta i pochwycone w cyklon powietrza wzbudzony przez dachy Rushu, spadały coraz niżej po zwężającej się spirali, aż wpadły pomiędzy okapy dwóch przyozdobionych gargulcami domów. Odbiwszy się od okiennic i parapetów, masztu i drabinki wyjścia przeciwpożarowego, skończyły w wąskiej uliczce, gdzie zdychały porozrzucane niczym wystrzelone z armaty.

Hayden zignorował wiwatujących mieszkańców, którzy wybiegali na zewnątrz, by pozbierać niespodziewany opad. Kluczył zaciemnionymi alejkami nocnego Rushu, nie zważając na nic, lecz instynktownie unikał kanciarzy oraz złodziei, wmieszanych w tłum. Odczuwał lekkie mdłości, a przy każdym głośniejszym śmiechu czy uderzeniu skrzyni o betonowe podłoże, po plecach przechodziły mu ciarki.

Targowisko zostało wciśnięte w labirynt małych uliczek. Hayden uwielbiał spacery w tłoku; mimo że mieszkał tu już blisko dwa lata, sam fakt, że miasto składało się z więcej niż jednego cylindra, wciąż wprawiał go w osłupienie. Rdzewiejące obręcze miasta zapewniały grawitację ponad trzydziestu tysiącom dusz. Dodając do tego leżące na obrzeżach miasteczka oraz niezliczone posiadłości zawieszone wokół Rushu niczym rozpylone krople wody, okoliczna społeczność musiała liczyć sobie przynajmniej sto tysięcy mieszkańców. Gwarantowało to anonimowość, a jednocześnie było niezwykłym doświadczeniem dla nieszczęśliwego młodzieńca. Hayden mógł więc przebywać wśród ludzi, a przy tym zachowywać wobec nich pewien dystans. Podobało mu się to.

Po całym dniu spędzonym w posiadłości Fanningów był potwornie zmęczony; jednak gdyby teraz wrócił do pensjonatu, zapewne tylko krążyłby po pokoju aż w końcu sąsiedzi zaczęliby składać skargi. Ciągnąłby się za włosy i mruczał coś pod nosem jak jakiś szaleniec. Wolał tego uniknąć.

Przystanął, by kupić lepką bułkę od ulubionego sprzedawcy, po czym ruszył dalej krętą uliczką biegnącą wzdłuż oszalowania. Słońce Slipstreamowców przeszło w stan spoczynku, a miastem zawładnęła ciemność oraz chłód. W niektórych uliczkach bezdomni podtrzymywali ogień w metalowych beczkach, każąc sobie płacić miedziaka lub dwa każdemu, kto zatrzymywał się, by nieco ogrzać dłonie. Hayden czasami przystawał, żeby porozmawiać z tymi ludźmi, których twarze zazwyczaj jawiły mu się jedynie jako niewyraźny zarys oświetlony blaskiem czerwonych płomieni. Potrafili być cennym źródłem informacji, choć Hayden nigdy nie zdradził im nic na swój temat, nawet imienia.

Jednoczesne uczucie bycia blisko celu i niemożności jego zrealizowania było nie do zniesienia. Chłopak długimi godzinami krążył po domostwie Fanningów jak przykładny sługa, podczas gdy jego umysł podsuwał mu dziesiątki scenariuszy: Fanning mijający go w zamyśleniu w korytarzu; Hayden zakradający się niepostrzeżenie do biura admirała pomimo wszechobecnych służb bezpieczeństwa... Wszystko na nic. Czas uciekał, a on czuł narastającą desperację.

I znów dzisiaj przewiózł Venerę Fanning – zupełnie niepotrzebnie, jako że równie dobrze mogła wziąć kolejkę linową. Ciekawiło go, jakie miała ku temu powody. Gdy wrócił do swojego pokoju, odkrył, że delikatny zapach jej perfum wciąż utrzymywał się na jego kurtce. Był niezwykle uwodzicielski, podobnie jak sama Venera z jej porcelanową cerą oraz włosami barwy zimowego nieba; szpeciła ją jedynie blizna na podbródku, Jednak pomimo niewątpliwej urody, była najbardziej bezduszną osobą, jaką Hayden kiedykolwiek poznał. Wiedziała doskonale, jak wykorzystywać swoje atuty.

Dziwne, że to właśnie ją jako pierwszą woził aerocyklem od kiedy przybył do Rushu.

W połowie alejki znajdowała się ślepa uliczka. U wejścia do niej swój stragan rozłożył sprzedawca noży, uprzednio zawieszając cele treningowe na przeciwległej ścianie zaułka. Hayden zatrzymał się, by zważyć w dłoni wąski nóż do rzucania. Przytrzymał broń ostrzem od siebie, a następnie obejrzał je ze wszystkich stron.

– Doskonale sprawdza się przy wszystkich kierunkach grawitacji – powiedział handlarz, który w świetle odległej lampy gazowej wyglądał jak

czarny kontur z wyraźnie zarysowanym kołnierzykiem beżowej koszuli. Obleczone mrokiem ramię wykonało niewyraźny gest. – Wypróbuj go.

Hayden jeszcze przez chwilę ważył nóż w dłoni, po czym obrócił go w palcach, chwytając tuż poniżej jelca. Cisnął nim jednym ruchem nadgarstka. Ostrze z głuchym uderzeniem wbiło się w sam środek tarczy. Handlarz mruknął coś w zachwycie.

– W rzeczywistości, nie jest to nasz najlepszy egzemplarz – powiedział, ruszając w kierunku tarczy, by odzyskać nóż. Gdy wyrwał ostrze, na chwilę wyraźnie widoczna stała się jego pokryta plamami dłoń. – Proszę spróbować tego.

Wróciwszy do stolika, mężczyzna wyciągnął spod lady kasetę i wydobył z niej smukłą broń w kształcie strzały. Hayden wziął ją w dłonie i zmierzył wzrokiem profesjonalisty. Trójkątny przekrój ostrza, jelec służący jako stateczniki przy rzucaniu oraz trzpień z dodatkowym statecznikiem na końcu. Nóż był wyważony o wiele lepiej od poprzedniego.

Chłopak wrócił myślami do admirała Fanninga oraz powodu swojego przybycia do miasta. Mieląc w ustach przekleństwo, wykonał półobrót i z całej siły cisnął bronią, która trafiła w sam środek najmniejszego celu.

– Synu, powinieneś występować w cyrku – rzekł sprzedawca. Hayden słyszał podziw w jego głosie, ale nie miało to dla niego znaczenia. – Posłuchaj, może zechciałbyś się u mnie zatrudnić i od czasu do czasu porzucać dla tłumu? Może napędzi to nieco klienteli.

Chłopak pokręcił głową. Ktoś taki jak on nie powinien rzucać nożami z taką wprawą.

– To tylko głupie szczęście – mruknął. – Najwyraźniej twoje noże są tak dobrze wyważone, że każdy głupi będzie mógł trafić nimi w dziesiątkę. – Pochyliwszy głowę, wycofał się i ruszył znów alejką, zdając sobie sprawę, jak słaba była jego wymówka.

– To nie było zbyt mądre – rzekł nagle cień u jego boku.

Hayden wzruszył ramionami, nie zatrzymując się.

– A co tobie do tego?

Nieznajomy szedł krok za nim. Kątem oka Hayden dostrzegł w słabym świetle wysoką, smukłą postać.

– Bo jesteś mi winien przysługę, Haydenie.

Chłopak mimowolnie podskoczył.

– Kto u lich—?

Skryty w cieniu człowiek roześmiał się, po czym wkroczył w krąg bladego światła świec, które przesączało się przez szczeliny w niskim oknie. Twarz należała do szczupłego, łysego mężczyzny o krzaczastych brwiach.

– Nie rozpoznajesz mnie, chłopcze? Ostatnim razem widziałem cię, gdy wsiadałeś na aerocykl, chcąc uciec z Gavin Town!

– Miles? – Haydena wryło w ziemię. Doskonale wiedział, jak przebiegały tego typu spotkania: syn marnotrawny i stary żołnierz, obaj wybuchają śmiechem i padają sobie w objęcia, klepiąc się nawzajem po plecach ze zdumieniem i radością. Następnie przysiadają w jakimś barze lub czymś w tym rodzaju, opowiadając historie o swoich wyczynach, żeby wspólnie wytoczyć się z knajpy o trzeciej nad ranem. A przynajmniej tak powinno być. Ale on nigdy specjalnie nie lubił Milesa i jakie niby miało znaczenie, że ktoś jeszcze przetrwał atak na słońce? W gruncie rzeczy niczego to nie zmieniało.

– Co tutaj robisz? – spytał w końcu po dłuższej przerwie.

– Pilnuję cię, chłopcze – rzekł były żołnierz. – Nie cieszysz się na mój widok?

– Nie o to chodzi – odparł Hayden, wzruszając ramionami. – Po prostu... Minęło dużo czasu.

– Cóż, dużo czy nie, jestem tu i teraz. I co ty na to?

– Dobrze cię widzieć...

Miles roześmiał się wymuszenie.

– Jasne. Ale wkrótce będziesz mi wdzięczny, popamiętasz moje słowa. – Ruszył z miejsca. – Chodź. Znajdziemy jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli pogadać.

Zaczyna się, pomyślał Hayden; bar, historie wojenne, śmiechy. Widząc, że chłopak się waha, Miles westchnął ciężko.

– Słuchaj, dzieciaku, uratowałem ci dzisiaj tyłek. Gdyby nie ja, byłbyś teraz w drodze z nakazem deportacji z Rushu wystawionym na twoje nazwisko.

– Nie wierzę ci.

– Jak sobie chcesz. – Miles ruszył przed siebie. Hayden pobiegł za nim sekundę później.

– Co miałeś na myśli? – spytał.

– „Och, jak dobrze cię widzieć, Miles. Jak się miewasz, Miles? Jak udało ci się przeżyć w Gavin Town?” – Były żołnierz zmierzył młodzieńca gniewnym spojrzeniem, gdy przekraczali zatłoczoną i dobrze oświetloną ulicę. – Do diaska, zawsze byłeś gburowatym gnojkiem, ale powiem ci szczerze, że mam teraz wątpliwości, czy powinienem był bawić się w fałszowanie twoich dokumentów potwierdzających pochodzenie.

– Jakich dokumentów? – Wiedział, że sprawdzano go już dwukrotnie: raz, pobieżnie, gdy składał podanie o obywatelstwo Rushu, a drugi, już bardziej szczegółowo, gdy podjął pracę w rezydencji Fanningów. Niezbyt przekonywała go myśl, że komukolwiek chciałoby się grzebać głębiej. I nagle zdał sobie sprawę z tego, kto mógłby być równie dociekliwy. – Venera Fanning. Kazała mnie sprawdzić.

– I nie powierzyła tego oficjalnym władzom – powiedział Miles, skręcając w boczną alejkę. Pusta uliczka wiła się w kierunku jednej ze szprych miasta. Przęsło wystrzeliwało w niebo ponad wszystkimi dachami, przypominając mozaikę dźwigarów z kutego żelaza upstrzoną gdzieniegdzie ruderami wzniesionymi przez zdesperowanych bezdomnych. Niektóre szprychy posiadały zamontowane windy miejskie i były przyzwoicie utrzymane; ta jednak stanowiła zapomniany wrak, nieoświetlony z żadnej strony.

– Dobrze, że mamy swojego człowieka w siatce Fanningów. – Miles rozpłynął się wśród panujących wokół ciemności. Hayden podążał za brzmieniem jego głosu, mimowolnie zastanawiając się, czy nie został zwabiony w pułapkę. – Tym razem nie zamierzali jedynie oglądać twoich papierów pod światło i sprawdzać rejestru urodzin. Przyjaciele, rodzina, współpracownicy - musiałem wymyślić wszystko w ostatniej chwili.

– Ale skąd o tym wiedziałeś?

– Ach, w końcu jakieś sensowne pytanie. Tutaj, uważaj gdzie stawiasz stopy.

Dotarli na połączoną z kablem, sękatą belkę, która stanowiła podstawę szprychy. Ktoś zbudował tutaj prymitywne schody, najzwyczajniej w świecie wciskając deski w romboidalne otwory w żelaznej konstrukcji. Miles wskoczył na pierwsze stopnie. Drzewo lekko wygięło się pod jego ciężarem.

Jego głos dochodził z góry.

– Przeglądam przechwycone depesze na temat bezpieczeństwa. To moje zadanie w szeregach Ruchu Oporu.

Hayden zatrzymał się w pół kroku.

– Ruchu Oporu? Wciąż w to wierzysz?

Były żołnierz odwrócił się, spoglądając z ukosa.

– Chłopcze, jak ktoś taki jak ty może mówić coś takiego? Urodziłeś się w Ruchu Oporu - byłeś pierwszym dzieckiem dwojga jego członków, nie wiedziałeś o tym?

Młodzieniec wzruszył ramionami.

– Nie w tym rzecz, nie sądzisz? Pokonali nas, wysadzając nasze słońce. To była nasza ostatnia nadzieja.

– Naprawdę tak myślisz? – W głosie Milesa pojawiło się oburzenie. – Synu, my dopiero się rozkręcaliśmy! Po ataku potrzebowaliśmy twojego wsparcia bardziej niż kiedykolwiek. Bardzo długo cię szukaliśmy...

– Nie wiedziałem. Znalazłem się w zimie. – Spojrzawszy w dół, Hayden nieprzytomnym wzrokiem powiódł po dachach budynków widzianych z góry, ich krytych gontami wierzchołkach oraz opływowych okapach. Rozciągała się pod nim cała okrągła geometria miasta ze swoimi labiryntami ciasno upchanych budynków, lampami ulicznymi świecącymi z góry i z obu boków, a także nieustannymi porywami wiatru Slipstreamu, gwiżdżącego w mrocznych zaułkach. Nagły podmuch wytrącił go z równowagi i Hayden zdał sobie sprawę, że zginie, jeśli spadnie z tego osobliwego punktu obserwacyjnego. Powinien iść za Milesem czy wracać? Z ociąganiem postawił stopę na wyższym szczeblu.

– Dokąd idziemy, Miles?

– Tam. – Szczupły żołnierz, którego – jak się okazało – Hayden nie znał aż tak dobrze, wskazał prosto w górę. Mniej więcej trzy metry nad nimi wnętrze ażurowej szprychy blokował drewniany sufit. Jego biała powierzchnia została pomalowana w dziwne, czarne pasy. Chłopak z pewnym zdumieniem zdał sobie sprawę, że miały one imitować cienie; pomieszczenie to mogło być więc niewidoczne z pewnej perspektywy – najprawdopodobniej od strony Urzędu Infrastruktury Publicznej.

Miles wszedł na ostatni szczebel drabiny i uniósłszy dłoń, zapukał w drewno. Gdy nad jego głową otworzył się kwadrat światła, wgramolił się do środka.

– Chodź za mną, chłopcze.

Hayden ostrożnie wystawił głowę ponad krawędź włazu, po czym po raz pierwszy od wielu lat znalazł się w komórce Ruchu Oporu.

– Nie, to nie jest nasza kwatera główna – rzekł Miles, gdy Hayden zaczął wodzić spojrzeniem po małym pokoiku. – To jedynie wartownia. Znajdujemy się w jednym z niewielu miejsc, które pozwala nam zajrzeć przez okna do pokoju semaforowego w budynku Admiralicji. Przy okazji przetrzymujemy tutaj wrażliwe materiały - na przykład broń. – Ruchem głowy wskazał stertę długich skrzyń na podłodze.

Pomieszczenie miało zaledwie trzy metry szerokości, choć schody przypuszczalnie prowadziły na drugi poziom. Na trzech ścianach zawieszono zasłony zaciemniające. Niewielkie krzesło w niemodnym już stylu Lace stało przed biurkiem zajmowanym przez mężczyznę w grubych okularach i z aureolą białych włosów, pochylonego nad stertą papierów. W przeciwległym narożniku przykucnął tyczkowaty mężczyzna ubrany na czarno. Wodził palcami po mapie Rushu, najwyraźniej próbując ocenić odległości w jednym z cylindrów.

– Poznajcie Haydena Griffina. To syn pierwszych zapalaczy słońca.

Mężczyzna w czerni tylko coś burknął, ale łysiejący jegomość za biurkiem wyprostował się i zsunął okulary na czubek nosa, by móc lepiej przyjrzeć się młodzieńcowi.

– Doprawdy, a niech mnie! To naprawdę on! Zapewne mnie nie pamiętasz, chłopcze, ale niańczyłem cię, gdy miałeś zaledwie cztery lata.

– Martin Shambles – rzekł Miles. – A ten to V.I.P. Billy. Nasz skrytobójca.

Hayden skinął głową obu mężczyznom, próbując nie gapić się na Billy’ego. Shambles wstał, wyciągając rękę.

– Miło mi cię poznać, synu! Wygląda na to, że uratowaliśmy ci dzisiaj tyłek.

– Nawet nie wiedziałem, że wymaga on ratowania – odparł Hayden. Ale mimo wszystko uścisnął podaną mu dłoń.

– Oczywiście, byłoby o wiele łatwiej, gdybyśmy wiedzieli, że żyjesz. – Shambles na powrót usiadł, chichocząc. – A na dodatek pracujesz w domostwie Fanningów! To wywołało małą burzę. Niektórzy nasi współpracownicy posunęli się nawet do stwierdzenia, że zmieniłeś barwy i przeszedłeś na ich stronę...

– Ale my wiemy, że nie zrobiłbyś czegoś podobnego, prawda? – spytał, podniósłszy się V.I.P. Billy. Hayden nagle zdał sobie sprawę, że znalazł się

w bardzo niekomfortowej sytuacji, plecami do rogu z Milesem i Billym po obu stronach.

– Oczywiście, pozostaje jeszcze kwestia tego, gdzie byłeś przez tych ostatnich kilka lat – ciągnął Shambles, znów obojętnie przeglądając dokumenty. – Mieliśmy już przygotowaną historyjkę dla innych, dokumenty, przyjaciół... wszystkie rzeczy, jakich wymagałoby dogłębne śledztwo zlecone przez Venerę Fanning. Ta kobieta podchodzi do tematu o wiele bardziej skrupulatnie niż Admiralicja. Wprawdzie udało nam się prześledzić twoją przeszłość, na ile było to możliwe, ale wyniki były marne. Nawet bardzo.

Pomimo chłodu, Hayden poczuł strużkę potu na plecach.

– Ale... mógłbym spytać was o to samo – powiedział. – Gdzie byliście? Gdzie byliście, gdy wybuchło słońce, a podmuch wyrzucił mnie w zimę? To nie Ruch Oporu znalazł mnie i pomógł wyleczyć odmrożenia. Do diabła, przeleciałem *czterysta mil* zanim uderzyłem w farmę grzybów prowadzoną przez tę dziwną parę staruszków... Nikt za mną nie wyruszył. Czy wy w ogóle mnie szukaliście?

Miles pokiwał głową z poważną miną.

– Szukaliśmy. To, że wpadłeś w zimę, było jedną z opcji. Druga z nich zakładała, że zostałeś pojmany przez jeden z wrogich okrętów. Szanse rozkładały się pół na pół.

– Ci ludzie... – Hayden nie wiedział, co powiedzieć. Wiedział natomiast, że stawką jest jego życie. – Byli wygnańcami. Mężczyzna i kobieta nazwiskiem Katcheran. Powiedzieli, że władze Aerie wyrzuciły ich dwadzieścia lat temu. Nie mieli dostępu do grawitacji, przez co byli wątli jak ptaki. Zaczęli hodować grzyby na niewielkiej połaci ziemi, którą znaleźli w pustej przestrzeni. Od czasu do czasu latali na obrzeża Aerie, żeby wymienić towary. Ale upędzenie odpowiedniej ilości alkoholu na paliwo zajmowało im całe wieki... on na ogół wszystko wypijał.

Miles nie wyglądał na przekonanego, ale Shambles uniósł wzrok znad kartek.

– Powiedziałeś Katcheran? – Chłopak skinął głową. Staruszek wydął usta. – Od lat nie słyszałem tego nazwiska. – Przechylił głowę na jedną stronę i wbił w Haydena spojrzenie przenikliwych oczu. – Mów dalej.

Hayden starał się jak najwierniej odtworzyć okres, jaki przyszło mu spędzić poza cywilizacją. Choć dominowały tam bezkresne przestrzenie, to

nie wszędzie było zimno i ciemno. Malutka farma grzybów była jedynie jaskinią wydrążoną w kuli gliny wielkości zaledwie kilkunastu metrów. Katcheran i jego żona sprzeczali się bez przerwy, dlatego Hayden spędzał większość czasu na zewnątrz, obserwując niebo i wypatrując przelatujących statków.

Oddalone światła Aerie kpiły z niego za każdym razem, gdy spoglądał w ich kierunku. Jednak od czasu do czasu przychodził świt, gdy chmury rozstępowały się przed jakimś odległym słońcem. Dopiero wtedy widział, jak daleko znalazł się od domu. Ze wszystkich stron otaczała go mglista pustka. W odległości wielu mil nie widać było żadnego kamienia, ani kuli wody. Stał się więźniem powietrznej pustyni. Kilkakrotnie zdarzyło mu się zwinąć w kłębek i płakać, wisząc ponad uprawą śmierdzących grzybów.

Dwa lub trzy razy udało mu się zobaczyć więcej. Skorupy chmur otaczających środek Virgi czasami rozstępowały się, odsłaniając słońce słońc, Candesce. Wtedy też przychodził dzień, który rozświetlał całą zimę. Hayden zawisał wtedy w powietrzu, zdumiony jego blaskiem – oraz rozmiarem tego starożytnego, pozostawionego bez opieki potwora, który zawstydzał wszystkie pozostałe słońca Virgi. Podobno dziesiątki cywilizacji polegały wyłącznie na jego świetle. Było to największe źródło ciepła na świecie; to właśnie dzięki niemu powstawały prądy powietrzne, które sprawiały, że Aerie oraz inne nacje powoli migrowały.

Podstawowe komponenty słońca jego rodziców również pochodziły z Candesce; słońce słońc było źródłem wszystkich mniejszych świateł Virgi.

– Minął rok zanim Katcheran zdołał zebrać dość paliwa, byśmy mogli polecieć z powrotem. Podążał za znanymi mu bojami nawigacyjnymi, dzięki czemu dotarliśmy w miejsce oddalone o jakieś sto mil od Gavin Town. Rzecz jasna miasteczko zdążyło obrosnąć legendą, ale nikt nie wiedział zbyt wiele na jego temat. Wszystkie części, jakie przetrwały atak Slipstreamowców zostały rozebrane lub odleciały. Nie miałem się do kogo udać... Nie miałem też jak skontaktować się z Ruchem Oporu. Mogłem jedynie wyruszyć do Rushu, ale na to z kolei brakowało mi pieniędzy. Dlatego właśnie znalazłem pracę w kuchni w Porcie Freeley i odkładałem, dopóki nie było mnie stać na podróż tutaj.

– Ale wiecie, czego się dowiedziałem, gdy w końcu wróciłem do Aerie? Nikt nie wiedział o naszym słońcu! Nikt. Zbudowaliśmy je w tajemnicy, a Slipstream w tajemnicy je zaatakował i nikt nie powiedział ludziom, co

zaszło. Gdyby wiedzieli... Może udałoby się coś zrobić. – Hayden pokręcił głową. – Być może Ruch Oporu nie był w stanie powstrzymać Slipstreamowców przed odkryciem słońca, ani zapobiec jego zniszczeniu. Nie wiem tego. Ale mogliście powiedzieć - waszym obowiązkiem wobec mieszkańców Aerie było opowiedzenie o tym, co się stało.

– Dlaczego po tym wszystkim miałbym z wami współpracować?

Miles wyglądał na strapionego, ale Billy jedynie uniósł brew.

– Więc dlaczego pracujesz dla Fanningów? Wymagało to sporych nakładów pracy - wygląda wręcz na to, że własnoręcznie sfałszowałeś swoje obywatelstwo Slipstreamu.

Hayden przeszył go spojrzeniem.

– A jak myślisz, po co tu przyleciałem? Żeby zabić admirała Fanninga.

Zapadła cisza, podczas której pozostała trójka wymieniła spojrzenia. Po chwili na twarzy Billy'ego pojawił się słaby uśmiech.

– Na Virgę, a po co miałbyś robić coś podobnego?

– *Ponieważ to jego sprawka*. – Hayden nie dbał o to, czy mężczyzna w czerni istotnie jest zabójcą. Zniewaga, jaką było poddawanie w wątpliwość jego motywów, była krokiem za daleko z ich strony. – Widziałem nazwę na burcie ich okrętu flagowego, który przypuścił na nas szturm. *Arogancja*. To był statek Fanninga, gdy ten był jeszcze komandorem. To on zniszczył nasze słońce! Zamordował moją matkę! Nie obchodzi was to? Bo mnie tak. Co robiliście tu przez te wszystkie lata? To ma być Ruch Oporu? Ty niby jesteś skrytobójcą, więc dlaczego jeszcze go nie zabiłeś? – Podszedł do stolika Shamblesa i wyrzucił w powietrze kilka dokumentów. – Zamierzacie *zaplanować* ich wszystkich na śmierć? Taki macie pomysł? Cóż, podczas gdy wy grzejecie tyłki w swoim małym pudełeczku, ja wykorzystuję jakoś swój czas. Dzisiaj znalazłem się w odległości kilku kroków od celu; jutro będę tuż przy nim. Wtedy zginie.

Obrzucił ich gniewnym spojrzeniem.

– Dlatego tu jestem. To właśnie robię. A wy, co robicie?

Shambles poprawił okulary i poklepał leżące na biurku papiery.

– Cóż, Hayden mój chłopcze, próbujemy uratować nasz kraj. Wydaje się, że dążymy do zupełnie innych celów, nieprawdaż?

– Błagam – rzucił Hayden, krzyżując ramiona na piersi. – Co niby chcecie ratować? Slipstream przyłączył do siebie Aerie całe wieki temu. Ja nawet *nie pamiętam*, jak było wcześniej. To prehistoria.

– W twoich słowach jest wiele prawdy – rzekł Shambles, w zamyśleniu kiwając głową. – Jednak prawdą jest również, że Slipstream należy do krajów migrujących, dlatego kiedyś zniknie z terytorium Aerie. Naszym zadaniem jest zadbać o to, co stanie się później.

Hayden spoglądał na niego bezrozumnie.

– Hmm. – Shambles obrócił się na krześle, zakładając nogę na nogę. – Faktem jest, że młodzież nie rozumie koncepcji przyszłości. A jednak właśnie o tym musimy porozmawiać. O przyszłości Aerie - twojej przyszłości.

Słuchający go chłopak parsknął.

– Powiedz mi, co zasadniczo scala dany naród?

Hayden postanowił pograć trochę w tę grę.

– Słońce.

Staruszek pokręcił głową.

– Nie. To *latanie w formacji*. To właśnie ono scala nacje. Jeśli wszystkie twoje miasteczka, farmy i kule wody dryfują w różnych kierunkach, nie ma większego znaczenia, czy posiadasz własne słońce, nieprawdaż? Ważne jest, by utrzymać wszystkich na tym samym kursie, zachowując taką samą pozycję oraz wysokość względem Słońca Słońc. Aerie wciąż to robi - jeszcze. Niebezpieczeństwo ze strony słońca Slipstreamowców na naszym niebie polega na tym, że część naszych ludzi postanowi odlecieć i dołączyć do innych nacji. To znacznie bardziej niebezpieczne niż jakakolwiek działalność policyjna lub propagandowa Slipstreamu.

– Utrzymujemy Aerie w odpowiedniej formacji już od dziesięciu lat – rzekł Miles. – To właśnie zadanie Ruchu Oporu. Jaki jest sens w planowaniu zemsty? Gdy Fanning zginie, zostanie zastąpiony przez kogoś innego.

– Tak – zgodził się Hayden. – Lecz jednocześnie będzie martwy.

Miles westchnął.

– Przyprowadziłem cię tutaj, ponieważ miałem nadzieję, że uda się nam wcielić cię z powrotem do naszej siatki. Z twoją pozycją w rezydencji Fanningów byłbyś dla nas bezcenny - zwłaszcza że Slipstream zbliżył się do naszych sąsiadów na tyle, by uznali go za zagrożenie. Mavery rozpoczyna działania wojenne przeciwko Slipstreamowcom. Za rok lub dwa Slipstream wleci na terytorium Mavery i będzie zmuszony do walki na dwa fronty - z nimi i z nami. Naszym zadaniem jest przygotować się na to i

upewnić, że gdy nadejdzie czas, to albo wygramy albo przekonamy ich, by poświęcili wszystkie zasoby do walki z Mavery i zostawili nas w spokoju. Gdybyśmy mieli szpiega w samym sercu Admiralicji... – urwał z chciwym wyrazem twarzy.

– Aerie przepadło – powiedział Hayden. – Gdy Slipstreamowcy opuszczą tę przestrzeń, zabiorą ze sobą słońce. Bez niego Aerie zamarznie w ciemnościach. Ludzie odejdą. Żyłem w zimie. Wiem, jak to jest.

– Pracujemy nad tym – rzekł Shambles. – Dysponując odpowiednimi komponentami, moglibyśmy—

Hayden pokręcił głową.

– Mam tylko jeden cel. A potem... Nie obchodzi mnie to.

– Ale, Hayden, chłopcze – zamruczał Billy, obejmując młodziana ramieniem. – Problem w tym, że nas to obchodzi. Widzisz, mamy pewne obawy – wyobraź sobie, że zabijasz Fanninga, a następnie zostajesz złapany i poddany torturom. Co, jeśli im o nas wyśpiewasz?

– Och! Nie, ja—

– Byłoby ogromnym nietaktem z mojej strony, gdybym teraz groził ci śmiercią – ciągnął dalej Billy. – Koniec końców, jak sam powiedziałeś, masz własną drogę do przejścia. Niech będzie. Ale jeśli nie zamierzasz do nas dołączyć, to mamy małą prośbę.

– Jaką?

– Jeśli zamierzasz zmordować Fanninga własnoręcznie i z bliska, na przykład w samym sercu Admiralicji... To upewnij się, że zabijesz również siebie, dobrze? W ramach przysługi. Żebyśmy nie musieli tego robić sami.

Hayden doskoczył do włazu i otworzył go na pełną szerokość.

– Wiesz, gdzie nas znaleźć, gdybyś zmienił zdanie! – zawołał za nim wesoło Shambles.

– Raczej nie będziemy w kontakcie – odwarknął chłopak, opuszczając się przez otwór w podłodze na niewidoczną drabinkę. Zatrzasnąwszy za sobą klapę, niezdarnie ruszył po szczeblach w kierunku miasta, kipiąc ze złości i mamrocząc pod nosem przez całą drogę.

Znajdował się tuż powyżej linii dachów, gdy niebo rozświetlił pomarańczowy błysk. Do jego uszu dotarł odległy huk, podobny do grzmotu. Przystanął, zaciskając palce na rozchwianych szczeblach i słuchał.

W oddali dał się słyszeć słabnący odgłos silnika odrzutowego. Po chwili kolejny, coraz bliżej. Dziwne. Wiedział wszystko na temat aerocykli, ale nie

potrafił zidentyfikować modelu, który wydawałby taki dźwięk.

Wtedy coś rozbłysło tuż za żelaznymi słupkami. Hayden wyjrzał pomiędzy dźwigarami w samą porę, by zobaczyć jasną smugę światła wpadającą przez okno do rezydencji po przeciwległej stronie cylindra. Ku jego zdumieniu, zewnętrzna ściana domu została pochłonięta przez płomienie, a cały dach odłączył się od reszty.

Kolejny pocisk przeleciał obok. Jakimś cudem ominął wszystkie dźwigary, liny oraz drabinki linowe, ostatecznie wylatując po drugiej stronie cylindra. Kilka sekund później Hayden usłyszał odgłosy wystrzałów, a następnie zobaczył rozbłysk światła, świadczący o zniszczeniu rakiety.

Czyjaś głowa wyjrzała obok niego. Ogorzały od wiatru bezdomny omiótł chłopaka przelotnym spojrzeniem, po czym wbił wzrok w kolejny pocisk, który wyłonił się z mroku. W całym mieście odzywało się spóźnione wycie syren, ich zwierzęce odgłosy były zniekształcone efektem Dopplera przez odległość i ruch wirowy cylindra.

Nowa rakieta trafiła w jeden z dźwigarów. Rozwijający się czerwony kwiat oświetlił pokrytą kilkudniowym zarostem twarz mężczyzny obok, a płomienne łuki zatańczyły w jego oczach.

Wtedy usłyszeli krzyki z góry. Miles i pozostali schodzili na dół. Hayden cofnął głowę i kilkoma susami dotarł na ulicę, gdzie roiło się od ludzi biegających tam i z powrotem.

Poczuł nagły przypływ euforii. Slipstream w końcu zapłaci za wszystko! Szybko ukrył radość; zapewne gromki śmiech nie byłby w tej sytuacji najlepszym rozwiązaniem.

Przez kilka chwil krążył wśród spanikowanego tłumu. Na miasto nie spadła już żadna bomba, ale oddziały strażaków próbowały przedrzeć się przez motłoch, przez co rozgorzało kilka bójek. Zapalono wszystkie światła. Gdzieś grzmiały pracujące silniki. Jęk giętego metalu rozdarł powietrze. Hayden poczuł szarpnięcie i zaczął tracić ciężar. Trafienie w szprychę musiało wystraszyć departament grawitacji.

Nogi bezwiednie ruszyły w stronę doków. Gdy w końcu zdał sobie sprawę z tego, gdzie jest, zmarszczył brwi. Powinien był wrócić do domu – zwyczajnie wszystko przeczekać. Lecz gdzie był teraz Fanning? Ten atak oznaczał natychmiastową mobilizację floty. Wedle jego wiedzy, admirał

mógł już znajdować się na pokładzie okrętu flagowego, a w takim wypadku nie miałby żadnych szans go dorwać.

Z przekleństwem na ustach pomknął w kierunku doku, gdzie zostawił aerocykl.

W dokach słychać było głos dowódcy:

– Żadnych cywilnych statków! Żadnych cywilnych statków! – krzyczał na setkę spanikowanych ludzi stłoczonych przy drzwiach. Hayden pokazał strażnikowi przepustkę z rezydencji Fanningów i ponury mężczyzna niechętnie wpuścił go do środka. Przecisnąwszy się przez tłum ludzi, wskoczył na siodełko aerocykla i uruchomił silnik. Chwilę później opadł w strumień powietrza przy wtórze wyjących syren.

W powietrzu roiło się od pojazdów. Hayden musiał mocno kluczyć, aby uniknąć zderzenia z grupkami policyjnych aerocykli i ambulansami. Mijając wąskie punkty kontrolne najeżone sieciami przeznaczonymi do łapania pojazdów, których nie było tutaj jeszcze godzinę temu, zwalniał, trzymając w górze swoją przepustkę. W oddali rozwijano kolejne sieci, które ze względu na odległość przypominały szare plamy na wodzie.

Latanie po zmroku pomiędzy cylindrami Rushu nigdy Haydena nie nudziło. Nawet mimo sytuacji awaryjnej, nie mógł oprzeć się rzuceniu choćby jednego spojrzenia na migoczące światła Drugiego Cylindra Pierwszego Kwartetu, który odsłaniał przed nim swe czarne podbrzusze. Chwilę później zobaczył też ułożone w półksiężyc okna i dachy rozświetlonego miasta. Zazwyczaj powietrze pełne było latarni wskazujących rozmieszczenie niewidzialnych kabli i stacji; teraz jednak świetlistych punktów było dwa, a może nawet trzy razy więcej. Co gorsza, wyglądało na to, że zbiera się na burzę: niebo pod nim co jakiś czas rozbłyskiwało na biało.

Przelatywał właśnie pod cylindrem Admiralicji, gdy jasny blask rzucił cień na metalowy kadłub miasta. Ze zdziwienia niemal nie trafił w otwór wlotowy: włączyli słońce, siedem godzin przed czasem!

Gdy umocował aerocykl na wysięgniku i zeskoczył z maszyny, zauważył, że nie był to zwykły cykl świtu. Niebo widoczne przez łukowato sklepione okna wciąż miało barwę ciemnego indygo. Musiała istnieć jakaś opcja skupienia światła słonecznego, o której wcześniej nie słyszał; miasto

zostało skąpane w promieniach słońca, ale resztę świata wciąż okrywała noc.

Jakiś inny pilot stał przy oknach.

– Teraz już wierzę, że to się stało – mruknął po cichu. Hayden zmarszczył brwi, po czym wybiegł z doku schodami na górę.

Jeszcze zanim otworzył drzwi dla służby, usłyszał panujący za nimi rozgardiasz. Pracownicy kuchni biegali w tę
i z powrotem, układając sztućce w pudełkach i szukając czegokolwiek, co nosiło na sobie monogram Fanningów.

– Co się dzieje? – spytał spokojnie Hayden, siadając przy dużym stole obok pieca.

– Wyruszają na wojnę – odparła przechodząca pokojówka.

Niemal w tej samej chwili do pomieszczenia wpadł kamerdyner i natychmiast zauważył chłopaka.

– Griffin! Zakładaj mundur. Będziesz nam potrzebny.

– Tak jest, sir.

Gdy niechętnie odwrócił się, by ruszyć do przebieralni, Lynelle, inna pokojówka, przemknęła tuż obok, szepcząc:

– To niweczy wszystkie moje plany.

– Uch, słucham? – Spojrzał przez ramię na stojącą w drzwiach dziewczynę. Była bardzo ładna, trudno było to przeoczyć. Być może jednak nie zdawał sobie sprawy, że ona zauważyła jego.

– Miałam zamiar któregoś wolnego dnia przygotować małe przyjęcie u siebie w domu. Chciałam cię dziś zaprosić. – Z rezygnacją wzruszyła ramionami. – Teraz nie ma to już znaczenia.

– Chyba— Chyba nie.

Lynelle mówiła dalej.

– Czy to naprawdę atak Mavery?

– Nie wiem. Posłuchaj, ja... Muszę wracać do pracy.

– Och. Rozumiem, do zobaczenia. – Czuł na sobie jej spojrzenie, gdy odchodził; uszy mu płonęły.

Hayden bardzo starał się zachowywać należny szacunek, od kiedy został zatrudniony. W rzeczywistości nienawidził, gdy inni słudzy byli dla niego mili. Jakim sposobem dobrzy ludzie mogli ze spokojnym sumieniem pracować dla takiego potwora? Nie mógł tego pojąć. Skierował kroki do

męskiej przebieralni i przywdział liberię rodu Fanning. Ubrawszy się, na chwilę przycupnął na ławce, by zebrać w sobie odwagę.

Rzecz jasna już nigdy nie trafi mu się lepsza okazja – o ile Fanning był w domu. Istniało w końcu pewne prawdopodobieństwo, że przebywał w biurze Admiralicji lub pałacu. Hayden musiał jednak założyć, że było odwrotnie i spróbować zrobić to, czego nie miał do tej pory szansy uczynić: wejść bez eskorty do kwatery mieszkalnej admirała. Sprawdził, czy nóż przy pasku jest w zasięgu ręki, po czym wstał.

Dręczył go tylko jeden mały szczegółik. W to miejsce przywiodły go poszukiwania morderców jego matki. Chłopak ustalił, że *Arogancja* była pod dowództwem Fanninga podczas ataku na nowe słońce Aerie. Niepokoiła go jednak fotografia, którą zobaczył w jednym z korytarzy rezydencji. Przedstawiała ona Chaisona Fanninga stojącego wśród absolwentów akademii. Uśmiech mężczyzny wyraźnie kontrastował z ich poważnymi minami. Admirał wygłosił tam przemówienie i zjadł uroczystą kolację, sześćset mil od granicy Aerie.

Na zdjęciu widniała data ataku.

Ręce mu drżały. Wypadł z przebieralni z przekleństwem na ustach i ruszył w kierunku schodów. Ktoś krzyknął za nim, ale Hayden go zignorował. Niech myślą, że ma coś do załatwienia na górze – cóż, koniec końców to była prawda.

Niespodziewanie poczuł zawrót głowy. Lampy w bursztynowych kloszach rzucające kręgi światła na sufit; złowieszcze portrety przodków Fanninga, spoglądające na niego ze wszystkich stron; odległe krzyki oraz szczęk metalu, wszystko to przydawało temu wieczorowi atmosfery niezwykłości. Na schodach minęło go kilka osób - jedną z nich był attache admiralicji - nikt jednak nie zwrócił na niego uwagi. Gdy dotarł na półpiętro pomiędzy parterem a pierwszym poziomem, usłyszał przytłumioną rozmowę dochodzącą z biura admirała. A zatem Fanning był na miejscu.

Lecz nie był sam. Hayden zatrzymał się przed lekko uchylonymi drzwiami. Fanning rozmawiał z kimś krótkimi, urywanymi sylabami. Naraz przyszło mu do głowy, że to właśnie czegoś takiego oczekiwałby od niego Miles oraz pozostali członkowie Ruchu Oporu, gdyby zgodził się do nich dołączyć. Przez głowę przemknęła mu szalona myśl, że być może uda mu się zabić Fanninga i uciec, dzięki czemu mógłby upiec dwie pieczenie przy

jednym ogniu, gdyby tylko był w stanie wrócić do Milesa ze strategicznymi informacjami. Słuchał więc.

– ...nie zgodzi się na to. Na starość robi się stanowczo zbyt ufny. – Hayden rozpoznał głos Fanninga, którego zawsze słyszał jedynie przez drzwi. Czy admirał rozmawiał tylko z jedną osobą, czy też odbywało się właśnie jakieś zebranie? Niestety, nie był w stanie zajrzeć do środka bez zdradzania własnej obecności.

– Ale nasze rozkazy są jasne – rzekł inny mężczyzna. – Mamy poprowadzić Drugą Flotę na Mavery i rozprawić się z nimi już teraz.

– Nie potrzebujemy Drugiej Floty, by zlikwidować Mavery – parsknął pogardliwie Fanning. – Stary dobrze o tym wie. Obawia się, że Pierwsze Rodziny poprą mnie i nakażą flocie zbadanie stanu przygotowań wrogich okrętów w sargassie. Jeśli wyśle nas wszystkich do Mavery, problem rozwiąże się sam.

– Nie wierzy w zagrożenie ze strony floty z sargassa?

– Nie wierzy w jej *istnienie*. – Hayden usłyszał odgłos przesuwanych dokumentów. – Oto pańskie rozkazy.

Zapadła cisza, po której drugi mężczyzna wziął gwałtowny oddech.

– Pan nie mówi tego poważnie!

– A jednak. Uporamy się z Mavery, jak oczekuje tego od nas staruszek. Ale niech mnie diabli porwą, jeśli będę siedział bezczynnie, okupując jakąś podrzędną prowincję, podczas gdy ktoś inny zaatakuje Rush wszystkimi swoimi siłami.

– Ale... Do czasu, gdy to zrobimy...

– Flota z sargassa nie jest gotowa. Widać to wyraźnie na zdjęciach. Poza tym nie od razu uda nam się pokonać Mavery; miną przynajmniej dwa miesiące zanim wejdziemy z nimi w pełny konflikt, a ten, kto za tym stoi, będzie tylko na to czekać. Mamy czas.

Rozmówca admirała mruknął coś pod nosem, po czym najwyraźniej zebrał się w sobie.

– Sir... Admirale... To bardzo śmiałe posunięcie, ale... Dostrzegam jego logikę.

– Doskonale. Cóż, proszę zabrać się do pracy, kapitanie. Dołączę do pana, gdy tylko skończę przygotowania.

Hayden w ostatniej chwili zamknął drzwi szafy na bieliznę, gdy kapitan marynarki w pełnym umundurowaniu wyszedł z biura Fanninga i zaczął

schodzić schodami.

Gdy w końcu zniknął, chłopak chyłkiem podszedł do drzwi prywatnej kwatery admirała. W środku nie było nikogo poza Fanningiem, teraz był już tego pewien. Krew szumiała mu w uszach, a w ustach czuł suchość. Było więcej niż pewne, że nie przeżyje tej nocy, ale miał dług do spłacenia.

Wziąwszy głęboki wdech, położył dłoń na klamce.

– Tu jesteś!

Cofnął rękę jak oparzoną i odwrócił się do Venery Fanning stojącej u szczytu schodów z dłonią opartą na biodrze. Kobieta mierzyła go swym miażdżącym spojrzeniem. Miała na sobie strój podróżniczy, łącznie ze spodniami i plecakiem przerzuconym przez ramię.

– Będę potrzebować dobrego kierowcy – powiedziała, podchodząc. – Jesteś jedynym jakiego znam, który potrafi poradzić sobie z czymś więcej niż powietrzny powóz.

– Och, dziękuję, madame?

– Zaczekaj tutaj. – Minęła go i weszła do biura Fanninga, zostawiając drzwi otwarte na oścież. Dzięki temu Hayden mógł zajrzeć do środka, ale czegoś takiego się nie spodziewał. W biurze panował rozgardiasz. Wszystkie cztery ściany zastawiono regałami na książki różnego pochodzenia. Półki uginały się pod ciężarem woluminów, spomiędzy których wystawały dokumenty, przypominając białe liście jakiegoś księgarskiego bluszczu. Stosy papierów zajmowały wolne przestrzenie podłogi, chyląc się w lewą stronę, by zrównoważyć działanie siły Coriolisa wynikającej ze sztucznej grawitacji. Sam admirał siedział rozparty w fotelu, z jedną nogą wspartą o krawędź biurka, obok jedynej lampy w całym pomieszczeniu. Mężczyzna spojrzał spode łba na Venerę, gdy ta wkroczyła do środka.

– To podłe nawet jak na ciebie – powiedział, rzucając na blat plik papierów. Wyglądał na starszego niż na zdjęciach, które widział Hayden. Wokół oczu miał zmarszczki i rzedły mu włosy. Pomimo tyczkowatej postury, grawitacja nie sprawiała mu problemów przy poruszaniu, w przeciwieństwie do innych ludzi, którzy większość czasu spędzali w stanie nieważkości.

– Och, daj spokój – burknęła Venera. – Jedynie dochodzę swoich praw żony, by być z mężem.

– Żony nie podróżują okrętami floty, tym bardziej gdy te ruszają właśnie na wojnę! – Jak gdyby na podkreślenie jego słów, niebo rozświetliła błyskawica widoczna przez wąskie okienko w biurze.

– Przyznaję, że cię nie doceniłem – ciągnął Fanning. – Nie, w zasadzie to cię nie zrozumiałem. Siatka szpiegowska, którą stworzyłaś jest... – Pokręcił głową. – Nie do przyjęcia. Dlaczego? Po co? I z jakiego powodu tak bardzo nalegasz, by dołączyć do korpusu ekspedycyjnego, że jesteś gotowa szantażować własnego męża, by upewnić się, że ten powie „tak”?

– Zrobiłam to wszystko dla nas – powiedziała słodko Venera, obchodząc biurko, by pochylić się nad mężczyzną. Następnie odgarnęła włosy z czoła Fanninga. – To da nam przewagę. Tak właśnie załatwiamy takie sprawy w moim domu, to wszystko.

– Ale po co lecieć z nami? To niebezpieczne. Na dodatek opuścisz stolicę w chwili, gdy mogłabyś być tu moimi oczami i uszami. To nie ma sensu, Venero.

– Wiem, że nienawidzisz tajemnic. Dzięki temu jesteś taki dobry w tym, co robisz. Obawiam się jednak, że ten sekret będzie musiał pozostać przez jakiś czas niewyjaśniony. Zobaczysz... jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Na razie musisz mi zaufać.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– To najzabawniejsza rzecz jaką powiedziałaś od dłuższego czasu. Cóż, w porządku, zacznij pakować swoje rzeczy i udaj się do portu. Wyruszamy dziś wieczorem.

– Pod osłoną nocy? – Uśmiechnęła się. – Muszę przyznać, że dokonujesz wtedy rzeczy niezwykłych.

Fanning jedynie westchnął i pokręcił głową.

Venera wróciła na korytarz. Pochwyciwszy Haydena za ramię, odciągnęła go od drzwi w stronę schodów. Chłopak jej na to pozwolił.

– Wyślę kogoś do twojego mieszkania – powiedziała. – Powiesz mu, co ma zabrać. Masz dziś nie opuszczać rezydencji; o godzinie szóstej spotkamy się przy głównych drzwiach, w przeciwnym wypadku twój kontrakt straci ważność. Zrozumiałeś?

– Ale co...

Kobieta niecierpliwie machnęła ręką, sugerując, że powinien już iść.

Wciąż stała na drodze między nim a człowiekiem, którego przyszedł zamordować.

– A więc? – spytała. Wyglądała, jakby właśnie zobaczyła go po raz pierwszy w życiu; mięśnie szczęki napięły się i blizna w kształcie gwiazdy zmarszczyła się. – Na co jeszcze czekasz?

Hayden postąpił jeden stopień w dół. Planował tę chwilę od lat. W myślach wszystko wyglądało idealnie: zdrajca na koniec okazywał się tchórzem, Hayden wygłaszał jakieś oświadczenie - za każdym razem inne - na temat sprawiedliwej zemsty za los jego ludu. Potem następowała egzekucja, czysta i ostateczna.

Lecz by teraz dobrać się admirałowi do skóry, musiałby zostawić na korytarzu skrwawione zwłoki Venery Fanning.

Kolejny krok.

W twarzy Venery zaszła jakaś zmiana. Jakby złagodniała? Czyżby chodziło o jakąś subtelną interpretację jego czynów?

– Wszystko stanie się jasne jeszcze dziś – powiedziała, zapewne najłagodniejszym tonem, na jaki było ją stać.

Mógł schować się za rogiem, poczekać aż sobie pójdzie. Mógł obserwować biuro Fanninga przez resztę wieczoru. Ale zamiast tego wykonał następny krok, a potem kolejny, w końcu odwrócił się i zszedł po schodach, jakby naprawdę zmierzał do jakiegoś celu. Jakimś sposobem znalazł się obok fotografii Fanninga pozującego z grupą absolwentów. Zatrzymał się i przyglądał napisanej na niej dacie, dopóki ktoś nie położył mu dłoni na ramieniu i nie wypowiedział jego imienia.

Chłopak przepchnął się przez tłumek służących. Świat wirował dookoła – gdy w końcu doszedł do siebie, klęczał w jednej z łaźni dla sług, wymiotując do wygódki.

Admirał Chaison Fanning podciągnął się na linie dokującej i wykonał idealne salto, by wylądować na pokładzie rufowym *Gawrona*. Zwykł ćwiczyć ten manewr wielokrotnie, gdy był młodszy. Zwykł też nosić mundur admiralski o nienagannym kroju, wypucowane do perfekcji buty bez palców oraz czyste i wypielęgnowane paznokcie u stóp. Żołnierze zawsze doszukiwali się wszelkich możliwych słabości - niektórzy nie chcieli służyć pod mężczyzną o cienkim głosie, inni zaś nie żywili szacunku do oficera, który nigdy się nie uśmiechał. Czasami wydawało mu się, że ostatnie dwie dekady spędził na uczeniu się sześćdziesięciu różnych ról, po jednej dla każdego stopnia jego kariery zawodowej.

Opuszczając port, należało zachować pewien szczególny styl; admirał musiał emanować pewnością siebie i poczuciem misji, by podwładni mu lotnicy nie oglądali się za siebie i wykonywali jego rozkazy bez poddawania ich w wątpliwość.

Gawron nie był okrętem flagowym floty. Średniej wielkości krążownik wyraźnie zaczynał się starzeć, jednak kilka lat wcześniej przezbrojono go, by wzmocnić uszczuploną flotę zimową Slipstreamu. Mimo wszystko był to wspaniały statek: długi na trzydzieści metrów, szeroki na dziesięć, o kształcie z grubsza przypominającym cylinder o zaokrąglonych końcach, które wieńczyły kolczaste tarany. Gruby, drewniany kadłub upstrzony był włazami i otworami, przez które wystawiano karabiny, rakietnice, silniki odrzutowe, żagle hamulcowe, a także buntowników, jeśli zaistniała taka potrzeba. Okręt wisiał w powietrzu tuż obok rusztowania dokowego, blisko milę od Admiralicji. Słońce wyzierało zza doków, których ażurowe pomosty rzucały półokrągłe cienie na bursztynowy kadłub statku, podczas gdy języki światła znajdowały wąskie szczeliny, oświetlając przypadkowe elementy wnętrza. W środku, okręt składał się z serii połączonych pomieszczeń w większości wykonanych z drewnianych kratownic, za którymi widać było pracujących mężczyzn lub brązowe boki okrytych brezentem i powiązanych ze sobą skrzyń. Niektóre pomieszczenia wyglądały jak ogromne bloki metalu – zaliczała się do nich zbrojownia oraz

magazyn rakietowy. Z przodu statku, tuż za mostkiem, leniwie obracała się wirówka ćwiczebna. Jej ściany przypominały nieustannie obracającą się krzyżówkę plakatów admiralicji, drewna i rur. Wszyscy marynarze mieli obowiązek spędzać w wirówce kilka godzin dziennie i Fanning nie był tu wyjątkiem; w czasie podróży nikt nie miał prawa wyjść z wprawy bojowej.

Kapitan John Sembry zasalutował admirałowi. Marynarze ustawili się w powietrzu za nim. Ich stopy wskazywały dokładnie ten sam kierunek.

– Statek jest gotowy do drogi, sir – oznajmił Sembry.

Szybki rzut oka pozwolił Chaisonowi stwierdzić, że wszystko znajdowało się na swoim miejscu i wszyscy ciężko pracowali – a przynajmniej sprawiali takie wrażenie. Nie miało to żadnego znaczenia, jeśli wszystko w istocie było gotowe.

– Doskonale, kapitanie. Będę na mostku. Spocznij. – Obrócił się i powoli przefrunął przez wąskie przejście pod wirówką, kierując się w stronę dziobu.

W drodze na mostek zajrzał do swojej kajuty. Venery nie było w środku. Jej bagażu również. Kipiąc ze złości, ruszył dalej w kierunku cylindrycznego pomieszczenia tuż za przednią baterią wyrzutni rakiet. Na miejscu czekali na niego nawigator oraz sternik. Do tej pory nie otrzymali rozkazów i zapewne oczekiwali, że admirał nakaże im ustawić kurs na Mavery. Zdziwią się.

Najwyraźniej jednak jeszcze nie teraz.

– Gdzie ona jest? – spytał oschle mata. Mężczyzna wyprostował się na baczność, powoli dryfując w górę i z dala od swojego stanowiska.

– Semafor powiedział, że jest już w drodze, sir!

– Kiedy to było?

– Pół— Pół godziny temu, sir.

Admirał odwrócił wzrok zanim rozmówca zdążyłby dostrzec rysę na masce jego profesjonalizmu. Szukał czegoś, czym mógłby się zająć – węzła do skrytykowania, mapy do zwinięcia – gdy usłyszał pobrzmiewający poczuciem ulgi głos nawigatora:

– Przybyła, sir.

Mężczyzna unosił się w powietrzu tuż obok bulaja. Chaison przefrunął ponad pięć metrów wolnej przestrzeni, by do niego dołączyć i spojrzeć w kierunku wskazywanym przez marynarza.

W klatce rękawa dokującego oddalonego o blisko dwadzieścia metrów stała długowłosa kobieta o królewskim nosie i mocno pomalowanych oczach, trzymając pięści wsparte na biodrach. Miała na sobie cudacznie jaskrawy kombinezon, nieco zbyt ciasny we wszystkich właściwych (czy też, na okręcie takim jak ten, niewłaściwych) miejscach. Jej dłonie drgały nerwowo, lecz twarz była skupiona, w miarę jak kierowała grupką marynarzy przepychających istną górę skrzyń i kufrów przez wąskie gardło rękawa dokującego.

Aubri Mahallan nie była „tą”, którą Chaison chciał ujrzeć. Niejako zakładał, że ten konkretny pasażer przebywa już na pokładzie. Zapominając się, groźnie zmarszczył brwi, zupełnie jakby kobieta była w stanie spostrzec go na tle skąpanego w promieniach słonecznych kadłuba.

– Ten... kostium... jest nie do przyjęcia – mruknął pod nosem.

– Dwie kobiety na pokładzie, sir – rzekł nawigator beznamiętnie. – To...

– Dalekie od bezprecedensowego – dokończył za niego Fanning. – Istnieje prawdziwa tradycja kobiet oficerów w świecie Virgi, Bargott. Tyle że nie ostatnimi czasy, pod światłymi rządami naszego umiłowanego Pilota.

– Nie, sir, ach, tak, sir.

– Wyślij zbrojmistrzynię do pomieszczenia nawigacyjnego, gdy wsiądzie na pokład. Muszę z nią porozmawiać – powiedział admirał i wyszedł, nie zaszczycając załogi mostka kolejnym spojrzeniem.

Położone za mostkiem pomieszczenie nawigacyjne stanowiło z reguły sanktuarium oficera dowodzącego. Nikomu nie wolno było wejść do środka poza obsadą mostka oraz samym Fanningiem – nikomu poza jedną osobą, którą admirał zastał, wchodząc do owalnego pokoju. Gridde, osobisty kartograf Chaisona, był niezwykle stary i zgarbiony – do tego stopnia, że pochyloną sylwetkę zachowywał nawet w stanie nieważkości. Gdy Fanning wkroczył do pomieszczenia, mężczyzna wydobywał właśnie malutki, rubinowy odprysk spomiędzy dwóch cienkich włosów umieszczonych wewnątrz głównej skrzyni nawigacyjnej.

– Ach, admirale – powiedział, nie odwracając głowy – przydzielił mi pan interesujące zadanie.

Drażliwość Chaisona natychmiast wyparowała, jak zawsze w towarzystwie Gridde’a.

– Szkoda byłoby, gdybyś przeszedł na emeryturę, nie pomagając nam w nawigacji w zimie.

– Robiłem to już wcześniej – wydyszał Gridde, uśmiechem kwitując zaskoczenie Chaisona. – Trzydzieści pięć lat temu – dodał na koniec, po czym ponownie poświęcił całą uwagę szklanemu pudłu nawigacyjnemu. W jego wnętrzu umieszczono trójwymiarową siatkę jasnych, niemal przezroczystych pasemek, prawdziwych włosów zebranych z głowy młodej kobiety, której pukle spełniały wysokie wymagania Gridde'a. Do kosmyków poprzyczepiano dziesiątki niewielkich kamyków: pojedynczy szafir oznaczał małe miasteczko, dwa sklejone ze sobą szafiry oznaczały większe miasto i tak dalej. Całe pudełko stanowiło migotliwą galaktykę światła: szafiry, rubiny, szmaragdy, topazy i gagaty, blade kwarce oraz oliwiny. Na samym środku mapy umieszczono duży diament przedstawiający słońce Slipstreamu. Gridde zmieniał pozycję rubinu zgodnie z ostatnimi doniesieniami semaforowymi.

– Nie trzymaj mnie w niepewności – rzekł Chaison, krzyżując ręce z uśmiechem. – Co się stało trzydzieści pięć lat temu?

Kartograf parsknął.

– Cóż, cała przeklęta nacja niemal skończyła w zimie! Nie uczą już historii w tej waszej akademii? Pamiętam dzień, gdy niemal połowa tego pudełka była pusta! – Pomimo ekscytacji, palce mężczyzny pozostały nieruchome, trzymając maleńki rubin pomiędzy dwoma drucikami i przesuwając go o nieskończenie mały odcinek w lewo. – Zrobione. Będziesz mieć zajęcie na dzień lub dwa.

Chaison podfrunął do stolika nawigacyjnego, by móc z bliska przyjrzeć się trójwymiarowej reprezentacji stu mil przestrzeni otaczającej Rush.

– A nasz kurs?

– Nie poganiaj mnie. – Gridde powoli wycofał dłoń, po czym zamknął wieko pudełka. – Widzi pan, gdyby to był jeden z tych nowych modeli żelowych, samo wyjęcie drutów zepsułoby cały efekt! Nie może pan dopuścić, by żelowe mapy weszły do powszechnego użytku, sir. To byłaby katastrofa.

– Wiem, Gridde. Mówiłeś to już tysiąc razy.

Kartograf podleciał do ściany i zamknął metalową tarczę iluminatora. Teraz pomieszczenie oświetlał jedynie blask lampy gazowej. Chaison nakręcił niewielki wiatraczek przy lampie, bez którego jej płomień zgasłby w ciągu kilku sekund z braku tlenu, a następnie podał urządzenie staruszkowi. Gridde zatrzasnął metalowe drzwiczki latarenki. Światło ze

środka wydostawało się teraz jedynie przez wąską pipetę. Ostrożnie umiejscowił miniaturowy reflektor na ruchomym wysięgniku przy stole nawigacyjnym i przekręcił w odpowiednią stronę.

Snop światła rozjarzał teraz jedynie wąską kolumnę klejnotów; na jej końcu lśnił wielki diament.

– Punktem orientacyjnym będzie Argenta Town, podwójny rubin. – Dwa czerwone punkty przedstawiały jedyne miasto na drodze promienia światła. Sam promień przedstawiał zaś kurs, który miał obrać korpus ekspedycyjny; Chaison zauważył, że jego flotylla miała szansę przelecieć niezauważona przez większości miejscowej ludności.

– Dobrze. – Fanning obrócił głowę na dźwięk pukania do drzwi. – Wejść!

Wpadające światło słoneczne zmyło iluzję dryfowania ponad miniaturowym światem. Na jego tle odcinała się krągła sylwetka Aubri Mahallan.

– To wszystko, dziękuję, Gridde – powiedział Chaison. – Proszę wejść, zbrojmistrzyni.

Klucząc wraz ze świtą Venery Fanning w labiryncie rękawów dokujących, Hayden obserwował cel ich marszruty i czuł narastający, klaustrofobiczny strach. Nad nim, pod nim i po obu jego stronach unosiły się obwieszone proporcami krążowniki Slipstreamu. Były to te same okręty, które najechały i podbiły Aerie. Złapał się na tym, że szuka na pobliskich kadłubach jakiejś szramy – zwęglonej plamy, którą zamalowano dawno temu – pomimo, że statek, w który wleciał aerocyklem numer dwa sześć lat temu, spłonął na jego oczach. Nie zdziwiłoby go jednak, gdyby znalazł go tutaj, w jednym kawałku, niczym zawieszonego w powietrzu, złośliwego ducha. Istotnie, skupisko ogromnych cylindrów rzucających ponury cień na pomost wydawało się raczej koszmarem sennym niż jawą. Było to ostatnie miejsce w Virdze, w jakim Hayden chciał się znaleźć.

– Jestem pewna, że będzie mi brakować piątkowych wieczorków – powiedziała Venera do znajomej, która przybyła ją pożegnać. – Dziwne. Tłum przestał wiwatować.

Od strony setek ludzi stłoczonych przy portowych sieciach bezpieczeństwa dochodził jedynie cichy pomruk. Hayden doskonale znał tego powód, ale w obecności swej pani zmuszony był trzymać język za zębami. Tłum przybył, żeby ujrzeć odlot floty. Żądał spektaklu – dowodu

na to, że Pilot postanowił działać zdecydowanie po wczorajszym, skandalicznym ataku na miasto. Gapie gromadzili się tutaj cały dzień, formując zakrzywioną muszlę z ludzkich istnień, niczym kamyczki w mozaice, i powoli przesłaniając widok wirujących w oddali cylindrów Rushu. Podekscytowani i oburzeni ostatnimi wydarzeniami, od czasu do czasu wiwatowali lub rozpoczynali zaśpiewy, nieustannie przerzucając kanapki, napoje i dzieci po całej powierzchni muru. Aerocykle oraz poskładane skrzydła, kosze piknikowe, a nawet wiklinowe kule wielkości dorosłego mężczyzny mieszczące handlarzy z pożywieniem oraz pamiątkami, tworzyły nad głowami widzów swoisty płaszcz.

Flota miała wyruszyć już godzinę temu. Słońce zaczynało przygasać, a jego światło nabrało czerwonawej barwy. Blednący blask sprawił, że doki zaczęły przypominać zlepek fotografii o różnej długości naświetlenia i innych odcieniach – tu sepia, tam fiolet, a jeszcze gdzie indziej czerń i biel. Wraz z nadejściem cyklu nocnego, powietrze miało się ochłodzić. Niewielu gapiów było na to przygotowanych, dlatego zaczynały się narzekania.

Swoje niezadowolenie okazywali również podoficerowie oraz członkowie żandarmerii wojskowej, którzy prowadzili świtę Venery w kierunku rękawa dokującego okrytego cieniami rzucanymi przez*Gawrona*.

Gdy się zbliżyli, silniki na chwilę zbudziły się do życia, a statek zaczął się obracać, dopóki nie przyjął pozycji pionowej wobec nadciągającej grupy. Pozostałe jednostki wykonywały ten sam manewr, w miarę jak ich załogi otrzymywały z okrętu flagowego wytyczne dotyczące kursu.

– Och, Venero – zaszczebiotała jedna z bywalczyń, uczepiona ramienia żony admirała – wygląda na to, że cieszą się na twój widok!

Kobieta uniesioną dłonią pozdrowiła tłum, który na ten widok ponownie rozbrzmiał zaśpiewem z setek gardeł.

Pomruki silników oraz ruch statków sprawiły, że Hayden poczuł zawrót głowy – lecz szedł dalej. Był to jedyny sposób, by odkupić wcześniejsze tchórzostwo. Fanning opuszczał Rush, więc Hayden musiał podążyć za nim.

Jeśli zaś – choć była to myśl tak nieprawdopodobna, że nie brał jej poważnie – nie udało mu się zabić Fanninga (nigdy *dobrowolnie* by z tego nie zrezygnował), to wciąż mógł przysłużyć się sprawie, działając jako szpieg na pokładzie *Gawrona*. Jeśli to, co usłyszał, stojąc za drzwiami biura admirała, było prawdą, to wyprawa ta miała drugie dno.

Dotarli na koniec rękawa dokującego. Hayden pociągnął za linę, by zatrzymać powolny dryf kufrów swej pani, podczas gdy kobieta przedstawiła dokumenty oczekującemu na nich oficerowi pokładowemu. Mężczyzna ledwie na nie zerknął, po czym kazał im przechodzić.

– Nie zapomnij o moim aparacie! – krzyknęła przyjaciółka Venery ponad ramionami żandarmów. Pozostałe bywalczynie machały do niej i wykrzykiwały podobne frazesy, zupełnie jakby Lady Fanning wyruszała na niedzielną przejażdżkę, a nie opuszczała kraj w tajemniczych okolicznościach. Hayden uchwycił oba kufry za ich skórzane rączki, po czym przeskoczył dwumetrową szczelinę pomiędzy rękawem a okrętem.

Gdy zawarto za jego plecami ogromny właz, nagle przytłoczyła go masa szczegółów wyłowionych z ciemności światłem lamp gazowych: belki i liny, unoszący się zapach paliwa rakietowego i mydła, stojaki z karabinami i mieczami, migotliwy ruch ogromnej wirówki – na dodatek wszędzie byli ludzie, tłum milczących mężczyzn wpatrzonych wprost w niego.

Obrócił się, zdając sobie sprawę z tego, że to nie on, a Venera Fanning była w centrum uwagi. Kobieta ani na chwilę nie spuściła wzroku. Niewielki uśmieszek powodował zmarszczkę na bliźnie. W końcu wykonała w powietrzu zwrot i wystrzeliła w kierunku wąskiego korytarza prowadzącego pod centryfugą. Hayden został z tyłu, trzymając jej bagaże.

Dopiero gdy ruszył za swą pracodawczynią, zdał sobie sprawę, że na pokład wszedł wraz z nimi tylko jeden człowiek: niewyróżniający się niczym mężczyzna w średnim wieku o pozbawionej wyrazu twarzy. Przypominał niezbyt ważnego urzędnika. Posłał Haydenowi uśmiech.

– Ale inni służący... – Przybyli na miejsce w dużej grupie. Czy to możliwe, że on został zabrany jako jedyny?

– Jesteś kierowcą? – spytał nijaki mężczyzna; tembr jego głosu był równie bezbarwny jak jego wygląd.

– Uch... Tak.

– Zanieś bagaże do kajuty kapitana, a potem udaj się do wirówki. Będziesz mieszkać z cieślami.

– Ach. – Z pewnym wahaniem wyciągnął rękę. – Jestem Hayden Griffin.

Mężczyzna beznamiętnie uścisnął podaną dłoń.

– Lyle Carrier. Idź już.

Hayden niezdarnie chwycił wszystkie kufry i udał się na poszukiwania Venery Fanning.

Ciemność przykryła niebo na długo przed tym jak ostatni okręt opuścił doki. Chaison Fanning siedział w fotelu dowódcy, opierając podbródek na dłoni. Nie miał teraz żadnych obowiązków: statek znajdował się w rękach Sembry'ego. Głos kapitana brzmiał pewnie, gdy mężczyzna przez rury głosowe przekazywał rozkazy do maszynowni oraz zespołów sterniczych., Ku uciesze admirała, wszystkie oczy spoczywały na nim.

Chaison obrócił w palcach niewielki przedmiot w kształcie pucharka. Kilka minut temu wręczyła mu go sprawiająca tyle kłopotów zbrojmistrzyni, Mahallan. To urządzenie miało urzeczywistnić pomysł, który gdy po raz pierwszy usłyszał o nim od Venery, admirał uznał za niedorzeczny. Teraz jednak postanowił dać mu szansę.

Jednak w gniewie ciężko mu było się skupić. Rozejrzał się; nikt na niego nie patrzył. Nie zrobiliby tego. Lecz wieści w ciągu kilku godzin rozejdą się po całej flocie. Nie będzie w stanie uciec przed poniżeniem.

Ciągle zachodził w głowę, dlaczego to zrobiła? Co ważniejsze: dlaczego jej na to pozwolił? Mógł po prostu wyruszyć w drogę, zmuszając ją do dogonienia ich na własną rękę. Tyle że ona posiadała informacje, które mogła wykorzystać przeciwko niemu, swojemu własnemu mężowi, gdyby ten nie postąpił tak jak mu kazała i zrobiłaby to bez wahania. Nie miał wątpliwości, że zadziałałaby na jego szkodę. Znał Venerę dostatecznie długo, by wiedzieć o jej bezwzględności.

Mężczyzna ścisnął pucharek w dłoni i niemal cisnął nim o ścianę. Wiedział jednak, że to tylko przysporzyłoby mu kłopotów. Z westchnieniem przyłożył urządzenie do ucha.

Dźwięk był zaskakująco głośny – gwałtownie odsunął przedmiot od twarzy, po czym zbliżył go ponownie, tym razem ostrożniej. Słyszał jedynie grzmiący huk – monotonne syczenie, dziwne szczebiotanie, które wznosiło się i opadało oraz zgrzytanie zębów olbrzyma. Wszystko zagłuszał jednak odgłos przypominający ten, który towarzyszy darciu niezwykle grubo plecionej tkaniny. Dźwięki te nie miały końca, hipnotyzowały niczym sprzeczka pomiędzy demonami.

Odłożył głośnik na bok. Ten nieustanny szum miał nadać wszystkiemu sens. Chaison musiał przyznać, że była to ciekawa demonstracja, jednak w żaden sposób nie uwiarygodniała szalonych twierdzeń wysuniętych przez Venerę.

Poza tym, nie bardzo go to obchodziło. Jedynym, o czym admirał potrafił teraz rozmyślać, był fakt, że przez jego żonę, która bez wątpienia działała rozmyślnie, cała flota Slipstreamu była... spóźniona.

Kolumna postrzępionych chmur ciągnęła się jak dym na nocnym niebie. Mleczne kształty krążyły wokół siebie, przypominając zmęczonych pojedynkowiczów, którzy okazjonalnie testowali swoje umiejętności obronne wymuszonymi błyskawicami. Od czasu do czasu, pomiędzy szarymi sylwetkami, wypełniającymi niebo na setki kilometrów w każdym kierunku, otwierał się na krótko korytarz prowadzący do jakiegoś odległego słońca. Następnie flanki któregoś z milczących wojowników ponownie przesłaniały widoczność, nabierając odcieni przydymionej czerwieni oraz bordo.

Były to młode chmury, potomstwo posiadającej kształt grzyba kolumny cieplejszego powietrza, która przedarła się na terytorium Slipstreamu wcześniej tego samego dnia. Te obłoki mgły dopiero rozpoczynały proces kondensacji. Kraina, przez którą dryfowały, pełna była pozostałości po wcześniejszej masie chmur: jej krople zderzały się ze sobą całymi dniami, tworząc coraz większe kule wody – czasem wielkości ludzkiej głowy, a czasem o rozmiarach domu – i sunęły przez chmury niczym powolne kule armatnie, dodatkowo zwiększając chaos panujący na granicy ścierających się mas powietrza.

Czujni mieszkańcy krążyli na aerocyklach po obrzeżach dwóch miast oraz farmy, które stanowiły jedyne siedliska ludzkie na przestrzeni wielu mil. Strażnicy wypatrywali skupionych mas wody, jakie mogłyby wychynąć z ciemności na kursie kolizyjnym z wirującymi kołami lub ciemnymi sieciami farmy. Dla jednego z milczących wartowników jedynym słyszalnym dźwiękiem był szum małego wiatraczka, który podsycał płomień jego latarni. Mężczyzna owinął płaszcz wokół ramion, by ochronić się przed wilgocią, stopy zaś oparł na pedałach aerocykla, stale trzymając maszynę w gotowości.

Tak skulony początkowo nie zauważył czegoś, co wyłoniło się z chmury i miało kształt ptasiego łba. Gdy w końcu to dostrzegł, zmełł w ustach przekleństwo – uznał, że ma przed sobą kulę wody wielkości miasta. Zgrabiałymi palcami sięgnął po róg, lecz gdy już podnosił mosiężny

instrument do ust, zwątpił. Kształt nie wydawał się już okrągły, ale zaczął przypominać dodatkowy dziób przejrzystego ptaka, twardy i ostry. Dziób okrętu.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co słyszał od kilku minut – było to odległe wycie silników statku. Spostrzegł również dwa aerocykle obserwacyjne sunące przed nim po spiralnych trajektoriach. Nigdy nie było wiadomo, na co można natrafić w chmurach, dlatego obserwatorzy wysuwali się przed czoło okrętu, by upewnić się, że na jego drodze nie ma żadnych głazów, kul wody ani ludzkich siedlisk. W noce tak ciemne jak ta, czasami uderzali w przeszkody, stąd o tej porze statki zwykle posuwały się wolniej.

Używali również szperaczy, by przegonić mrok. Nakazywał to zwykły rozsądek. Jednak reflektory na tym okręcie były wygaszone. Gdy wreszcie w całości wyłonił się z chmury, ciągnąc za sobą pasma wirującej mgły, za jego rufą ukazał się kolejny dziób, a za nim następny.

Wartownik ponownie uniósł róg do ust, nagle obawiając się inwazji, lecz w tym samym momencie spostrzegł na kadłubie wiodącego okrętu podświetloną pieczęć Slipstreamu. Powoli opuścił dłoń i przypiął instrument do siedziska. Był obywatelem Aerie i nie miał zamiaru zadzierać ze Slipstreamowcami. Właściwie to miał nadzieję, że pozostanie przez nich niezauważony.

Minęło go siedem wielkich jednostek, wszystkie pogrążone w ciemności, jeśli nie liczyć świateł pozycyjnych.

Gdy ponownie okrył je mrok, wartownik zadrżał, jednak wrócił do swoich zajęć. Być może opowie o tym rano, lecz teraz nie miał odwagi podlecieć do innych wartowników, by porównać to, co widział z tym, co oglądali oni. Z jakiegoś powodu czuł, że lepiej nie rozmawiać o tych okrętach póki światem rządziła ciemność.

Hayden ukrywał się w swojej malutkiej koi tak długo jak to było możliwe. Spędził w niej niespokojną i nieprzyjemną noc, ale i tak było to lepsze od konieczności stawienia czoła sytuacji. Niestety, wyglądało na to, że został wcielony do służby u tego samego wroga, którego poprzysiągł zniszczyć. Wszystko jawiło mu się jak w jakimś absurdalnym koszmarze.

Jego koja znajdowała się na samym dole stosu umieszczonego w wirówce ćwiczebnej. Czuł się jak nieużywana książka odłożona na półkę w

wyjątkowo ciasnej bibliotece. Nie mógł nawet usiąść, ponieważ koja nad nim wisiała zaledwie kilkanaście centymetrów od jego nosa. Za każdym razem, gdy przewracał się na drugi bok, wydawało mu się, że świat wiruje w przeciwnym kierunku – dość znajome uczucie po kilku latach spędzonych w mieście, ale zwielokrotnione przez niewielkie rozmiary koła. Obręcz wykonywała pięć obrotów na minutę, ale dostarczała zaledwie dziesiątą część normalnej grawitacji. Jej osie skrzypiały monotonnie, śpiący wokół mężczyźni chrapali w różnym rytmie, a na dodatek ktoś zepsuł powietrze tak straszliwie, że smród wydawał się unosić wokół przez długie godziny.

Teraz zaś jego łóżko wibrowało od rytmicznych kroków niezliczonej ilości lotników biegających wokół centryfugi. Poziom sypialny przecinało tylko jedno wąskie przejście, dlatego stopy biegnących uderzały w podłoże kilkanaście centymetrów od głowy Haydena. W końcu, gdy któryś z nich potknął się i kopnął w jego półkę, chłopak zaklął, a następnie wytoczył się z łóżka na przestrzeń pomiędzy kojami.

– Z drogi! – groźnie wyglądający bosman pchnął Haydena, gdy ten próbował dostać się na ciasny korytarz. Przez kilka kolejnych minut chłopak przemykał od koi do koi, podczas gdy pozostali lotnicy postawili sobie chyba za punkt honoru, by potrącać go po drodze. Ich ordynarny śmiech ścigał go nawet wtedy, gdy kilkoma susami pokonał szczebelki drabinki prowadzącej na wyższy poziom koła.

Ostatniej nocy bosman dobitnie dał Haydenowi do zrozumienia, że był on na pokładzie tego okrętu jedynie balastem. Chłopak postanowił zamieszkać z cieślami, jak mu nakazano, ale wśród nich też nie był mile widziany. I choć znalazł pustą koję w wirówce, to najwyraźniej musiał poszukać sobie miejsca w mniej ruchliwej części statku, w przeciwnym razie całe jego ciało mogło pokryć się siniakami.

Wyższy poziom koła przypominał zwykłą beczułkę o średnicy pięciu metrów. Połowę tej przestrzeni zajmowały skrzynie, zaś po drugiej stronie mężczyźni z mieczami krążyli wokół siebie pod czujnym okiem instruktora musztry. Hayden obejrzał pakunki, po czym wdrapał się na ich stos, z każdym krokiem tracąc ciężar. Następnie przysiadł na ich szczycie, chcąc pooglądać fechtujących żołnierzy.

– Ty tam! – Spojrzał w dół. Znów ten bosman. Mężczyzna o rumianej twarzy i burzy rudych włosów zawsze miał na sobie nienagannie skrojony

mundur. Dostawał też wytrzeszczu oczu za każdym razem, gdy się w coś wpatrywał, czyli przez większość czasu. Teraz zaś mlaskał, mówiąc: – To delikatny sprzęt! Złaź stamtąd!

Hayden westchnął i zeskoczył ze skrzyń w kierunku wyjścia z wirówki. Musiał gdzieś znaleźć jakiś cichy kąt.

Otwarto chyba wszystkie furty w kadłubie, bo we wnętrzu okrętu stale hulał zimny wiatr. Gdzie nie spojrzał, mężczyźni zwijali liny, przesuwali pudła albo coś przybijali. Uznał, że otwarty właz ładowni będzie najlepszym punktem obserwacyjnym, dlatego podleciał do rozciągniętej wewnątrz żerdzi. Porywisty wiatr dął zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od otworu, ale udało mu się znaleźć kieszeń w miarę nieruchomego powietrza. Zwinął się w kłębek i wystawił głowę na zewnątrz.

Daleko za rufą jaśniało słońce. Jego światło zdążyło przybrać czerwoną barwę; musieli zbliżać się do granicy. Mijane chmury rzucały rozmazane cienie, przypominając palce wskazujące kierunek podróży.

Na niebie wokół widać było inne okręty. Naliczył ich sześć; mogło być ich więcej po drugiej stronie statku, lecz mimo wszystko był to jedynie ułamek wszystkich jednostek, które opuściły port. Gdy *Gawron* powoli wykonał obrót wokół własnej osi, chłopak zyskał potwierdzenie, że cała grupa złożona była zaledwie z siedmiu statków, wliczając w to ten, na którym obecnie się znajdował. A co z resztą floty?

Prześlizgnęli się po krawędzi pierzastej góry i niespodziewanie otworzyła się przed nimi ogromna przestrzeń powietrzna, wolna od jakichkolwiek przeszkód. Hayden zamrugał z niedowierzaniem. Przed sobą miał jedynie granatową otchłań – mroczną głębię rozciągającą się w nieskończoność we wszystkich kierunkach.*Gawron* leciał wprost w zimę.

Nie miał pojęcia, jak się tutaj znalazł. Miał szansę zabić Fanninga, ale tego nie zrobił. Był tchórzem – lecz jednocześnie został wplątany w coś większego, co znacznie wykraczało poza atak na Mavery. Możliwe, że był jedynym szpiegiem Aerie na pokładzie tych statków. Gdy przewracał się z boku na bok zeszłej nocy, wciąż dochodził do tego samego wniosku: jego powinnością było zebranie wszelkich możliwych informacji, a następnie zdanie raportu z tego wszystkiego.

– Hej, ty! – Hayden obrócił się, by stanąć twarzą w twarz z chłopcem o szczurzej twarzy, odzianym w za duży o kilka rozmiarów mundur lotnika. – Jesteś Griffin? – spytał wojowniczo, a gdy uzyskał potwierdzenie, wskazał

kciukiem w stronę wirówki. – Wołają cię do komnat pani – wyjaśnił, uśmiechając się znacząco.

– Dzięki. Możesz mi mówić Hayden. Jak masz na imię?

– Martor – odparł podejrzliwie chłopak. – Jestem posłańcem.

– Miło mi cię poznać. Tak przy okazji, gdzie tutaj można coś zjeść?

Martor wybuchł śmiechem.

– Przegapiłeś posiłek. Podawano go o szóstej. Nie żeby ktoś miał ci pozwolić jadać z nami, mężczyznami. Będziesz musiał sam sobie coś znaleźć.

– Ile chcesz za to, żeby mi coś zorganizować?

Chłopak uniósł brwi. Przez chwilę dumał.

– Sześć. Nie mniej.

– Stoi. – Hayden ruszył przed siebie. Teraz, gdy miał przed sobą jakiś cel, nie różnił się już aż tak bardzo od innych marynarzy.

Jednak to nie Venera oczekiwała na niego przed kwaterą kapitana, lecz wyzuty z emocji Carrier. Mężczyzna wisiał w powietrzu ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, a jego palce u stóp były lekko obciągnięte jak u baletnicy. Widząc Haydena, zrobił gniewną minę.

– Masz obowiązki – rzekł bez wstępów.

– Ja, uch... Naprawdę?

– Lady Fanning przygotowała dla nas aerocykl. Nie jest to maszyna wojskowa, lecz szybki ścigacz z przyczepkami. Masz się z nim zapoznać. Trzy godziny dziennie, nie więcej i nie mniej.

– Tak jest, sir! – Chcieli, żeby latał? Cóż, to ich pogrzeb. – Jaki to model?

Carrier machnął ręką, jakby chciał odgonić natrętną muchę.

– Nie wiem. Resztę swojego czasu będziesz spędzać, asystując nowej zbrojmistrzyni.*Powiedziano* nam – rzekł z nieprzyjemną nutą w głosie – że masz dryg do mechaniki.

– Cóż, grzebałem trochę w aerocyklach...

– Świetnie. Masz czym prędzej zgłosić się do zbrojmistrzyni. To na rufie – dodał uprzejmie.

– W porządku, ale co będę... – Carrier nawet nie mrugnął; niemal niezauważalnie odwrócił głowę. Hayden zrozumiał przesłanie.

Ponury nastrój, który towarzyszył mu od wczorajszego wieczora, znikł, lecz mimo wszystko chłopak wciąż był zaskoczony tym, jak szybko i zupełnie wplątał się w całą sytuację. Gdyby miał choć krztynę odwagi,

zabiłby wczoraj Fanninga. Fakt, że tego nie zrobił, a na dodatek zasadniczo pracował teraz dla wroga, powodował u niego mdłości.

– Jesteś pewien, że wiesz, gdzie idziesz? – zapytał ktoś. Hayden spojrzał w dół, gdzie ujrzał wpatrującego się w niego spod przymrużonych powiek Martora. – Tędy – dokończył chłopak, wskazując drogę obok pękatych brzuchów zbiorników paliwa.

– Dzięki. Słuchaj, gdy wcześniej wyjrzałem na zewnątrz, zobaczyłem, że zmierzamy w stronę zimy. Wiesz coś o tym?

Martor wyglądał na podenerwowanego.

– Nie. Nikt nic nam nie mówi, przynajmniej na razie. Widziałeś, że odłączyliśmy się od głównej floty? Chodzą pogłoski, że zajdziemy przeciwników od tyłu. Ale to nie ma sensu. Wroga przestrzeń leży*bliżej* słońc, a nie tutaj.

– Masz na myśli Mavery?

– A kogóż innego?

Martor podążał teraz za Haydenem, przenosząc ciężar z nogi na nogę i bawiąc się palcami, znacznie bardziej przypominając chłopca, którym był, niż twardego mężczyznę, którym być próbował.

– Zimy nie trzeba się obawiać – powiedział Hayden. – Byłem tam.

– Tak? Czy to prawda, że żyją tam ogromne robale ze słońcami w brzuchach? I zamarznięte krainy, w których toczono wojny, gdy zgasły ich słońca i całe armie skuł lód?

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem...

– Ale skąd możesz to wiedzieć, skoro zima ciągnie się w nieskończoność?

–*W nieskończoność*? – Ktoś się roześmiał. – Bynajmniej.

Pudło o nieregularnym kształcie zostało umocowane do poszycia pod absurdalną siecią lin. W jednej ze ścian pudełka umieszczono najzwyklejsze w świecie drzwi. Śmiech dochodził z wewnątrz. Brzmiał podejrzanie kobieco.

– Zaraz się dowiem, że to zbrojmistrzyni – szepnął Hayden do Martora. Chłopak energicznie pokiwał głową. – Tak myślałem.

Zajrzał do środka przez drzwi. Pośród bałaganu rzeczywiście krzątała się kobieta, przypominając najważniejszy trybik w mechanizmie zegarka. Otwierała właśnie jedną z kilkudziesięciu wiszących wokół skrzynek. W chwili obecnej znajdowała się do góry nogami w stosunku do jego pozycji, dlatego początkowo zauważył jedynie burzę brązowych włosów

otaczających jej twarz oraz strój jednolicie czarny, jeśli nie liczyć czerwonego szala wystającego spod kołnierzyka. Grzecznie obrócił się, by odpowiadać jej orientacji i wyciągnął dłoń.

– Jestem Hayden Griffin. Powiedziano mi, że mam pani pomóc.

Jej dłoń była ciepła, a uścisk silny.

– Aubri Mahallan. Kto ci powiedział, że potrzebuję pomocy?

– Umm, mężczyzna nazwiskiem Carrier.

– Ach, *on*. – Dwa słowa wystarczyły, by niemal zanegować istnienie tego człowieka. Mahallan miała ciężki akcent, głoski „r” czy „o” wymawiała twardo. Pod właściwym kątem była równie intrygująca jak brzmienie jej głosu. Skórę miała bladą i nieskazitelną niczym u najlepiej wypielęgnowanej damy dworu. W podkreślonych ogromną ilością czarnego cienia do powiek oczach stale malowało się zdumienie. Szerokie usta nieustannie przybierały inne kształty w niekończącej się paradzie min. Teraz kobieta wydęła wargi, mierząc Haydena surowym wzrokiem.

– Chyba będę miała dla ciebie jakieś zajęcie. Ej, ty! – Skierowała przenikliwe spojrzenie ponad ramieniem Haydena, w kierunku drzwi. – Już piąty raz zasłaniasz mi dzisiaj światło. Wygląda na to, że będę musiała znaleźć też coś dla ciebie.

– Tak, psze pani – z zewnątrz doszedł ich słaby głos Martora.

– Nie mogę jednak pozwolić, by pracowały ze mną nieuki – ciągnęła Mahallan, obracając się, by otworzyć iluminator i wpuścić świeże powietrze do zagraconej komórki. – Zima nie ciągnie się w nieskończoność - a może i ciągnie się, ale tylko w taki sam sposób, jak można w nieskończoność podróżować po obrzeżu talerza. Rozumiesz?

– Nie, sir! – rzekł wciąż niewidoczny Martor.

– Chodź tu! – Głowa chłopaka wyjrzała zza ościeżnicy. Gdzieś na zewnątrz kilku lotników zaangażowało siły w zmaganiach na przekleństwa. – I zamknij za sobą drzwi, dobrze? – dodała zbrojmistrzyni. Hayden przesunął się, by ustąpić Martorowi miejsca, przez co znalazł się na tyle blisko Mahallan, by poczuć zapach jej potu.

Kobieta skupiła całą swą uwagę na młodym posłańcu.

– Wierzysz, że ten świat ciągnie się w nieskończoność we wszystkich kierunkach?

– Tak, psze pani – odparł Martor bez cienia ironii. – Dwa pokolenia temu Rush wyłonił się z Nieskończoności i zaatakował tutejsze nacje. Gdy już się

przez nie przedrzemy, wrócimy do Nieskończoności po drugiej stronie ich terytoriów.

– Widzę, że mamy przed sobą wiele pracy – powiedziała zbrojmistrzyni, posyłając Haydenowi rozbawione spojrzenie. – Młodzieńcze, czy wiesz czym jest balon?

– Workiem wypełnionym gazem – powiedział Martor bez zastanowienia.

– Dobrze. Widzisz, Virga, wasz świat, jest balonem. I to ogromnym; ma pełne pięć tysięcy mil średnicy i orbituje na obrzeżach układu gwiezdnego Vegi. Virga to sztuczny twór. Wykonany przez ludzi.

– Bardzo śmieszne, madame – rzekł Martor z przyklejonym uśmiechem.

– To najprawdziwsza prawda, młody człowieku. Czyż nie jest faktem, że wasze słońca są sztuczne? Dlaczego więc nie miałaby taka być reszta świata? – Martor wyraźnie stracił rezon. – Problem w tym, że nawet słońce fuzyjne zdolne ogrzać i oświetlić obszar w promieniu kilkuset mil, jest zaledwie małą iskrą w tak wielkiej przestrzeni. Szczególnie, że chmury i inne przeszkody tak chętnie chłoną ciepło. Sześćdziesiąt, osiemdziesiąt, a nawet sto słońc nie byłoby w stanie rozświetlić całego wnętrza Virgi. Dlatego właśnie mamy owe wielkie nieoświetlone i niedogrzane obszary, przestrzenie zimy.

– No, jak na razie wszystko rozumiem – powiedział Martor.

– Ale nie ciągną się one w nieskończoność. Kończą się, w taki lub inny sposób, oświetlonymi rubieżami jakiegoś księstwa lub przy Candesce, jeśli za kierunek obrać samo serce Virgi. Z drugiej zaś strony znajdują swój koniec przy samej skórze świata, gdzie góry lodowe tłoczą się, zgrzytając niczym boskie zęby. A wasza asteroida, Rush, bardzo powoli krąży wokół środka tego świata, poruszana niemal niezauważalną grawitacją wytwarzaną przez wiatr.

– Teraz to już pani się ze mną droczy – rzekł posłaniec.

Mahallan westchnęła przesadnie, nie mogąc jednak ukryć uśmiechu.

– Zmykaj już. Zabierasz mi powietrze. A ty – powiedziała do Haydena – zostań i pomóż mi rozpakować te pudła.

Wszystkie siedem okrętów wyłączyło silniki, wleciawszy kilkanaście kilometrów w głąb zimy. Przez kilka minut dryfowały, po czym z jednostajnym hukiem dysz manewrowych przyjęły formację gwiazdy, w której dziób każdego statku wskazywał inny punkt na zewnątrz. Pomiędzy okrętami rzucono liny i wkrótce kapitanowie pozostałych sześciu jednostek

przeszli do otwartego włazu w burcie*Gawrona*. Okrywająca wszystko ciemność uniemożliwiała ocenę odległości, ani dostrzeżenie jakichkolwiek szczegółów otoczenia.

Gdy admirał Fanning wleciał do pomieszczenia nawigacyjnego, zatrzymał się jak wryty, widząc kapitanów uczepionych podłogi, ścian i sufitu niczym osy w ulu. W swoich czarnych mundurach nie różnili się między sobą – byli identyczni. Chaison był gotów przysiąc, że słyszy dochodzące z ich strony brzęczenie.

Potrząsnął głową, odganiając od siebie dziwne myśli i podleciał do swojego fotela przy stole nawigacyjnym.

– Wykazaliście dużą cierpliwość w kwestii naszego małego sekretu – powiedział, gdy ostatni z wizytujących kapitanów przefrunął obok niego, by przełożyć ramię przez aksamitny uchwyt ścienny. Teraz, gdy o tym pomyślał, porównanie tych ludzi do os wydawało się coraz bardziej trafne. Byli niebezpieczni, skupieni na swych zadaniach, a przede wszystkim pozbawieni własnego rozumu. Idealni do obmyślonego przezeń planu.

– Jestem pewien, że macie pewne podejrzenia co do tego, gdzie zmierzamy – rzekł z uśmiechem. – Jestem też przekonany, że i waszym załogom również przychodziły do głów najróżniejsze pomysły. – W odpowiedzi rój posłał mu kilka uprzejmych uśmiechów.

– Skoro już jesteśmy poza zasięgiem semaforów potencjalnych szpiegów, mogę uchylić rąbka tajemnicy.

– Najwyższa pora! – Kapitan Hieronim Flosk, najstarszy i najmniej cierpliwy z całej grupy, pochylił się w stronę światła nad stołem nawigacyjnym. Blask zamienił jego twarz w maskę płaskowyżów, poprzetykanych ciemnymi wąwozami. – Cała ta tajemniczość jest niedorzeczna – wychrypiał. – Nie musimy się podkradać i ukrywać przed Mavery. Uderzmy na nich otwarcie; tam, gdzie zaboli. Dla mnie to oczywiste rozwiązanie – parsknął.

– Cóż, miałbyś rację – rzekł Fanning – gdyby to Mavery było naszym celem.

Kapitanowie rozmawiali ze sobą po cichu, ale po tych słowach zapadło wszechogarniające milczenie.

– Co masz na myśli? – spytał po chwili Flosk. Jego głos zabrzmiał bardzo piskliwie. – Po tym przeklętym ataku znienacka...

– To niemal na pewno nie ich sprawka – odparł Fanning beznamiętnie. – Ich pociski, to fakt. Ale nasz spór graniczny z Mavery został rozdmuchany przez trzecią stronę; kogoś, kto posiada głębokie kieszenie oraz sieć szpiegów w Slipstreamie. – Wziął jeden ze slajdów przygotowanych przez żonę i włożył go w zadaszoną latarnię pod pudełkiem nawigacyjnym. Otworzywszy małe drzwiczki z boku latarenki, wyświetlił obraz na ścianie za swoimi plecami.

– To – zaczął – tajna stocznia Formacji Sokoła. Jeden z naszych szpiegów zrobił to zdjęcie niecały tydzień temu. – Kilku kapitanów poruszyło się, chcąc mieć lepszy widok. Fanning spojrzał przez ramię, by upewnić się, że wybrał właściwy slajd: istotnie było to otrzymane od Venery zdjęcie olbrzymiego okrętu.

– Pancernik, który widzicie na drugim planie ma tysiąc pięćset stóp długości – oznajmił. Kapitanowie ponownie zamarli. – Nic podobnej wielkości nigdy nie latało po niebie Virgi. Jest dostatecznie duży, by służyć jako lotniskowiec dla średniej wielkości slupów myśliwskich, może również transportować niemałą armię. Mamy podejrzenia, że jest to okręt flagowy floty zbudowanej przeciwko Slipstreamowi. Dowiedzieliśmy się, że Formacja wykorzystuje nasz zatarg z Mavery, by wywabić nasze siły z dala od Rushu. Gdy nasza flota zajęta będzie walką z Mavery, spróbują przejąć miasto. – Nie musiał nawet dodawać, że Rush i Slipstream stanowiły*jedność*. Zdobywając jedno, drugie otrzymywało się w podarku.

Zapadło długie milczenie. W końcu odezwał się Flosk:

– Kim są ci „my”, którzy wierzą w te brednie? Ty i Pilot?

– Pilot, tak – skłamał Fanning. – Doskonale zdaje sobie sprawę z zaniedbań na polu szpiegowskim. Podjął pewne kroki, stąd zdjęcia. – Zmienił slajd na inny, na którym widniała sama stocznia. – Tak wygląda sytuacja strategiczna. Jestem pewien, że rozumiecie teraz, dlaczego tak istotne było utrzymanie tej wiedzy w tajemnicy.

– Chwila – rzucił ktoś. – Czy to znaczy, że zaatakujemy*Sokoła*?

– Samobójstwo – burknął ktoś inny.

– W związku z tym potrzebujemy każdej przewagi, jaką uda nam się zdobyć – przyznał Fanning, kiwając niechętnie głową. – Wasze okręty albo zaprojektowano jako część zimowej floty albo je do niej dostosowano. Zmiany te zaczęto wprowadzać już wiele lat temu, jako że mój poprzednik zasygnalizował konieczność istnienia takich jednostek.

– Nie dysponujemy najlepszymi okrętami zimowymi – sprzeciwił się Flosk. – Najnowsze dołączyły do flotylli zmierzającej do Mavery.

– Naturalnie. Mavery i Formacja Sokoła zauważyłyby, gdyby nasze najlepsze statki nie uczestniczyły w starciu granicznym. Wasze okręty - i przykro mi to mówić panowie - znacznie mniej rzucają się w oczy. Niezbyt potężne, niezbyt ważne, ale za to przygotowane do operacji w zimnie, ciemności i przy ograniczonym dostępie do tlenu. To wystarczy.

Zamknął pokrywę projektora i ponownie włączył podświetlenie stolika nawigacyjnego.

– Oto miejscowa konstelacja nacji – powiedział. – Jesteśmy tutaj. Formacja Sokoła jest tu. – Pudełko nawigacyjne zawierało zbite chmury kolorowych iskierek, z których każda reprezentowała inny kraj. Poszczególne nacje wiły się i nakładały na siebie w skomplikowanych zależnościach, przypominając organy wewnętrzne istoty stworzonej ze światła. – Wszystkie naczelne narody Południka podążają za cyklami wznoszenia się i opadania Komórki Hadleya piątego południka, którą napędza żar Słońca Słońc, niewidocznego na tej mapie. Ruchy powietrza nie wpływają w żaden sposób na Rush, dlatego nasza asteroida krąży po stałej orbicie wokół Candesce w spacerowym tempie. Jak więc widzicie, Rush wkrótce opuści Aerie i wleci na terytorium Mavery. Potem zaś... – Obrócił pudełko, by wskazać kłębowisko połyskujących na zielono gwiazd zajmujących dużą przestrzeń przy jednej z krawędzi makiety. – Potem zaś, siłą niebiańskiej mechaniki, będziemy zmuszeni naruszyć przestrzeń Formacji.

Trzy słońca – diamenty pośród szmaragdów – lśniły pośród zielonkawego blasku.

– Oto lokalizacja odkrytej przez nas sekretnej stoczni. – Pociągnął za dźwignię u podstawy pudełka. Wszystkie migotliwe punkciki przygasły, za wyjątkiem jednego ametystu, który rozjarzył się wewnątrz terytorium Sokoła.

Natychmiast rozszedł się pomruk niezadowolenia. Flosk otwarcie wybuchnął śmiechem.

– Jakim cudem mamy dostać się do tego miejsca bez konieczności stoczenia walki z całą flotą Formacji?

– To proste – odparł Fanning. – Lokalizacja stoczni tak długo pozostawała w tajemnicy, ponieważ jest to niezamieszkała przestrzeń wypełniona

sargassami. W rzeczywistości to czubek długiego języka zimy, wżynającego się setki mil w głąb terytorium Formacji Sokoła. Na obszarze tym dominują sargassa, czyniąc go ubogim w tlen. To dzicz. Oblecimy całą konstelację południkową, podkradniemy się tylnymi drzwiami...

– ...i zaatakujemy stocznię – dokończył za niego ktoś inny. Kapitanowie przytaknęli.

– Cóż, bardzo śmiałe posunięcie – przyznał niechętnie Flosk. – Ale to i tak samobójstwo. Z drugiej strony nie dysponujemy zbyt dużą liczbą okrętów. Slipstream stać na taką stratę.

– Nie mam zamiaru nikogo poświęcać – powiedział Fanning.

– Ale jak mamy przeżyć i wrócić bezpiecznie do domu?

– Ta część mojego planu na razie będzie musiała pozostać tajemnicą – skwitował admirał. – Na krótką metę oznacza to, że zanim podejdziemy Sokoła od tyłu, przez zimę, będziemy musieli polecieć... okrężną drogą.

Mogło to być dwa tysiące mil stąd; mogło dwa razy więcej. Nigdy nie byli w stanie stwierdzić tego jednoznacznie. Lecz gdzieś, i to całkiem niedawno, prowadzono wojnę.

Nikt nie wiedział, czy strzał został oddany przez samotnego strzelca, czy też był on wynikiem serii oddanej podczas szaleńczej potyczki, w której brały udział tysiące żołnierzy. Jednak broń musiała należeć do wojska, tyle udało się ustalić. Kula opuściła lufę z prędkością ponad jednej mili na sekundę, pokonując w ten sposób barierę dźwięku.

Kobieta wiedziała, co się stało później. Pocisk doświadczył po drodze wielu różnych rzeczy, zapamiętując to, co zobaczył i gdzie był; wspomnienia te od czasu do czasu nawiedzały Venerę Fanning, przysparzając jej koszmarów i mącąc sny. Musiały pochodzić od kuli, bowiem nie istniało żadne inne wytłumaczenie. Sama nigdy nie byłaby w stanie wyśnić mar o okrętach o dziwnych kształtach, które taranowały się nawzajem, by zniknąć w objęciach płomieni pośród krwawoczerwonych chmur. Nie wymyśliłaby również połączonego linami, pozbawionego ciążenia miasta, które pocisk minął niedługo po wystrzeleniu. Miasta bez obrotowych obręczy. Jego wieżyce i domy przypominały węzły na pozornie nieskończonej siatce sznurów, zaś jego mieszkańcy wyglądali niczym pająki o kościach kruchych jak szkło. Kula minęła miasto z prędkością kilkuset mil na godzinę, przez co twarze oraz powiewające na wietrze sztandary były rozmazane i niemożliwe do zidentyfikowania.

Pocisk mknął obok farm i lasów, wiszących w przestrzeni niczym zielone galaktyki. Miejscami całe niebo zasnuwały wiosenne kolory, gdy odległe słońca oświetlały delikatne liście miliardów dryfujących niezależnie od siebie roślin, które kurczowo trzymały się swymi korzeniami niewielkich grudek ziemi lub kul wody. Powietrze bogate było w tlen, zaś ludzie uprawiający rolę wyczuwali w nim zapach kwitnących roślin.

Dla kontrastu, ogromne przestrzenie zimy, które otworzyły się przed pociskiem, były przejrzyste jak łza. Podróż przez nie przypominała penetrowanie strefy najczystszej deszczówki, głębokiego, niezmierzonego

błękitu, gdzie kula wytraciła wiele ciepła i odrobinę zmalała. Ze świstem przelatywała pomiędzy ławicami gęsto upierzonych, ślepych ryb oraz niemal identycznych ptaków, które się nimi żywiły. W końcu znalazła się w krainie przesłaniających niebo, lodowych łuków oraz spienionej i zamarzniętej wody, której pękate bańki miały dziesiątki mil szerokości. Ich powierzchnie znaczyły czarne otwory. W zagłębieniach sopli dłuższych niż cień Rushu zalegał śnieg. Powietrze tutaj było gęste, niemal zupełnie pozbawione tlenu i ciepła. Pocisk zwolnił i prawie się zatrzymał, dotarłszy na sam skraj tej strzaskanej katedry z lodu.

Gdy jednak zaczął powoli opadać, dryfując w kierunku błękitnego bezkresu, u dołu wezbrał zbłąkany promień światła z Candesce. Blask ogrzał powietrze za pociskiem na tyle, by utworzyć poduszkę powietrzną, która napęczniała, ponownie wprawiając go w ruch. Kula na nowo pomknęła w mroczną pustkę.

Zima nie rządziła wszystkimi wolnymi przestrzeniami Virgi. Istniały kolumny ciepłego powietrza o długości setek mil, które wznosiły się ze Słońca Słońc. Nim ochłodziły się na tyle, by zawarta w nich woda zamieniła się w chmury, były przezroczyste. Światło Candesce podróżowało wraz z nimi, czasami docierając aż do samej skóry świata. Pocisk wpadł w jedną z tych kolumn, po czym zmienił kurs, unosząc się i powoli okrążając Virgę.

To przelot góry lodowej ponownie wprawił go w ruch. Zawirowania powietrza wywołane przez spadającego potwora wytworzyły podmuch, dzięki któremu kula nabrała przyzwoitej prędkości trzydziestu mil na godzinę. Na grzbiecie tej fali wleciała w gęsty las, przesycony nadmiarem tlenu. Cudem minęła ponad setkę pająkowatych pni oraz gałęzi, które wspólnie tworzyły gęstą sieć puszczy. I wtedy pocisk drasnął samotny kamień dryfujący pośród drzew, krzesząc kilka iskier. Jedna z nich upadła na suchy liść, który krążył po zaciemnionym wnętrzu lasu od dziesięciu lat. Liść przemienił się w małą kulę ognia, od której zapaliły się sąsiednie liście, a po nich całe drzewa.

Rosnąca nawałnica płomieni pchała pocisk coraz szybciej i szybciej, kilometr po kilometrze rozprzestrzeniając się po przesyconym powietrzu, w ciągu kilku sekund pożerając włókniste drzewa większe od miast. Cały las przemienił się w kulę ognia świecącą równie jasno co niejedno słońce Virgi. Gdy ta w końcu się wypaliła, jej pełne popiołów i dymu wnętrze stało się

sargassem - pustą przestrzenią chronioną od wiatru przez tysiące zwęglonych konarów oraz korzeni, gdzie nie docierało światło, ani powietrze.

Kuli to jednak nie obchodziło. Fala uderzeniowa całkowicie wypchnęła ją z lasu. Gdy w końcu opuściła świat huczących płomieni, znów pędziła z prędkością niemal jednej mili na sekundę. Kilka minut później wleciała na tereny przyległe do Aerie. Przemknęła obok miasteczek i najdalej położonych stacji Slipstreamu. Swoją uwagę skupiła na kwartecie miast formacji znanej pod nazwą Rush. Następnie obrała sobie za cel jedno jedyne okno w połyskującym kole Admiralicji.

I zatrzymała się w szczęce Venery Fanning. Odrobina krwi próbowała kontynuować tę niemal epicką wyprawę, lecz udało jej się przelecieć zaledwie kilka metrów. A kiedy lekarze wreszcie wydobyli kulę z ciała kobiety, już nigdy nie opuściła ona budynku Admiralicji.

Aż do teraz. Podczas gdy Venera spała niespokojnie, śniąc o niezwykle długiej trajektorii pocisku, ten obijał się o ścianki lakierowanego pudełka wewnątrz jej bagażu, gdzie kobieta trzymała tę przedziwną pamiątkę. Jej podróż jeszcze nie dobiegła końca.

Hangar *Gawrona* był głęboką komorą o kształcie pasztecika, zajmującą trzecią część długości statku. Większość tej przestrzeni wypełniały aerocykle poprzypinane do ścian jak senne pszczoły w ulu; dwa wielkie, uzbrojone po zęby kutry zamieniały okolice rufy w studnię cieni. Hayden omiótł je wzrokiem, zatrzaskując panel dostępu na aerocyklu przygotowanym dla niego przez Venerę Fanning. Kutry bez dwóch zdań stanowiły broń, co było mu bardzo nie w smak; były jednak również statkami powietrznymi i chłopaka ciekawiło, jaką rozwijały szybkość oraz jaką odznaczały się zwrotnością.

Aerocykl był gotowy. Raz jeszcze rzucił na niego okiem. Maszyna nie należała do niego, ale mimo wszystko był to ścigacz, kompletny z dwoma odłączanymi przyczepkami i długą szpulą włókien uziemiających przygotowanych z myślą o sytuacjach, gdy podróżowało się szybciej niż prędkość odprowadzania elektryczności statycznej.

Hayden kładł się coraz później, żeby nie odczuwać senności w czasie nocnej wachty – po hangarze kręciło się wtedy mniej osób – dlatego wystraszyła go twarz Martora, która wychynęła zza horyzontu aerocykla niczym jakaś parodia słońca.

– Co porabiasz? – spytał posłaniec w swój zwyczajowy, prowokacyjny sposób.

– Nie powinieneś już spać? – Hayden ściągnął maszynę z zaczepów suchego doku i uniósł ją kilkakrotnie, oceniając wagę. Miejscami widać było ślady czerwonej farby, choć bardzo niedawno ktoś przemalował maszynę na metaliczną czerń. Nie przeszkadzało mu to.

– Mógłbym spytać o to samo. – Martor obleciał stanowisko, przytrzymując się uchwytów, by zobaczyć, co robił Hayden, wtedy podmuch wiatru zawył nadzwyczaj głośno przy jednym z zewnętrznych włazów statku. Chłopak odwrócił głowę w tę stronę.

– Wciąż przejmujesz się zimą? Trochę na to za późno – zauważył Hayden. – Podróżujemy przez nią już od kilku dni.

– Nie zamierzasz chyba zabrać tego na zewnątrz? – Martor obserwował z przerażeniem, jak Hayden ciągnie ścigacz w kierunku przedniego luku dla aerocykli. – Nie zamienisz się w bryłę lodu?

– Nie jest aż tak zimno. – Maszyna zaczęła dryfować, gdy minęli środek komory. Martor ustabilizował jej lot, napierając własnym ciężarem. – Chmury izolują powietrze – powiedział Hayden. – Więc temperatura nie spada poniżej pewnego poziomu. Zazwyczaj nie jest nawet mroźno. Hej, a może zabierzesz się ze mną na przejażdżkę? Mam zamiar sprawdzić, co ta dziecinka potrafi.

Martor cofnął dłonie, które do tej pory trzymał na aerocyklu.

– Oszalałeś? Nie mam zamiaru tam wychodzić.

– Dlaczego? Ja mam.

Dwóch pracowników hangaru, słysząc tę wymianę zdań, parsknęło śmiechem. Obaj siedzieli w pobliżu dużych, drewnianych drzwi, czekając na rozkaz ich otwarcia. Hayden skinął im głową. Mężczyźni niechętnie porzucili karty i zajęli pozycje przy kole wciągarki.

– Zaczekajcie! – Hayden i Martor spojrzeli na siebie. W drzwiach hangaru unosiła się postać ekscentrycznej zbrojmistrzyni, Mahallan. Jej sylwetka była bardzo interesująca, ale kobieta stała w przejściu jedynie przez chwilę, po czym podleciała do luku. – Czyżbyście wyruszali na nocny lot, chłopcy?

Hayden wzruszył ramionami.

– W obecnej sytuacji wszystkie loty muszą odbywać się w nocy.

– Hmm. Cieszy mnie, że pokonałeś swój strach przed zimą – powiedziała do Martora. Młody posłaniec oblał się rumieńcem i wyjąkał coś pod nosem.

– Posłuchajcie – ciągnęła Mahallan. – Chciałabym, żebyście coś dla mnie zrobili. Gdy już będziecie na zewnątrz - wiem, że będzie ciemno i prawdopodobnie nic nie będziecie widzieć - ale gdybyście wypatrzyli coś podobnego, to czy moglibyście mi to przynieść? – Kobieta otworzyła dłoń, w jej zagłębieniu leżało coś małego, powyginanego, przypominającego chromowaną osę.

Martor nachylił się.

– Co to?

Hayden chwycił przedmiot i obrócił w taki sposób, że małe skrzydła zalśniły w świetle lamp gazowych we wszystkich kolorach tęczy.

– Widziałem już wcześniej coś takiego – zadumał się. – Mimo to nie mam pojęcia, co to. Nie wygląda, jakby żyło.

– Nie w zwykłym tego słowa znaczeniu – odparła Mahallan. Kobieta przysiadła na jego aerocyklu, sylwetką przypominała anioła; wsparłszy się na łokciach dodała:

– To *tankowce*. – W jej głosie przebrzmiewała nutka satysfakcji.

Martor zrobił głupkowatą minę.

– Słucham?

– Tankowce. Ich maleńki odwłok jest pustym zbiornikiem. Zazwyczaj, gdy schwytasz jakiegoś i go otworzysz, w środku znajdziesz paskudne chemikalia takie jak borek pentafluorofenylowy litu, kwas metoksyfenyloborowy albo kwas naftylowo-borowy. Bardzo ciekawe. A jak myślicie, gdzie je zabierają?

– Nie mam pojęcia – powiedział Martor, który zrobił wielkie oczy na dźwięk tylu wielosylabowych nazw chemicznych.

– Do *wewnątrz* – wyjaśniła zbrojmistrzyni – w kierunku Candesce. – Złapała zawieszoną w powietrzu osę. – Znajdźcie ich więcej, jeśli zdołacie.

– Tak jest, madame. – Martor zasalutował, po czym zwrócił się do Haydena: – W takim razie ruszajmy w drogę.

Mężczyźni przy luku zakręcili kołem i brama dla aerocykli otworzyła się; za nią ział mrok. Gdy Mahallan znikła z pola widzenia, zapewne wróciwszy do swojego małego warsztatu, Hayden pochylił się nad Martorem i szepnął:

– Zapomniałeś o siodle dla pasażera. Jest tam. – Wskazał przedmiot palcem.

– Och. To znaczy, dzięki.

Mahallan opuściła hangar. Hayden spodziewał się, że Martor wycofa się ze swojej, podjętej pod wpływem impulsu decyzji, ale ten wrócił z siodłem i posłusznie wstrzymał się, dopóki Hayden nie przypiął go do aerocykla. Następnie niepewnie wdrapał się na siedzisko i czekał, podczas gdy jego towarzysz wyprowadził maszynę przez otwartą bramę, a potem pchnął na lekką bryzę, sekundę później podążając jej śladem.

– W ogóle nie jest zimno! – Martor zmrużył oczy i spojrzał przez ramię, gdy Hayden nieco szerzej otworzył manetkę gazu. Szybko oddalali się od *Gawrona*.

Aerocykl był zaskakująco cichy, więc Hayden mógł bez problemu odchylić się i powiedzieć:

– Tak jak mówiłem, chmury zatrzymują ciepło.

Teraz, gdy znaleźli się w zimie, wszystkie okręty korpusu ekspedycyjnego włączyły światła. W oddali chmury utworzyły tunel przechodzący w łagodny łuk, ale poza tym powietrze wokół nich było krystalicznie czyste. Stwarzało to doskonałą okazję, by nieco przyspieszyć, którą jednak młodzi piloci beznamiętnie ignorowali. Fakt faktem, lecieli z prędkością dwudziestu lub trzydziestu mil na godzinę, a przecież każdy z tych okrętów mógł rozwinąć pięciokrotnie większą szybkość bez nadwerężania silników.

– Może sprawdzimy, na co go stać? – spytał Hayden. Nie czekając na odpowiedź Martora, chwycił manetkę gazu i przekręcił ją. Pomruk silnika odrzutowego przerodził się w ryk, przy wtórze którego wystrzelili do przodu w świetle reflektora umieszczonego na dziobie *Gawrona*.

Martor poklepał go po plecach.

– Przestań się popisywać!

Hayden parsknął śmiechem.

– Nie ma mowy! Spójrz za siebie!

Młody posłaniec obrócił się niezgrabnie i gwałtownie nabrał powietrza. Hayden wiedział, że zostawiona przez nich smuga kondensacyjna w kształcie korkociągu będzie widoczna w snopie lampy czołowej *Gawrona* jako ognista nić.

– Daj spokój, Martor. Pościegujmy trochę!

Aerocykl był w stanie rozwinąć prędkość nawet dwustu mil na godzinę. Przez kilka kolejnych minut chłopak wyciskał z maszyny siódme poty, rysując kolejne linie równoległe do kursu krążownika. Takie manewry nazywano ściegowaniem. Podążanie śladem własnych smug kondensacyjnych było najbezpieczniejszym rozwiązaniem przy takiej prędkości; gdyby wleciał w chmurę lub oddalił się za daleko o źródeł światła, mógł zabić siebie i Martora, wlatując w niewidoczną przeszkodę.

Skulony za owiewką, mimo wszystko czuł szarpnięcia powietrza przelatującego zaledwie kilka centymetrów nad jego głową. Wcześniej ostrzegł Martora, żeby nie wystawiał głowy - ani rąk i nóg - chyba że chciał, aby mu je urwało. Aerocykl sprawiał się nad wyraz dobrze, dzięki czemu Hayden szybko nabrał wprawy.

– Dobra! – rzucił w końcu. – Zbadajmy okolicę. – Zmniejszył nieco prędkość i skierował maszynę w stronę otaczających ich chmur. Gdy mieli właśnie wlecieć w ogromny obłok w kształcie purchawki, zawrócił

aerocykl, po czym dodał gazu; kabel uziemiający, który ciągnął się za nimi, wystrzelił w chmurę, krzesząc iskry.

– Czy to na pewno dobry pomysł? – Jeszcze minutę temu Martor krzyczał co sił z ekscytacji. Hayden zrozumiał, że chłopak boi się wszystkiego, co nowe.

– Doskonały. – Teraz, gdy już pozbyli się nadmiaru ładunków statycznych, mogli bezpiecznie wlecieć w chmurę, co dało się zauważyć jedynie po spadku temperatury oraz nagłym pojawieniu się stożka światła przed lampą czołową aerocykla. Hayden spojrzał za siebie; *Gawron* zniknął im z oczu.

Martor poklepał kolegę po ramieniu.

– J-jak zlokalizujemy nasz statek?

– O tak. – Hayden wyłączył silnik. Gdy umilkł jego wizg, usłyszeli odległy pomruk pozostałych okrętów, który wydawał się dochodzić ze wszystkich stron jednocześnie. – Jeszcze chwila.

Dźwięk syreny mgłowej pośród ciemności rozbrzmiał nisko i donośnie.

– Z której strony było go słychać? – spytał Martora.

– Stamtąd? – Posłaniec wskazał palcem kierunek.

– Zgadza się. Nie odlecimy zbyt daleko. Chcę jedynie zobaczyć, co leży po drugiej stronie tych chmur. – Ponownie odpalił silnik.

Mgła zdawała się ciągnąć w nieskończoność, przypominając pustą, srebrzystą otchłań. Jednak po kilku minutach Hayden zaczął dostrzegać w świetle lampy czołowej połyskliwe, perłowe paciorki, przemykające po obu stronach aerocykla. Gdy zwolnili, Martor wyciągnął rękę po jeden z nich. Koralik rozpadł się w jego dłoni na milion kropel. Kule wody stawały się coraz większe i liczniejsze.

– Czy któraś z nich byłaby w stanie zgasić silnik? – spytał nerwowo Martor.

– Jakaś większa, może – odparł Hayden. – Na przykład ta. – Wykonał zwrot, unikając migotliwej piłki wielkości ludzkiej głowy.

Widoczność była coraz lepsza. Sunęli teraz przez prawdziwą galaktykę wirujących, połyskliwych kropel wody, zarówno maleńkich, jak i takich rozmiarów człowieka. Odbicia oraz refrakcje snopa z reflektora rozświetlały chmurę milionami opalizujących łuków i błysków.

Martor milczał. Hayden spojrzał na niego przez ramię; chłopak z otwartymi ustami chłonął wszystkie widoki.

– Spójrz. – Hayden wyłączył silnik. Wykorzystując impet maszyny, podleciał do mokrej skały, która wisiała majestatycznie pośród wody. Miała nie więcej jak pół metra średnicy.

– No i? – rzekł do Martora. – Nie zamierzasz zająć tego skrawka ziemi w imieniu Slipstreamu?

Chłopak roześmiał się i sięgnął po skalny odłamek.

– Ale nie w ten sposób! – Trzymając jedną rękę na aerocyklu, Hayden wyskoczył z siodła, po czym uczepił się skały nogami. – Musisz siedzieć na skrawku ziemi, żeby rościć sobie do niego pretensje.

– Ogłaszam tę ziemię – zaczął – własnością... – *Aerie*.

– Haydena Griffina! – wrzasnął Martor.

– Jasne, jasne. Ogłaszam ją suwerennym stanem Haydena. Uch, jest cała mokra. – Odepchnął się od skały i ponownie usadowił za owiewką aerocykla.

– Nie wiedziałem, jak tu jest – powiedział Martor. – Wychowywałem się w Rushu.

– Co tak w ogóle tutaj robisz? Jesteś tylko... – Miał zamiar powiedzieć „tylko dzieckiem”, ale podejrzewał, że Martorowi by się to nie spodobało. – Nie wyglądasz mi na ochotnika.

– Zostałem wcielony siłą – odparł chłopak, wzruszając ramionami. – Nie przeszkadza mi to. Miałem do wyboru to albo sierociniec. Już rok jestem we flocie, ale po raz pierwszy opuściłem doki.

– Więc pewnie nie wiesz za dużo o flocie - na przykład o admirale?

– Wprost przeciwnie. – Martor rzucił mu gniewne spojrzenie. – Chaison Fanning jest najmłodszym admirałem w historii. Awans otrzymał po wykonaniu jakiejś tajnej misji dla Pilota, wiele lat temu. Tyle, że nie bardzo chce o tym rozmawiać. Widziałem kiedyś, jak spalił cegłę, gdy ktoś tylko o tym wspomniał.

– Może dostał go dzięki żonie – spekulował Hayden. – Jest przynajmniej równie niebezpieczna jak on.

– Ach, jest ładna, to nie ulega wątpliwości – powiedział chłopak.

– W zasadzie – odparł oschle Hayden – miałem na myśli niebezpieczna w sensie „wsadzi-ci-kulkę-między-oczy”. Ale masz rację, jest ładna.

Hayden westchnął i wbił spojrzenie w ciemność.

– Cóż, mam nadzieję, że będziesz miał szansę zobaczyć więcej świata. Nie wszystko wygląda tak jak tutaj – posłał mu szelmowski uśmiech. –

Mrok... kryje różne rzeczy.

Martor wyglądał na wystraszonego.

– Wcześniej mówiłeś co innego!

– Wiesz, nigdy niczego dziwnego nie widziałem, ale obiły mi się o uszy różne historie. Na przykład o czarnych słońcach. Słyszałeś o nich?

Oczy Martora zrobiły się wielkie jak spodki.

– Pirackie słońca. Są małe, słabe i ogrzewają jedynie paru kilku mil, ale to wystarczy, by kilka miast mogło się rozwijać. Na dodatek ich światło filtruje się przez otwory, kierując je tylko na miasta i na nic innego. Nazywają je czarnymi słońcami, a każde otaczają zdobyte przez piratów okręty, zbite w chmury wraków skrywające blask miast... Migrują, podobnie jak Rush i mogą być wszędzie...

– Zmyślasz to wszystko.

– Prawdę powiedziawszy, wcale nie. – Chłód coraz bardziej dawał im się we znaki, dlatego Hayden na nowo zbudził silnik do życia. – Powinniśmy wracać.

Ruszyli w kierunku usłyszanej ostatnio syreny mgłowej, przez jakiś czas milcząc. Gdy chmura wody została za nimi, ponownie zastąpiona przez mleczny opar, pierwszy odezwał się Martor:

– Myślisz, że wrócimy do domu? To znaczy, po tym wszystkim, co mamy tam do zrobienia.

Hayden zmarszczył brwi.

– Nie wiem. Ja... na to nie liczyłem. – *Do czego niby miałbym wracać?* Jednak głośno tego nie powiedział.

– Myślisz, że coś z zimy zagraża Slipstreamowi?

– Wątpię.

– A co ze zbrojmistrzynią?

– Hmm? Co z nią?

– Podsłuchałem rozmowę kilku oficerów. Mówią, że ona... nie jest stąd. Nie z tego świata.

– Co masz na myśli, mówiąc „nie z tego świata”?

– Nie z Virgi. Ale to nie ma sensu, prawda?

Hayden zadumał się nad jego słowami. Mahallan miała zabawny akcent, ale to o niczym nie świadczyło. Przez głowę przemknęły mu słowa rodziców rozmawiających o wszechświecie poza Virgą; spróbował przypomnieć sobie, co na ten temat mówił jego ojciec.

– Istnieją również inne miejsca, Martorze. Miejsca składające się w całości ze skał albo w całości z wody, tak jak Virga jest w całości z powietrza. Możliwe, że ona pochodzi z jednego z tych miejsc. Koniec końców, chodzą pogłoski, że wszyscy stamtąd pochodzimy.

– Och, teraz to już... – Martor przełknął to, co chciał powiedzieć, gdy przed nimi wyrósł olbrzymi kształt. Był to jeden z okrętów floty, ale nie*Gawron*.

– Witamy w domu – powiedział Hayden. – Poszukajmy naszej łajby.

– Hej! Nie nazywaj *Gawrona* łajbą! – Przyspieszyli wzdłuż burty statku i śmignęli przed jego dziobem. Hayden miał zamiar wykonać zwrot, a następnie zlokalizować resztę okrętów po światłach, dlatego wyprzedził aerocykle obserwacyjne i wleciał w mrok.

Miał zaledwie kilka sekund na to, by w nagłym zaskoczeniu zobaczyć wycelowany prosto w niego promień światła, który szybko okazał się zniekształconym snopem z lampy czołowej aerocykla, wypluć z siebie stek przekleństw i zawrócić ścigacz, niemal zrzucając Martora z siodełka. Ledwie udało mu się wcisnąć guzik syreny ostrzegawczej, unikając przy tym kolizji ze ścianą ciemnej wody całkowicie przesłaniającej niebo.

W ostatniej chwili zmienił kierunek lotu, po czym bezsilnie patrzył, jak okręt, który minęli przed chwilą, przy wtórze syren kolizyjnych wypuszcza awaryjne żagle hamulcowe. Za późno: krążownik majestatycznie wbił się w falujący mur i zniknął w chmurze piany oraz mgiełce drobniutkich kropel.

Szperacze omiotły rozbity statek - choć w zasadzie nie tyle się rozbił, co zaklinował. Powierzchnia morza ginęła we mgle we wszystkich czterech kierunkach, natomiast chmury tworzyły kolejny mur bezpośrednio za sześcioma wolnymi okrętami, których reflektory wycelowano w pechowy statek. Snopy światła odbijały się od nienaruszonych burt i wpadały do wody, tworząc rozproszoną, błękitną aurę, przyciągającą ryby.

Dręczyciel utknął w wodzie do trzech czwartych długości, a jego żałośnie sterczący ogon otaczała aureola kropel. Hayden i Martor obserwowali z hangaru *Gawrona* jak ekipy inżynierów i cieślów rzucają liny holownicze w stronę innych okrętów. Bryza - chłodna, wilgotna i przenikliwa - prowadziła zmagania z cieplejszym powietrzem wewnątrz statku, sporadycznie marszcząc powierzchnię morza.

– Kto włączył syrenę? – spytał ktoś za plecami Haydena.

– Ja – odparł chłopak bez zastanowienia.

– Nie jesteś jednym z ich obserwatorów. – Gdy się obrócił, okazało się, że głos należy do admirała Fanninga, który unosił się w powietrzu na środku hangaru, w otoczeniu niższych rangą oficerów.

– S-słucham? – Hayden czuł się, jakby ktoś kopnął go w żołądek. Przez tyle lat nienawidził tego człowieka, że sam pomysł rozmawiania z nim wydawał mu się absurdalny.

– Odbywał lot treningowy z mojego rozkazu. – Pozbawiony wyrazu sługa Venery, Carrier, krył się w cieniu.

– Ach. – Fanning potarł podbródek. – Nie mogę się zdecydować, czy to ostrzeżenie przyniosło więcej szkody czy pożytku. Gdyby nie próbowali wysunąć masztów hamulcowych, to te nie złamałyby się przy zderzeniu z powierzchnią wody. Nie wątpię jednak, że miałeś dobre intencje. – Zmierzył Haydena wzrokiem, jakby dopiero go zauważył. – Jesteś jednym z cywilów.

– Tak, panie admirale. – Chłopak czuł, że płoną mu policzki. Chciał uciec i zaszyć się gdzieś.

Dowódca floty wyglądał na rozczarowanego.

– Och. No cóż, dobra robota.

– Światła! – krzyknął ktoś od strony absurdalnie sterczącego ogona *Dręczyciela*. – Światła!

– Co tam się wyprawia? – Tuż obok Haydena Fanning wyjrzał przez wrota hangaru. Na jego twarzy malowała się ciekawość.

– Wyłączyć światła! Wyłączyć wszystkie światła! – Jeden z brygadzistów, krzycząc, dramatycznym gestem wskazywał na wodę.

Fanning skrzyżował z nim spojrzenia, po czym powiedział:

– Zróbcie, jak mówi. – Zajęło to kilka minut, ale w końcu szperacze i lampy czołowe zostały wygaszone, jedna po drugiej, pozwalając cieniom tańczyć w morzu, które przybrało kolor indygo.

– Tam! – Niewyraźna sylwetka brygadzisty znów wskazała coś ręką. Hayden wyciągnął szyję wraz z innymi. Mężczyzna wysunął palec w kierunku plamy wody w pobliżu *Dręczyciela* - plamy, gdzie nagle i wbrew wszelkiej logice błysnęło światło.

Gdy Hayden po raz pierwszy zobaczył rozmiary tego morza, nie był jeszcze pewien. Teraz nie miał już wątpliwości.

– To tylko świecąca ryba! – krzyknął ktoś drwiąco. Ale nie miał racji. Gdzieś w głębi kilkumilowej kuli wody, w którą uderzył *Dręczyciel*, jarzyły się latarnie.

– Rozpoznanie! – rozkazał Fanning grupie oczekujących aerocyklistów. Ich dowódca zasalutował i oddział rozpierzchł się we wszystkich kierunkach. Smugi kondensacyjne otoczyły sferyczne morze niczym cieniutkie, chwytne palce. Niemal natychmiast jedna z maszyn zawróciła. Kierujący nią pilot wyłączył silnik i z dużą prędkością przedryfował obok *Gawrona*.

– Jest wejście! – krzyknął. – Pół mili w tę stronę.

Hayden skinął głową sam do siebie. W kulę wody można było wkopać się z równą łatwością, co w piach lub skałę. Farmerzy często używali takich szybów jako chłodni. Zważywszy na słaby blask, ci którzy wykopali ten tunel tutaj, doprowadzili go naprawdę głęboko. Ilość źródeł światła sugerowała natomiast, że w lodowatej wodzie wykuto więcej niż tylko jedno pomieszczenie.

– *Warea* – mruknął. Zwrócił się do Martora. – To może być Warea.

– Hę? – Martor wybałuszył oczy. – O czym ty gadasz?

– Warea. To jedno z miast, o którym... słyszałem, gdy... gdy żyłem z ludźmi, dla których zima była głównym źródłem utrzymania. Słyszałem, że Wareę wykopano we wnętrzu małego morza w ramach obrony przed piratami.

– Znasz to miejsce? – Fanning ponownie go zauważył. Hayden przeklął w duchu swoją gadatliwość.

– To mała, niezależna stacja – powiedział do admirała. – Paranoicznie boją się piratów i wojska. Raczej nie spodoba im się widok waszych statków tutaj, sir.

– Hmm. Ale mogą mieć jakieś materiały, które będą nam potrzebne do naprawy masztów *Dręczyciela*, prawda? – Fanning zmrużył oczy, spoglądając w kierunku odległego blasku. – Zapewne wysłali już nurków, żeby obserwowali nasze próby wydobycia okrętu. Trudno będzie nam ukryć fakt, że mają do czynienia zwojskowymi... – Przez chwilę dumał, po czym skinął głową. – Ty, chłopiec, Carrier idwóch cieślów. Pójdziecie tam i wynegocjujecie zakup. Brygadzista da wam manifest ładunkowy. Powiecie, że chcemy tylko kupić potrzebne zapasy.

– Ale dlaczego my?

– Ty, ponieważ znasz to miejsce. Chłopak, bo wygląda niegroźnie. Carrier to samo, poza tym wszyscy jesteście cywilami. – Spojrzał spode łba na sfatygowaną koszulę i spodnie Haydena.

– Sir! – Zbrojmistrzyni, Mahallan, wyłoniła się spod pokładu. – Ta osada - mogą mieć coś, czego potrzebuję.

– W takim razie ja też lecę. – Venera Fanning pojawiła się znikąd.

Gdy przelatywała obok admirała, ten spiorunował ją wzrokiem.

– Nie ma mowy.

– To mój pilot. – Kobieta wskazała Haydena. – Przyjmuje rozkazy ode mnie.

– Jestem jedyną osobą, która będzie wydawać rozkazy na tym statku. – Fanning odwrócił się do niej plecami. Oczy Venery zwęziły się, ale po chwili twarz kobiety złagodniała. Nawet pojawił się na niej dobroduszny uśmieszek, odwzajemniony przez jej męża. Hayden był zaskoczony; jeszcze nigdy nie widział Venery tak uległej, nie podejrzewał nawet, że to możliwe.

Jeden z cieślów położył mu rękę na ramieniu.

– Przestań się gapić, tylko bierz swój płaszcz, chłopcze. Ruszamy do miasta!

– Żadnych znaków – mruknął Slew, naczelny cieśla. Hayden spojrzał na niego z niedowierzaniem. Było jasne, że nikt nie zamierzał wystawiać przed wejściem do Warei kolorowych znaków.

– Ma pan na myśli takie w stylu „Obrabujcie mnie”? – spytał.

– Jak to działa? – Mahallan zeszła z przyczepki aerocykla, gdy Hayden wyciągnął rękę, by przypiąć linę do najbliższej rozpory we framudze wejścia. Unosili się tuż przed ciemnym szybem prowadzącym w głąb miasta; nikt nie wyszedł im na spotkanie. Nie musiała zadawać tego pytania. Rusztowanie wystawało dobre trzy metry z wody, dość, by można było się domyśleć, jak przygotowano całą konstrukcję.

– To proste – odparł chłopak, uderzając ręką półprzezroczystą ścianę szybu; wywołał tym dźwięk przypominający dudnienie bębna. Budowniczy Warei skonstruowali prosty szkielet z drewna przypominający ten, z którego wznoszono tuby dokowe w Rushu, a następnie owinęli go papierem woskowym. Potem wcisnęli całość w bok morza, jak igłę pod skórę olbrzyma. Z bliska dało się dostrzec prążki plątorostów zebranych pod powierzchnią wody. Mieszkańcy miasta zapewne hodowali te zwierzęta – bo nie była to roślina – by zapewnić ogromnej kuli wody wewnętrzną spójność. Bez całej tej konstrukcji morze mogłoby zostać rozdarte przez silniejszy podmuch wiatru.

Szyb prowadził prawdopodobnie donikąd. Widzieli nieprzenikniony, czarny otwór w wodzie, jednak lekkie podmuchy wiatru co chwila łaskotały czoło Haydena, a jego aerocykl powoli był wciągany do środka.

– Tracimy czas. – Carrier zagłębił się w mrok, szybko przebierając w powietrzu płetwami. Hayden zeskoczył z aerocykla i gestem nakazał Martorowi lecieć za sobą. Mahallan była już w środku, w towarzystwie obu cieślów.

Nic nie wskazywało na to, że wkraczają do świata wody. Tunel zbudowano z drewnianych bali, podobnie jak wszystkie rusztowania w stanie nieważkości. W słabym świetle lamp to, co czuli pod stopami, mogło uchodzić za kamień. Jedynie lepki chłód sugerował bliskość morza.

– Spodziewałabym się, że ściany powinny się wybrzuszać albo coś w tym rodzaju – powiedziała Mahallan. – Ale tego nie robią, rzecz jasna. Brak ciążenia oznacza brak ciśnienia.

– Słyszałem już gdzieś to słowo – powiedział Martor nazbyt poufałym tonem. – *Ciążenie*. Powodują je obroty, prawda?

Mahallan, która do tej pory przeskakiwała od jednego uchwytu ściennego do drugiego, nagle zatrzymała się i spojrzała na chłopaka. Pomimo półmroku dało się dostrzec, że jej oczy zrobiły się ogromne.

– Czasami zapominam – mruknęła – że ze wszystkiego, co tu spotykam, najdziwniejsi są ludzie, z którymi rozmawiam.

– Co to miało znaczyć? – Ale ona już odwróciła się do niego plecami. Prowadzący całą grupę Carrier krzyknął, żeby się uciszyli.

Otaczały go migotliwe snopy światła z kilku nakręcanych latarni. Za jego plecami tunel otwierał się na obszerną komnatę – sześcienną komorę wyłożoną papierem woskowym, o długości blisko piętnastu metrów. Hayden zdał sobie sprawę, że mieli przed sobą hangar wypełniony aerocyklami i innymi latającymi maszynami. Powietrze było tutaj chłodne i wilgotne, ale sześciu mężczyzn, którzy wycelowali swoje strzelby w nowo przybyłych, wydawało się nie zwracać na to uwagi. Wszyscy mieli na sobie identyczne stroje z ciemnej skóry i nawet ich pociągłe, blade twarze były do siebie podobne. Wyglądało to na dość skromny komitet powitalny, lecz Hayden był przekonany, że ledwo dostrzegalny ruch za papierowymi ścianami zdradzał obecność ludzi ukrytych w wodzie na zewnątrz.

– Czego chcecie? – spytał ich przywódca, wyraźnie najstarszy z grupy, być może ojciec pozostałych?

– Pohandlować – odparł Carrier. – Szukamy materiałów ciesielskich. Zapłacimy każdą cenę, którą uznacie za odpowiednią.

– Niczego nie sprzedajemy – rzekł starszy mężczyzna. – Wracajcie, skąd przyszliście.

Zapadła cisza; Carrier zawisł nieruchomo.

– Co teraz? – szepnęła Mahallan do Haydena. – Będzie im groził?

Hayden pokręcił głową.

– Szkoda naszego czasu na walne bitwy o kilka gwoździ i desek, i oni dobrze o tym wiedzą. Nie mam pojęcia, co on... – Zamilkł, ponieważ Carrier znów zaczął mówić.

– Jak widzicie, nasza ekspedycja aerograficzna jest dostatecznie dobrze przygotowana, by poradzić sobie *bez* waszej pomocy. Jednak znacząco skróciłoby to nasz pobyt tutaj.

– Aerograficzna? – Na twarzy przywódcy odmalował się niepokój. – A co takiego nanosicie na mapy?

– Och, tylko różne obiekty z tej części zimy – rzucił Carrier, machając od niechcenia dłonią. – Lasy, kamienie, jeziora – wszystko, co kiedyś mogłoby naruszyć naszą przestrzeń. Lub też mogło być przydatne czy też posiadało jakąkolwiek wartość militarną.

– My na pewno nikomu się nie przydamy – odparł ten starszy. Wyraźnie był już spięty. – Wolelibyśmy, by zostawiono nas w spokoju.

– Cóż – mruknął Carrier – w takim razie jestem pewien, że udałoby mi się przekonać kapitana, by zostawił na mapie jedną lub dwie białe plamy. Znaczy się, jeśli otrzymamy coś w zamian.

– Zaczekajcie tu. – Mężczyzna opuścił komorę przez zwyczajnie wyglądające drzwi wprawione w ścianę na drugim końcu hangaru. Kilka minut później wrócił z nietęgą miną. – Chodźcie za mną. Otrzymaliście pozwolenie na handel.

W ten oto sposób uzyskali dostęp do Warei i dowiedzieli się, jak wyrzutkowie oraz uciekinierzy żyli w pustych przestrzeniach pomiędzy państwami. Ściany krótkiego korytarza pomiędzy hangarem a kompleksem otaczała poświata odległych latarni; długie cienie rzucane na papierowe ściany sugerowały jakiegoś rodzaju wielowarstwową barierę pomiędzy lodowatym morzem a miasteczkiem. Istotnie, gdy przekroczyli próg kolejnych drzwi, temperatura odczuwalnie wzrosła, zaś wilgotność spadła. Sylwetki ludzi idących przed Haydenem rozstępowały się jedna po drugiej, odsłaniając przed nim coraz więcej przestrzeni, aż w końcu i on znalazł się w jej wnętrzu, z otwartymi ustami oglądając przepastną jaskinię Warei.

Tak naprawdę był to po prostu sześcienny hangar, tyle że o długości kilkuset metrów. W jego wnętrzu kłębiła się mieszanina wielobocznych budynków, łączących się jeden z drugim albo przymocowanych do zewnętrznych uchwytów sterczących ze ścian. Z głównej komory wychodziły niezliczone przejścia. Niektóre z nich kończyły się niemal od razu ścianami galaretowatej wody, podczas gdy inne prowadziły dalej, a ich blade kontury można było śledzić pomimo papierowych ścian jaskini. Całe miejsce cuchnęło paloną naftą i zgnilizną, ale przynajmniej było ciepło.

Wielkie, przemysłowe latarnie, napędzane terkoczącymi wiatraczkami nie pozwalały, aby mieszkańcy mogli czuć się przygnębieni. Ci zaś nie kryli wrogości wobec grupy prowadzonej przez Carriera zatłoczoną trasą. Miejscowa starszyzna, która zezwoliła im na wejście, dyskretnie się wycofała albo postanowiła pozostać anonimową w ogromnej masie ludzi. Carrier wstrzymał pochód, chcąc spytać o drogę, a Hayden skorzystał z okazji, aby lepiej przyjrzeć się tutejszym. Ich wygląd budził znajome skojarzenia – byli bladzi, chudzi i posępni; to wyrzutkowie, którzy wciąż pamiętali dorastanie w świetle słonecznym. Mogli wydawać się nieszczęśliwi, ale nie wykazywali żadnych objawów braku ciążenia.

Dlaczego tak było, chłopak zrozumiał kilka minut później. Przeciwległa ściana sześcianu pozostawała w ciągłym ruchu – kołysała się w górę i w lewo z nieustannym dudnieniem, od którego drżały ściany. Jaskinia stanowiła zaledwie ułamek Warei. W morzu zatopiono całe miasto. Jego wirująca część przechodziła przez ogromny sześcian niczym potężna piła tarczowa wżynająca się w blok drewna. Hayden obserwował jak domy, sklepy i targowiska nieprzerwanie w obrotowym ruchu wyłaniają się ze ściany sześcianu, po czym znikają pod sufitem.

– To wcale nie takie małe miejsce – mruknął Carrier. – Mają tu dwa targowiska. Suchy prowiant tam na kole, zbrojmistrzyni, a materiały budowlane tutaj.

– W takim razie się podzielimy – zaproponowała uprzejmie Mahallan.

– Dołączę do was za kilka minut – skwitował jej słowa nie do końca przekonany Carrier. – Uważajcie na siebie.

Hayden, Martor i zbrojmistrzyni obserwowali jak inni znikają w chmarze ludzi krążących po targowisku. Plac zastawiony był ogromnymi koszami wypełnionymi białymi cegłami i belkami.

– Wygląda na to, że szybko znajdą to, czego potrzebują – w głosie Mahallan czuć było niepokój. – Pospieszmy się, żeby nie musieli na nas czekać.

Hayden wzruszył ramionami i ruszył w stronę osi wielkiego koła.

– Nie widziałem tam żadnego drewna – skomentował.

– Więc czym były te białe belki?

– Tym samym, z czego zbudowano te domy. – Chłopak skorygował kurs, dotykając jednej ze ścian. Powierzchnia z białych cegieł lekko zafalowała. – Z papieru. Techniką orgiami składają cegły i dźwigary, tworząc z nich

trójkątne odcinki, a następnie wypełniają je wodą. W rezultacie otrzymują budulec, który jest jednocześnie sztywny i niekompresowalny.

– Naprawdę? – Kobieta wyglądała, jakby chciała się zatrzymać i podziwiać miejscową architekturę. Hayden sunął naprzód; uciekłszy przed wścibskim wzrokiem Carriera, mógł w końcu załatwić własne sprawy.

Mahallan i Martor dogonili go, gdy wchodził do środka wielkiej, pękatej osi koła. Jeden miejscowy ponurak minął ich, młócąc w powietrzu zniszczonymi płetwami. Zbojmistrzymi odprowadziła go wzrokiem.

– Co to za ludzie? – spytała. – Nie wydają się zbyt zadowoleni z tego, że tu jesteśmy.

– To w większości uchodźcy – powiedział Hayden. – Część z nich to mieszkańcy Aerie, które zostało podbite przez Slipstream jakieś dziesięć lat temu. Część to piraci.

– To*pirackie* miasto? – Mahallan zaśmiała się radośnie w momencie, gdy pokonywali ostatnie metry krętych schodów prowadzących na krawędź koła.

W miejscu, gdzie krzywa schodów stała się łagodniejsza, uchwyty na ręce zastąpiono stopniami, początkowo niezwykle stromymi. Gdy Hayden wykonał obrót i stanął stopami na twardym gruncie, powiedział:

– Pytałaś, kim są ci ludzie. A ty? Kim ty jesteś? Wydajesz się nie znać podstawowych zasad rządzących światem, a mimo to jesteś naszą zbrojmistrzynią. To trochę...

– Dziwne? – Mahallan wzruszyła ramionami. – Pytanie jak najbardziej na miejscu, ale jestem zaskoczona, że nikt wam nie powiedział. Nie pochodzę z Virgi.

– Mówiłem – rzekł bezgłośnie Martor, stojący za jej plecami.

– Więc skąd..?

Niemal pionowa klatka schodowa zmieniła swoją geometrię, gdy zeszli poniżej poziomu dachów. Z każdym krokiem coraz silniej odczuwali własny ciężar oraz znajome uczucie wirowania. Znalazłszy się pod wpływem ciążenia, Mahallan jakby zmalała. Zazwyczaj pogodną twarz wykrzywił grymas niezadowolenia.

– Trudno będzie mi odpowiedzieć na to pytanie – powiedziała. – Mój świat w niczym nie przypomina waszego. Zapewne sądzicie, że mam na myśli to, że pochodzę z planety z kontynentami, górami i tak dalej. – Hayden nigdy wcześniej nie słyszał tych słów, ale zachował kamienną

twarz, podczas gdy jego rozmówczyni ciągnęła dalej. – Ale zasady rządzące... rzeczywistością... że tak to ujmę... są nieco inne w moim świecie. Tożsamość i położenie to płynne kwestie. Zbyt płynne. Zbyt przypadkowe. Tu bardziej mi się podoba.

Pokręcił głową.

– Nic z tego nie rozumiem.

– To dobrze. – W jej uśmiechu więcej było smutku niż radości. – To znaczy, że ciągle możemy być przyjaciółmi.

Dotarli na poziom ulicy.*Dół* był teraz wyraźnie odczuwalny. I choć siła grawitacji nie działała idealnie prostopadle w stosunku do podłoża, lecz pod sporym kątem, co kompensowało ruch obrotowy miasta, to Hayden czuł się komfortowo.

– To mi wygląda na targowisko – powiedział, wskazując palcem.

– Doskonale. – Mahallan rozpromieniła się. – Potrzebuję kilku składników chemicznych. Najprawdopodobniej trzymają je razem ze zwykłymi materiałami codziennego użytku...

– Posłuchajcie, dogonię was – odezwał się Hayden. – Muszę, umm, skorzystać z wygódki.

– Ach, cóż, niech będzie. Znajdziesz nas na targowisku. – Oddaliła się wraz z Martorem, prowadząc z nim ożywioną rozmowę. Griffin obserwował ich przez minutę, po czym ruszył w przeciwnym kierunku.

Zabierając wcześniej swój płaszcz z kajuty, miał chwilę czasu na skreślenie kilku linijek tekstu. Poskładany skrawek papieru w jego kieszeni wydawał się ważyć tonę. Nawet teraz, gdy nerwowo wyglądał miejscowego urzędu pocztowego, wciąż wątpił w słuszność swojej decyzji.

W liście napisał:

Do Mieszkańców
Zamaskowanej, Podwyższonej Platformy na Czternastej Rozporze
Cylinder Drugi Pierwszego Kwartetu
Rush, Slipstream

6. Recesji, Rok 1580 A.V.

Siedem okrętów sił ekspedycyjnych Slipstreamu 1. dnia Recesji odłączyło się od floty wpobliżu diametralnej granicy Aerie. Statki te to: Zryw,

*Dręczyciel, Niewidzialna Dłoń, Strzała Rushu, Jasność, Aresztoraz Gawron. *GAWRONEM DOWODZI ADMIRAŁ FANNING.**

Okręty przez cztery kolejne dni kontynuowały podróż diametralnym kursem na zewnątrz Aerie, po czym zatrzymały się przy zimowym mieście Warea. Ostateczny cel podróży wciąż jest NIEZNANY, jednak wszystkie statki wyposażone są wsystemy zimowej nawigacji i dobrze zaopatrzone. Sprawa wygląda na pilną. W ekspedycji udział bierze również Lady Fanning oraz zbrojmistrzyni spoza Virgi imieniem Aubri Mahallan.

Niezależnie od ostatecznego celu ekspedycji, brak wymienionych okrętów wgłównych siłach floty może zdecydować o równowadze strategicznej.

Wasz Niechętny Rekrut

Nadawanie poczty w zimie było loterią. Nie istniały regularne kursy, a system opierał się na wymianie worków z korespondencją pomiędzy statkami. Rzadkością byli kurierzy, którzy dostarczali dedykowane przesyłki, unikając piratów, złej pogody oraz bestii zamieszkujących otchłań. Zatrudniano ich jedynie w przypadku przesyłek do rąk własnych – bez żadnych pytań. Zważywszy, że miał zamiar odpowiednio za to zapłacić, Hayden był niemal pewien, że jego mała koperta dotrze tam, gdzie trzeba.

W miasteczku nie było urzędu pocztowego, jednak kiedy zapytał kilku miejscowych, zaraz został skierowany do pewnej spelunki. Okazało się, że tamtejszy barman zajmował się tą niewielką liczbą listów, która wychodziła z miasteczka.

Hayden dotarł właśnie na miejsce i sztywnym krokiem szedł w kierunku drzwi, gdy na jego ramieniu spoczęła czyjaś dłoń.

– Trochę się spóźniłeś – warknął ktoś.

Chłopak obrócił się, by stanąć twarzą w twarz z mężczyzną.

– Czy my się... – Ale tak, znali się.

Z ziemiście bladej twarzy spoglądały na niego jasnoszare oczy.

– Miałeś się z nami spotkać w dokach jakiś... rok temu? Dopiero co ci zaufaliśmy, a pierwszego dnia, którego spuściliśmy cię z oczu, prysnąłeś.

– Zostałem zatrzymany, Milson – powiedział Hayden, robiąc krok w tył.

– Zatrzymany, jasne. – Twarz mężczyzny wykrzywił szyderczy uśmieszek. – Dezercja to przestępstwo, mały szczurku. – Poluzował miecz w pochwie. – Lepiej będzie, jeśli pójdziesz ze mną.

– Przepraszam – powiedział Carrier, który pojawił się znikąd. Posłał Milsonowi mdły uśmiech, po czym odwrócił się do Haydena. – Gdzie są pozostali?

– Umm, ulicą w tę stronę. Posłuchaj, ja...

– W takim razie chodźmy tam. – Carrier chwycił chłopaka za ramię i zawrócił go, uśmiechając się lekceważąco do Milsona.

– O, nie ma mowy... – Hayden usłyszał za sobą zgrzyt dobywanego miecza; chwilę później Carriera nie było już obok niego. Do jego uszu dotarł świst i ciche „urk”, ale sekunda, jaką zajęło mu obrócenie się, wystarczyła, by przegapił całą sytuację. Carrier i Milson szli w kierunku bocznej alejki; Carrier obejmował ramieniem zatłuszczone barki Milsona i jedynie uważny obserwator zauważyłby, że stopy tego drugiego nie dotykały podłoża.

Mężczyźni zniknęli w bocznej uliczce. Raz, dwa, trzy, cztery... Carrier wyłonił się zza rogu, otrzepując ręce. Znów był tym samym spokojnym biurokratą, co zawsze. Uśmiechnął się do mijanej staruszki, po czym nieśpiesznym krokiem dołączył do Haydena.

– O co chodziło? – spytał oschłym tonem, zupełnie nie pasującym do jowialnego wyrazu twarzy.

– Uch... najwyraźniej nie w smak im okręty wojenne na progu – improwizował Hayden. – Chyba właśnie uniknąłem obrabowania. Dzięki.

– Nie przysłali mnie tu, żebym po tobie sprzątał – syknął Carrier. – Zapamiętaj to sobie: jeśli będzie jakiś następny raz, to pośmieję się razem z tłumem, gdy będą cię zarzynać. – Uśmiechnął się. – A teraz sprawdźmy, czy pozostałej dwójki nie spotkała podobna historia.

Hayden wcisnął rękę do kieszeni. Nim przeszedł dwadzieścia kroków, zdążył zmiąć wiadomość w małą kulkę; gdy Carrier na chwilę odwrócił głowę, ze złością cisnął ją na stertę śmieci.

To by było na tyle w kwestii dołączenia do Ruchu Oporu.

Według oceny Haydena, ich statki sunęły teraz z prędkością zaledwie piętnastu mil na godzinę – ostrożnie przebijając się przez ciemne chmury, a nawet przystając od czasu do czasu, gdy dowódcy próbowali ustalić ich obecną pozycję, obserwując ślady, które ich żyroskopy zostawiały w zbiornikach napełnionych gliceryną. Dwukrotnie natrafili na ogromne oceany pustej przestrzeni. Admirał wykorzystywał owe okazje, by zarządzać całą naprzód. Hayden znajdował wtedy Martora i zabierał go na przejażdżki aerocyklem. Gnając z pełną prędkością, raz nawet zgubił biedaka. Gdy zawrócił po własnych śladach, znalazł go dryfującego przez mrok. Silny wiatr szarpał rękawami jego koszuli, jednak chłopak był pewien, że Hayden po niego wróci.

Natomiast w czasie najcichszych godzin psiej wachty, wraz z Martorem spotykali się z Mahallan w jej pudełkowatym warsztacie. Kobieta kazała im konstruować różne rzeczy, choć nie wyjaśniała, czym one były.

– Mają wiele wspólnego z elektrycznością – powtarzała tylko. Urządzenia (co znamienne, było ich siedem) wyglądały jak skrzynki pełne metalowych przewodów, które prowadziły przez szereg innych, mniejszych skrzynek oraz rurek. Mahallan spędzała większość czasu, pracując przy tych małych pojemnikach, napełniając je ostrożnie przygotowanymi maściami oraz proszkami, które śmierdziały olejem oraz metalem. Od czasu do czasu kazała Martorowi albo Haydenowi pedałować na stacjonarnym rowerze połączonym z dużą, metalową puszką, z której sterczały kolejne przewody podłączone do jednej ze skrzynek. Coś tam robiła w środku nowego urządzenia, gmerając jakimiś metalowymi drutami. To wszystko było dla nich na zmianę fascynujące i nudne. Dlatego zabijali czas rozmowami.

Hayden chciał wiedzieć więcej na temat dziwnego, zewnętrznego świata, z którego pochodziła Mahallan, ale z trudem mógł dojść do słowa ze względu na nieustanną paplaninę Martora. Chłopak był zupełnie zauroczony zbrojmistrzynią.

Gdy w końcu udawało mu się dojść do głosu, pytał ją o przeszłość, Mahallan unikała jednak odpowiedzi. Lecz trzeciej nocy, gdy wszyscy

unosili się w powietrzu wokół jednej z dziwnych skrzynek, obserwując jak z jej boku wydobywa się kula dymu, kobieta powiedziała:

– To dla mnie naprawdę cudowna rzecz.

– Cóż takiego, pani? – Martor odwrócił się, by przynieść skórzaną zasłonę. Kobieta zaczekała aż chłopak zręcznie zbierze dym, a następnie podfrunie do iluminatora i wypchnie go na zewnątrz. Gdy wrócił, zbrojmistrzyni podważyła wieko skrzynki i powiedziała:

– To cudowne, że możemy siedzieć tu i konstruować rzeczy, których zachowanie sami zaprogramujemy. Jak ten okręt. – Poklepała ścianę. – Rzeczy takie jak te buduje się dzięki*wiedzy*. – Wyraźnie napawała się brzmieniem tego słowa.

– Czy tam skąd pochodzisz nie istnieje wiedza? – spytał żartobliwie Hayden, ale ku jego zaskoczeniu, kobieta pokręciła głową.

– Nie. A przynajmniej nie w fizycznym świecie. Systemy Sztucznej Natury sprawiają, że nie musimy niczego wiedzieć. – Zauważyła zmieszanie na jego twarzy i wykrzywiła usta. – Wiem, to trudno wytłumaczyć. Dlatego wolę o tym nie opowiadać. Posłuchajcie, w światach poza Virgą ludzie nie muszą wykonywać żadnych czynności sami. Wszystko stwarza za nas Sztuczna Natura. Żadne dwa urządzenia lub maszyny nie są identyczne; każde z nich ewoluuje w swoim własnym, przedfizycznym świecie wirtualnym. Nawet dwa narzędzia przeznaczone do tej samej pracy mogą wyglądać tak samo, ale działać w zupełnie inny sposób. Ponieważ wszystkie urządzenia ewoluują, a nie są...*projektowane*, jak byście to tutaj powiedzieli... nikt nie jest w stanie stwierdzić, jak będzie działać dany przedmiot. Moglibyście spędzić całe lata, badając jak pracuje dany silnik, ale to nie powiedziałoby wam, jak działają inne. Ludzie nie czują więc żadnej potrzeby, by to robić. Na większości światów jest tak już od tysięcy lat.

– W związku z tym nawet nie potraficie wyobrazić sobie jak bardzo byłam podekscytowana, gdy przybyłam tu i po raz pierwszy zobaczyłam dwa wasze okręty żeglujące pośród chmur – ciągnęła dalej. – Były*identyczne*! Działały na tej samej zasadzie i korzystały z takich samych maszyn. Mieszkający tu ludzie mogą stwarzać teoretyczne modele przedmiotów, a następnie przekuwać je w rzeczywistość. Virga jest niesamowita, ponieważ posiadacie wiedzę, z której korzystacie, by konstruować dziesiątki rzeczy. Za każdym razem, gdy widzę kopię rzeczy

widzianej przeze mnie wcześniej - jak te okręty - znów czuję ekscytację. – Posłała im obu uśmiechy. – Żyjecie w absolutnie wyjątkowym świecie.

Gdy to mówiła, skrzynka, nad którą pracowała, zaczęła powoli i dziwnie dryfować w kierunku jednej ze ścian. Aubri zauważyła to i pochwyciła ją.

–*To* nie jest dobry znak – wymamrotała.

Martor potarł podbródek w zadumie.

– To dlatego wydawała się pani zaskoczona, gdy niedawno stwierdziłem, że słyszałem o ciążeniu?

Zbrojmistrzyni skinęła głową.

– Ciążenie, dokładnie. Ach... cóż, większość znanych mi światów postanowiło zastąpić koncepty takie jak ciążenie nową mitologią ukutą przez ich artystów. – Hayden i Martor musieli zrobić w tym momencie osobliwe miny, bo Mahallan na ich widok wybuchła głośnym śmiechem.

– Słyszałem, że ludzie spoza Virgi żyją wiecznie, mogą podróżować po całym wszechświecie i robić, co tylko chcą – dociekał Hayden.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Och, oczywiście. A to oznacza, że nie musimy już nic*wiedzieć*. To straszne. Spędziłam całe lata, ucząc się tego, co nazywacie*naukami ścisłymi*, ale trudno było znaleźć istoty, które potrafiłyby ich nauczać. Większość tej wiedzy wpisana jest w istnienie rzeczy... ale nie spisana, jako taka. Właśnie dlatego przybyłam do Virgi. To jedyne znane mi miejsce, gdzie nie działa Sztuczna Natura.

– Dlaczego?

Nachyliła się do nich jak spiskowiec.

– Candesce zaburza działanie systemów Sztucznej Natury. Przygotowano je do tego wieki temu, by utrzymać moją cywilizację z dala od Virgi. Istnieją jednak pewne skutki uboczne niekorzystne dla*waszej* cywilizacji. Dlatego właśnie budujemy to. – Potrząsnęła przypaloną skrzynką.

– Co one robią? – Hayden zadawał to pytanie już kilkakrotnie, ale za każdym razem kobieta unikała wyjaśnień. Miał nadzieję, że teraz jednak rozkręciła się na tyle, by udzielić mu odpowiedzi.

Lecz Mahallan jedynie posłała mu tajemniczy uśmiech i powiedziała:

– Pomogą nam wygrać.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Nim którekolwiek choćby drgnęło, do malutkiego warsztatu zajrzała głowa Venery Fanning.

– Tak myślałam – powiedziała. – Nocne marki nie śpią, jak sądziłam.

– Venero – rzuciła Aubri. Żona admirała wtargnęła do pomieszczenia, marszcząc brwi na widok Martora.

– Ach, więc nasz mały szpieg do wynajęcia wkradł się w twoje łaski. Zmykaj stąd albo każę bosmanowi uciąć ci palce.

Martor przecisnął się obok niej i czmychnął przez drzwi. Venera zamknęła je za nim z triumfalnym uśmieszkiem. Odwróciwszy się do pozostałej dwójki, splotła dłonie przed sobą, po czym spytała wesoło:

– Jak idą prace?

– Szły całkiem nieźle, dopóki nie wyrzuciłaś mojego asystenta – odparła Aubri.

– Phi! – Venera zbyła jej słowa machnięciem dłoni. – Masz jeszcze drugiego. Ale nie na długo. Jutro będę potrzebować kierowcy. Jedziemy na małą wycieczkę. Ty również.

Aubri ostrożnie odłożyła urządzenie, nad którym pracowała, do kasety z ciemnego drewna i zatrzasnęła wieko.

– Dokąd się wybieramy?

– Nasz pierwszy postój. To znaczy, pierwszy oficjalny postój. Chcę, żebyś poleciała z nami, znasz to miejsce.

– Doprawdy? – Aubri drgnęła nerwowo. Haydenowi zdało się, że nagle bardzo posmutniała. – Czyżbyśmy wrócili z powrotem do Slipstreamu?

Venera roześmiała się chrapliwie.

– Dobrze wiesz, że nie to miejsce mam na myśli. Dolatujemy do stacji turystycznej! To był twój dom, gdy po raz pierwszy przybyłaś do Virgi, nieprawdaż? Powinnaś być z nią całkiem nieźle obeznana.

– Tak po prawdzie, to wcale nie jestem. I nie podoba mi się, że zabieracie mnie tam nie konsultując się w tej sprawie ze mną. Chyba że... – Niespodziewanie pobladła. – Chyba nie chcecie mnie odesłać...

– Oczywiście, że nie, głuptasie. Chcę, żebyś kogoś dla mnie znalazła, porozmawiała z nimi, ubiła interes. O to w tym wszystkim chodzi, prawda? Miałyśmy umowę?

– Tak – mruknęła Aubri. Ku zdumieniu Haydena, zbrojmistrzyni nie patrzyła Venerze w oczy. Żona admirała wydawała się tego nie zauważać, albo też traktowała to jako oczywistość. Z drapieżnym uśmiechem przeniosła spojrzenie na chłopaka.

– Bądź gotowy do lotu równo o ósmej rano. Bierzemy aerocykl razem z przyczepkami, więc lepiej żeby były dobrze zamocowane.

– Dobrze, madame.

– Świetnie – rzuciła, po czym wyszła, nie mówiąc już ani słowa. Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Aubri podleciała do iluminatora. Otworzyła przeszkloną powierzchnię i wystawiła głowę na zewnątrz. Hayden usłyszał stłumiony ciąg przekleństw dochodzący z drugiej strony kadłuba.

– Co się dzieje?

Kobieta cofnęła głowę i z niezadowoloną miną wskazała palcem na otwarty iluminator. Przecisnął się obok niej, a następnie sam wystawił głowę na działanie lodowatego wiatru.

Przez chwilę nie widział nic poza ciemnością oraz chmurami. Dopiero wtedy z przerażeniem zauważył, że to, co początkowo brał za ogromną kulę mgły, w rzeczywistości było fasetowaną i nieregularną powierzchnią połyskliwego lodu. Przelatywali obok zamarzniętego jeziora: góry lodowej równie wielkiej jak cylindry Rushu.

Wycofał głowę z otworu.

– Na zewnątrz jest góra lodowa.

Aubri z przygnębieniem pokręciła głową.

– Spójrz raz jeszcze.

Zbity z tropu chłopak wyjrzał ponownie. Cóż, widział górę lodową, a za nią jeszcze jedną. I kolejną – były połączone ze sobą, czubek z podstawą następnej, tworząc coś w rodzaju łańcucha.

Kłąb chmur prześliznął się po poszyciu statku, po czym zniknął za rufą. Dopiero wtedy Hayden ujrzał to, co Aubri chciała mu pokazać – i zrobił gwałtowny wdech.

Światła pozycyjne*Gawrona* słabo odbijały się od powierzchni lodu, prześlizgując się po tysiącach kątów i niknąc w pustce. Cyklopowa lampa czołowa okrętu rozjaśniała mrok stożkiem światła, które na oczach Haydena wyłaniało z ciemności las gór lodowych. Zmrożone stożki uczepiały się siebie nawzajem nawet najwątlejszymi włóknami i ostrzami; gęsta mgła osiadała we wszystkich zakamarkach i pustych przestrzeniach pomiędzy nimi.*Gawron* powoli kluczył wokół ogromnych iglic z lodu. Kolejne olbrzymy znikały w mlecznych oparach, a przed nimi pojawiały się następne.

Wzrok Haydena podążył za linią gór. Dopiero teraz zauważył, że na przestrzeni wielu następnych mil ich nagromadzenie rosło, aż w końcu

zaczynały stykać się ze sobą bok w bok. Pomiędzy nimi ziały ciemne rozpadliny. Przypominało mu to las pokrywający asteroidę Slipstreamu, z tą różnicą, że zamiast koron drzew wyrastających z mroku, widział nieskończone morze lodu.

– Wygląda jak mur – powiedział. Chwilę później uderzył podbródkiem o krawędź okna. Z jakiegoś powodu zaczął dryfować w głąb statku - zapewne przez ciśnienie powietrza.

– To nie mur – odparła kwaśno Aubri. – To sufit. Przez duże S, ściślej mówiąc.

– Przez duże... – Dopiero załapał. – To powłoka świata?

– Powłoka balonu, tak. Cała Virga znajduje się teraz pod nami. To dlatego odczuwamy siłę ciążenia. Powinnam była się tego domyślić po pracy silników.

Z oddali doszedł ich ogłuszający*trzask* odbijający się echem od lodowych grani. Hayden ponownie wyjrzał na zewnątrz i był świadkiem, jak góra lodu majestatycznie odłącza się od swoich sąsiadów. Obserwował ją przez cały czas, w miarę jak znikała w mroźnej mgle za nimi; był niemal pewien, że widział, jak opuszczała swoich braci.

– Candesce napędza prądy konwekcyjne w Virdze – powiedziała Aubri, niemal przyprawiając Haydena o zawał, ponieważ zawisła tuż obok niego, nieco poniżej krawędzi iluminatora. – Para wodna skrapla się, tworząc jeziora, a gdy te docierają tutaj, zamarzają. Powłoka Virgi jest bardzo, bardzo zimna. Przy okazji stanowi jednak szczyt studni grawitacyjnej, słabej, ale jednak. W miarę wzrostu, te góry lodowe nabierają masy. W końcu odłamują się od reszty i spadają, topniejąc w locie. Największe z nich docierają prawie do Candesce zanim wyparują.

Hayden kontemplował olbrzymie sople, którymi góry były w istocie, jeszcze przez długi czas. W końcu cofnął głowę i spytał:

– Dlaczego tu jesteśmy?

Twarz Aubri znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od jego własnej. Jeszcze nigdy nie był tak blisko niej, co go jednocześnie krępowało i sprawiało przyjemność, jednak kobieta wyglądała mizernie.

– Coś nie tak?

Mahallan wróciła do swojej stacji roboczej i przez chwilę robiła coś przy lampie.

– Gdybym wiedziała, że tutaj przylecimy, nie dołączyłabym do tej ekspedycji.

Hayden skrzyżował ręce na piersi i czekał. Po kilku sekundach Aubri ciężko westchnęła i dodała:

– Zrozum, przybyłam do Virgi, by uciec przed*tamtym* światem. – Wyciągnęła palec w stronę kadłuba, wskazując, jak zakładał, na to, co leżało za poszyciem świata, na zewnętrzny wszechświat. – Jestem tutaj uchodźcą i nie lubię, gdy ktoś przypomina mi o tym, co zostawiłam za sobą. Tym samym nie mam ochoty na odwiedzanie tej mdłej stacji turystycznej.

Hayden opadł trochę, by usiąść w powietrzu obok niej. Po chwili zastanowienia powiedział:

– Chyba cię rozumiem. Urodziłem się i zostałem wychowany w Aerie. Slipstream podbił nasz kraj, gdy byłem jeszcze chłopcem. Ale dobrze go pamiętam – na dodatek na każdym kroku natrafiam na wspomnienia tamtych czasów, począwszy od rzeczy sprzedawanych na targowisku po akcenty ludzi na ulicach. To... bolesne. W końcu zaczynasz ich unikać. A wtedy dopada cię poczucie winy.

Pokręciła głową.

– To nie tak. Nie do końca, choć to prawda, że nie lubię jak mi się o tym przypomina. – Nagle jej twarz rozpromienił uśmiech. – Nie wiedziałam, że pochodzisz z Aerie.

– Cóż, aż do dziś nie wiedział o tym nikt poza mną – powiedział, splatając dłonie przed sobą. – Czy jutro dowiedzą się o tym pozostali?

Aubri uniosła brwi.

– Nie... nie widzę powodu, dla którego mieliby.

Przez jakiś czas siedzieli w kojącej ciszy. W pewnym momencie okrętem targnął słaby wstrząs. Wycie silników niemal natychmiast zmieniło ton.

Aubri jęknęła.

– Czyżbyśmy byli już na miejscu?

Wycie syren alarmowych zupełnie zagłuszyło słowa, a nawet myśli, jakie Haydenowi mogłyby przyjść do głowy. Doskoczywszy do okna, wyjrzał przez nie i dostrzegł jasne smugi wychodzące z gęstych chmur i zbiegające się przy jednym z okrętów. Rozbłyski rozświetliły burtę statku. Chłopak zdążył zatrzasnąć i zabezpieczyć iluminator zanim do*Gawrona* dotarło staccato eksplozji.

– Zostaliśmy zaatakowani – powiedział, ale Aubri Mahallan nie było już w warsztacie.

Chaison Fanning śpiesznie nakładał marynarkę, podczas gdy jego adiutant, opierając mu dłoń na ramieniu, popychał go w stronę mostku przez przylegający doń korytarz. Cały statek był na nogach. Wrzało jak w ulu.

– Ilu przeciwników? – krzyknął do błyskawicznie otrzeźwionych marynarzy psiej wachty. – Jakie uzbrojenie?

– Admirale, wygląda na to, że to zimowi piraci – powiedział wystraszony sternik, młodszy oficer na jednej ze swoich pierwszych wacht. Zapewne był bardziej przerażony wizją spaprania czegoś, aniżeli przeciwnikami.

Chaison podfrunął do głównego peryskopu i zacisnął palce na uchwytach, a następnie wsunął stopy w strzemiona, nawet nie spojrzawszy na nie. Przez kilka sekund mrugał, próbując dojść, na co tak w zasadzie patrzy. Chwilę później opanował się i, jak na profesjonalistę przystało, zaczął liczyć i oceniać.

– Widzę dziesięć wrogich jednostek. To cała cholerna flota. Założę się, że wewnątrz tej chmury jest ich więcej.

– Ktoś w Warei musiał im o nas powiedzieć – zauważył kapitan Sembry zza jego pleców. – Bez wątpienia jesteśmy najsmakowitszym kąskiem, jaki kiedykolwiek zapuścił się na ich terytorium.

– To zwykła głupota - nie są marynarką wojenną, tylko obdartym stadem wron. Skąd przyszła im do głowy myśl, że są w stanie nas wymanewrować? Ach... – Roześmiał się bez humoru, gdy dostrzegł szczegóły kilku dalszych okrętów. – Część z nich przypomina fregaty Aerie. Cofam moje słowa, nie szukają łupu. Przynajmniej część z nich ma nam coś za złe.

Obrócił się i przekazał peryskop Sembry’emu.

– Kapitanie, to klasyczne, nocne starcie. Uwięzili nas w środku pierścienia obłoków. Ich okręty z pewnością wysondowały wnętrza chmur tak więc nie wątpię, że natrafimy w nich na góry lodowe, jeśli będziemy na tyle nierozsądni, by dać się w nie wciągnąć. Będą uderzać i uciekać z powrotem za osłonę chmur - wiedzą, czego mogą się tam spodziewać. Musimy odebrać im tę przewagę.

Spojrzał na potarganą, ale pozostającą w pełnej gotowości obsadę semaforów.

– Wszystkie okręty: odpalić aerocykle. Rozpoznanie w chmurach! Unikać starć z wrogiem, chyba że w obronie własnej. Wszystkie okręty: formacja wirującego torusa. Wszystkie okręty: przygotować salwy rakietowe.

– Strzelać bez rozkazu.

***

– Cywile do swoich kwater! – Bosman pomachał mieczem przed nosem Haydena dla podkreślenia wagi swoich słów. – Ciebie też to dotyczy, chłoptasiu. I przypnij się, bo może nami rzucać.

Hayden wahał się przez chwilę, ale w końcu zawrócił do warsztatu Mahallan. Było to prawdopodobnie jedyne miejsce, gdzie mógł liczyć na odrobinę prywatności. W ostatniej chwili uczepił się uchwytu przy drzwiach, gdy nagle całym statkiem targnął wstrząs. Odgłos silników stał się ogłuszający, a od dziobu dobiegł pisk rzadko używanych hamulców. Zatrzymywano centryfugę, by *Gawron* mógł manewrować bez konieczności brania pod uwagę efektu żyroskopowego. Gdzieś w oddali rozległ się straszny tumult, gdyż cały dobytek lotników zsunął się z półek i rozsypał wewnątrz wirówki.

Wystawił głowę przez iluminator, uważając, by ktoś mu jej nie odstrzelił. Natychmiast zobaczył gmatwaninę okrętów raz po raz rozświetlanych wybuchami rakiet, mknących pod najróżniejszymi kątami. Na pierwszy rzut oka nie sposób było odróżnić przyjaciół od wrogów. Jednak niektóre z ciemnych sylwetek wydawały się znajome. Hayden aż za dobrze pamiętał smukłe kształty statków zimowych piratów, jako że spędził na ich pokładzie dobrych kilka lat swojej tułaczki. Kłamał, gdy mówił Milesowi i pozostałym członkom Ruchu Oporu, że przez cały ten czas mieszkał na farmie grzybów pośrodku niczego. O wiele niebezpieczniej było mówić prawdę.

Gdy jego wzrok przywykł do półmroku, zaczął dostrzegać kolejne szczegóły. Roje krążących wokół siebie aerocykli opuszczały kolejne okręty. Powietrze wypełniło ich rozdzierające bzyczenie. Całą scenę okalały czarne kłębowiska chmur, napierających ze wszystkich stron. Nagle, jak za dotknięciem magicznej różdżki, z jednej z tych chmur wyłoniła się fregata. Języki czerwonego ognia plunęły z burty, gdy wystrzelono z niej salwę rakiet, prosto w rufę najbliższego okrętu Slipstreamu. Połowa pocisków ześliznęła się po stożkowatym kadłubie, ciągnąc w mrok świetliste wstęgi. Jednak cała reszta eksplodowała. Belki i deski poleciały na wszystkie

strony. Pirat wykonał zwrot przy akompaniamencie ryczących silników i przygotował się do odpalenia salwy grzbietowej. Tym razem większość rakiet przeleciała przez całą długość odsłoniętych trzewi krążownika Slipstreamowców. Celem wstrząsnęła seria wybuchów. Chwilę później chmury rozjarzyły płomienie, gdy statek pękł niczym przejrzały owoc. Ludzie i maszyny zostali wyrzuceni w lodowate powietrze, a wokół nich aż huczało od grzmotów.

Hayden uśmiechnął się z ponurą satysfakcją. Jeden okręt Slipstreamu mniej. Z drugiej strony... nagle zdał sobie sprawę z tego, że korpus ekspedycyjny może przegrać tę bitwę. Jeśli dojdzie do abordażu, piraci nie będą brali jeńców. Wszyscy zginą, począwszy od admirała oraz Lady Fanning, na Martorze i Aubri Mahallan kończąc.

Cieszyła go perspektywa śmieci Fanningów – a przynajmniej jeśli szło o admirała. Venera... sam nie wiedział, co o niej myśleć. Z bólem zdał sobie jednak sprawę, że jej los nie leżał w jego rękach. Nigdy nie zgodziłaby się na ucieczkę z nim. Ale może udałoby mu się przekonać do tego Martora i Aubri Mahallan. Mogli stąd prysnąć i dolecieć na stację turystyczną, którą dostrzegł teraz w przerwie między chmurami. W obecnej chwili wciąż była to jedynie odległa, odwrócona do góry nogami, połyskująca przestrzeń pełna wież; miasto nie zwinięte w cylinder, lecz rozpłaszczone na czarnym sklepieniu Virgi.

Mogli kierować się ku tym przebłyskom światła. Mogli przeżyć.

Hayden obrócił się i rzucił w kierunku drzwi warsztatu.

– Kto by pomyślał, że w całej Virdze jest tak wiele pirackich statków? – mruknął załogant. Chaison Fanning pozornie zignorował ten komentarz, ale przez głowę przeszło mu dokładnie to samo. Czyżby zebrali flotę z całego świata, żeby tylko zaatakować ten mały korpus ekspedycyjny? W tej chwili wyglądało na to, że zima istotnie stała się ogromnym, ponurym imperium powietrznych rozbójników i korsarzy, o jakim opowiadały niektóre pieśni i bajania.

Już na początku stracili*Strzałę Rushu*. Eksplozja statku natychmiast osłabiła ducha walki marynarzy. Chaison krążył teraz po pokładach, wydając rozkazy i rzucając optymistyczne uwagi do mijanych żołnierzy. Musieli wiedzieć, że ufa Sembryemu w kwestii dowodzenia*Gawronem*, a oni są jego głównym zmartwieniem. Na każdym kroku towarzyszył mu wianuszek zauszników, dlatego mężczyzna przystawał przy każdym

iluminatorze, by obserwować walkę i od czasu do czasu przekazywał zwięzłe rozkazy do ekipy semaforowej.

Na chwilę zajrzał do hangaru aerocykli. Pomieszczenie stało niemal puste; wszystkie maszyny ruszyły do boju, za wyjątkiem absurdalnego ścigacza Venery z tymi swoimi przyczepkami, przy którym pracował właśnie jego kierowca. Wrota hangaru stały otworem. Kilku mężczyzn ze strzelbami przycupnęło na ich krawędzi pod różnymi kątami, niczym dziwacznie poustawiane gargulce gotowe odeprzeć potencjalny atak. Na rozkaz admirała okręty wystrzeliły flary, przez co chmury na zewnątrz rozświetlał teraz zielonkawy blask.

W zasadzie w hangarze zapewniona była doskonała widoczność; znacznie lepsza niż z mostku. Chaison doskoczył do drzwi i zakotwiczył się obok zaskoczonego lotnika.

– Macie tego więcej? – spytał, wskazując na strzelbę mężczyzny. – Mam ochotę na moją małą zemstę za*Strzałę*.

Marynarz odpowiedział szerokim uśmiechem i krzyknął:

– Strzelbę dla admirała, chłopcy!

Podano mu broń. Ostatnich kilka dłoni, które jej dotykały, należało do członków jego świty. Na ich twarzach malowało się zakłopotanie i niezadowolenie. Fanning pokazał im, by do niego dołączyli.

– Poprowadźcie rurę głosową stąd na mostek – rozkazał. Chwilę później*Gawron* wykonał obrót, po którym pole widzenia przesłonił im czarny kadłub pirackiego statku. Przepływał w odległości nie więcej niż trzystu stóp; przez otwarte furty rakietowe widać było płonące wewnątrz światła.

– Celować w ten statek! – wrzasnął Fanning, po czym wystrzelił ze strzelby. Ludzie wokół niego wydali okrzyk aprobaty. Huknęły kolejne wystrzały. Chwilę po nich niebo przecięły jasne smugi rakiet z*Gawrona* oraz gdzieś zza niego. Admirał zgadywał, że była to salwa ze*Zrywu*, który utworzył trójkową formację z okrętem flagowym oraz*Niewidzialną Dłonią*.

– Skoncentrować ogień na silnikach! – Oddał kilka strzałów demonstracyjnych. W czasie walki takiej jak ta, statki pozostawały w ciągłym ruchu i jednocześnie nieustannie obracały się wokół własnej osi, zwracając swoje baterie rakietowe w kierunku wroga. Aby wykonać ten manewr, statek zmuszony był wysunąć gondole silnika i ustawić je pod

kątem dziewięćdziesięciu stopni; to jednak sprawiało, że stawały się one łatwym łupem ognia z broni ręcznej, a także ostrzału rakietowego.

Gawron także się obracał, przez co zaczynała działać siła ciążenia; Chaison zmuszony był przekręcić się i wpić palce we właz wyjściowy, ponieważ*dół* chwilowo oznaczał również*na zewnątrz*, nie przestawał jednak strzelać. Właśnie dlatego na czas walki należało przypiąć się do jakiegokolwiek wolnego pierścienia. Zbyt łatwo można było wypaść.

Gdy załoga hangaru straciła korsarza z oczu, Chaison kątem oka spostrzegł jeszcze jednego ze swoich aerocyklistów, nurkującego w ślad za okrętem. Mężczyzna ściskał w dłoni granat, który cisnął z całej siły, przelatując obok z prędkością ponad stu mil na godzinę. Zielonkawa kula zniknęła w dyszy wylotowej pirackiego silnika i eksplodowała tuż przed tym jak wrota hangaru przesłoniły admirałowi widoczność.

Teraz mogli obserwować drugą część bitwy.*Dręczyciel*,*Jasność* oraz*Areszt* posiadały zdolne załogi i utrzymywały formację trójkową, mimo, że otaczało je sześć wrogich okrętów. Jeden z pirackich statków stał w ogniu i zaczął szukać schronienia pośród chmur. Skoordynowany atak rakietowy całej trójki okrył innego korsarza rozbłyskami wybuchów, które wstrząsnęły jego burtami. Ciemny i milczący okręt zaczął dryfować.

Do tej pory okręty i kłębowiska chmur rozjaśniał zielonkawe światło flar, ale teraz pośród obłoków rozbłysły żółte i czerwone punkty. Były to lampy sygnałowe pozostawione przez aerocyklistów, którzy natrafili we mgle najprawdopodobniej na blok lodu lub inną przeszkodę. Zwrócił się do swoich podkomendnych:

– Wszystkie aerocykle: przypuścić atak na wroga.

Kilka sekund później usłyszał bzyczenie silników odrzutowych, w miarę jak na miejscu zaczęły pojawiać się formacje ich własnych aerocykli, które natychmiast rzucały się w wir chaotycznych walk z aerocyklistami piratów.

Ryk silnika rozbrzmiał bardzo blisko. Mógł to być jeden z wracających chłopców z*Gawrona*, być może ranny, albo... Wychylił się poza krawędź hangaru i rozejrzał. W odległości zaledwie dziesięciu metrów spostrzegł czarną puszkę próbującą dostosować prędkość do obrotów*Gawrona*. Jej kierowca miał na sobie cytrynowo zieloną kurtkę oraz spodnie w kolorze bordo. Mężczyzna wychylił się tak, by o mijaną furtę artyleryjską zaczepić hak, na którym wisiał granat.

Chaison wychylił się jeszcze mocniej, stojąc teraz na samym skraju otwartych wrót. Z okrętem łączyła go jedynie obwiązana wokół pasa lina. Wycelował broń i wystrzelił jednym płynnym ruchem. Po chwili zobaczył, jak lotnik dostaje konwulsji, a jego aerocykl gwałtownie skręca. Zanim wskoczył z powrotem do środka, upewnił się, że granat zniknął wraz ze swoim właścicielem.

Wisząc tak, nie do końca świadom wiwatów dochodzących z góry, obserwował dalszy przebieg bitwy. Jego siły wyraźnie dominowały jeśli chodziło o uzbrojenie, opancerzenie oraz dyscyplinę, ale wróg miał przewagę liczebną. Piraci – czy też ekspatriowani lotnicy z Aerie – nieustannie wyłaniali się spośród chmur i na nowo w nich chowali. Najwyraźniej mieli też własnych ludzi na aerocyklach, którzy wyszukiwali flary sygnałowe Slipstreamowców; Chaison obserwował jak kolejne świetliste punkty znaczące przeszkody we mgle gasły jeden po drugim. Odnotowawszy uprzednio pozycję lodowców i skał na swoich wewnętrznych systemach nawigacyjnych, piraci nie potrzebowali świateł, by znać swoje położenie.

Kolejny obrót i w polu widzenia pojawił się*Zryw* oraz*Niewidzialna Dłoń* zaciekle wymieniające ogień z trzema czarnymi cylindrami. Ich formacja została rozerwana, a dwa okręty zaczęły oddalać się z coraz większą prędkością. Gdy Chaison miał właśnie zapytać, dlaczego Sembry ich nie goni,*Gawron* wykonał jeszcze pół obrotu, a niebo przesłoniło coś olbrzymiego.

Był to czarny kadłub pirackiego statku. W odległości zaledwie kilku metrów. Cholerne bękarty jakimś cudem podeszły Sembry’ego. Szybki rzut oka wystarczył Fanningowi, by zdać sobie sprawę, że piraci zarzucili linę na wirującego*Gawrona*. Gdyby nie zerwało jej tarcie lub jakiś wystający fragment, korsarze mogli ściągnąć okręt na kolczaste tarany, które rozmieszczano właśnie wzdłuż furt rakietowych.

– Sembry! – ryknął Chaison. Za coś takiego miał ochotę rozkazać ciągnąć kapitana za statkiem przez cały dzień. Stojący wokół karabinierzy stali, gapiąc się na niego z otwartymi ustami, więc wykrzyczał: – Strzelać w te furty! – Czemu sam dał przykład.

Następnie zwrócił się do swoich ludzi.

– Przygotujcie okręt do abordażu. I sprawdźcie, dlaczego Sembry nie rusza nas z miejsca!

– To miny – rzekł ktoś. – Zaminowali przestrzeń pomiędzy nami a pozostałymi.

W istocie, gdy statek obrócił się ponownie, admirał dostrzegł na zielonkawym tle nieba gwiaździste kształty pomiędzy*Gawronem* a oddalającym się*Zrywem*.

– Niech je ktoś usunie! – Mówiąc to, zdał sobie sprawę, że w pobliżu nie było żadnego aerocykla Slipstreamu. Większość z nich brała udział w olbrzymiej potyczce na drugim końcu pola bitwy. Część dryfowała, płonąc lub nie dając znaku życia. Reszta gdzieś znikła.

Obrócił się w stronę pilota Venery, wskazując go palcem.

– Ty! Masz za zadanie oczyścić pole z min.

– S-słucham? – Młodzieniec zamrugał kilka razy, robiąc głupią minę. Oczywiście, był jedynie cywilem.

Chaison zwrócił się do żołnierzy:

– Czy któryś z was umie latać aerocyklem?

– Nie, chwileczkę, zrobię to. – Młody lotnik mierzył Fanninga spojrzeniem, jakby ten właśnie śmiertelnie go obraził. – Ale... – Czarnowłosy chłopak z frantowską miną rozejrzał się na boki. – Będę potrzebował pomocy. – Wskazał obie przyczepki maszyny.

– Nie interesuje mnie to – rzekł Chaison, lekceważąco machając ręką. – Weź kogo tylko chcesz. – A teraz przynieście mi szablę i pistolet.

Czekając na wykonanie rozkazu, obserwował jak pilot prowadzi aerocykl do wrót hangaru.*Venerze nie spodoba się, jeśli zepsuję jej taksóweczkę*, pomyślał. Sama myśl o tym wywołała uśmiech na jego twarzy.

– Martor! – Hayden gorączkowo zamachał do chłopaka wchodzącego właśnie do hangaru. – Chodź tu!

– Ale ja muszę iść... Ona nie ma nikogo do...

Hayden chwycił go pod ramię i pociągnął w stronę aerocykla.

– Mówisz o Aubri Mahallan? – spytał. Martor skinął głową. – W takim razie znajdź ją i przyprowadź tutaj. Migiem!

Bardzo się starał, by jak najwolniej prowadzić maszynę w kierunku otwartych wrót. Co kilka sekund w polu widzenia pojawiał się pobliźniony kadłub pirackiego okrętu i obie załogi wymieniały ogień z broni palnej. Wszędzie dookoła świszczały wtedy kule, a Hayden krył się za metalową powłoką aerocykla.

Gdy wystawił głowę po raz trzeci, zobaczył Martora, który dosłownie ciągnął za sobą Aubri Mahallan do hangaru.

– O co chodzi? – spytała niecierpliwie kobieta, gdy oboje wylądowali na przyczepkach.

Hayden zwrócił się do Martora.

– Słuchaj, czy mógłbyś przynieść nam dodatkowy zestaw strzemion?

Chłopak spojrzał na niego podejrzliwie.

– Ale dlaczego...

Griffin odwrócił się do Mahallan i konspiracyjnym tonem rzekł:

– Przegramy tę bitwę. Chodź ze mną, jeśli chcesz przeżyć.

Kobieta zrobiła wielkie oczy. Chwilę później spojrzała przez otwarte wrota hangaru, w których pojawił się czarny kadłub.

– Na ziemię! – Hayden złapał ją za ramiona i pchnął w otwarty wylot silnika aerocykla, gdy wokół zaterkotały odgłosy wystrzałów. Jakby mimochodem zauważył jak delikatne miała ramiona. Za ich plecami, dwóch strzelców z*Gawrona* przez chwilę wiło się w konwulsjach, ale zaraz potem ich ciała zawisły bezwładnie na końcach lin mocujących.

Aubri krzyknęła i zakryła oczy.

– Musimy ruszać – rzucił do niej Hayden. – I to już! Wkrótce dojdzie tu do abordażu. Nie masz pojęcia, co mogą zrobić kobiecie, jeśli ją złapią.

Odgłosy wystrzałów ucichły. Piracki statek ponownie zniknął im z oczu. Aubri Mahallan powiodła wzrokiem po poznaczonej kulami i szarej od dymu prochowego przestrzeni, przygryzając wargę z wyraźnym niezdecydowaniem. A potem odepchnęła Haydena ze złością.

– Zejdź mi z drogi – syknęła. – Jestem tu potrzebna.

– O czym ty mówisz? Zginiesz, jeśli zostaniesz.

– Nie mogę – powiedziała z rozpaczliwym wyrazem twarzy. – Zbyt wiele się wydarzyło... Gra idzie o wysoką stawkę. To byłoby…

– Musisz umieć zdecydować, kiedy walczyć, Aubri.

Ze złością potrząsnęła głową.

– Dobrze. Wybieram tu i teraz. A ty uciekaj, jeśli chcesz.

Hayden był zbyt oszołomiony, by ją zatrzymać, gdy kobieta skoczyła w kierunku wewnętrznych drzwi. Martor wracał właśnie z zapasowymi strzemionami. Z otwartymi ustami odprowadził ją wzrokiem.

– Co jej powiedziałeś?! – krzyknął na Haydena. W tej samej chwili czyjeś ciężkie ciało wylądowało na sąsiednim aerocyklu, wprawiając maszynę w drżenie.

– Hej, dzieciaku! – wrzasnął rudy bosman trzymający pod pachą pęk rakiet obwiązanych sznurem. – Uwolnij nas wreszcie!

Hayden zaklął, wskakując na aerocykl.

– Chodź, Martor! Potrzebujemy cię! – Wraz z bosmanem zaciągnęli protestującego chłopaka do aerocykla. Hayden spojrzał w dół, by upewnić się, czy nie mijają właśnie pirackiego okrętu, po czym usunął z wyciągarki trzpień blokujący. Aerocykl opadł w ciemną przestrzeń, kreśląc łuk w powietrzu. Młody lotnik bez namysłu rozkręcił wiatrak, a następnie uruchomił palnik.

Dwaj pasażerowie rozmawiali głośno za jego plecami.

– ...przywiązane do sieci! – krzyknął bosman, gdy silnik zaskoczył i wystrzelili do przodu, w ostatniej chwili unikając zderzenia z nadciągającym kadłubem pirata. – Chwyć minę w sieć, a potem odpal rakietę. Ale najpierw upewnij się, że nie celujesz w*Gawrona*. Jeśli uda ci się trafić w pirata, świetnie!

Bosman obrócił się na siedzeniu i klepnął Haydena w okolicach przepony.

– Zabierz nas stąd! Zaraz dojdzie do abordażu!

Hayden bez słowa wykonał rozkaz. Aerocykl był niebezpiecznie szybki, nawet z dwiema przyczepkami, dlatego musiał zbliżać się do zaminowanej

przestrzeni krótkimi skokami. Z tego powodu z ust bosmana posypały się kolejne przekleństwa. Bitwa wokół nich rozgorzała na dobre, zarówno w pobliżu, przy*Gawronie*, jak i w oddali, dając o sobie znać podobnymi do piorunów rozbłyskami w dalekich chmurach. Ryki silników odbijały się dziwnym echem od lodowej równiny, tworzącej mur ledwie widoczny tuż za oparami mgły.

Pierwsza mina pojawiła się w zasięgu wzroku zaledwie kilka metrów przed nimi, oświetlona blaskiem flar trzymanych przez Martora nad głową. Hayden kilkakrotnie zmusił silnik do niewielkiego wysiłku, aż w końcu bosman był w stanie owinąć w sieć nabijaną guzami metalową kulę. Sieć połączono z rakietą długą jak jego przedramię; mężczyzna odpalił lont i aerocykl pokryła fontanna iskier. Hayden na sekundę osłonił oczy, po czym odprowadził wzrokiem pocisk ciągnący minę w kierunku zimy.

– Następna! – ryknął bosman. Hayden zawrócił maszynę, spoglądając przez ramię na*Gawrona*. Ich okręt oraz mniejszy statek piracki wydawały się stykać burtami. W przestrzeni pomiędzy nimi zaroiło się od ludzkich sylwetek.

Spojrzał w przeciwnym kierunku. Gdzieś z oddali kusiły go błyskające światła stacji turystycznej, które oznaczały życie dla Martora oraz dla Aubri, gdyby tylko udało mu się wymyślić jakiś sposób na zabranie jej z okrętu flagowego Slipstreamu.

Z ukłuciem żalu zdał sobie sprawę, że dla niej było już za późno. Ale nie dla Martora.

Bosman odpalił kolejną rakietę.

– Następna! Musimy oczyścić tunel, przez który przeleci*Gawron*!

– W porządku, w porządku!

Haydenowi waliło serce. Znów to samo: dopiero co kogoś poznał, a już mógł go stracić. Fakt, że ledwie znał Aubri Mahallan. Prawdą było również, że zaledwie miesiąc temu skłonny był poświęcić życie, byle zdać cios Slipstreamowi. Jego znienawidzony przeciwnik walczył o życie na pokładzie*Gawrona*, dlatego chłopak nie powinien marzyć o niczym innym jak tylko o katastrofie okrętu i zagładzie wszystkich jego pasażerów.

Lecz z Gavin Town wyleciał ze strzelbą w dłoni, by zaatakować krążowniki Slipstreamowców, podczas gdy jego matka zadecydowała o własnym losie we wnętrzu nierozpalonego jeszcze słońca Aerie. A gdy

Hayden bezradnie pogrążał się w bezkresnych przestrzeniach zimy, zginęła. Czy naprawdę miał pozwolić Aubri skończyć w ten sam sposób?

Zaklął, zmieniając chwyt na kierownicy aerocykla.

– Następna! – krzyknął bosman. Hayden wykonał zwrot, wypatrując jeszcze jednego przebłysku zieleni w świetle flary Martora.

Przez moment miał doskonały widok na całą bitwę. Okręty Slipstreamu kąsały mocniej niż napastnicy, dlatego kilka pirackich statków przypominało teraz dryfujące skorupy otoczone chmurami odłamków oraz martwych ludzi. Wyraźnie zaczęła rysować się przewaga w wyszkoleniu ludzi Fanninga. Jednak to korsarze byli w lepszej sytuacji, ponieważ mogli korzystać z osłony chmur; wyłaniali się z nich, by oddać salwę, po czym równie szybko znikali.

Teraz jednak, mając pełny ogląd sytuacji, Hayden spostrzegł, że agresorzy ukrywali się pośród oparów tylko z jednej strony – tej pełnej skrytych we mgle gór lodowych. Mogli bezpiecznie je wykorzystywać, ponieważ się nie poruszały; były ogromnymi soplami uczepionymi zewnętrznej powłoki Virgi. Jakiś czas przed bitwą chłopak był przecież świadkiem majestatycznego upadku jednego z nich.

To podsunęło mu pewien pomysł.

– Następna!

Rozejrzał się. Wokół wciąż krążyły dziesiątki min. Nie mieli szans na utorowanie drogi *Gawronowi* jeszcze przed rozstrzygnięciem abordażu. Skręcił w kierunku najbliższej miny, ale tym razem od strony Martora.

– Twoja kolej, szczurku – rzucił bosman, wręczając Martorowi linę z rakietą. Chłopak uśmiechnął się szeroko i wychylił z przyczepki, chcąc uchwycić minę.

Hayden dobył noża i rozciął pas trzymający bosmana w siodle. Mężczyzna obserwował Martora, niczego więc nie zauważył. Chwilę później Hayden zarzucił mu na głowę sieć.

– Hej! Ty bękarcie, patrz gdzie...

Chłopak zapalił lont rakiety połączonej z siecią w tej samej chwili co Martor. Strzeliły iskry. Obaj pochylili głowy, zakrywając przy tym oczy. Gdy Hayden ponownie je otworzył, zarówno mina, jak i bosman zniknęli.

Martor spojrzał na puste siedzenie.

– Gdzie on się podział?

– Nie wiem. – Hayden rozłożył bezradnie ręce, robiąc zaskoczoną minę. – W jednej sekundzie tu był, a potem zniknął. Może dosięgła go jakaś zbłąkana kula.

Hen w oddali, jeśli wiedziało się gdzie patrzeć, gasnący płomień rakiety przebił warstwę chmur i zniknął. Griffin obserwował go przez chwilę, po czym przeniósł spojrzenie na Martora.

– Posłuchaj, w ten sposób nie ocalimy*Gawrona*. Mam lepszy pomysł.

Podleciał do następnej miny. Posłaniec owinął ją w sieć.

– Nie zapalaj lontu – powiedział szybko Hayden. – Po prostu zaczep ją za nami.

To samo uczynili z kolejną miną, i jeszcze następną. Wkrótce ciągnęli za sobą pięć eksplodujących kul.

– Teraz się stąd wynośmy – rzucił Griffin.

– Ale admirał rozkazał nam... – Martor pospiesznie zacisnął palce na krawędziach przyczepy, gdy Hayden przekręcił manetkę gazu. Wystrzelili pionowo w górę, z dala od zaminowanego pola - i bitwy - lecąc prosto w kierunku okrytych mgłą lodowych szczytów.

– Zapal więcej flar. Musimy widzieć, gdzie lecimy. – Wbili się w chmury z niebezpieczną prędkością. Hayden ufał, że jego umiejętności pozwolą mu w nic nie uderzyć. Flary tworzyły wokół nich zieloną poświatę. Jedynie sporadycznie mijane pasemka wilgoci świadczyły o tym, że są w ruchu.

Powietrze było mroźne, co podsunęło Haydenowi kolejny pomysł: podążać za źródłem chłodu. Zwolnił, a następnie pozwolił aerocyklowi dryfować w prądach powietrznych, dopóki nie poczuł, że znaleźli się w strefie zimnych pływów. Wtedy ostrożnie otworzył manetkę gazu.

Z ciemności wyłonił się olbrzymi turkusowy kształt – wyciągnięta i smukła sylwetka góry lodowej, pokrytej węzłowatymi guzami. Po swojej prawej Hayden dostrzegł jej czubek, niebezpieczny biały szpic oświetlony na krótką chwilę przez odległą eksplozję. Po lewej stronie jej kształt skrywała ciemność.

Zmusił aerocykl do podążenia w tym kierunku. Martor milczał, nieco przestraszony, ale wyraźnie zaintrygowany. Okrążywszy górę, Hayden wypatrzył to czego szukał: punkt, w którym ogromny sopel zwężał się do szerokości zaledwie kilku metrów. Przy tak słabej grawitacji wytwarzanej tylko przez powietrze i wodę Virgi, wystarczało to, by utrzymać w miejscu resztę zwalistego cielska.

– Martor, chcę, byś wystrzelił jedną z min w tamto przewężenie. – Wskazał palcem. Oczy chłopaka błysnęły ze zrozumieniem. Natychmiast zabrał się do dzieła.

Hayden uniknął snopa iskier, a następnie spojrzał w górę i zobaczył, że Martor strzelił celnie. Mina bezgłośnie pomknęła w stronę lodowej bryły, uderzyła w nią i…

Pomarańczowy rozbłysk rozświetlił noc. Kilka chwil później Haydenem wstrząsnął ogłuszający huk. Gdy dym przerzedł, chłopak zobaczył pęknięcie na przewężeniu góry lodowej. Biały odłamek świsnął mu koło głowy, w odległości zaledwie kilkudziesięciu centymetrów, ale chłopak prawie go nie zauważył. Całą uwagę skupił na przerwie powstałej między lodowcem a powłoką Virgi oraz zwisającym z niej długim soplem.

– Poszerza się – powiedział po kilku sekundach. – Martor, widzisz? Zaczyna*spadać*.

Twarz chłopaka rozpromienił uśmiech.

– Spróbujmy z następną.

Okręt przypominał dom wariatów: wszyscy krzyczeli, brzęczała stal, dookoła słychać było wystrzały z broni palnej. Chaison Fanning ściskał dobyty miecz, ale na drodze stali mu członkowie świty. Jeden z nich umiejscowił się dokładnie pomiędzy admirałem a ciemną sylwetką pirata, którego Chaison miał zamiar zaatakować.

Przez jedną, dziką chwilę rozważał pchnięcie stojącego mu na drodze mężczyzny, by dopaść wroga. W tym momencie najmocniej ze wszystkiego pragnął skrócić o głowę kilka mend, które zagrażały jego okrętowi, jego ludziom i jego misji.

Przemknął obok pełnego najlepszych intencji głupca i toczonego przezeń pojedynku, a następnie dał nura w stronę hangaru. Tutaj grupka marynarzy bez powodzenia próbowała uniemożliwić piratom dotarcie do ważniejszych partii statku. Chaison podleciał, by do nich dołączyć. Krótkimi spojrzeniami rzucanymi ponad głowami próbował ocenić wrogie siły. Hangar w większości wypełniony był zwykłymi zbirami oraz mięśniakami nieprzyzwyczajonymi do wyrównanej walki, ale wyglądało na to, że dowodziła nimi awangarda złożona z byłych oficerów marynarki wojennej Aerie, którzy rzucali się w przestrzeń pomiędzy okrętami, nie bacząc na zagrożenie ze strony świszczących kul i ostrzy.

– Strzelać do dowódców! – Sam chwycił strzelbę i złożył się do celu obok dwóch mężczyzn toczących w nieważkości pojedynek szermierczy, z ostrzem w jednej i długim, zakrzywionym hakiem w drugiej dłoni.

– Ależ sir! – Ta przeklęta mucha, która bzyczała wokół niego wcześniej, wróciła. Zmęczona, ale niedraśnięta. – Co z flotą? Pana rozkazy?

Chaison obrócił się w powietrzu. Morderczy szał sprowokował go do wycelowania strzelby w pierś mężczyzny. Trzeba było przyznać oficerowi, że choć pobladł, to nawet nie drgnął.

– Potrzebują pańskich rozkazów – powiedział.

Admirał zaklął i złapał go za gardło.

– Nigdy więcej – syknął – nie waż się myśleć, że nie jestem w stanie jednocześnie walczyć i planować. – Chwilę później zanurkował obok mężczyzny, kierując się w stronę mostka.

Droga była zablokowana. Z niejakim zaskoczeniem przyjął obecność zawalonych dźwigarów i desek wypełniających wąskie przejście pod centryfugą. To nie wyglądało jak uszkodzenia po wybuchu. Dziób? Czyżby ktoś staranował ich, gdy admirał spoglądał w inną stronę?

Nie miało to znaczenia. Podważył kilka desek i wyjrzał na zewnątrz. Bitwa przebiegała po jego myśli: piraci mieli przewagę w postaci osłony, z której bezwstydnie korzystali. Jednak piątka okrętów po drugiej stronie zaminowanej przestrzeni i tak robiła z napastników mielonkę.*Nie potrzebują mojej pomocy*, pomyślał z ulgą. Rozważywszy przez chwilę listę priorytetów, zwrócił się do swoich podkomendnych z pytaniem:

– Gdzie moja żona?

– Uch, na mostku, sir.

– W porządku. Będziemy musieli się tam dostać. Tam też znajdują się mechanizmy autodestrukcji. Pora na odrobinę zewnętrznej wspinaczki, chłopcy.

Kilkakrotnie kopnął uszkodzone odeskowanie. Wkrótce powstała dostatecznie duża dziura, by można było się przez nią przecisnąć. Gdy Chaison miał już wyjść na zewnątrz, poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Należała do oficera, który ośmielił się mu przeciwstawić.

– Pójdę pierwszy, sir. Nie wiemy, co może nas czekać na zewnątrz.

Fanning zmierzył go od stóp do głów, bo słowa żołnierza najwyraźniej go zaskoczyły.

– Jak masz na imię?

– Travis, sir. – Raczej bardziej przypominał aktora*grającego* idealnego oficera marynarki wojennej, aniżeli żywego człowieka. Trwała bitwa, a jego mundur nie był nawet pognieciony! Mężczyzna był spokojny i opanowany - w przeciwieństwie do reszty oddziału.

Admirał uśmiechnął się pod nosem.

– Zostałeś dobrze wychowany, chłopcze, lecz jesteś nieco bezczelny. – Travis wyglądał na przygnębionego, ale Chaison zbył to śmiechem. – A teraz idź już! Porozmawiamy później.

Travis wyszedł i najwyraźniej udało mu się przeżyć; jego dłoń pojawiła się w otworze, by pomóc Fanningowi oraz pozostałym członkom świty wyjść na zewnątrz. Znaleźli się na dnie wielkiego wgniecenia w kadłubie*Gawrona*. Nic, czego nie mogliby z łatwością załatać cieśle. Chaison wyjrzał przez krawędź i zobaczył, że zarówno ich okręt, jak i statek piratów, przestały wirować. Związano je ze sobą dziesiątkami lin. Najbliższy właz na korsarskiej jednostce oddalony był zaledwie o kilka metrów. Co chwilę ze środka wyskakiwał jakiś człowiek, ale żaden nie odwrócił głowy, by dostrzec małą grupkę dowodzoną przez admirała. Chaison miał nieprzepartą ochotę, by powybijać ich jednego po drugim, ale byłby to próżny trud: szybko ktoś by ich zauważył i otworzył ogień zza jednego z iluminatorów.

– Oto doskonały przykład ironii – skomentował Chaison, po omacku szukając oparcia na opływowym kształcie kadłuba. Otaczało ich jedynie powietrze, bezkresna otchłań Virgi; jeden nieuważny krok posłałby cię na powolną wycieczkę dookoła świata, wraz z ptakami, robactwem i rybami, które urządziłyby sobie wędrowną ucztę.

– Słucham, sir? – Obok niego zjawił się Travis. Obaj wpijali palce w wąskie szczeliny pomiędzy deskami poszycia, poruszając się naprzód powolnymi, kołyszącymi ruchami, żeby nie stracić uchwytu.

Chaison wzruszył ramionami.

– Przylecieliśmy tu, by znaleźć piracki skarb – powiedział. – Ale wygląda na to, że sami padniemy czyimś łupem.

Travis niemal odpadł od kadłuba.

– Piracki...*skarb*? Admirale, sir, o czym pan mówi?

Chaison spojrzał ponad jego ramieniem. Kolejny z jego statków znikał w chmurze dymu. Wątpił, by był to celowy wybieg. Ciemne smugi były zbyt nieregularnie porozkładane. Nie wyglądało to dobrze.

Niemal dotarli do iluminatorów na mostku. Przed nimi stał niemożliwy do sforsowania właz; musieli poprosić o wstęp do środka.*To nie powinno być zbyt trudne*, pomyślał Chaison z roztargnieniem,*Venera nie jest teraz za nic na mnie zła*.

Zaryzykował jeszcze jeden rzut oka na bitwę. Tak, bez wątpienia to*Jasność* stała w płomieniach. Trzy pirackie okręty prowadziły w jej kierunku nieprzerwany ostrzał. Korzystali z formacji koła – stanowczo zbyt skomplikowany manewr jak na niewyszkolonych korsarzy. Wszystkie trzy statki rzuciły liny, które następnie związano w centralnym punkcie. Dając całą naprzód zaczęły wspólnie wirować wokół jednej osi. Kręcenie się w ten sposób nie stanowiło większego problemu; była to standardowa metoda, dzięki której grupa statków pozbawionych wirówek mogła wytworzyć grawitację podczas długich podróży. Znacznie większą trudność sprawiało wirowanie, przy jednoczesnym obracaniu się, dzięki czemu nie było się łatwym celem dla napastników. A te okręty właśnie tak robiły.

Dwie trzecie wirującej formacji pozostawało wewnątrz kłębowiska chmur. Ostateczny efekt był taki, że jeden z piratów wyłaniał się z ogromną szybkością zza białej ściany, odpalał salwę rakiet, a następnie nurkował w mleczny opar pod znacznie bardziej stromym kątem niż byłoby to normalnie możliwe. Artylerzyści*Jasności* próbowali trafić rakietami w środek formacji, mając nadzieję na przecięcie lin spinających trzy okręty. Jednak szanse na to były znikome.

Travis przestał pytać o skarb i zaczął uderzać w pancerny właz. Chaison prawie nie zwracał na to uwagi, zahipnotyzowany dramatyczną sytuacją, która rozgrywała się na odległym skrawku nieba.*Uciekajcie stamtąd*, ponaglał w myślach załogę*Jasności*. Ich silniki musiały jednak ulec uszkodzeniu. Stali się nieruchomym celem, zupełnie jak kierowca, który spadł ze swojego aerocykla, otoczony jedynie przejrzystym powietrzem. Następne kilka sekund było rozstrzygające.

Wnętrze chmur w krótkich odstępach rozbłysło pomarańczowym światłem raz, dwa, tuzin razy. Chaison widział kiedyś pokaz sztucznych ogni odbity na powierzchni obłoków; tak właśnie to wyglądało. W głowie odliczał sekundy do pojawienia się następnego okrętu z wirującej trójki, ale ten miał opóźnienie. Nie, nie opóźnienie – w ogóle się nie pojawił. Czas mijał nieubłaganie. Drugi statek powinien był wylecieć zza zasłony chmur, ale tego nie zrobił.

W końcu pojawił się jeden. Pirat opuścił mglistą przestrzeń w niekontrolowany sposób. Rozbłyski rakietowych eksplozji odsłaniały długie pasma ciągnących się za nim lin.

– Uderzyli w coś – powiedział. Travis spojrzał na niego z zaskoczeniem. Chaison wskazał palcem. Niemal w tym samym momencie chmury rozświetlił nagły błysk, wiele kilometrów dalej.

– Ktoś poruszył góry lodowe – szepnął, po czym wybuchnął śmiechem. W ciągu kilku sekund dwie szprychy koła przestały istnieć – dwa pirackie okręty z pełną szybkością uderzyły w niespodziewaną przeszkodę. Głupcy zbytnio zawierzyli swoim mapom, a teraz na ślepo wpadali na bloki lodu, których używali jako osłon manewrowych. Ot, sprawiedliwość.

–*Nie* rozumiem, co cię tak cieszy w*tej* sytuacji – rzekł lodowaty głos za jego plecami.

– Travis, przerwij pracę – mruknął admirał. Odwracając się, uniósł dłonie. – Mamy gości.

Venera Fanning przycupnęła po wewnętrznej stronie włazu na mostku. Słyszała dobiegające z zewnątrz głosy; jeden z nich wydawał się należeć do jej męża. Jednak kapitan Sembry odmówił otwarcia luku, a ona sama nie miała dość siły. Przeklęty właz został zaprojektowany, by oprzeć się każdemu atakowi. Otwieranie było ostatnią rzeczą, do której została przygotowana.

Od strony wewnętrznych drzwi również dochodziło rytmiczne dudnienie. Minutę temu tuż za drzwiami odpalono ładunek wybuchowy, lecz nie był on dostatecznie silny, żeby wyrwać zawiasy. Była to jednak kwestia czasu.

Cóż, pomyślała,*to* będzie bardzo interesujący rozdział w*moim* życiu. Pojmana przez piratów! Wizja losu gorszego od śmierci doprowadzała ją do szału i irytowała, ale nie czuła strachu. Już teraz rozważała, jaki nacisk mogła wywrzeć, by obrócić całą sytuację na swoją korzyść.

– Gaz?

Venera ocknęła się, słysząc to słowo. Spojrzała na obsługę mostka zgromadzoną wokół zestawu zaworów i rur na tyłach cylindrycznej komnaty. Kapitan Sembry kręcił głową, negując propozycję.

– Za późno na to – powiedział. – Pozbędziemy się kilku uczestników abordażu, ale reszta piratów zwyczajnie przewietrzy okręt i zdobędzie go na nowo.

– W takim razie ładunki wybuchowe.

Sembry skinął głową, sięgając po coś do kieszeni marynarki.

– Kapitanie? – Venera postanowiła odegrać swą popisową rolę damy w opałach. – Co się dzieje?

Mężczyzna spojrzał na nią ojcowskim, posmutniałym wzrokiem.

– Przykro mi, moja droga – rzekł. – Nie możemy dopuścić, by okręt Slipstreamu wpadł w ręce wroga. Będziemy musieli dokonać autodestrukcji.

Kobieta zrobiła wielkie oczy.

– Ale w ten sposób wszyscy zginiemy, prawda?

Sembry westchnął.

– Obawiam się, że taka jest natura służby wojskowej.

Pokazał jej leżący na dłoni klucz. Ruchem głowy wskazał na serię metalowych skrzynek umieszczonych na ścianie za jego plecami.

– Te ładunki wybuchowe można odpalić jedynie za pomocą impulsu elektrycznego – wyjaśnił. – Ten klucz...

Zamrugał z niedowierzaniem, gdy Venera wyciągnęła pistolet zza jedwabnych pantalonów. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale kobiecie nie było dane tego usłyszeć, ponieważ w tej samej chwili poczęstowała go kulą między oczy.

Reszta załogi stała w zbitej grupie, dlatego wystrzelanie ich do nogi było równie łatwe.

Mostek wypełniły drgające ciała i kropelki krwi. Venera zanurkowała i pochwyciła Sembry’ego. Na twarzy kapitana wciąż malowało się zaskoczenie.

Po pierwsze: pozbyć się klucza, pomyślała.

Po drugie: otworzyć drzwi i wpuścić piratów.

Plan Haydena wypalił. Wraz z Martorem unosili się wysoko ponad polem bitwy. Było to jedyne miejsce jakie znalazł, skąd mogli obserwować walkę, nie bacząc na chmury, smugi kondensacyjne, dym i ciemność. Z obłoków wyłaniały się cztery góry lodowe, ciągnąc za sobą pasemka mgły, w miarę jak nabierały pędu na długi lot w kierunku Słońca Słońc. Piraci stracili przewagę i poszli w rozsypkę. Losy bitwy mogły się odwrócić.

Jednego tylko nie przewidział: spadające lodowce zaczęły wpływać na pogodę. Pole bitwy szybko zasnuwały rozległe kłęby chmur. Syreny

mgielne zawyły na statkach, które z trudem starały się uniknąć zderzenia ze sobą nawzajem.

Martor nie mógł usiedzieć ze zniecierpliwienia.

– Wracajmy na*Gawrona*!

Hayden pokiwał głową i uruchomił silnik; czuł jednak niepokój, ponieważ okręty rozdzielała mgła oraz miny i mogło minąć wiele czasu zanim okręt flagowy otrzyma pomoc. Ostrożnie torował im drogę przez kolejne warstwy mgły, nasłuchując odgłosu wystrzałów lub świstu rakiet. Niczego jednak nie słyszał i nie wróżyło to nic dobrego.

Czarny kadłub wyrósł przed nimi tak nagle, że musiał zawrócić aerocykl i dodać gazu, by wyhamować na czas.

– To piraci! – powiedział Martor, sięgając po ukryty w przyczepce miecz. – Chyba zwyciężyliśmy!

Hayden poprowadził maszynę wzdłuż burty, tak cicho, jak było to możliwe.*Gawrona* i piracki statek wciąż łączyły liny. W iluminatorach okrętów nadal płonęły światła. Dostrzegł szare sylwetki mężczyzn pracujących przy silnikach krążownika Slipstreamu, założył więc, że walka istotnie dobiegła końca.

Martor był bliski wybuchu.

– No dalej, na co czekasz?

– Ciii! – Zgasiwszy silnik, Hayden pozwolił maszynie na swobodny dryf w kierunku rufy. Pracujące postacie stawały się coraz wyraźniejsze, jak obrazki, które widział kiedyś na emulsji fotograficznej.

– Hej, to nie są... – Hayden szybko chwycił Martora za ramię, gestem nakazując mu milczenie. Chłopak wyszarpnął się.

– Ale tak nie może być! Musimy coś zrobić.

– Martor, zajęli*Gawrona* – szepnął Hayden. – Nie możemy tam wrócić.

– Ale ktoś musi ochronić Aubri! Posłuchaj – błagał Martor – możemy przysiąść na kadłubie jak zmęczone wrony, a kiedy nie będą się spodziewać...

Hayden pokręcił głową, ale chłopak nie dawał za wygraną.

– Więc schowajmy się w chmurach i lećmy za nimi... Co?

– Zostało nam paliwa na góra dziesięć minut. Jeśli jeszcze tego nie zrobili, to piraci w każdej chwili mogą wysłać aerocykle w poszukiwaniu niedobitków. Doskonale wiesz, że przepatrzą każdy cal kadłuba, ze wszystkich stron, wyglądając pasażerów na gapę.

– Chcesz uciec na któryś z pozostałych okrętów? Nie! Ja zostanę, by walczyć.

– Martor, to nie ma sensu. Nie przetrwasz dziesięciu sekund.

Niech chłopak myśli, że wracają na inny statek. Gdy zda sobie sprawę, że ich prawdziwym celem jest stacja turystyczna, będzie już za późno.

Nagle poczuł mdłości na myśl o odlocie. Zostawienie Aubri Mahallan na pastwę tych potworów było kolejną z wielu porażek w jego życiu. Z jakiegoś powodu myśl o tym, że admirał Fanning nie żyje albo wkrótce umrze nie stanowiła żadnego pocieszenia.*Kogo* on obchodzi? pytała jakaś część jego samego.*Tylko* ciebie, ale czy ty coś znaczysz?

– *Nie chcę tego robić* – rzekł szczerze. – Ale musimy...

Odwrócił głowę w ostatniej chwili, żeby dostrzec w dłoniach Martora czarny cylinder rakiety, zmierzający w kierunku jego twarzy. Chwilę później świat rozbłysł i zgasł.

W dzieciństwie Venera Fanning mieszkała w pokoju o kanarkowo żółtych ścianach. Namalowano na nich małe drzewa i okręty powietrzne. Jej łóżko z baldachimem z przykurzonego aksamitu stało pod jedną z nich.

Nocą, gdy przyciskała ucho do nierównej powierzchni gipsu, słyszała krzyki mężczyzn i kobiet torturowanych w lochach jej ojca.

Poprzedni dzień na nowo przywołał wspomnienia o domu. Teraz jednak echa wrzasków wypełniających *Gawrona* ucichły. We względnej ciszy, która zapanowała, kobieta słyszała, jak ktoś duży snuje się okrytymi półmrokiem korytarzami – ktokolwiek to był, co chwilę obijał się o ściany w nieukierunkowanej, bezwładnej złości. Gdy postać minęła próg hangaru, w którym pozostawiono związaną Venerę, kobieta zobaczyła, że był to kapitan piratów imieniem Dentius. Nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna nie był zadowolony z rezultatu tortur.

Venera postanowiła wykorzystać okazję.

– Zapewne zauważyłeś już, że załoga nie ma pojęcia, dokąd zmierzaliśmy.

Dentius obrócił się. Jego małe oczka zwęziły się jeszcze bardziej, a wargi odsłoniły zęby. Zanurkowawszy do wnętrza hangaru, zatrzymał się, owijając nogi wokół bioder Venery, po czym chwycił kobietę za gardło.

– Co wiesz? – krzyknął. – Gadaj albo będziesz następna.

– Ależ, kapitanie – wychrypiała, wyginając plecy. – Istnieją łatwiejsze sposoby. Chętnie podzielę się swoją wiedzą... w zamian za drobną przysługę.

Mężczyzna warknął. Miał na sobie wypłowiały i połatany mundur kapitana statku Aerie. Jego twarz nie nosiła jednak żadnych śladów świadczących o działaniu promieni słonecznych. Podobnie jak w przypadku większości jego podwładnych, twarz miał białą jak wnętrze ziemniaka, jeśli nie liczyć miejsc poprzecinanych różowymi bliznami. Dla Venery wyglądał jak jakiś ogromny, wijący się czerw wciśnięty w mundur oficera.

Wiedziała, że postanowił traktować ją inaczej niż resztę członków załogi, których w większości upchnięto na pustych półkach po pociskach

rakietowych i w schowkach na wodę. Niewidoczni i chwilowo zapomniani. Nie miała pojęcia, czy Chaison jest z nimi, ani czy w ogóle żyje.

Venera i Aubri Mahallan zostały związane, a potem wystawione na widok publiczny w hangarze. Dentius określił to mianem „inspiracji dla chłopców” – pozwolił im jednak zachować ubrania, ponieważ, jak sam stwierdził: „istniała cienka granica pomiędzy inspiracją a obsesją”. Mimo tego nieco oszołomioną, ale też zrozpaczoną Mahallan umieszczono na samym środku pomieszczenia z rozpostartymi rękami i nogami. Związane nadgarstki Venery były zaledwie przywiązane do słupka obok drzwi.

Wydawało się oczywiste, co kapitan zaplanował dla Mahallan. Jednak wyglądało na to, że wciąż nie miał sprecyzowanego pomysłu odnośnie do Venery, dlatego kobieta postanowiła podsunąć mu kilka rozwiązań, zanim ten zacznie za dużo się nad tym zastanawiać.

Mężczyzna przez chwilę mierzył ją wzrokiem, po czym uderzył ją w okolice nerek. Ból był nie do opisania – ale przez umysł Venery przemknęło wspomnienie jej samej, leżącej na marmurowej posadzce, jęczącej z rozszarpanymi ustami i wpatrującej się w zakrwawiony kształt leżącego obok pocisku ze strzelby. A kiedy nikt nie przychodził, jej złość narastała i narastała...

Dentius złapał ją za włosy, odciągając jej głowę do tyłu.

– Gadaj! – ryknął. – Albo zabiję cię tu i teraz!

– W-w tym właśnie problem, prawda? – Zmusiła się do uśmiechu, choć szyja i szczęka pulsowały bólem, a dodatkowo czuła, że mężczyzna wyrywa jej włosy. – I tak mnie zabijesz. Więc dlaczego miałabym współpracować?

Dentius burknął coś i odstąpił. Venera stwierdziła, że miał mentalność rekina: prostolinijny brutal, który – jeśli nieco go przystopować – stawał się głupi i nieruchawy. Jej brawura wydawała się nieco studzić jego zapędy, a przynajmniej przypomniała mu, do czego jest zdolna.

– Dlaczego zastrzeliłaś kapitana? – spytał niespodziewanie.

Posłała mu uśmiech.

– Dlaczego? Ponieważ był jedyną poza mną osobą na pokładzie, która znała cel naszej podróży.

Dentius puścił jej włosy. W tej samej chwili w drzwiach stanął jeden z jego służalczych kompanów.

– Inwentaryzacja skończona, kapitanie – powiedział z akcentem, który Venera co prawda znała, lecz nie mogła sobie przypomnieć skąd. – Wyłącznie sprzęt wojskowy, za wyjątkiem kilku malowideł. Zapewne zamierzali je sprzedać w pałacu voyeura.

Dentius pokiwał głową, przyglądając się badawczo Venerze. Następnie wyciągnął nóż z cholewy buta. Kobieta drgnęła, ale pirat jedynie przeciął linę trzymającą ją przy słupie.

– Musimy jeszcze porozmawiać – powiedział, wywlekając ją z hangaru wprost w pozostałości po walce: dryfujące krople krwi, zawieszone w przestrzeni kule dymu, drzazgi i poszarpane resztki bandaży.

Podczas gdy mężczyzna ciągnął ją zrywami przez drewniane żebra okrętu, Venera próbowała zachować jasność umysłu. Musiała dowiedzieć się, kto wciąż żył i gdzie ich przetrzymywano. Półki na pociski rakietowe przypominały zasadniczo żelazne klatki, więc łatwo było dostrzec ich lokatorów. Nie zauważyła żadnego starszego oficera, jedynie zwykłych lotników, którzy odpowiadali jej apatycznymi lub przestraszonymi spojrzeniami. Czy oznaczało to, że Chaison zginął?

Dentius zaciągnął ją do osi rozkręconej wirówki. Wyczerpani oraz ranni piraci drzemali w hamakach na skraju koła; słyszała zarówno jęki, jak i śmiechy.

– Moja kajuta – powiedziała, wskazując związanymi dłońmi.

– Kajuta kapitana – odparł. – Byłaś jego kobietą?

Pokręciła głową. Chaison Fanning zajął kajutę Sembry’ego, zmuszając kapitana*Gawrona* do znalezienia sobie innego miejsca.

– Byłam żoną admirała – przyznała. – Ale on już nie żyje, a jego ciało zapewne zaginęło wśród chmur.

Nie miała wątpliwości, że Dentius rozpytywał o nią torturowanych mężczyzn. Nie było sensu zaprzeczać swojemu statusowi.

Pirat bez słowa wepchnął ją do kajuty, którą w większości zajmowały poprzewracane skrzynie i porozrzucane ubrania. Większość z nich należała do Sembry’ego, rzecz jasna; Chaison podróżował z niewielkim bagażem.

Jej szkatułka leżała na podłodze z otwartym wiekiem. Pamiętny pocisk, który zranił jej twarz, wciąż spoczywał na aksamitnej poduszeczce w środku. Obroty wirówki powodowały u niej mdłości, dlatego przysiadła na krawędzi łóżka, ostentacyjnie wygładzając ubrania.

– No więc... – Dentius przygryzł knykieć. – Dlaczego zabiłaś pozostałych ludzi na mostku?

Wzruszyła ramionami.

– Nie spodobała im się... moja taktyka.

Pirat wybuchnął śmiechem.

– Venera Fanning, tak masz na imię, prawda?

– Zgadza się – odparła, zadzierając brodę. Serce łomotało jej w piersi; pomimo że od małego szkolono ją w sztuce zwodzenia innych, Venera wątpiła, aby udało jej się jeszcze długo zachować spokój.

Przyciągnąwszy sobie krzesło, Dentius usiadł i oparł dłonie na udach.

– A więc – odezwał się w straszliwej parodii uprzejmości – co sprowadza cię do zimy, Venero Fanning?

– Skarb – rzuciła szybko. – Jak na ironię... piracki skarb, mówiąc dokładniej.

Kapitan pokręcił głową.

– Gdyby istniało tutaj coś wartego zachodu, zdobyłbym to i odbudował flotę, by odbić Aerie całe lata temu. Nikt nie chowa swoich skarbów w zimie. Każdy, kto cokolwiek posiada, zabiera swoje bogactwa w bardziej słoneczne miejsce.

– Wiem, ale nie zawsze tak jest. W dawniejszych czasach konwoje regularnie latały przez zimę, transportując towary pomiędzy księstwami Candesce i zewnętrznymi nacjami. Można było wtedy zgromadzić niezwykłe skarby.

Dentius zamyślił się na chwilę. Jego twarz, która jeszcze kilka minut temu przypominała gębę brutalnego półgłówka, rozluźniła się i oto bez tej maski ukazał się zmęczony i rozczarowany mężczyzna. Po jakimś czasie powiedział:

– Słyszałem legendy. Wszyscy je słyszeliśmy. Kiedyś nawet wierzyłem w takie rzeczy. Chodzi o Anetene’a, prawda? – dodał ze słabym uśmiechem. – Mówisz o... jak to najlepiej ująć: „osławionym skarbie Anetene’a”.

Venera zmarszczyła brwi, widząc jego sceptycyzm.

– Istotnie. Byliśmy w drodze na stację turystyczną, ponieważ tam ukryto mapę.

Dentius zaniósł się śmiechem.

– Musicie być niespełna rozumu – powiedział. – Anetene to legenda. Jasne, żył i był wielkim piratem. Mniej rozgarnięci członkowie mojej załogi

nawet klną się na niego. Ale jego skarb to czysty mit.

– Możliwe – odparła, wzruszając ramionami. – Ale mapa do niego jest prawdziwa.

Mężczyzna wykrzywił pobłażliwie usta.

– A po co niby admirał Slipstreamu miałby uganiać się za pirackim skarbem w zimie?

– Jeśli o to chodzi... – Odwróciła spojrzenie, wykonując niewielki ruch. – W chwili obecnej Slipstream nie stoi zbyt dobrze z finansami, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Pilot nie jest najmądrzejszym człowiekiem, jeśli mowa o pieniądzach.

– Macie deficyt do spłacenia? – Dentius wyszczerzył zęby.

– Powiedziałabym raczej, że Pilot ma dług, o którym powiedział ludziom... a do tego jest jeszcze prawdziwy deficyt.

– Rozumiem, że chcecie zapobiec skandalowi politycznemu – Pokręcił głową. – Już na pierwszy rzut oka, cała ta historia wydaje się niedorzeczna. Nie wiem więc, dlaczego próbujesz mi ją wcisnąć?

– Ponieważ skarb istnieje naprawdę – powiedziała. – Zdaję sobie sprawę z tego, że nie mogę cię do tego przekonać.

Teraz to on się zawahał: jak duży nacisk mogła na niego wywrzeć? Gdyby zaczęła z nim pogrywać, mógłby ją zabić. Ale gdyby dała się zastraszyć, on by zwyciężył; pocisk by zwyciężył.

– Jest jeszcze jedna kwestia – powiedziała powoli. – Widziałam, jak pan i pana ludzie sprawili się w bitwie. Teraz ma pan własny dług, kapitanie: poniósł pan o wiele większy koszt w ludziach i statkach, niż zyskał w zamian. Czy mylę się, sądząc, że sprawi to panu nieco osobistych... problemów politycznych?

Twarz Dentiusa poczerwieniała z wściekłości. Wstał, przewracając krzesło.

– Na początek zabijemy was wszystkich – powiedział. – Bardzo krwawo, bardzo widowiskowo. Moi ludzie poznają smak zemsty.

– Ale czy to wystarczy? – Venera pozwoliła sobie na mały, ironiczny uśmieszek. – Wiesz, że na innych kapitanach nie zrobi to wrażenia. Straciłeś dobre okręty, Dentiusie.

Nie odpowiedział.

– Nasza śmierć będzie stanowić dobrą dywersję – ciągnęła żona admirała. – Ale potrzebujesz czegoś lepszego. Lub czegoś, co trwałoby dłużej, dopóki

pamięć o tym wydarzeniu nie zblaknie. Musisz dać swoim ludziom*nadzieję*, kapitanie, albo równie dobrze możesz stracić swoją robotę.

– Innymi słowy – powiedział – nie ma znaczenia, czy skarb Anetene'a naprawdę istnieje...

– Dopóki istnieje mapa. Coś, co będziesz mógł dać innym kapitanom. – Pokiwała głową. – A mapa istnieje...

Dentius na chwilę oparł się o ścianę; grawitacja wyraźnie mu nie służyła. W końcu skinął głową – raz, po żołniersku.

– Dobrze. Jeśli pokażesz nam drogę do mapy, zachowasz życie.

– I cnotę.

– Tego nie mogę zagwarantować. Ale powiedzmy, że ta kwestia zostanie rozważona – wyszczerzył zęby i zamierzał wyjść. – Kajuta należy do ciebie. Czy wasza miłość jeszcze czegoś potrzebuje?

Życie, a nie śmierć, majaczyło na horyzoncie – przynajmniej na razie – dlatego Venera postanowiła spytać o tę jedyną rzecz, na którą Dentius mógłby przystać.

– Jest jeszcze coś...

Kapitan obrócił się, zaskoczony. Venera uklękła, by podnieść swoją szkatułkę. Wyciągnęła z niej pocisk, a następnie przytrzymała w górze, tuż obok szczęki.

– Mnie i tę kulę łączy pewna historia – powiedziała. – Jeśli przeżyję i któregoś dnia odzyskam wolność, chcę wiedzieć, skąd ona pochodzi.

Na mężczyźnie ewidentnie zrobiło to wrażenie.

– Dlaczego?

Tym razem za jej uśmiechem nie kryły się żadne pozory.

– Żebym mogła udać się tam i zabić wszystkich, którzy mają z tym coś wspólnego.

Czarna zasłona uniosła się. Hayden zamrugał kilkakrotnie, mając przed oczami rozmazane kształty i cienie. Do jego uszu doszły szepty i dźwięk dartego materiału; ktoś ciągnął go za koszulę. Nie czuł pod sobą żadnej twardej powierzchni, musiał więc przebywać w stanie nieważkości. Było mu również bardzo zimno. Z oddali dochodził ów lekko drażniący, dwutonowy odgłos wydawany przez silniki*Gawrona*.

To musiało oznaczać coś złego.

– Hej! – chciał krzyknąć, ale wypadło to bełkotliwie i słabo.

– Odzyskał przytomność. – Rozpoznał głos skryty za tym nerwowym szeptem. – Wybacz, Girffin, ale musimy poświęcić rąbek twojej koszuli dla dobra sprawy.

– Co... – Głos admirała Fanninga brzmiał sucho, niemal chrapliwie. Tylko dlaczego on w ogóle tutaj był? Hayden potrząsnął głową, przez co natychmiast dostał zawrotów. Tętniący ból rozlał się pod czaszką zza lewego ucha.*Nie porzygaj się*, powtarzał sobie.*Tylko się nie porzygaj*. Dziś nie będzie grawitacji.

Szare mazaje nabrały wyrazistości. Skulony w pozycji płodu, przebywał w jakiejś zamkniętej przestrzeni otoczonej metalowymi kratami. W pobliżu nie było żadnego źródła światła, przez co cały świat malował się w odcieniach szarości. Wraz z nim do tego niezwykłego miejsca wciśnięto trzech mężczyzn i chłopca. Jednym z nich był Fanning. Drugim – nie miał co do tego pewności – mógł być służący Venery, Carrier.

Żołądek Haydena wykonał kolejną woltę, ale tym razem nie z powodu bólu. Trzeci mężczyzna trzymał Martora za rękę i nogę, rozciągając go jak gotowe do poskładania prześcieradło, podczas gdy Fanning próbował zatamować strużkę ciemnego płynu sączącą się z jego boku. Stopa chłopaka wystawała z jednej strony na zewnątrz klatki, natomiast jego dłoń z drugiej.

– Został... dźgnięty?

– Postrzelony – mruknął Fanning. – Kula wciąż jest w środku.

Sam widok podziałał na Haydena jak wiadro zimnej wody.

– Musimy ją wyjąć – powiedział, zmuszając nieskore do współpracy usta do uformowania właściwych sylab.

– Doprawdy? – Tak, to musiał być Carrier. Jego głos ociekał wręcz sarkazmem. – Mów ciszej – syknął na koniec.

Hayden pragnął spytać, dlaczego byli w klatce, choć nie chciał usłyszeć żadnej z możliwych odpowiedzi. Dziwna, elektryzująca cisza na statku, to w jaki sposób ci ludzie wzdrygali się za każdym razem, gdy z oddali dochodził jakiś hałas... Jednak ważniejsze od ciekawości było upewnić się, że Martor wyjdzie z tego cało.

– Daj mu spokój – rzucił Fanning do Carriera. – Ma wstrząs mózgu. – Zwrócił się do Haydena: – Problem w tym, że nie jestem w stanie dosięgnąć kuli gołymi rękami. Natomiast jedyne co mam to dwie drewniane drzazgi, które udało mi się wydobyć z kadłuba. – Przytrzymał w górze dwa ostre kolce. – Jeśli zacznę grzebać nimi w brzuchu twojego przyjaciela, na

pewno o coś zahaczę i zostawię coś w środku. To najprostsza droga do zakażenia.

– Może ty nam pomożesz – powiedział mężczyzna trzymający Martora jak kawałek materiału. Hayden rozpoznał w nim członka świty admirała. – Możemy podgrzać drewno, by je wysterylizować - nie podpalając go, rzecz jasna. Jeśli uda nam się dosięgnąć*tego*. – Wskazał coś palcem.

Dopiero teraz Hayden zdał sobie sprawę gdzie byli: wciśnięci w przestrzeń półki rakietowej, gdzieś w okolicach rufy okrętu. Klatkę przymocowano do kadłuba i zastawiono skrzyniami, które przesłaniały światło. Jednak w miejscu, które wskazał mężczyzna, brzeg jednej ze skrzyń otaczała świetlista obwódka. Tuż za rogiem znajdowała się latarnia. Hayden wyciągnął rękę i poczuł słaby ruch powietrza od strony wiatraka.

Ktoś zakaszlał niedaleko, po czym odezwały się szorstkie głosy. Mężczyźni w klatce zastygli w bezruchu. Rzucali jedynie nerwowe spojrzenia w kierunku, z którego dochodziły dźwięki. Mijały sekundy. W końcu wszyscy jak jeden mąż wypuścili z płuc powietrze i rozluźnili się nieco.

– Żaden z nas nie jest w stanie dosięgnąć latarni – powiedział Fanning, jak gdyby nigdy nic. – Ale ty jesteś młody i chudy. Spróbujesz? Musimy podgrzać te drzazgi, ale nie możemy ich spalić.

– Ach. – Chwycił je drżącą dłonią. – W porządku.

Krople krwi Martora przeleciały mu obok nosa, roztaczając zapach żelaza. Hayden ominął je ostrożnie, a następnie przycisnął ramię do krat klatki. Ponownie usłyszał w oddali skrzypienie i głosy z mocnym akcentem: to z całą pewnością nie była załoga*Gawrona*. Piraci mogli zauważyć jego dłoń wystającą zza skrzyni – koniec końców miała znaleźć się w kręgu jasnego światła – ale wolał umrzeć niż przerywać za każdym razem, gdy któryś z nich kichał, jak jakiś uszkodzony silnik. Musiał wykonać to zadanie, aby uratować Martora.

Wyprężając się aż mroczki stawały mu przed oczami, w końcu udało mu się przecisnąć dłoń tuż obok narożnika skrzyni. Doskonale znał kształt małych latarenek: przypominały miniaturowe aerocykle – otwarte cylindry z nakręcanymi wiatraczkami po jednej stronie, które zapewniały przepływ powietrza wokół knota. Przywołał w myślach obraz urządzenia, a następnie przesunął jedną z drzazg w miejsce, jego zdaniem, tuż obok płomienia. Odczekał chwilę, po czym cofnął rękę.

Drewniany odłamek wciąż był zimny. Spróbował ponownie, nieznacznie zmieniając pozycję. Za piątym podejściem wsadził drzazgę prosto w płomień. Drewno stanęło w ogniu i musiał szybko je zdmuchnąć, podczas gdy Carrier wyzywał go od durniów. Zaczynał jednak nabierać wprawy.

Kilka minut później ostrożnie wręczył dwa rozgrzane kawałki drewna Fanningowi, który mruknął coś w podziękowaniu. Hayden był dumny z siebie, szczęśliwy ze względu na okazane uznanie i zły na siebie, że opinia admirała cokolwiek dla niego znaczyła.

Gdy Fanning zabrał się do roboty, Hayden poczuł, że w końcu może zadać gnębiące go pytanie.

– Kto go postrzelił? – zwrócił się do podkomendnego admirała. Mężczyzna spojrzał na niego ponad ramieniem Martora z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

– Chcieliśmy spytać cię o to samo – powiedział. – Wrzucili was tu obu godzinę po tym jak przegraliśmy bitwę. Słyszałem strzał... Byliście na zewnątrz?

Hayden pokiwał głową.

– Usuwaliśmy miny... Teraz pamiętam. Uderzył mnie w głowę, ponieważ odmówiłem dalszej walki. Wy... już przegraliście.

– Mądrość bardzo często zostaje nagrodzona uderzeniem w czerep – odparł mężczyzna. – Mam na imię Travis. To jest Carrier. Prawdopodobnie znasz już, uch,*chorążego* Fanninga. – Posłał Haydenowi smutny uśmiech. – Masz przywilej siedzieć w klatce zarezerwowanej dla wichrzycieli. Fanning i ja zostaliśmy pojmani, kiedy próbowaliśmy wykraść się na zewnątrz. Carrier dotarł na mostek wrogiego okrętu i zabił sześć osób zanim go obezwładniono. Natomiast wy dwaj najwyraźniej zaatakowaliście w pełni uzbrojony statek piratów, dysponując jednym aerocyklem i dwoma pistoletami. Zgaduję więc, że stanowimy kłopotliwą gromadkę.

– Ale wciąż żyjemy – skomentował Carrier bezbarwnym głosem. – To bardzo głupie z ich strony.

– Nie wiedzą... – powiedział niemal półprzytomnie Fanning – ...który z nas może przedstawiać jakąś wartość.

– Nie wiedzą, kim on jest – szepnął Travis, wskazując na admirała. – Ale wiedzą, że na pokładzie przebywał admirał. Okup za niego może być jedynym zyskiem, jaki przyniesie im ta cała eskapada.

– Myśleli, że to ja – rzucił Carrier z pierwszą oznaką rozbawienia, jaką kiedykolwiek okazał. – Dlatego nie zastrzelili mnie na miejscu.

– Aha! – Fanning zgarbił plecy, zaciskając zęby, w miarę jak powoli cofał dłonie. W końcu podniósł połyskliwą, metalową łuskę do światła. – Zrobione. Opatrzmy go.

Wszyscy oderwali po kawałku swoich koszul. Hayden wyciągnął dłoń, by wręczyć szarpie Fanningowi, gdy zadrżała mu ręka.

– Jedną chwil...

Chwilę później czarna zasłona ponownie przesłoniła cały świat.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł – ktoś się odezwał. Hayden poczuł drgnięcie własnego ciała, a już po chwili półprzytomnie wodził wokół spojrzeniem po skąpanych w półmroku na wpół znajomych kratach i stłoczonych za nimi ludziach.

– Travis, przekonałeś mnie do nieoddania się w ich ręce, gdy ci kryminaliści zaczęli torturować naszych ludzi, ale teraz się tego wstydzę. – Admirał Fanning siedział w powietrzu, przytrzymując dłońmi uniesione w górę kolana. Gdy mówił, chłodne powietrze zamieniało jego oddech w parę.

Blady Martor unosił się na samym środku klatki z bezwładnie rozrzuconymi rękami i nogami.

– Uczyniłem to, by chronić szczegóły misji...

– Pal sześć misję! Jestem odpowiedzialny za moich ludzi. Jeśli mogę oszczędzić bólu choć jednemu z nich, muszę to zrobić.

– Nie, jeśli ostatecznie doprowadzi to do ich śmierci – mruknął Carrier. – Cicho, ktoś idzie.

Hayden miał właśnie spytać, jak się miewa Martor. Zamilkł jednak na odgłos kogoś, kto – jak było wyraźnie słychać – zmierzając w ich kierunku, odpychał się rękami od belek w korytarzu.

Chwilę później ukazała się im szczupła, blada twarz. Pirat był młody, niemal groteskowo chudy i miał na sobie kilka warstw połatanych kurtek, kamizelek i pantalonów. Zachowując bezpieczną odległość, pchnął dwie butelki w kierunku klatki.

– Jedna do szczania, druga do picia – powiedział, gdy naczynia dotarły do krat. – Nie pomylcie ich.

Admirał Fanning odchrząknął.

– Dokąd zmierzamy? – spytał spokojnym głosem.

– Do pałacu voyeura – odparł pirat. – Gdy dogonimy już resztę floty. – Odepchnął się od klatki i zaczął pokraczną wspinaczkę niczym czteronożny pająk.

– Co to jest pałac voyeura? – szepnął Travis.

– Myślę, że miał na myśli stację turystyczną – rzekł Fanning. – To złe wieści. Przejrzeli nasz plan.

Travis westchnął.

– Świetnie. Czy chce pan przez to powiedzieć, że piraci znają cel naszej misji w zimie, podczas gdy nie znają go nawet starsi stopniem oficerowie w pana służbie?

Hayden dostrzegł, że Martor oddycha regularnie. Ponownie zwrócił więc uwagę na Fanninga, który wyglądał na rozczarowanego.

– Informacje o tym, że poszukujemy słynnego skarbu miały pozostać w tajemnicy do momentu dotarcia na miejsce – wyjaśnił admirał. – Obawialiśmy się, że może to... wpłynąć na dyscyplinę... członków załogi, których siłą wcielono do służby.

Carrier zarechotał.

– Ma pan na myśli, że mogliby wszcząć bunt, by ustawić się jak królowie.

– Tak, panie Carrier. Właśnie to mam na myśli.

Hayden wodził wzrokiem od jednego mężczyzny do drugiego. O jakim skarbie mówili?

– Dlaczego podjęliśmy tę ekspedycję właśnie teraz? – Travis pokręcił głową. – Toczymy wojnę z Mavery. Istnieją przypuszczenia, że Formacja Sokoła będzie chciała wykorzystać tę przewagę i dokonać inwazji. Po co mielibyśmy oblatywać pół świata w pogoni za złotem? Chyba że...

– No właśnie, Travis – przerwał mu Fanning. – Robimy to dla dobra Slipstreamu oraz naszej obecnej klienckiej nacji. – Hayden drgnął na wspomnienie o Aerie. – Faktem jest, że nasza flota nie może równać się z flotą Formacji. Potrzebujemy jakiejś przewagi, a ponieważ nasz Pilot z powodzeniem zraził do siebie wszystkich sąsiadów, nie możemy liczyć na dyplomację. Musimy polegać na wojsku.

– Ale piracki*skarb*?

– Och, zapomnij o skarbie, człowieku. Podzielimy go między członków załogi, nie dbam o to. Interesuje mnie wyłącznie to, co jest przechowywane wraz ze skarbem. A to nie ma żadnej wartości dla wszystkich tych ludzi i rzecz jasna, dla piratów, skoro już o tym mowa.

– Czyli..?

Na twarzy Fanninga pojawił się zagadkowy uśmieszek.

– Czasami zapominamy, Travisie, że żyjemy w sztucznym świecie - świecie podtrzymywanym przez mechanizmy tak niesamowite, że często nie zdajemy sobie nawet sprawy z tego, czym są. Natomiast wszystkie mechanizmy stworzone przez ludzi posiadają drzwi i zamki... Powiedziałem za dużo. Dość stwierdzić, że jeśli uda się nam znaleźć to, czego szukamy, Formacja Sokoła nie powinna stanowić przeszkody.

Travis i Hayden czekali. Gdy stało się jasne, że to koniec rozmowy, ten pierwszy dał upust swojej irytacji.

– Czy kilka minut temu nie powiedział pan „pal sześć misję”? A teraz znów zazdrośnie strzeże pan jej tajemnicy.

– To dlatego, że nasz dobroczyńca – Fanning wskazał ruchem głowy na korytarz, w którym zniknął pirat – podsunął mi pewien pomysł.

Hayden postanowił, że nie warto dłużej ukrywać, że odzyskał przytomność.

– Co z dzieciakiem? – spytał, choć również chciał usłyszeć więcej na temat skarbu. Jego głos zabrzmiał chrapliwie; dopiero wtedy zdał sobie sprawę, jak bardzo był spragniony i głodny.

– Wyliże się – odparł Carrier. – O czym pan myśli, admirale?

Fanning sięgnął w górę, by przyciągnąć się do krat klatki w miejscu, gdzie została ona przytwierdzona do kadłuba.

– Ten statek nie został pierwotnie zaprojektowany do działań w zimie – rzekł. – Przerobiono go. Kiedyś widziałem, jak klatka tego typu oderwała się od ściany podczas zimowych manewrów. Stało się tak ze względu na rozsadzające właściwości lodu.

– Hmm?

– Jeśli wstrzykniemy wodę pomiędzy deski, tu i tu... – Admirał wskazał palcem. – Być może rozsadzi ona drewno, gdy zamarznie.

Carrier podszedł do tego pomysłu z lekceważeniem, ale Travis najwyraźniej postanowił się nad nim zastanowić.

– Ponieważ okręt został przystosowany do zimowych warunków, szpary uszczelniono smołą, żeby zapobiec napływowi mroźnego powietrza – zauważył. – Woda nie będzie miała dokąd uciec.

– Dokładnie – przytaknął admirał. – Uważam jednak, że nie powinniśmy marnować wody pitnej. – Uniósł drugą butelkę. – Dlatego wszyscy muszą

tu nasikać.

Hayden pokręcił głową, gdy Fanning rozsupłał mieszek przy spodniach i zademonstrował. Może miał halucynacje. To by wyjaśniało, dlaczego słyszał głos admirała Fanninga opowiadającego o poszukiwaniu skarbu i dlaczego ten sam człowiek proponował teraz, by sikali na ściany.

– Co pan sugeruje? – spytał sarkastycznie. – Nasza czwórka ma odbić okręt gołymi rękami?

Dowódca pokręcił głową.

– Oczywiście, że nie. Wysadzimy*Gawrona*. Nie możemy pozwolić, by wojskowy sprzęt Slipstreamu dostał się w ręce nieprzyjaciela.

– Ach... A jak tego dokonamy?

– Musimy dostać się na mostek. Znajdziemy jakiś iluminator, przez który wydostaniemy się na zewnątrz... – Mężczyzna zauważył, że Hayden energicznie pokręcił głową. – Dlaczego nie?

– Gdy zimowi piraci biorą w niewolę wielu jeńców, ich nadmiar wieszają na kadłubie. Na pewno mają na zewnątrz jednego lub dwóch wartowników.

Trzej mężczyźni jednocześnie wlepili w niego wzrok.

– A skąd ty niby możesz to wiedzieć? – spytał Carrier.

Hayden zawahał się, ale wyczerpał już wszystkie pokłady przebiegłości.

– Ponieważ pięć lat temu zostałem siłą wcielony do służby na pirackim statku – przyznał.

Teraz już po prostu się gapili. Carrier w końcu wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

– I wszystko jasne. Wiedziałem, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz. Przekazywałeś piratom informacje z domostwa Fanningów?

– Nie! Nic z tych rzeczy. – To już koniec. Nawet jeśli nie zabiją go piraci, admirał każe wlec go za statkiem aż do zamarznięcia albo zastrzeli na oczach załogi. Istniała jednak bardzo niewielka szansa, że jeśli powie większość prawdy – ale nie całą – uda mu się tego losu uniknąć.

– Ja... W końcu uciekłem i przedostałem się do Rushu. Tak, wymyśliłem dla siebie przykrywkę, to prawda. Nauczyłem się tego od pewnego szpiega, dla którego pracowałem. Ale sam nie szpiegowałem dla nikogo. Naprawdę potrzebowałem pracy.

Carrier uniósł jedną brew.

– Interesujące – rzekł. – Naprawdę chcesz, byśmy w to uwierzyli?

– Do tej kwestii wrócimy później – wtrącił Fanning. – Teraz chcę wiedzieć, skąd wiesz, jak zimowi piraci obchodzą się ze swoimi jeńcami.

– Uch... – Hayden mrugnął kilka razy. Admirała nie obchodziło, że wkradł się w łaski jego żony podszywając się za kogoś innego? Czyżby naprawdę był aż tak bardzo skupiony na tu i teraz? – Cóż, sir. Zaokrętowano mnie na pirackim statku*Zemsta Wilsona*. Stałem się kimś pomiędzy niewolnikiem a uczniem. Nie mogłem opuścić okrętu; ale pozwolono mi na nim pracować.

Fanning machnął ręką.

– Wcielono cię siłą – skwitował. – Przejdź do części o jeńcach.

Akurat przyszła kolej Haydena na wypełnianie flaszki, co chłopak wykorzystał na zebranie myśli.

– Hmm. Bycie piratem okazało się najbardziej niewdzięczną pracą, jaką można sobie wyobrazić - napadanie na łodzie rybaków i ptaszników, a następnie sprzedawanie ich takielunku oraz sieci w miejscach takich jak Warea. Z trudem zdobywało się pożywienie, trzeba było ciułać zapasy amunicji, a piwo w ogóle nie wchodziło w grę, chyba że uwarzyło się je samemu. Przez większość czasu było ciemno, ponuro i beznadziejnie.

Fanning wydłubał szczeliwo spomiędzy desek, w miejscu, gdzie framuga półki na pociski przymocowana została do kadłuba za pomocą bolców. Gdy wygrzebał dziurę wielkości palca, wsunął do środka szyjkę napełnionej butelki i ścisnął.

– Mów dalej – powiedział.

– Któregoś dnia mojego pobytu z tymi ludźmi, usłyszeliśmy o jachcie, który próbował przekraść się przez chmury otaczające nacje położone w pobliżu Candesce. Jakiś młody, szlachetnie urodzony dzieciak próbował dotrzeć do kochanki mieszkającej na terenie nacji, z którą jego własny lud wojował... Sami rozumiecie. Mój szef dostał cynk od jednego z ich szpiegów. Udaliśmy się więc na łowy i znaleźliśmy jacht dokładnie tam, gdzie być powinien. A potem... zajęliśmy go.

Nie cierpiał wspominać tamtej historii. Ale gdy wspomnienia powróciły, nie mógł przestać mówić.

– Nasz okręt był zmodyfikowanym łapaczem ptaków. Posiadał te same wymiary co*Gawron*, ale większość miejsca zajmowała ładownia - pusta przestrzeń. Góra trzydziestu członków załogi. Na jachcie było zaokrętowanych tylu samo marynarzy, ale też jakaś niedorzeczna liczba

służących, kucharzy i takich tam, usługujących szlachetnie urodzonemu dzieciakowi. Ich ładownię wypełniały aerocykle, więc mój kapitan postanowił, że większość jeńców będzie podróżować na zewnątrz.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Hayden skulił się i podryfował do rogu klatki.

– Większość z nich zamarzła już pierwszego dnia – mruknął. – Wiem, bo musiałem stać na warcie.

Ku zaskoczeniu chłopaka, Fanning nie spytał go o nic więcej. Zamiast tego zwołał naradę taktyczną. Hayden podzielił się swoimi spostrzeżeniami dotyczącymi przypuszczalnych miejsc, w którym mieli być rozmieszczeni strażnicy, natomiast Travis dostarczył szczegółowy plan wnętrza statku, wliczając w to informacje o tym, co i skąd było widać. Dotarcie na mostek niepostrzeżenie było trudne, ale wykonalne.

W trakcie rozmowy Hayden kilkakrotnie sprawdzał stan Martora. Chłopak oddychał teraz z coraz większą łatwością. Mimo że wciąż był blady i chłodny, przynajmniej żył. Hayden owinął swoją kurtkę wokół stóp młodszego kolegi, by go ogrzać; kątem oka dostrzegł pełne aprobaty skinięcie głowy admirała.

To rozpaliło w nim na nowo iskierkę złości. Kim był ten morderca, by wyrażać aprobatę dla zwykłej przyzwoitości?

Coś nie dawało Haydenowi spokoju od chwili ataku. W końcu zwrócił się do Fanninga:

– Sir, skąd piraci wiedzieli, że tu jesteśmy? Taką flotę mogli zgromadzić tylko, jeśli mieli wiedzę na temat celu z pewnym wyprzedzeniem.

Mężczyzna zastanowił się.

– Nie myśl, że nie zastanawiałem się nad tym setki razy. W tej chwili podejrzewam, że ktoś z Warei sypnął, że tu będziemy. Mogli w tajemnicy wysłać aerocykl, jeszcze zanim natrafiliśmy na samo jezioro.

Od strony kadłuba doszedł ich suchy trzask. Klatka zadrżała, a czterej mężczyźni spojrzeli na odeskowanie. Tuż poniżej bolca mocującego przebiegało pęknięcie, z którego sterczała długa drzazga.

– Nie wierzę – szepnął Fanning. – To cholerstwo zadziałało.

– Już nigdy w pana nie zwątpię – rzucił Carrier. Niemal się uśmiechnął, ale admirał obrócił głowę i zmierzył go pogardliwym wzrokiem.

– Pańskie zaufanie nie będzie potrzebne,*panie Carrier* – odparował. – Teraz pomóżcie mi to podważyć, żeby najmłodszy i najzwinniejszy z nas

mógł się przecisnąć pod spodem.

Zaparli się stopami o kadłub i zaczęli szarpać kraty. Bolec puścił ze skrzypnięciem, a pomiędzy klatką a poszyciem powstała wolna przestrzeń. Hayden nie czuł się w tym momencie tym, który może uchodzić za specjalnie zwinnego. W głowie huczało mu jak w zepsutym słońcu, ale mimo to z zapałem zaczął wciskać się w szczelinę.

Wyszedł aż do wysokości bioder i zaczął już rozważać, jak poradzić sobie z krążącymi wśród skrzyń strażnikami, gdy zmienił się odgłos wydawany przez okręt. Bicie dzwonu poniosło się echem po całej przestrzeni, a ryk silników uderzył w inny ton, by po chwili całkiem zamilknąć.

– Wracaj do środka! – Trzy pary rąk przeciągnęły go z powrotem pod naporem pordzewiałych krat klatki. Podrapany i pozbawiony tchu Hayden opadł na ścianę, gdy zza skrzyń wyłoniło się trzech piratów z pistoletami.

– To wasz szczęśliwy dzień – powiedział jeden i uśmiechnął się szeroko. – Będziecie panowie mieć przywilej obejrzenia wspaniałego pokazu fajerwerków na uczczenie naszego połączenia się z resztą floty. Tu puścił oko do swych kompanów i dodał: – Cóż, w porządku, w zasadzie nie będzie wam dane ich oglądać. To*wy* będziecie fajerwerkami.

Wszyscy trzej wybuchli śmiechem, a przemawiający mężczyzna zaczął rozpinać łańcuch zamykający klatkę.

– Na zewnątrz! – rozkazał. – Pora na egzekucję.

– W tradycję masowych egzekucji wpisane jest, że do portu należy wpłynąć, zostawiając na niebie smugę krwi – powiedział kapitan Dentius do swej widowni. – Ale to działa jedynie wtedy, gdy przebywa się w pobliżu słońca. Rozumiecie, ważna jest widoczność - sprawiedliwość, by się dokonała, musi być widoczna, prawda?

Spojrzał w dół na Venerę i wyszczerzył zęby. Uśmiech ten zdradzał człowieka, który odgrywa na scenie swoją rolę.

– Dlatego też – perorował dalej – my, zimowi piraci, wymyśliliśmy inną metodę. Zamiast przywiązać was na zewnątrz i naszpikować kulami albo poderżnąć wam żyły, a potem wlecieć do portu ciągnąc za sobą krwawy sztandar... zamiast tego wolimy ogłosić naszą egzekucję*ogniem*. To będzie prawdziwy spektakl! – krzyknął.

Dentius trzymał obie stopy w dwóch skórzanych uchwytach przymocowanych do pręta w kształcie litery T wieńczącego długą tyczkę. Tyczkę wystawiono przez burtę*Gawrona*, więc mężczyzna stał teraz po jego zewnętrznej stronie, mogąc omiatać władczym spojrzeniem zarówno swój okręt, jak i ten zdobyczny. U jego boku stali dwaj jego porucznicy, w podobny sposób trzymając się pręta. W miejscu jego złączenia z tyczką przywiązano za nadgarstki Venerę Fanning oraz Aubri Mahallan.

– Dentiusie, proszę – mruknęła Aubri. – Nie stracisz twarzy, jeśli oszczędzisz tych ludzi. To...

– Milcz – syknął mężczyzna. – Już ją straciłem.

Odwrócił się, by mieć widok na związane liną okręty. Iluminatory i wrota hangarów otwarto na oścież. Wszystkie światła latarni skierowane były na*Gawrona*. Jasne światło skrywało rzeczy czające się w mroku; zupełnie, jakby w całym wszechświecie istniały tylko te dwa statki.*Jeśli o nas chodzi*, pomyślała Venera,*to równie dobrze mogłaby to być prawda*.

Załogę*Gawrona* powiązano w sieciach holowanych za okrętem na długich linach. Trzej piraci z workiem nafty i mopem systematycznie krążyli wokół sieci, polewając paliwem marynarzy ze Slipstreamu.

Venera również prosiła Dentiusa, by ich oszczędził. Nie błagała jednak; mężczyzna mógłby poczuć, że ma nad nią przewagę, gdyby pomyślał, że jej na nich bardzo zależy. A rzecz jasna nie zależało; tyle że jedna para oczu spoglądających na nią z poznaczonego kulami kadłuba*Gawrona* należała do Chaisona. Przeżył, a jego ludzie go nie wydali. Oba te fakty zaimponowały Venerze.

– Wziąłeś może pod uwagę, że część z tych lotników mogłaby się do ciebie przyłączyć?

– To Slipstreamowcy – odparł Dentius. – Potomkowie pierwszych piratów. Schwytanych korsarzy się zabija.

Venera czuła się poniżona faktem, że przywiązali ją u stóp tych cuchnących, bladych mężczyzn. Dopilnuje, by zginęli najszybciej, jak to tylko możliwe. Ta myśl nieco ją rozweseliła, dopóki jej spojrzenie znów nie spoczęło na zwisających z*Gawrona* splątanych ciałach.

Czy jej plan miał jakąkolwiek szansę powodzenia przy tym ogromie niekontrolowanych płomieni, które prawdopodobnie miały się ciągnąć za*Gawronem* przez następną godzinę? Z jakiegoś powodu zwątpiła; jak by nie patrzeć, gdyby teraz wyłożyła karty na stół, Dentius mógł opóźnić rozpalenie ogni i zastrzelić Slipstreamowców.

Miała właśnie otworzyć usta, by przedstawić Dentiusowi swoje ultimatum, gdy ten zwrócił się do tłumu.

– Z resztą armady połączymy się w ciągu godziny – krzyknął. – Widzieliśmy ich semafory migające na tle nocnego nieba. Niewielka flota Slipstreamu została doszczętnie zniszczona. By to uczcić, gdy zewrzemy szyki z naszymi współbraćmi, oświetlicie nam drogę. A dym po was będzie ciągnąć się za nami przez sto albo i dwieście mil! – Piraci zaczęli wiwatować. Dentius uniósł dłoń zaciśniętą w pięść.

Kapitan piratów odwiedził Venerę zeszłej nocy, a ta uległa jego mrocznym żądzom. Odraza, jaką zaczęła odczuwać względem tego człowieka, zyskała niemal mistyczny wymiar; nie czuła tak silnych emocji od czasu, gdy zdjęto jej bandaże i po raz pierwszy ujrzała swoją bliznę w lustrze. Mimo to wiedziała, że tylko czeka na jej fałszywy ruch. Wiedziała, że szuka jedynie pretekstu, by ją zamordować. Zamiast więc sięgnąć po szpilę do kapelusza lub przyjemnie ciężką szkatułkę, po prostu leżała i słuchała jego słów. Mężczyzna okazał się być człowiekiem przygniecionym ciężarem własnej historii.

Dentius był kiedyś kapitanem marynarki wojennej Aerie. Po upadku jego kraju, uciekł do zimy wraz z kilkoma kompanami. Jednak wciąż śnił o mającym kiedyś nastąpić triumfalnym powrocie. Mimo że zazwyczaj kierował się rozsądkiem, myśl o istnieniu skarbu Anetene'a rozpaliła jego wyobraźnię. Nie mógł przestać mówić o tym, co zrobiłby z tak bajońską sumą: odbudowałby flotę i odbił swoją ojczyznę. We własnym umyśle Dentius wciąż był nękanym przez wroga lotnikiem, który czeka na właściwy moment. W*rzeczywistości* nie był piratem, choć przyznawał, że musi odgrywać taką rolę.

Venera starała się zasłaniać oczy przedramieniem, by nie patrzeć na Dentiusa i marzyła, by zamknął gębę, a potem sczezł, podczas gdy ten próbował usprawiedliwić własne istnienie.

Teraz jednak stał przed tłumem i upajał się okazywanym mu posłuchem.

– Jesteście gotowi? – ryknął. Mężczyźni z pochodniami wznieśli pięści ponad głowami. – W porządku. Podpalajcie!

Venera musiałaby przemówić teraz, bo potem byłoby za późno. Lecz nic by w ten sposób nie wskórała. Gdy od strony sieci dobiegły pierwsze krzyki, mogła jedynie odwrócić spojrzenie. Przywiązana obok niej Aubri Mahallan szlochała.

– Wszystkie silniki powoli naprzód – nakazał Dentius. – Chcemy jedynie, żeby słaby wiaterek przeniósł płomienie na resztę. – Piraci zaczęli gwizdać i wiwatować tak głośno, że można było ów tumult porównać tylko z krzykami dochodzącymi z*Gawrona*. Dentius spojrzał w dół niczym jakiś blady ptak ze swej żerdzi, po czym wybuchnął śmiechem.

Venera zdała sobie sprawę z trzaskających odgłosów dopiero wtedy, gdy coś mignęło na skraju pola widzenia. Obróciła głowę w tę stronę, ale owo coś znikło. Gdy ponownie spojrzała przed siebie, musiała kilkakrotnie zamrugać, by upewnić się, że widzi dwadzieścia aerocykli, które właśnie wyleciały z mroku. Wkrótce rozświetliły je rozbłyski wystrzałów ze strzelb. Chwilę potem piraci Dentiusa zaczęli spadać z sieci. Czerwone plamy krwi połyskiwały w świetle płomieni.

– Brać ich! – Dentius zaczął pospiesznie piąć się po długiej tyczce. Porucznicy deptali mu po piętach. Tym sposobem Venera oraz Aubri Mahallan stały się łatwymi celami pomiędzy dwoma statkami.

Głębokie dudnienie silników oznajmiło przybycie pięciu cylindrycznych cieni.*Zryw*,*Dręczyciel*,*Niewidzialna Dłoń*,*Jasność* oraz*Areszt* utworzyły

formację gwiazdy wokół*Gawrona* i jego porywacza. Powietrze wypełniło bzyczenie aerocykli i huki wystrzałów.

Płomienie na sieciach zaczęły przygasać. W tym samym czasie przywiązane do nich liny naprężyły się i bezradni ludzie zostali przyciągnięci w stronę*Gawrona* aż dotknęli jego kadłuba.

Chwilę później tyczka podtrzymująca Venerę i Mahallan drgnęła, a potem zaczęła się poruszać.*Wciągają nas do środka*, pomyślała kobieta z ulgą. Okręt Slipstreamu był lepiej opancerzony niż statek Dentiusa. Kilka minut później znalazła się na mostku wraz z Aubri, pirackim kapitanem oraz jego porucznikami. Jeden z nich zatrzasnął metalowy właz, a dochodzące z zewnątrz okropne odgłosy odrobinę przycichły.

– Jeszcze chwila – rzekł Dentius z nerwowym uśmiechem. Udał, że odlicza sekundy na palcach. Nim doliczył do dziesięciu, wystrzały umilkły.

Odetchnął z wyraźną ulgą.

– Przywiązaliśmy ich ludzi do kadłuba – wyjaśnił z satysfakcją. – Cholerne bękarty wiedzą, że nie mogą nas ostrzelać, bo jeszcze trafią swoich. Złapaliśmy ich za jajca. – Zwrócił się do pilota. – Zabierz nas stąd.

– Jeśli spróbujecie uciec, prawdopodobnie i tak otworzą ogień – zauważyła Venera. – Będą celować w silniki.

Dentius wzruszył ramionami; był zły.

– Kogo to obchodzi? – Spojrzał na chłopaka, który zajął miejsce przy semaforze. – Poślij im wiadomość. Daj im znać, że jeśli zaczną strzelać, zginą zakładnicy. Ci, których podpaliliśmy już zgaśli, prawda? Może wezmą to za dobry znak. – Potarł podbródek. – Teraz musimy już tylko dotrzeć do punktu zbiorczego i będziemy wolni.

Venera poczuła, że obmywa ją senna fala mściwej radości.

– Nie, Dentiusie, jesteście w potrzasku – powiedziała to z radością w głosie. – Jedna rakieta trafi w niewłaściwe miejsce, a cały ten statek eksploduje.

Kapitan nie patrzył na nią, bo właśnie miał się zwrócić do swoich ludzi, ale teraz spojrzał na kobietę ze zdziwieniem.

– Co powiedziałaś?

– Naprawdę myślałeś, że zastrzeliłam obsługę mostka, ponieważ znali cel naszej podróży? – Roześmiała się. – Mieli zamiar wysadzić statek w powietrze. Powstrzymałam ich. Ale potem postanowiłam sama uzbroić

ładunki - a gdy już to zrobiłam, złamałam klucz w zamku skrzynki kontrolnej. – Wskazała na nią palcem.

– Gdy ładunki zostaną uzbrojone, może je uruchomić każdy wstrząs – powiedziała. – W założeniu*mają* być niezwykle delikatne.

Na zewnątrz ponownie rozbrzmiał huk wystrzałów.

– Zakładam, że to twoi ludzie strzelają do aerocykli – ciągnęła Venera. – Dobrze wiesz, że tamci będą chcieli się odgryźć.

Jeden z piratów przykucnął obok skrzynki kontrolnej.

– Istotnie wygląda to jak panel autodestrukcyjny, kapitanie – rzekł. – W zamku tkwi ułamany klucz.

Dentius zaklął pod nosem.

– Zamknij usta, wyglądasz idiotycznie – skarciła go Venera.

– Cofam wiadomość! – Dowódca piratów zanurkował w kierunku fotela semafora. – Przekaż im, że prosimy o zawieszenie broni!

– Ale... ale... – Porucznicy Dentiusa spojrzeli po sobie; na kapitana; na Venerę.

– Załogi tych pięciu statków nie mają pojęcia, jak bardzo wrażliwy jest teraz*Gawron* – zauważyła Venera. – A właśnie były świadkami podpalenia swoich ludzi. Sądzisz, że będą skłonni okazać litość? – Pokręciła głową. – Czas dojść do porozumienia, panowie. Zawsze możecie zagrozić wysadzeniem statku, więc wasza sytuacja nie jest beznadziejna. W zasadzie, to idę o zakład, że jesteście w stanie uratować własne skóry, a może nawet swój okręt. Ale lepiej szybko zacznijcie rozmawiać.

Dentius dostał wytrzeszczu oczu, a jego twarz nabiegła krwią. Dobył miecza i rzucił się na nią.

Kobieta uciekła, chowając się za plecami nawigatora.

– Lepiej będzie, jeśli rozpoczniesz negocjacje z moim*mężem*, czyli*admirałem* – powiedziała szybko. – On... czeka na zewnątrz. Będzie bardziej skłonny do przyjęcia pańskiej propozycji, wiedząc, że wciąż żyję, kapitanie.

Dentius warknął. Następnie odwrócił się do człowieka przy semaforze.

– Nadaj komunikat: „Żądamy natychmiastowego zawieszenia broni. Przysłać admirała na negocjacje warunków odstąpienia”. I niech ktoś każe naszym ludziom wstrzymać ogień!

Spojrzał ponad sztychem miecza wycelowanego w Venerę.

– Możesz być zadowolona z siebie, paniusiu. Ale zamierzam wyznaczyć za twoją głowę taką cenę, że każdy zbir i zabijaka ze Slipstreamu będzie chciał cię dorwać. Zginiesz w ciągu roku, w ten czy inny sposób.

Venera strząsnęła z ramion dłonie nawigatora.

– Niewielka różnica w stosunku do mojego dotychczasowego życia – rzuciła niefrasobliwie. – Jednak nie sądzę, byś pożył dość długo, aby to ogłosić. Nie po tym, co zrobią ci twoi ludzie.

Po jej słowach zapadła cisza. Niedługo później otwarto zewnętrzny właz i jeden z poruczników wyszedł na zewnątrz, by sprowadzić admirała Chaisona Fanninga.

Slew, naczelny cieśla, skinął głową na przywitanie, gdy Hayden wprowadzał aerocykl do hangaru. Mężczyzna stał obok ekipy włazowej, której członkowie również do niego machali. Jeden z nich nawet uśmiechnął się do chłopaka.

Zastanawiające, dlaczego tym razem nie musiał czekać zbyt długo na otwarcie wrót hangaru, gdy wrócił ze zwiadu...

O co mogło chodzić?

Czuł potworne zmęczenie. Na własną prośbę spędził ostatnie dziesięć godzin w powietrzu. Wszystkie aerocykle*Gawrona* były na zewnątrz, szukając piatów; jak do tej pory na nic nie natrafili. Dentius i jego kompani szybko się zmyli, wynegocjowawszy uprzednio niewielkie fory w ramach warunków odstąpienia. Nie zauważono też żadnego z pozostałych okrętów; Travis był zdania, że piraci musieli mieć jakąś kryjówkę pośród lodowych szczytów.

Ścigacz Venery nosił mnóstwo śladów po kulach i teraz w czasie lotu wydawał świszczące odgłosy. Jednak nie stracił nic ze swojej szybkości. Maszyna pokazała sporo charakteru i Hayden zaczął rozmyślać nad nadaniem jej imienia.

– Pozwól, że ci pomogę. – Jeden z członków ekipy włazowej, imienia którego nie znał, wyciągnął się, by pomóc mu zaczepić aerocykl na ramieniu wyciągarki. Hayden zamrugał z zaskoczenia.

– Dzięki. – Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć, więc tylko kiwnął głową w stronę obsługi hangaru i opuścił pomieszczenie. Izba chorych znajdowała się na rufie statku; ruszył w tamtym kierunku.

Tłum lotników, choć zaledwie sylwetek na tle światła latarni, zgromadził się wokół kanciastego pudełka będącego izbą chorych.*Ktoś musiał umrzeć*, pomyślał Hayden
– i w nagłym przypływie niepokoju zdecydował przepchnąć się przez ciżbę.

Ale nie, jeszcze zanim dotarł do drzwi, usłyszał wyraźny głos Martora. Chłopak był przytomny i mówił. W zasadzie nie tylko mówił: jego głos zmieniał ton oraz natężenie niczym u jakiegoś mistrza bajarstwa.

– ...więc potem chwyciliśmy tę torbę z*minami* i Hayden mówi: „Weźmy je i wysadźmy te góry lodowe!”. Więc klucząc przelatujemy pomiędzy resztą min, bzium bzium, i jesteśmy w chmurach. I nagle, z mgły przed nami wyrasta wielka ściana*lodu*. Tylko taka wąska szyjka trzyma ją przy powłoce świata, na co Hayden mówi: „Dawaj tam!”, więc tak robię. Bum! – au! To boli.

– W swoim raporcie – rozległ się oschły głos chirurga – napiszę, że panicz Martor zmarł od nadmiaru*gestykulacji*.

– Racja – krzyknął ktoś ponad śmiechami – przystopuj trochę z podskakiwaniem, chłopcze. Chcę wiedzieć, jak kończy się ta historia.

Hayden przystanął przed drzwiami, nie wiedząc, czy powinien wejść do środka. Niezbyt mu się podobało, że Martor opowiada o nim, choć mogło to wyjaśniać przyjazne nastawienie ekipy włazowej.

Obawiając się, co też Martor mógł o nim naopowiadać, przepchnął się obok mężczyzny przy drzwiach.

– Proszę, a oto i nasz bohater – powiedział lotnik, robiąc miejsce Haydenowi, który wleciał do izby chorych i chwycił się koi, by wyhamować.

Ranni marynarze zajmowali podłogę, ściany i sufit pomieszczenia. Niemal wszyscy byli przytomni i najwyraźniej słuchali Martora, który niczym jakaś parodia odźwiernego zajmował honorowe miejsce tuż przy drzwiach gabinetu medycznego.

– Hayden, właśnie opowiadałem kolegom, jak wysadziliśmy góry lodowe i ocaliliśmy flotę! – Szczurzą twarz Martora wykrzywiał dość niezdarny uśmiech. – Piraci wlecieli wprost na nie, bum bum bum! – Roześmiał się i niemal natychmiast skrzywił. – A potem – mówił dalej do tłumu – on gada: „Teraz lećmy ratować*Gawrona*!”. Tylko nasza dwójka, dajecie wiarę? Ale on…

– Niczego takiego nie zrobiłem – Hayden stanowczo zaprzeczył temu co usłyszał. – Chciałem się stamtąd jak najszybciej wynieść.

– Ale*Hayden* – teatralnie mruknął Martor. Jego spojrzenie pomknęło w stronę słuchających. – Opowiedz im o tym, jak zaatakowaliśmy piratów, hmm?

Hayden skrzyżował ręce na piersi, po czym zrobił najbardziej dorosłą minę, na jaką mógł się zdobyć i zmarszczył brwi.

– Nie pamiętam naszego ataku na piratów, ponieważ po tym, jak zobaczyliśmy, że*Gawron* został zajęty, ten mały padalec zdzielił mnie w głowę rakietą, gdy próbowałem zabrać go w bezpieczne miejsce.

W zasadzie nie wiedział, jakiej reakcji się spodziewać, ale zupełnie zaskoczył go fakt, że zebrani mężczyźni przyjęli te słowa salwami śmiechu.

Ktoś poklepał go po ramieniu.

– Ach, Martor, zastanawiałem się, jak daleko zawiedzie cię tym razem twoja wrodzona skłonność do fantazjowania – rzekł jeden z oficerów. – Szkoda, że akurat miałeś naocznego świadka.

– Ale to prawda z tymi górami lodowymi – powiedział cicho Hayden. – Przynajmniej ta część o ich wysadzeniu. Nie mogę ręczyć za pozostałe elementy wplecione w tę historię.

– Jak ten awaryjny postój w burdelu? – spytał ktoś.

– Albo walka na miecze z setką piratów na aerocyklach?

– Albo...

– Niczego takiego nie mówiłem! – Martor próbował wyskoczyć z łóżka, zrobił zbolałą minę, po czym pozwolił elastycznemu przykryciu na ponowne przyciśnięcie go do ściany.

– Tego już za wiele! – krzyknął chirurg. – Chłopakowi naprawdę pęknie nerka, jeśli dalej będziecie się tak zachowywać. Wynocha! Wynocha! To dotyczy również ciebie – dodał na koniec, grożąc palcem Haydenowi.

Młody lotnik nie potrafił ukryć uśmiechu.

– Ponieważ wiem, że wciąż żyjesz, już sobie pójdę – powiedział do Martora. – Ale nie kłam już więcej na mój temat, dobrze?

– Tak, sir – odparł potulnie chłopak.

Hayden ruszył w stronę małego warsztatu Aubri Mahallan. Na całym statku wrzało od rozmów. Dobrze to znał, widział takie sytuacje już wcześniej, po kilku jednostronnych potyczkach z czasów, gdy sam był piratem. Trzeba było w jakiś sposób zażegnać traumę związaną z walką i

niewolą; wybuchło kilka bójek, podczas których wyrównywano rachunki, ale w większości lotnicy jedynie wymieniali opowieści. Przy okazji tworzyli wokół całego wydarzenia nową mitologię.

Wyglądało na to, że Hayden przypadkowo znalazł się w samym jej sercu.

Skinął głową kolejnemu lotnikowi, który mijając go, zasalutował niedbale, po czym zapukał do drzwi drewnianego sześcianu Mahallan. Nie było odpowiedzi.

Czyżby się ukrywała? Hayden nie rozmawiał z nią od czasu bitwy. Widywał ją jedynie, wyraźnie ponurą i bladą, z fryzurą jak gniazdo szczurów i paznokciami obgryzionymi do żywego. Unikała jego spojrzenia. Martwiło go, co mogli jej zrobić piraci, ale jak do tej pory ta część całego zdarzenia nie została wpleciona w żadną z pokładowych historyjek.

– Nie ma jej – rzekł lotnik, który przed chwilą mu salutował. Hayden spojrzał na niego, unosząc brew.

– Na dziobie, rozmawia z milady – dodał jeszcze. Venera Fanning była kolejną bohaterką dnia; jej trzeźwość umysłu, która zaowocowała zdobyciem klucza kapitana Sembryego, gdy piraci wpadli na mostek i wszystkich pozabijali, ostatecznie uratowała*Gawrona*. Jeden z rzemieślników przebywał teraz na mostku, ostrożnie wyciągając ułamany klucz z zamka panelu autodestrukcji.

– Mamy szczęście, że admirał tak dobrze poradził sobie w walce – powiedział ktoś wcześniej. – W przeciwnym razie salutowalibyśmy teraz jego żonie.

– Na co czekasz, idź – powiedział lotnik. – I tak będą cię potrzebować. Niedługo dotrzemy do tego dziwacznego miasta turystycznego, a pani Fanning zamierza je odwiedzić.

Admirał Chaison Fanning czuł się w tym miejscu bardzo mały. I to uczucie wcale mu się nie spodobało.

Turystyczna „stacja” była w istocie miastem, które przyćmiewało wielkością wszystkie miejsca w Virdze, jakie widział lub o których słyszał. Rozciągała się na wiele mil po sklepieniem Virgi niczym połyskliwy kandelabr o wieżycach przypominających ogniste sople, kulistych domostwach zawieszonych na długich łańcuchach oraz olbrzymich, wirujących cylindrach, z których każdy był przynajmniej trzy lub cztery razy większy od miast Rushu.*Gawrona* wprowadzono do osi jednego z tych cylindrów, kierując się instrukcjami Aubri Mahallan. Teraz Chaison stąpał

po ulicach miasta, które bardziej przypominało sen szaleńca niż rzeczywistość.

Jakaś zmyślna sztuczka skrywała prawdziwy kształt miasta; nie dało się zauważyć, że w rzeczywistości było zwinięte. Nad głową Chaisona widniał bezkresny błękit nieba, zaś miejskie wieże wydawały się leżeć na pozornie płaskiej powierzchni. Ulice zbiegały się w oddali, ostatecznie rozmazując w natłok detali budynków, ludzi oraz niemożliwych do rozpoznania, latających i świecących rzeczy. Niektórymi z nich były znaki – część ruchoma, inne natomiast mówiące.

Otaczali go niezwykli ludzie. Ubrani byli – o ile w ogóle – w niechlujne imitacje strojów modnych w Virdze. Występowali we wszystkich rozmiarach i kolorach skóry, wliczając w to nieprawdopodobne odcienie błękitu i cynobru. Na ulice wyległ niezmierzony tłum, trajkocząc i machając dłońmi nad bladymi prostokątami migotliwego światła, które bzyczało wokół ich głów jak pszczoły. Po powierzchni prostokątów z prędkością błyskawicy przemykały obrazy, a ponad wszystkim dominowała kakofonia dźwięków.

On i Venera musieli się uwijać, by nadążyć za Aubri Mahallan, która zdecydowanym krokiem maszerowała przez tłum ze spuszczoną głową i lekko pochylonymi plecami. Dziwny strażnik bramy, który przywitał*Gawrona* w dokach, nalegał, aby na terenie stacji towarzyszyło jej najwyżej dwóch mieszkańców Virgi.

– Żadnych zdjęć – powiedział z syczącym akcentem, podczas gdy mniejsze wersje jego samego - identyczne nawet pod względem ubioru - przysiadały mu na ramieniu lub ze śmiechem biegały po korytarzu za jego plecami. – Nie wolno wam niczego stąd zabrać, natomiast możecie zostawić, co tylko chcecie.

– Przybyliśmy odzyskać dzieło sztuki wypożyczone jednemu z waszych muzeów dwieście lat temu – powiedziała Venera. – Jest nasze, nie wasze.

Strażnik uniósł brew, podczas gdy jedna z jego mniejszych kopii pokazała im język.

– Załatwcie to z muzeum – odparł. – To już nie moja sprawa.

Chaison przyspieszył, dopóki nie zrównał się z Mahallan. Kobieta wciąż wyglądała na przybitą i przygnębioną. Zastanawiał się, co powiedzieć. Domyślał się, co ją dręczyło.

– Musiałem puścić piratów wolno – powiedział. – Mogliśmy nie dotrzymać naszej części umowy i wysadzić ich statek, gdy odlatywali, ale oni w tym samym czasie mogliby wystrzelić w*Gawrona* jedną lub dwie rakiety.

Po kilku chwilach kobieta spojrzała na niego. Jej twarz wyrażała niesmak.

– Więc to dlatego? – spytała. – Ponieważ obawiałeś się, że wysadzą okręt?

– To wystarczający powód – odparował. – Ale nie jedyny. Zawarliśmy umowę. I choć cała moja załoga, łącznie z oficerami, aż wyła z chęci odwetu, to jako dżentelmen mam obowiązek dotrzymać słowa. I, co ważniejsze, zwyczajnie nie miałem ochoty przyczyniać się w tym tygodniu do kolejnych śmierci.

Mahallan przemyślała to, ale ponury wyraz jej twarzy nie zniknął.

– Jesteś szczęśliwa, mogąc ponownie być pośród swojego ludu? – spytał.

– Nie.

Cisza przeciągała się. Najwyraźniej przyjacielska pogawędka nie wchodziła w grę.

– Cóż, widziałaś statki floty podczas prawdziwej potyczki – rzekł po jakimś czasie. – Jeśli zmieniłaś zdanie na temat przydatności swoich urządzeń, to mam nadzieję, że mi o tym powiesz.

Mahallan rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Więc to znaczyło dla ciebie tylko tyle? „Potyczka”? Coś co można rozłożyć na części pierwsze, przeanalizować i wyciągnąć wnioski na przyszłość?

Jej złość nie zrobiła na Chaisonie żadnego wrażenia.

– W gruncie rzeczy zajmowane przeze mnie stanowisko wymaga, bym postrzegał to w tych kategoriach. Dlaczego? Ponieważ zrozumienie wszystkiego, co zaszło, pozwoli mi na ocalenie większej liczby osób następnym razem, gdy zostaniemy zmuszeni do walki. A ratowanie żyć to moja praca, lady Mahallan. Dokładam starań, by wypełnić cele militarne przy jak najmniejszych stratach. To właśnie dlatego jesteśmy w tym mieście i przemierzamy te ulice, nieprawdaż?

Kobieta zatrzymała się, po czym wskazała ciemną i pustą boczną uliczkę.

– Tam. Wejście do magazynu Muzeum Kultury Virgańskiej. – Chwilę później ruszyła szybkim krokiem w stronę wąskiego przejścia.

– Ja... Przykro mi, że musiała pani brać w tym udział, panno Mahallan – powiedział zanim znalazła się zbyt daleko, by go usłyszeć. – Ten incydent był trudnym przeżyciem dla nas wszystkich.

– Daruj sobie – rzuciła wesoło Venera, chwytając go pod rękę i ruszając niespiesznym krokiem w ślad za Aubri. – Jest zgorzkniała. Ludzie lubią być zgorzkniali. To uprawnia ich do dziecinnych zachowań.

– Ależ z ciebie filozofka – odparował ze śmiechem. – A ciebie nie dotknęły te, umm, ostatnie wydarzenia?

– Tego bym nie powiedziała. – Spuściła wzrok.

– Dentius cię nie tknął, prawda? Wiem, że mówiłaś, że tego nie zrobił, gdy prowadziłem negocjacje, ale dobrze wiedziałaś, że zatłukłbym go, gdyby było inaczej.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie tknął mnie choćby palcem.

– Nie chciałem, żebyś leciała – powiedział. – Tego typu rzeczy się zdarzają. To nie jest towarzyski wypad, Venero.

– Radzę sobie.

Na końcu uliczki natrafili na wydawało się prawdziwe drzwi, co było w tej sytuacji dość krzepiące. Mahallan czekała na nich w cieniu.

– Admirale, lady Fanning, oto Maximilian Thrace, kustosz muzeum – powiedziała to niespodziewanie słodkim głosem.

Obok niej zawisł w powietrzu duch. A przynajmniej takie Chaison odniósł wrażenie; widział przez niego na wskroś. Thrace był bardzo podobny do istoty ludzkiej, ale był zupełnie pozbawiony koloru, jego postać mieniła się bielą oraz odcieniami szarości. Jego głowa i oczy były nieproporcjonalnie wielkie.

– Max jest personą z Chińskiego Pokoju z bardzo starego i szanowanego kościoła gier – szepnęła Mahallan. Chaison uprzejmie pokiwał głową.

Ukłonił się widziadłu. Gdy prostował plecy, Venera powiedziała:

– Przybyliśmy tu odzyskać artefakt, który od dłuższego czasu posiadacie w ekspozycji. Zwie się... – Przeniosła spojrzenie na męża, wymownie unosząc brew.

–*Kręte Drzewo Losu* – dopowiedział z uśmiechem. – To ważny przedmiot dla niewielkiej, ale wpływowej grupy artystów ze Slipstreamu, naszej ojczyzny. Wedle naszej dokumentacji wypożyczono go waszemu muzeum dwa wieki temu.

Thrace niezwykle przesadnie zmarszczył brwi, mocno wykrzywiając usta; zniekształcało to całą jego szczękę.

– Chcecie, byśmy zwrócili wszystkie reprezentacje, wersje, modele, symulacje oraz kopie dzieła? To może być trudne i będzie wymagać legislacji wirusowej, która może zabrać całe miesiące...

Mahallan pokręciła głową.

– Chcemy tylko oryginał.

Thrace nieznacznie zmrużył oczy.

– Słucham?

– Samo dzieło sztuki – powiedziała Venera. – Przedmiot, na podstawie którego stworzyliście wasze, hmm, kopie.

– Dlatego właśnie poprosiliśmy o spotkanie tutaj – dodała Mahallan – w magazynie.

– Chcecie tylko oryginał? Nic więcej? – Thrace wyglądał na niezwykle rozbawionego. – Mogliście nam wysłać ten... Jak to się nazywa? List. Odesłalibyśmy go wam! – Obrócił się i wykonał pewien umowny gest. Drzwi w ścianie otworzyły się samoistnie. Chaison podskoczył, widząc to, ale najwyraźniej nikt inny tego nie zauważył.

Gdy Maximilian Thrace wleciał w ciemny korytarz za drzwiami, powiedział:

– Przestrzeń tutaj jest bardzo kosztowna. Bardziej by nam się opłacało odesłać wam przedmiot niż go tu przechowywać. Mogliśmy nawet zatrudnić eskortę.

Chaison stanął w miejscu. Duch Thrace’a sunął dalej; Venera podała mu ramię, więc najwyraźniej posiadał jakąś materialną formę, choć jego drobne nóżki przebierały bezsilnie kilka cali nad podłogą. Fanning pokręcił głową i odwrócił spojrzenie. W długim korytarzu nie było nic więcej wartego oglądania, poza Aubri Mahallan, która przystanęła, aby spojrzeć na admirała przez ramię.

– Wiedziałaś o tym? – spytał. Kobieta zrobiła przepraszającą minę.

– Wątpię, by mówił prawdę na temat eskorty – odparła, czekając aż się z nią zrówna. – Wiedziałam, że wysłaliby nam przedmiot, gdybyśmy poprosili. Ale musielibyśmy wysłać po niego statek kurierski, a potem czekać... Czas gonił. Wydawało się to niepraktyczne.

– W przyszłości – rzekł oschle Fanning – pozwól mi samemu zdecydować w takiej sytuacji.

– Przepraszam.

Cywile! Nienawidził ich. Powlókł się dalej, rozmyślając o ludziach straconych w drodze tutaj. Ostatecznie ponosił za to wszystko odpowiedzialność. Jednak najpaskudniejsze w tym wszystkim było podejmowanie decyzji w niewiedzy o potencjalnych alternatywach.

Mahallan zaczęła zdawać sobie sprawę ze swojego błędu.

– Posłuchaj, gdybym wiedziała...

– Czym... kim... on jest? – Chaison wskazał upiora idącego przed nimi i żartującego z jego żoną. – Czy to prawdziwa osoba?

– Ach. – Aubri osobliwie wzruszyła ramionami. – Zdefiniuj słowo „prawdziwy”. Max to persona z Chińskiego Pokoju, co czyni go równie prawdziwym jak ty czy ja. – Pochwyciła jego nierozumne spojrzenie i dodała: – Istnieje wiele kościołów gier, których wierni przyjmują role jednego z komponentów układu nerwowego teoretycznej postaci - mogłabym być nerwem błędnym albo jakimś maleńkim neuronem zakopanym w ciele migdałowatym. Moim obowiązkiem w trakcie zmiany byłoby wystukiwanie właściwego rytmu na połączonym z siecią bębenku, w zależności od tego, jakie rytmy i dźwięki przesyłaliby mi moi neuronowi sąsiedzi, który równie dobrze mogliby przebywać po drugiej stronie globu... – Zauważyła, że wyraz jego twarzy nie uległ zmianie. – Tak czy inaczej, wszystkie działania wszystkich kongregacji tworzą model pełnego układu nerwowego w skali jeden do jednego... Zazwyczaj jest to ludzki mózg, choć istnieją psie i kocie kościoły. Podejmowano nawet próby stworzenia transludzkich boskich istot. Wszystkie sygnały zbiegają się i łączą w sztucznym ciele. Ciało Maxa wydaje ci się dziwne, ponieważ jego kościół to kościół mangowy, a nie ludzki. Jednak po ulicach miast chodzą osoby, których nigdy nie podejrzewałbyś o to, że są tworami kościoła.

Chaison pokręcił głową.

– Więc ten Thrace to... fałszywa osoba?

Aubri zrobiła przerażoną minę.

– Niech pan posłucha, admirale, proszę nigdy nie mówić czegoś podobnego! Jest prawdziwy. Oczywiście, że jest prawdziwy. Musi pan zrozumieć, że kościoły gier są niezwykle ważną częścią naszej kultury. Próbują odpowiedzieć na ostateczne pytania: czym jest osoba? Gdzie znajduje się dusza? Jaka jest nasza powinność względem innych ludzi? Nie

tylko uderzasz w bębenek, ale pomagasz nadać świadomości prawdziwej osobie... Porzucenie tego obowiązku oznaczałoby w zasadzie morderstwo.

Spojrzał na nią z ukosa.

– Podchodzisz do tej kwestii bardzo poważnie jak na dobrowolnego wygnańca. Należałaś do jednego z tych kościołów przed przybyciem tutaj?

– Och! – wyglądała jak ktoś, kto właśnie zdał sobie sprawę z tego, że powiedział za dużo. – Nie, tylko że...

–*Powiedziano mi, że cię tu zastanę!* – krzyknął ktoś za nimi.

Chaison obrócił się błyskawicznie, sięgając do pasa, gdzie powinien być jego miecz... lecz go tam nie było. Gdy rozmawiali, od tyłu zaszedł ich nijaki mężczyzna średniego wzrostu i w średnim wieku. Fanning zauważył, że jego akcent nie brzmiał jak ten Aubri. Przypominał raczej sposób mówienia mieszkańców Virgi.

– Aubri Mahallan – rzekł, unosząc jedną brew. – Cóż takiego sprowadza cię z powrotem na stację? – Kobieta ponownie się przygarbiła.

Wchodząc pomiędzy nich, Chaison spytał:

– A pan to..?

– Aston Shen – odparł nieznajomy, wyciągając dłoń do uściśnięcia. – Virgańska obrona terytorialna.

– Obrona terytorialna?

– Nigdy pan o nas nie słyszał? Świetnie! To znaczy, że dobrze wykonujemy naszą robotę. – Uśmiechnął się, widząc wyraz twarzy admirała. – W każdym pokoleniu znajdą się ludzie, którzy są ciekawi zewnętrznego świata. Kilkuset z nich każdego roku trafia tutaj. Niektórzy emigrują i nigdy nie wracają. Ale część z nas... znajduje powołanie. Obrona terytorialna istnieje, by chronić Virgę przed zewnętrznymi wpływami. Staramy się upewnić, że żadne złe czynniki nie trafią do naszego świata. – Celowo spojrzał ponad ramieniem Chaisona na Mahallan. – A gdy już się tak stanie... – Ostrożnie ominął Fanninga. – Cóż, Aubri, co tam znów kombinujesz?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Po prostu żyję własnym życiem, Aston. Najlepiej jak potrafię, skoro już tu jestem.

– Tak? A jaki jest powód twojej wizyty na stacji?

Chaison ponownie wszedł między nich.

– Jest tutaj ze względu na mnie. Potrzebowaliśmy miejscowego przewodnika. Uprzejmie proszę, by nam pan nie przeszkadzał.

Shen uniósł dłonie w obronnym geście.

– Nawet o tym nie myślę, staruszku. Jeśli tylko będziesz uważać na tę tutaj. Nie można jej ufać.

– Doprawdy? Ja...

Znów im przerwano – wróciła Venera, trzymając jakiś przedmiot w rękach. Podniosła go triumfalnie, posyłając mężowi promienny uśmiech.

– Mamy to! – Na pierwszy rzut oka była to misternie wykonana gałąź o niezwykle maleńkich listkach, o ile rozwidlenia te w ogóle były liśćmi. W kilku miejscach tej plątaniny lśniły klejnoty.

– Rozumiem, że w takim razie mam się dziś spodziewać dostawy obrazów? – spytał ją Thrace.

Venera energicznie pokiwała głową.

– Chodź, najdroższy, musimy wracać. – Zauważyła Shena. – Och, witam.

– Pani – Shen ponownie zwrócił się do Mahallan – zanim opuścicie stację, ty i twoi kompani zostaniecie poddani pełnemu skanowaniu. Pomyślałem, że grzecznie będzie was o tym poinformować. – Widząc minę Chaisona, uśmiechnął się i ukłonił. – Nawet tego nie poczujecie. Ale pamiętaj, że mamy cię na oku – powiedział na koniec do Mahallan, po czym odszedł.

Venera odprowadziła go wzrokiem.

– Co za nieprzyjemny jegomość – powiedziała. Omiotła mężczyznę spojrzeniem, które Chaison nauczył się łączyć z natychmiastowym uruchomieniem się w jej głowie instynktu paranoicznej intrygantki. – Wynośmy się stąd – dodała, po czym posłała jeszcze jeden uśmiech Thrace’owi.

Wracając na statek, Chaison próbował uporządkować wszystko, co właśnie zobaczył i czego doświadczył. Czuł zmęczenie, ale podekscytowanie Venery było zaraźliwe. Nim dotarli na pokład*Gawrona*, zapomniał o wszystkim, co Mahallan mówiła na temat kościołów swego ludu i nie miał ochoty na spekulacje dotyczące virgańskiej obrony terytorialnej czy tajemniczego ostrzeżenia ze strony Shena.

Ostatecznie, nie miało to żadnego znaczenia. Zdobyli mapę, po którą tu przybyli.

Cała scena zdawała się być upiornym powtórzeniem pirackiej egzekucji, tyle że tym razem na żerdzi w kształcie litery T stał Chaison Fanning przemawiający do zacumowanych przed nim sześciu okrętów. Jednostki były tymczasowo powiązano ze sobą w luźną formację gwiazdy. Ich załogi siedziały lub stały na kadłubach, rzucając długie cienie w światłach szperaczy skupionych na admirale.

Fanning żywo gestykulował swoim megafonem.

– Znaleźliśmy się daleko od domu. Przeszliśmy przez trudy i znoje niewielkiej wojny, a ja wciąż nie powiedziałem wam dlaczego. Czas, byście poznali cel naszej podróży.

Pośród zebranych przetoczył się szmer szeptów. Hayden Griffin, który skryty w ciemności siedział okrakiem na aerocyklu, nadstawił uszu, chcąc dosłyszeć, co mówili członkowie załogi. Wiedział, że w ich szeregach niezadowolenie walczyło z szacunkiem. Fanning dzielnie walczył przeciwko piratom, ale ostatecznie puścił wolno Dentiusa i jego ludzi. Wśród obecnych tu lotników byli ludzie, którzy już na zawsze mieli nosić blizny po torturach.

Lepiej, żeby to było dobre, pomyślał Hayden, wiedząc, że ta sama myśl musiała przemykać przez głowy pozostałych.

– Zanim w pełni wyjaśnię znaczenie naszej misji – zaczął admirał – opowiem wam historię. – Uniósł dłoń, nieznacznie odwracając spojrzenie. – To nie jest jakaś anegdotka na zmiękczenie słuchaczy. Wiem, że jesteście wycieńczeni, ale ta historia stanowi klucz do zrozumienia naszego celu. W rzeczywistości, dotyczy ona piratów.

Dwieście lat temu zima nie była tak spokojnym miejscem jak teraz. – Jeśli Fanning oczekiwał wybuchu śmiechu, to go nie usłyszał. – Napotkaliśmy na swojej drodze współczesną armadę piratów. Ale siły Dentiusa są niczym w porównaniu z flotyllami z dawnych czasów. Kiedyś pirackie floty były w stanie wywalczyć sobie drogę do serca cywilizowanych krain. Plądrowały słońca. Ich ostrza dosięgły nawet

samych księstw Candesce. Zaś najgroźniejszym z ówczesnych piratów był Emile Anetene.

– Anetene był fircykiem. Dobrze wyedukowanym człowiekiem o wyrafinowanym guście. Właśnie tacy ludzie stają się najokrutniejszymi mordercami, a Anetene był w tym okrutnym fachu najlepszy. Plądrował księstwa Candesce; terroryzował granice Slipstreamu; aż w końcu wzbudził gniew całego świata, dzięki czemu zgromadzono ogromną flotę złożoną ze statków większości nacji Virgi. I ona go dopadła.

– Zapewne sądzicie, że to grabieże Anetene'a doprowadziły ostatecznie do reakcji ze strony nacji. Większość ludzi tak myśli; my, członkowie władz, zawsze staraliśmy się utwierdzać w przekonaniu, że Anetene został upolowany z litości dla obrabowanych mieszkańców. Ale nie jest to prawda.

– Anetene ukradł szczególną rzecz - mały, pozornie nieprzydatny przedmiot. Gdy dowiedziały się o tym głowy virgańskich państw, w szczególności księstw Candesce, postanowiły działać natychmiast. Setki rozbojów i rzezi ich do tego nie przekonały. Dopiero ta jedna kradzież.

Fanning zrobił przerwę. Zapadła cisza, umilkły szepty, ale zaciekawienie wzięło górę nad wyraźną dezorientacją zebranych. Admirał zapatrzył się w ciemność, jak gdyby zbierał myśli. Jego twarz wyrażała pełną powagę.

– Tę ekspedycję przygotowano po tym, jak do admiralicji dotarły pewne informacje – powiedział. – Wiedzieliśmy o zagrożeniu ze strony Mavery, ale i wy i ja dobrze wiemy, że to niebezpieczeństwo nie było zbyt wielkie. Zawsze byliśmy w stanie obronić się przed takimi jak oni. Ale pozwólcie, że was o coś spytam. Ich atak na Rush – ten który zaskoczył nas wszystkich i przypieczętował decyzję Pilota, by wysłać flotę... wielu z was tam było. Jesteście żołnierzami. Czy ten atak*miał* jakikolwiek sens?

Fanning kiwnął, niejako do siebie, po czym kontynuował:

– Atak ten był jedynie prowokacją. Jego celem było wywabienie nas z portu. Lecz po co Mavery miałoby to robić, skoro nasza marynarka wojenna zrobiłaby z ich floty istną mielonkę w nadchodzącej bitwie?

Ludzie znów zaczęli gadać.

– Ktoś jest z nimi w zmowie! – krzyknął ktoś z tłumu.

– Dokładnie. Zyskali sojuszników. Mówiąc dokładniej,*jednego* sojusznika, który zamierza pomóc im w zniszczeniu Slipstreamu. A sojusznikiem tym jest Formacja Sokoła.

Te ostatnie zdania wywołały niezadowolenie i gdzieniegdzie dały się słyszeć gniewne okrzyki. Hayden pokiwał głową. Przypomniał sobie zdjęcia widziane w dłoniach Venery Fanning. Gromadzenie floty.

– Zagrożone jest samo istnienie Slipstreamu! – krzyknął admirał.

Hayden pochylił się w siodle, czując suchość w ustach. Od lat marzył o takich wieściach – ale że ich przyczyną będzie akurat Formacja...

– Formacja Sokoła to nasz najpotężniejszy sąsiad – ciągnął Fanning. – Nie mieliśmy z nimi zbyt wiele do czynienia, choć nasza długa podróż przyjęła styczny kurs. Mamy szczęście, że nigdy wcześniej nie zwróciliśmy ich uwagi, nawet gdy podbijaliśmy sąsiadujące z nimi Aerie. Formacja to ponure, biurokratyczne, super-konfucjańskie państwo rządzone przez dziedziczną kastę oschłych urzędników. To fanatycy, którzy są zdeterminowani, by któregoś dnia rządzić całą Virgą. Teraz postanowili, że Slipstream jest łupem wartym ich ambicji.

– Być może uda się nam odeprzeć inwazję obecnej floty Formacji. Błagałem Pilota, by nie dawał się nabrać na dywersję Mavery. Potrzebowalibyśmy wszystkich okrętów, by pokrzyżować plany ich ataku. Lecz miesiąc temu dowiedzieliśmy się, że Formacja Sokoła buduje nową broń, której użyją, by nas zmiażdżyć.

Podczas gdy Fanning opowiadał ludziom o tajnej stoczni Formacji oraz konstruowanym tam pancerniku, Hayden czuł, że targają nim sprzeczne emocje. Wizja upadku Slipstreamu działała na niego ożywczo. Jednak, gdyby się zastanowić to Formacja Sokoła postanowiłaby zająć podbite terytoria Aerie i prawdopodobnie nigdy by się z nich nie wycofała. Ludność Aerie zostałaby wchłonięta przez zimną dyktaturę wiecznej biurokracji, zaś samo państwo zniknęłoby z kart historii Virgi.

– ...żadni sojusznicy nie przyjdą*nam* na pomoc – mówił Fanning. – Więc musimy liczyć na cud. Wy, żołnierze, jesteście tu w zimie, by ten cud sprawić.

– Będą o was opowiadać! Każdy z was wpisze się w poczet bohaterów Slipstreamu, kiedy nasza podróż dobiegnie końca. Gdyż naszym zadaniem jest zniszczenie floty Formacji Sokoła!

Odpowiedziało mu głuche milczenie. Fanning chytrze powiódł wzrokiem po zebranych.

– Czy on oszalał? Właśnie to sobie myślicie. Jakim cudem sześć okrętów - oraz duch siódmego, o którym nigdy nie zapomnimy - jakim cudem tak

mała flota miałaby zwyciężyć w starciu z setką krążowników i lotniskowców Formacji?

– Powiem wam, jak. Istnieje broń, która da nam nieocenioną przewagę taktyczną nad statkami Formacji. Pozwoli nam na manewrowanie w mroku i we mgle, jakby przestrzeń wokół otaczało jasne i przejrzyste powietrze. Pozwoli nam lecieć i zawracać w zupełnych ciemnościach z prędkością dwustu mil na godzinę, ani na chwilę nie spuszczając statków Formacji Sokoła z naszych celowników. Przybyliśmy do zimy, by zdobyć tę broń!

W ciemności na przemian dało się słyszeć, krzyki uwielbienia i ożywione dyskusje. Fanning gestem poprosił o ciszę.

– Proszę! Już wcześniej słyszałem wszystkie te argumenty. Jeśli taka broń istnieje, to dlaczego nie jest wykorzystywana? Dlaczego nie ma jej Formacja Sokoła? Powodem takiego stanu rzeczy jest Candesce – dodał ciszej. – Promieniowanie emitowane przez Słońce Słońc ingeruje w działanie pewnych maszyn. Jednym z takich urządzeń, które nie działają na obszarze Virgi jest*radar* - choć aparaty te używane są z powodzeniem w całym wszechświecie. Każdy może zbudować zestaw radarowy, to zwykłe urządzenie elektryczne. Wiecie, czym jest elektryczność, używamy jej do oświetlenia i elektrolizy. Ale uzyskanie jakiegokolwiek odczytu z radaru, nie licząc szumu, to już zupełnie inna sprawa w naszej Virdze.

Istnieje jednak sposób, dzięki któremu urządzenia elektryczne mogą działać prawidłowo. Ów sekret został skradziony dwieście lat temu z okrętu flagowego jednego z księstw Candesce przez najbardziej legendarnego człowieka w historii.

Fanning roześmiał się.

– Tak. W ten sposób wracamy do Emila Anetene’a. Jego życie obrosło już legendą. – Istotnie, dopiero gdy odwiedziliśmy stację turystyczną i zobaczyłem mapę na własne oczy, uwierzyłem, że podanie o skarbie Anetene’a jest prawdziwe.

Hayden nie potrafił ukryć kwaśnego uśmiechu widząc chłodne przyjęcie tych słów. Ludzie usłyszeli dzisiaj już dość nieprawdopodobnych rzeczy. Jedna niedorzeczność więcej nie robiła im większej różnicy.

Przynajmniej tak było na początku.

Fanning wyjaśnił, jak Emile Anetene ukradł to coś – klucz; admirał nie zdradził czemu miał służyć, powiedział jednak, że ukrył go wraz z resztą łupów. Niedługo potem zginął w nawałnicy rakiet, zagoniony w kozi róg

przez sprzymierzone siły księstw Candesce. Od samego początku krążyły pogłoski o skarbie. Legenda mówiła, że nikt go nie znalazł, ponieważ Anetene zostawił mapę jednej ze swoich kobiet, a ona ukryła ją w miejscu, którego nikt nie mógł odnaleźć.

– Znaleźliśmy mapę – powiedział Fanning. – Mamy ją. W ciągu tygodnia będzie wam dane splądrować skarbiec Anetene'a. – Krótko się zaśmiał. – Nie musicie teraz wierzyć w tę historię. Ale dajcie mi siedem dni swojej służby, a wszyscy dowiemy się, czy legenda jest prawdziwa. A jeśli tak... skarb będzie wasz.

– No teraz to mi się podoba! – wrzasnął lotnik ze złamaną ręką. Inni zawtórowali mu śmiechem.

– Wrócimy ze skarbem i działającym radarem. Zniszczymy tajną stocznię Formacji Sokoła i pokonamy wszystkich, którzy staną nam na drodze. Ocalimy Slipstream, a wy wrócicie do domów bogaci jak Piloci.

– Czy ktoś ma jakieś obiekcje?

Hayden uruchomił silnik aerocykla i powoli ruszył w stronę otwartych wrót hangaru*Gawrona*. Fanning dalej odpowiadał na pytania, choć unikał tematu samego działania radaru. Wielu marynarzy uważało jego historyjkę za niedorzeczną fantazję, ale zgodzili się dać mu tydzień na udowodnienie swoich racji.

Pracując z Aubri Mahallan przy konstrukcji radaru, Hayden już wierzył.

Po odstawieniu aerocykla, postanowił ją odszukać. Wciąż nie rozmawiali ze sobą normalnie i zamierzał dowiedzieć się, dlaczego. Drzwi do jej warsztatu były zamknięte, więc zapukał w nie energicznie. Odczekał chwilę, a gdy nie usłyszał odpowiedzi, zapukał ponownie.

– Mogę tak w nieskończoność – powiedział głośno.

Zapadła cisza, po której drzwi otworzyły się na oścież. Tuż za nimi unosiła się Aubri Mahallan. Miała zaczerwienione oczy.

– Czego chcesz? – warknęła.

– Mogę wejść?

Bez słowa, ale z wahaniem, odsunęła się, pozwalając mu przejść. Warsztat przypominał pobojowisko. Piraci najwyraźniej go złupili, choć zadziwiająco mało przedmiotów uległo zniszczeniu; choć zdał sobie sprawę, że wcale nie powinno być to dla niego zaskoczeniem. Piraci mieli

tak niewiele własnych rzeczy, że woleli coś zabrać, aniżeli zniszczyć. Najchętniej wszystko, co byli w stanie zdobyć od innych.

– Chciałem jedynie sprawdzić, czy wszystko z tobą w porządku – powiedział po długiej, niezręcznej ciszy. Aubri wzruszyła ramionami. W końcu skinęła głową.

– Dlaczego wróciłeś po bitwie? – spytała przygnębionym głosem. – Żeby upewnić się, że miałeś rację? Że*Gawron* został zdobyty?

– Miałem nadzieję, że tak się nie stało.

– A może wcale nie wróciłeś – ciągnęła dalej. Nie patrzyła na niego, nerwowo zbierając porozrzucane po pomieszczeniu szczątki. – Może byliście już w drodze na stację, gdy Martor zdał sobie sprawę z tego, że zamierzasz nas opuścić. Wtedy pozbawił cię przytomności.

Podenerwowany, ale zdeterminowany, by się nie wycofać, Hayden wzruszył ramionami.

– Myśl, co chcesz. Nie myliłem się, prawda? *Gawron* przegrał starcie. Dokonano abordażu. Gdyby nie szybka reakcja Venery...

– Ona jest równie dzika jak ci piraci – rzekła Aubri ze smutnym uśmiechem. – Nigdy wcześniej nie byłam świadkiem tak potwornych rzeczy, jak tutaj. Brutalność... Jesteście jak zwierzęta.

– Całkowicie się z tobą zgadzam. – Kobieta spojrzała na niego, zaskoczona. – Gdyby świat potrzebował ratunku, nie byłoby warto tego robić. Wszystko, co ma jakąś wartość, prędzej lub później zostaje skradzione przez kogoś złego. Nienawidzisz piratów, którzy próbowali schwytać*Gawrona* i jego załogę? Cóż, niektórzy piraci stają się tak potężni, że nadają sobie tytuły. Jak na przykład „Pilot Slipstreamu”. Czymże jest Slipstream, jeśli nie największą piracką armadą na świecie? Tak wielką, że nie chwytają i plądrują okrętów, lecz całe nacje.

– O czym ty mówisz?

Chłopak westchnął.

– Wiesz cokolwiek na temat ludzi, dla których pracujesz?

Aubri zmrużyła oczy, przyglądając się badawczo jego twarzy.

– To jakaś forma usprawiedliwienia tego, że chciałeś porzucić swoich przyjaciół, prawda? To źli ludzie, więc usprawiedliwia to działanie wyłącznie w swoim interesie, zgadza się?

– Próbowałem cię uratować – odparł, rozzłoszczony. – Tam, na zewnątrz, nic już dla mnie nie zostało. Nie mam przyszłości. Pomyślałem więc, że

warto będzie uratować życie komuś, kto wciąż je ma.

– W takim razie wybrałeś złą osobę do ratowania.

Minęło kilka chwil zanim dotarły do niego te słowa.

– C-co powiedziałaś?

Aubri ciężko westchnęła.

– Posłuchaj, nie potrzebuję tego teraz. I nie potrzebuję twojej pomocy,*asystencie*. Wiesz, że nasze maszyny są już gotowe. – Położyła mu rękę na piersi i pchnęła. Zmieszany i zły Hayden nie próbował się opierać.

Cieśla Slew, który obserwował jego wyjście, skwitował je:

– Same z nimi kłopoty, chłopcze. Uwierz mi na słowo, że potraktowała cię łagodnie.

– Zamknij się. – Ale Slew jedynie wybuchnął śmiechem. Z wypiekami na twarzy Hayden uciekł do hangaru.

Znalazłszy się na drodze zbłąkanego promienia światła z odległego Candesce, wielki robak przebudził się. Rozłożył sześć nóg i nieudolnie rozprostował je w zimnym powietrzu. Na przestrzeni wielu setek mil nie było żadnej rzeczy, której mógłby się uczepić, ale nie miało to znaczenia; żywił się unoszonymi wiatrem resztkami i potrafił zapaść w wielomiesięczny letarg. Mogło go jednak przebudzić ciepło słońca i gdy poczuł na sobie odległe promienie z Candesce, rozpostarł półprzezroczyste skrzydła i zaczął bzyczeć.

– Zawrzeć włazy! – Nowy bosman*Gawrona* skakał od jednej burty do drugiej, sam wykonując wydawane przez siebie rozkazy. Marynarze z hangaru również pospiesznie zamykali wszystkie furty; jednak efekt był marny. Wstrząsające światami bzyczenie wielkiego robaka wciskało się we wszystkie zakamarki statku. Członkowie załogi przeklinali, przyciskając dłonie do uszu, ale bzyczenie zdawało się rezonować wewnątrz ich czaszek. Na całym statku, jedna po drugiej, płomienie nakręcanych latarni migotały w lekko wzburzonym powietrzu, po czym gasły.

Hayden spał na swoim zwiniętym posłaniu w wirówce okrętu. Zdążył się przyzwyczaić do hałasu i teraz nie budził go nawet huk próbnych wystrzałów albo ćwiczeń artyleryjskich. Jednak dźwięk wydawany przez wielkiego robaka sprawił, że natychmiast zerwał się na równe nogi.

Gdy wyszedł z drżącego koła, dostrzegł twarz Travisa, którego samotna sylwetka unosiła się na tle ostatniego otwartego włazu.

– Spójrz na to! – powiedział oficer, a przynajmniej takie słowa dało się wyczytać z ruchu jego warg. Hayden nie usłyszałby go nawet, gdyby ten zbliżył się na kilka centymetrów.

Przez ostatnich kilka dni Hayden zauważył, że Travis go lubił, a przynajmniej darzył szacunkiem. Z wzajemnością; mężczyzna nie traktował obecności cywili na swoim statku jako zagrożenia dla własnego autorytetu. Dzięki temu Hayden nie czuł, jakby kusił los, wystawiając głowę przez otwarty iluminator, tuż obok Travisa.

Powietrze wokół wielkiego robaka pstrzyły chmury, rzucając plamiste cienie na wielki odwłok, poszarzały z tej odległości. Hayden mógł teraz zobaczyć tylko bok olbrzyma; wszystkie szczegóły zwierzęcia rozpływały się w mroku lub błękicie po obu jego stronach. Wzdłuż zwalistego cielska sunęły stada ptaków oraz ryb, najwyraźniej niewrażliwe na bzyczenie mogące zabić człowieka, który znalazłby się za blisko. W odległości zaledwie kilku mil od*Gawrona* w nagłym rozbłysku słońca leniwie zawirowały wielkie, czarne kule. Te z kolei otaczały pasma żółtawej mgły i mrowie punkcików.

Bzyczenie umilkło, zostawiając dzwoniącą w uszach ciszę, która na swój sposób była równie bolesna co hałas.

Travis wyszczerzył zęby.

– To naprawdę wielki robak, prawda? – Zabrzmiało to tak, jakby znajdował się po drugiej stronie jednej z tub głosowych, jakie rozmieszczono na statku.

Hayden pokiwał głową, dłubiąc w uchu, a następnie oglądając palce w poszukiwaniu śladów krwi.

– Dobrze, że nie byliśmy bliżej! – krzyknął.

– Co to jest? – Travis wskazał dryfujące w oddali czarne kule wielkości miast.

– Gówna robaka – odparł Hayden. – Nie chcesz się do nich zbliżać, ale doskonale nadają się do uprawy grzybów.

– Nie wierzę, że coś tak ogromnego może naprawdę żyć.

– W większości stanowią pustą przestrzeń. Wielki balon, trochę jak nasz świat. Mówią, że robale mają wewnątrz siebie nawet własne lasy i jeziora.

Travis po raz ostatni tęsknym wzrokiem wyjrzał przez iluminator, po czym wrócił do swoich obowiązków. Hayden został na miejscu, podczas gdy wszędzie wokół członkowie załogi*Gawrona* otwierali kolejne bulaje.

Ciepło z Candesce było słabo wyczuwalne, ale tak czy inaczej stanowiło światło słońca, a sama jego obecność koiła.

– Tylko nie poczuj się zbyt pewnie – powiedział jakiś głos obok. Hayden odwrócił głowę, mrugając powiekami i spostrzegł Lyle'a Carriera, który unosił się w półmroku.

– Słucham?

– Wiem, że wydaje ci się, że znalazłeś sobie wysoko postawionych przyjaciół – rzekł Carrier, ruchem głowy wskazując oddalające się nogi Travisa.

– Tak naprawdę ci nie ufają, wiesz? Będą się do ciebie uśmiechać i rozmawiać z tobą, bo wiedzą, że cię obserwuję.

Hayden posłał mu gniewne spojrzenie.

– Co to niby miało znaczyć?

– Wciąż jest jeszcze wiele pytań bez odpowiedzi w twojej kwestii, chłopcze – rzekł Carrier, wydymając usta w znajomym grymasie niezadowolenia. – Zaś odpowiedzi, których nam udzieliłeś się nie zgadzają. Widzisz – nachylił się – wiem, że coś kombinujesz, a Venera wie, że ja to wiem i ma nadzieję, że dowiem się, o co chodzi. Dlatego właśnie ona i pozostali twoi przyjaciele z przyjemnością będą spełniać twoje zachcianki. Bo wiedzą, że dobrze się tobą zajmę.

Hayden wbił w niego wzrok. Trochę czasu zajęło mu przejrzenie Carriera. Żałował, że nie ocenił mężczyzny właściwie od samego początku. Carrier był zabójcą, lecz Hayden w ogóle się go nie bał.

Przechylił głowę na stronę.

– Chcesz powiedzieć, że spędziłeś cały ten czas, obserwując mnie i formułując własne hipotezy? I ani razu nie przyszło ci do głowy, żeby*spytać*?

Lewa powieka Carriera drgnęła nieznacznie. To wystarczyło, żeby na twarzy Haydena wykwitł uśmiech.

– Może powiesz mi w takim razie, co kombinujesz? – spytał mężczyzna.

– Nie twoja sprawa – odwarknął młody lotnik, po czym odwrócił się, by móc ponownie podziwiać widok.

– Więc tak chcesz sobie pogrywać – mruknął Carrier. – W porządku. Do zobaczenia, Griffin.

Hayden nie usłyszał jak mężczyzna odchodził, ale nie miał ochoty odwracać głowy i tego sprawdzać. Chociażby dlatego, że widok był

cudowny: światło z Candesce nie przygasało, wprost przeciwnie, i nie było w tym niczego dziwnego, biorąc pod uwagę kierunek, w którym zmierzał*Gawron* oraz jego siostrzane statki.

Poza tym nie chciał, by Carrier oglądał teraz jego twarz. Chłopak wiedział, że podpisał na siebie wyrok. Obrażanie człowieka pokroju Lyle’a Carriera nikomu nie uchodzi płazem.

Niech będzie. W tej chwili potrzebował wroga, którego mógłby nienawidzić całym sercem. Jego uczucia względem admirała Fanninga były teraz mieszane. Carrier... to już zupełnie inna sprawa.

Hayden obserwował, jak siostrzane okręty*Gawrona* okrążają przestrzeń wokół gigantycznego robaka. Ustawiwszy dzioby w kierunku Słońca Słońc, korzystając z przejrzystego i jasnego powietrza, dały całą naprzód i pomknęły w kierunku Candesce.

Minęły dwa dni. Droga przed nimi skąpana była w nieustannym blasku. Najpierw jedno, potem dwa, a w końcu cztery słońca wychynęły zza wiecznej pokrywy zimowych chmur. Początkowo wszystkie przypominały jedynie pomarańczową smugę na niebie. Ich światło rozpraszało i filtrowało setki mil powietrza, wody i pyłu. Z czasem ich kontury nabrały ostrości, ostatecznie stając się niewielkimi punkcikami aktynicznego światła osadzonego na dyskach oraz łukach o barwie srebra i zieleni, którymi jawiły się wszystkie te odbicia na dziesiątkach tysięcy pojedynczych domów, miasteczek, lasów, jezior i farm.

Gridde, wiekowy kartograf, wyłonił się ze swojej obitej aksamitem komnaty, by spojrzeć przez pryzmaty na światło tych słońc. Następnie porównał wytworzone w ten sposób tęcze z tabelami w ogromnej księdze, którą nosił przytroczoną do pleców tak długo, że zostawiła ona na trwale wgłębienie na ramieniu jego kurty. Chwilę później wskazał po kolei każde ze słońc, mówiąc:

– Nacja Tracoune, Księstwo Kester, Zjednoczona Marchia Reeve’a Bohatera oraz, umm, co to za cholerstwo... A, ten to Nowobogacki Odłam Republiki Canso.

Członkowie załogi, którzy zgromadzili się, by obserwować tę procedurę, kiwali głowami i mądrze szeptali między sobą. Zaledwie kilku z nich słyszało o niektórych z tych nacji, a żaden nie słyszał o wszystkich. Znaleźli się po drugiej stronie świata – na antypodach Slipstreamu oraz jego

sąsiadów. Co ważniejsze, państwa te dryfowały w środkowych partiach przestrzeni Virgi, setki mil ponad księstwami Candesce, lecz również setki mil pod warstwami zajmowanymi przez Aerie oraz inne znajome im miejsca. Pomiędzy nimi królowała zima – mroczna, chłodna przestrzeń targana wiatrami, która na przestrzeni wieków okazała się kiepskim miejscem na zakładanie nowego państwa.

– Gridde powiedział mi, że to ze względu na istnienie cyklonów, silnych prądów strumieniowych – wyjaśnił później Martor. – Obiekty zbyt łatwo od siebie oddryfowują. Podejrzewam, że gdyby tak nie było, nie istniałaby zima. Cały świat od jednego krańca do drugiego wypełniałyby słońca i państwa. – Uśmiechnął się tęsknie. – Wyobraź to sobie.

– Hmpf. – Z braku lepszych zajęć, Hayden po raz dziesiąty polerował swój ścigacz. Spojrzał na Martora ze skwaszoną miną. – W cywilizowanej przestrzeni fruwa zbyt wiele śmieci. Nie można latać aerocyklem szybciej niż sześćdziesiąt mil na godzinę bez oberwania w głowę czyimś nocnikiem - albo gorzej: jego zawartością. Na dodatek, co pięć mil czai się gliniarz gotowy wlepić mandat każdemu, kto choć trochę otworzy manetkę gazu. Wszystko, żebyś tylko nie zatrząsł szybami w oknach jakiegoś bogacza.

– Nie myślałem o tym w ten sposób.

– To dlatego, że nie wylatałeś jeszcze dostatecznej liczby godzin na aerocyklu. Kiedyś, gdy będziesz mieć własną maszynę, przeklniesz gęstość zaludnienia w cywilizowanej przestrzeni.

Kilka kolejnych dni jedynie potwierdziło ponury wniosek Haydena: korpus ekspedycyjny bardzo powoli brnął przez coraz gęściej zaludnioną przestrzeń. Życie zaczynało się na najniższym poziomie od piwniczych pająków, które plotły wielkie połacie sieci, przyciągających drobiny brudu i śmieci, powoli przeradzając się w tratwy wielkości stołów jadalnianych, na których żyły miriady innych stworzeń. Sieci wplątywały się w turbiny*Gawrona* i należało je usuwać szczotkami. Obok matów przemykały ptaki, ryby i insekty – w większości zaledwie wielkości paznokcia, choć zdarzały się i okazy wielkie jak łodzie. Gdy światło słońc zaczęło jaśnieć, dało się zobaczyć, że marynarzy pokrywała warstwa trawy i dzikich kwiatów. W oddali zwiadowcy dostrzegli drzewa oraz farmy. Wszędzie wokół panował wzmożony ruch powietrzny.

Większość miejscowych słońc podążało za codziennym rytmem Candesce, w przeciwnym wypadku nigdy nie zapadałaby noc. Niektórzy

renegaci korzystali z własnych przedziałów czasowych, głównie z powodów historycznych lub politycznych. W rezultacie, tutejsze noce były wspanialsze niż jakiekolwiek inne, które Haydenowi dane było oglądać. Powietrze i chmury nabierały lazurowego odcienia z domieszką turkusowego, fioletoworóżowego oraz pomarańczowego, zaś w tym półmroku lśniło tysiąc świateł miast i domostw. Hayden podsłuchał jak Aubri mówiła coś na temat „gwiazd”, spoglądając przez otwarte wrota hangaru*Gawrona*, ale nie spytał jej, co miała na myśli.

Pomiędzy członkami załogi nie dochodziło też do bójek, ani nawet głośniejszych kłótni. Na wszystkie statki padł urok tego miejsca, tym silniejszy, bo wszyscy wiedzieli, że nie będzie trwał wiecznie. Przez kilka dni stanowili grupę zwykłych lotników przemierzających dziwne, ale przepiękne niebiosa.

Nie zbliżali się do żadnego ze słońc; ich cel położony był głębiej. Sześć krążowników lawirowało pomiędzy bojami granicznymi, pozostając w przestrzeni eksterytorialnej, w miarę zbliżania się do skorupy cywilizacji otaczającej Słońce Słońc. Księstwa Candesce stały się widoczne jako rozmazana, wybrzuszona na środku plama – mglisty kontur bańki o średnicy kilkuset mil, w której sercu leżało największe ze słońc.

Doglądane przez ludzi słońca leżących na granicy państewek zostały za ich plecami, podczas gdy blask Candesce narastał. Tutejsze gęste lasy przypominały ogromne główki brokułów o szerokości kilkunastu mil. Obok istniały równie wielkie jeziora, które czasami formowano za pomocą rusztowań w soczewkowate kształty skupiające światło Candesce na obszarze ogromnych, rozżarzonych stref przygotowanych z myślą o przemyśle i procesach oczyszczania. Powietrze zaczęło pachnieć gorącem i bogactwem życia.

To była najstarsza część zamieszkanej Virgi. Candesce istniało od czasu stworzenia świata. Niektóre okoliczne nacje były niemal tak samo wiekowe. Załogi wymieniały historie o baśniowych miejscach i legendach, o cylindrach miast ze szczerego złota i lasach wielkich jak całe państwa. Ze wszystkich stron otaczały ich statki. Teraz zauważyli latających ludzi – nieustraszone postacie korzystające z przymocowanych do pleców skrzydeł o napędzie nożnym – przypominających anioły podróżujące pomiędzy miasteczkami. Ruch okrętów został ograniczony do pasów wyznaczonych

przez boje, poza których granice sześć okrętów Slipstreamu nie ważyło się wychodzić.

Gridde ostatecznie wyszedł ponownie ze swojej celi i przysiadł we wrotach hangaru niczym jakieś obszarpane, czarne ptaszysko. Zmierzył kąt pomiędzy Candesce i mijanymi słońcami i w końcu pokiwał głową.

– Gehellen – oznajmił – położone jest dwa dni stąd w tym kierunku. – Wskazał palcem część półkolistej mgły otaczającej Candesce, która w oczach Haydena wyglądała identycznie jak reszta. Zanim mężczyzna na powrót wszedł na statek, Hayden usłyszał jak szepcze do admirała Fanninga: – Tam znajdziecie Chór Liści.

Dwa dni później *Gawron* i jego siostrzane okręty zatrzymały się przed boją graniczną. Pława wyglądała jak szklana kula o średnicy czterdziestu stóp, opleciona konstrukcją z kutego żelaza. Ponieważ był środek dnia, jej ognie wygaszono, ale powietrze w przestrzeni wielu mil śmierdziało naftą. Boje drogowe tworzyły tutaj wąskie gardło, wstrzymując ruch powietrzny; wszyscy podróżni musieli minąć stanowiska rakietowe starej, porośniętej mchem fortecy zbudowanej z kamienia. Cumowały przy niej cztery barokowe, grubo ciosane krążowniki z barwami chorągwi, których Hayden nie widział nigdy wcześniej.

Gdy jednostki Slipstreamu dotarły na miejsce, z wnętrza twierdzy wyleciał im na spotkanie szwadron aerocykli, który utworzył wokół nich kordon. Silniki krążowników obudziły się do życia, popychając naprzód okręty, które zamierzały zablokować im drogę. Głęboko pomiędzy ocienionymi kamieniami samej fortecy pojawiły się głowice rakiet.

– Cóż – powiedział Slew siedzący z Haydenem w hangarze – witamy w Gehellen.

– ...lady i baron Castermond. – Głowy zebranych odwróciły się, by przywitać nowo przybyłych. Chaison Fanning zgiął plecy w ukłonie, ale Venera już się tym nie kłopotała. Wyglądała dziś pięknie i złe zachowanie uchodziło jej płazem. Zamierzała to wykorzystać.

Sala balowa mogła konkurować z każdą komnatą w Rushu. Wykonano ją z kamienia i szkła, mając na uwadze wszystkie dodatkowe koszty, jakie generowało jej nakręcanie; rzecz jasna, ogromne sale były tak duże, by przybywający goście czuli się już od progu onieśmieleni. Każdy, kto widział w nich coś bardziej niewinnego, mógł się uważać za idiotę.

– Widzicie? Mówiłem, że przybędą wszyscy wysoko urodzeni – powiedział ambasador Richard Reiss. Przedstawiciel Slipstreamu w Gehellen był korpulentnym mężczyzną z ciemnym znamieniem na policzku. Nosił miejscowy strój z falbanami przy nadgarstkach i krezą wokół szyi. Po raz pierwszy w życiu Venera Fanning dziękowała za prostotę wojskowych mundurów Slipstreamu; jej mąż wyglądał niezwykle szykownie, a nawet zawadiacko w porównaniu z dyplomatą.

– Wielka szkoda, że wasza egzotyczna pasażerka nie mogła się pojawić – ciągnął Reiss. – Mówiliście, że jak się nazywała?

– Mahallan – rzekł z roztargnieniem Chaison. Uniósł kieliszek, by przywitać kogoś, kogo nie znał.

– Musiała... zająć się pewnymi badaniami – powiedziała Venera. – Nie jesteśmy tutaj na wakacjach, ambasadorze.

– Oczywiście, oczywiście. Tak czy inaczej rad jestem, że udało nam się zorganizować to małe przyjęcie w tak krótkim czasie. – Reiss ostrożnie ujął łokieć Venery i poprowadził ją w kierunku stolika z drinkami. – Dzisiejsza zabawa może stanowić ważny krok w oliwieniu zębatych kół postępu. Wie pani, wasze statki...

Nie musiał jej przypominać.*Gawron* i jego siostrzane jednostki oczekiwały bezczynnie w wojskowym doku po drugiej stronie Vogelsburgu, stolicy Gehellenu. Siedzieli tak już od trzech dni – od kiedy marynarka wojenna Gehellenu odeskortowała ich tu pod czujnymi spojrzeniami luf.

Venera nie mogła ich winić za ostrożność; nie należało pozwalać obcym okrętom wojennym na włóczenie się po swoim terytorium bez uprzedniego poddania ich inspekcji i przepytania załóg. Chaison powinien był pomyśleć o tym zanim tu przybyli.

Mimo to... opóźnienie miało swoje dobre strony. Już pierwsze spojrzenie na Vogelsburg zelektryzowało Venerę. Śniła o tym miejscu.

To było właśnie owo pozbawione ciążenia miasto, które odwiedzała w snach tak wiele razy – była tego pewna. Budynki Vogelsburga miały najróżniejsze kształty i wymiary, ale bardzo nieliczne nakręcano, by zapewnić im grawitację. Posiadały wymyślne zdobienia, wliczając w to ażurowe ściany, freski, posągi i minarety, które atakowały ich ze wszystkich stron. Przypominały nieco okrzemki, które najstarszy brat pokazywał jej pod mikroskopem. Powiązane linami, ale rozdzielane przez minarety, dryfowały w zwolnionym tempie w złotawym blasku odległego Candesce, identycznie jak w jej śnie. Tysiące mieszkańców Vogelsburga przemykały pomiędzy zmieniającymi się budowlami niczym ptaki.

Sami ludzie sprawiali, że Venera czuła się nieswojo. Jedynie bogaci i wpływowi mieszkańcy Gehellenu posiadali stały dostęp do grawitacji. Ale nawet oni byli znacznie wyżsi niż ludzie, do których przywykła – w większości smukli i pałąkowaci, choć niektóre kobiety osiągnęły stan eterycznej lekkości, który działał na jej męża, co oczywiście nie uszło jej uwadze. Członkowie niższych stanów natychmiast rzucali się w oczy: służący na sali balowej ledwie mogli unieść głowy, nie mówiąc nawet o serwowanych drinkach i przekąskach. Niczym ogromne pająki górowali nad lepszymi od siebie, wyglądając na niezadowolonych i podenerwowanych.

Venera rozumiała, że dychotomia ta była rezultatem celowej polityki mającej na celu osłabianie biedoty. Koniec końców, historia pełna była przypadków arystokracji rezerwującej zdrowie i sprawność fizyczną tylko dla siebie. Niepokoiła ją jednak możliwość, że obecny stan mógł zrodzić się ze zwykłych zaniedbań. To sugerowałoby godną pożałowania dekadencję, w jaką popadły księstwa Candesce.

Gdy Reiss pochylił się nad stolikiem z drinkami, Venera chwyciła męża pod ramię i szepnęła:

– To bardzo dziwne zgromadzenie.

– Nigdy wcześniej tu nie byłaś – mruknął Chaison. – Skąd możesz to wiedzieć?

– Pomieszano różnych ludzi, mój drogi. Mój ojciec przygotował kiedyś mały bankiet tego typu dla poborców podatkowych z zewnętrznych prowincji. Zebrał ich wszystkich w jednym miejscu, zawarł drzwi, a potem kazał wszystkich rozstrzelać z galeryjki.

Chaison zapatrzył się w przestrzeń.

– To do niego podobne.

– Tak czy inaczej, mam złe przeczucia. Rozejrzyj się. Jesteśmy odcięci od naszych statków. Są tu wszyscy oficerowie, a przy wejściach stoją straże.

Spojrzał na nią nieufnie.

– Ale zostawili nam szable.

– Jakby to miało w czymś pomóc. Och, popamiętasz moje słowa, Chaison. Jestem pewna, że nie dojdzie tutaj do żadnej masakry. Ci ludzie zbyt mocno cenią sobie swoją architekturę, by ryzykować uszkodzenie jej kulami. Ale coś jest nie tak, tego jestem pewna.

– Cóż – rzekł Chaison. – W takim razie miej oczy szeroko otwarte. Martw się, ile chcesz. Ja jednak w międzyczasie zamierzam się cieszyć tym popołudniem. Ci ludzie nie zrobili nic, by nam zagrozić.

– To dlatego, że mamy sześć w pełni uzbrojonych okrętów wojennych w ich porcie – szepnęła. Niemal w tym samym momencie wrócił Reiss, trzymając w dłoni wysoką szklanicę.

– Zobaczcie, kogo właśnie wypatrzyłem. – Skinął głową w kierunku sztywnego, starszego dżentelmena, który stał samotnie obok jednego z wielkich okien rozetowych, które zajmowały większą część bocznych ścian sali balowej. Mundur mężczyzny znaczyły kolorowe plamki światła wpadającego przez witraże. Sama jego twarz była w połowie zielona. – Przybył generał Harmond. Muszę powiedzieć pani mężowi...

– Och, sama mu powiem – odparła Venera, ruszając w kierunku wojskowego. Reiss wydał z siebie cichy okrzyk zdziwienia, gdy kobieta go mijała. Zatrzymawszy się przed generałem, wdzięcznie dygnęła. Mężczyzna natychmiast stanął na baczność.

– Generał Harmond, jak sądzę? – spytała, szeroko otwierając oczy. – Tak wiele o panu słyszałam.

– Ach? – Wyglądał na zaskoczonego. Zanim podał jej rękę do uściśnięcia, wytarł dłonie o biodra. – Należycie do oddziału ze Slipstreamu.

Przepraszam, że zatrzymałem wasze okręty w ten sposób, ale tego wymagał, hmm, protokół.

– Och, jestem pewna, że było to konieczne – odparła, machając ręką od niechcenia. – Protokół nie należy do moich najsilniejszych stron. Ale interesuję się tyloma sprawami, które są moim hobby, generale, i miałam nadzieję, że właściwa osoba będzie mogła mnie czymś zabawić.

– Doprawdy? A o jakim hobby pani mówi? – Biedaczek wyglądał, jakby chciał z nią flirtować, ale zupełnie nie wiedział jak.

– Broń ręczna – odparła wesoło Venera. – Fascynują mnie strzelby, pistolety - wszystko, czego można używać własnoręcznie.

– Naprawdę? – Wybałuszył oczy.

– Jestem też maniaczką historii – dodała. – Interesują mnie wojny, ale obawiam się, że nie znam obecnych wydarzeń z tej części świata. Miałam nadzieję, że będzie mnie pan mógł oświecić i uzupełnić moje braki w wiedzy o uzbrojeniu z księstw Candesce.

Generał dumnie wypiął pierś.

– Z przyjemnością. O ile nie będę zmuszony zdradzić tajemnic wojskowych.

– Ach, nawet nie wiedziałabym, że o to pytam – rzuciła z fałszywą skromnością. – Ufam, że poprawi mnie pan, gdy do czegoś takiego dojdzie.

– Hmm. Cóż, mówiła pani, że interesują ją strzelby? Nasi rusznikarze są niezrównani w całym Candesce, jeśli mogę tak powiedzieć. Weźmy na przykład Matchleya czterdzieści pięć...

Venera słuchała z uwagą, podczas gdy Chaison Fanning przedzierał się przez labirynt dworzan i dwórek i zaczął odczuwać lekkie zdenerwowanie.

Okrągłe okno pałacowej sali balowej błysnęło przez chwilę tęczowymi barwami, oddalając się coraz bardziej. Hayden zdecydowanie skręcił w przeciwnym kierunku; Fanningowie tkwili za kolorowym szkłem i przynajmniej na razie nie stanowili jego problemu. Aerocykl dryfował tuż pod kołem miasta, wyleciawszy z małego hangaru, podczas gdy Hayden obierał właściwy kierunek.

– Biblioteka jest tam – powiedziała Aubri Mahallan, wskazując palcem.

– Tak, tak.

Uniosła dłonie w obronnym geście.

– Chciałam tylko pomóc.

Aubri miała na sobie płomienno-czerwony strój z jedwabiu. Długie pęknięcia po bokach szarawarów mocno odsłaniały jej nogi. Fanning nie pozwoliłby jej na noszenie czegoś podobnego na pokładzie*Gawrona*. Hayden zaś był zdeterminowany, by nie pokazać po sobie, że to zauważył.

Niechętnie została jego pasażerką; Gehellenowie nie pozwolili żadnemu wojskowemu aerocyklowi z*Gawrona* na używanie przestrzeni powietrznej Vogelsburga. W rzeczywistości, nie pozwalali nawet zejść załogom na ląd. Hayden ponownie mógł zatem wykorzystać sytuację, wszak jego rola w ekspedycji nie była jednoznaczna.

Od kiedy dołączył do załogi*Gawrona*, zobaczył i dowiedział się bardzo wiele. Przyszedł czas na przesłanie tych informacji Ruchowi Oporu. Po podwiezieniu Mahallan, zamierzał odnaleźć miejscowy urząd pocztowy i napisać jakiś list. Problem polegał na wybraniu właściwych rzeczy do opisania.

Wiatrak aerocykla wirował, więc chłopak odchylił się w siodle i pobudził do pracy układ zapłonowy, który posłał iskrę do palnika alkoholowego. Paliwo zajęło się ze świstem i maszyna wyrwała do przodu.

– Zwolnij! – Mahallan zacisnęła palce na swojej kierownicy.

– Zawsze tak kopie na początku. Nie martw się, nie zrzucę cię.

– Bardziej martwię się o to, że w coś wlecisz. Cała okolica jest naprawdę*zwarta*.

– Nie bardziej niż miejsce, gdzie dorastałem.

Na chwilę zaległa cisza, w miarę jak lawirowali w tłoku napędzanych nożnie skrzydeł oraz propellerów zmierzających w kierunku bezładnej mieszanki budynków nazywanej miastem. W końcu odezwała się Aubri.

– Dorastałeś w Aerie, prawda?

– Tak. Aerie również ma swoje miasta. A przynajmniej miało - zanim admirał Chaison Fanning i jego flota nie rozproszyli ich, zabijając albo przeganiając wszystkich, których znałem.

– Nie był admirałem, gdy Slipstream najechał Aerie – odparowała Mahallan. – Znam trochę historię. Został awansowany po zakończeniu walk.

– Czytałaś – parsknął.

Wytrzymała jego spojrzenie, po czym powiedziała:

– Rozmawiałam z załogą. Zrobiłam to, bo miałeś rację, że nie wiem nic na temat ludzi, dla których pracuję.

To proste stwierdzenie niemal zupełnie podcięło Haydenowi skrzydła, ale nie zamierzał się wycofać.

– Opowiedzieli ci jedynie jedną wersję – powiedział. – A inne rzeczy zupełnie pominęli. Na przykład powód, dla którego awansowano Fanninga. Wygląda na to, że odkrył sekretne słońce Aerie i zniszczył je, zabijając tym samym wszystkich jego pracowników. Cóż za bohaterski czyn!

– Wiesz o tym? – Pokręciła głową. – Ale pomieszałeś wszystkie fakty. Któregoś wieczora po kilku głębszych admirał opowiedział swoim oficerom - akurat tam byłam - jak doszło do jego promocji. Gorzko wspomina ten okres. Fanning był przeciwny atakowi na słońce Aerie. Pomysł należał do Pilota. W zasadzie Pilot nalegał, by osobiście poprowadzić ekspedycję i nawet oddał kilka strzałów na chybił trafił z okrętu flagowego! Traktował całe wydarzenie jak rozrywkę, ale później zrozumiał swój błąd; wszyscy, którzy brali udział w tym przedsięwzięciu, byli przerażeni jego efektami. A ponieważ Fanning wygarnął mu wszystko w twarz, Pilot ogłosił przed członkami wyższej izby, że to był pomysł Fanninga. Awansowali go, ale wraz ze stopniem przylgnęła do niego reputacja rzeźnika. Od tego czasu cała ta sytuacja wisi mu jak kamień u szyi. Nienawidzi Pilota.

Hayden niemal wleciał w piętnastometrową sieć z pożywieniem, którą holowano w poprzek ich trasy za pomocą ławicy udomowionych, pierzastych barakud. Odzyskując sterowanie nad maszyną, wyrzucił z siebie kilka niewyraźnych przekleństw.

– Moja matka – usłyszał własne słowa. – Zabił moją matkę. Pilot nakazał egzekucję mojego ojca. Nigdy więcej go nie widziałem. Zabił ich.

–*Co?* – Mahallan wychyliła się poza środek ciężkości aerocykla, doprowadzając do zachwiania równowagi, przez co Hayden niemal ponownie ich rozbił. – Kto zabił twoją matkę?

Chłopak wyłączył silnik, obrócił się w siodle i zmierzył ją spojrzeniem.

– Fanning. Fanning ją zabił. Byłem tam, przy nowym słońcu, gdy pojawił się znikąd i zabił wszystkich, których znałem.

Cofnęła się. Hayden ze złością uruchomił silnik i otworzył manetkę gazu do oporu, robiąc unik wokół wystraszonych ludzi i ich sieci towarowych.

– Nie mów mi, co się tam stało, bo dobrze to wiem – powiedział, choć kobieta nie mogła go usłyszeć ze względu na huk wiatru. – Byłem tam!

Biblioteka, cel podróży kobiety, pojawiła się zbyt szybko. Głupio było mu ją minąć albo okrążyć, dlatego niechętnie wyłączył silnik i uruchomił spadochron.

– Hayden... Oczywiście, że nie mogłam wiedzieć – powiedziała. – To brzemię nosisz ze sobą od początku, prawda? Gdybyś powiedział mi wcześniej...

– To było lata temu – odparł, próbując odciąć się od kotłujących się w nim emocji. – Nic więcej nie można zrobić - ani tak naprawdę powiedzieć. Tu wysiadasz.

Przez kilka sekund zajęty był ocenianiem ostatnich jardów dzielących ich od biblioteki. W zasadzie nie tyle był to jeden, co zlepek wielu różnych budynków: pierwotnie mógł on przypominać skrzynkę, piramidę albo drewnianą kulę, wewnątrz której utworzono pomieszczenia. Ale nawet gdyby była to prawda, nie można było tego w żaden sposób potwierdzić. Przez wieki pojedyncze pokoje przykręcano na śruby lub przybijano gwoździami do oryginalnej konstrukcji, tak że teraz sterczały jak pąkle. Z czasem dobudowano całe piętra, które łączyły prowizoryczne galeryjki. W istniejących poziomach utworzono szyby, zaś inne budowle użyteczności publicznej, posiadające własną logikę konstrukcyjną, przyciągnięto w to miejsce i połączono z resztą. Cały ten osobliwy stos wirował powoli, powodując, że światło ze słońca Gehellenów wpadało do środka w pokrętny sposób. Ludzie wlatywali i wylatywali z owej architektonicznej katastrofy, która przyprawiała o ból głowy. Wokół dryfowały również tysiące mniejszych przedmiotów: luźne książki, które jeszcze nie zostały pochwycone przez wymizerowaną i niedającą sobie rady grupę bibliotekarzy, którzy samotnie lub dwójkami łapali je w sieci na tyczkach.

– Cóż takiego zamierzasz tutaj znaleźć? – spytał niezręcznie.

Spojrzała na niego smutno, gdy on chwycił luźny sznur z dużego, linowego stożka okalającego wejście do biblioteki.

– Admirał chce, bym sprawdziła, dokąd zaprowadzi nas mapa – powiedziała cicho, wypinając się z uprzęży aerocykla. – Ale tak naprawdę potrzebowałam jedynie jakiejś odskoczni.

– Cóż. – Hayden zamierzał zawrócić maszynę. – Kiedy mam cię odebrać?

– Zaczekaj! – Aubri położyła mu dłoń na ramieniu. – Zostań, proszę. Będę wdzięczna za towarzystwo... i pomoc.

W drodze tutaj Hayden powtarzał sobie, że zostawi ją na kilka godzin i spróbuje ponownie przesłać wiadomość Ruchowi Oporu z Aerie. Miał zamiar przekazać ważną informację, że Slipstreamowi zagraża Formacja Sokoła. Tylko cóż Ruch Oporu miał zrobić z taką wiadomością? Hayden analizował w głowie różne scenariusze, leżąc na swojej koi i wsłuchując się w chrapanie cieśli Slewa. Kolejne opcje nie polepszały mu nastroju. Ruch Oporu najprawdopodobniej wykorzystałby te informacje, by ubić interes z Formacją; raczej nie będą pokładać wiary w szaleńcze przedsięwzięcie Fanningów. Może, gdyby Hayden był jakimś bohaterem, to mógłby ukraść to, czego admirał tak uporczywie poszukiwał i zawieźć jedną lub dwie sztuki do domu. Ale co potem? Dać je Formacji? Każda forma układu z Formacją Sokoła przypieczętowałaby ostatecznie losu Aerie.

Aubri dostrzegła jego wahanie. Marszcząc brwi, odwróciła się.

– Zaczekaj! – Hayden wspiął się po siatce otaczającej lejek wejściowy, by do niej dołączyć.

Razem wlecieli w długą, cylindryczną przestrzeń, od której we wszystkich kierunkach odchodziły korytarze. Przejścia oznaczono tematycznie. Wnętrze przecinały liny z uchwytami na dłonie, zaś pod ścianami płonęły jasne latarnie, cicho świszcząc nakręcanymi mechanizmami wiatraczków. W przeciwieństwie do chaosu fasady, wnętrze biblioteki wydawało się nadzwyczaj dobrze poukładane.

Aubri spojrzała na niego z ukosa.

– Slipstreamowcy to twoi śmiertelni wrogowie, prawda?

Hayden skinął głową.

– I przez cały ten czas wierzyłeś, że to admirał Fanning poprowadził atak na twoje słońce? Nie wyobrażam sobie, jakie to musiało być uczucie, gdy zostałeś uwięziony wraz z nim na pokładzie*Gawrona*.

– Nie do zniesienia – przyznał. W tym momencie poczuł, że już dłużej nie wytrzyma; jeszcze jedna życzliwa uwaga z jej strony, a opowie jej całą historię swojego życia jak jakiś ckliwy nastolatek. Na gwałt szukał sposobu, by zmienić temat.

– Tobie chyba też nie było lekko.

Posłała mu półuśmiech.

– Masz na myśli piratów? Było... źle, przyznaję. Ale to już przeszłość, prawda? – Jej mina wyrażała smutek. – Trzeba mimo wszystko cieszyć się, że niektóre traumy mają swój koniec. Bo nie wszystkie takie są.

– Uwierz mi, wiem. – Zmrużył oczy. – Już wcześniej mi to robiłaś.

– Co takiego?

– Unikałaś rozmowy na temat powodów swoich problemów.

– Ach.

Chwycił linę, a potem jej dłoń i zatrzymał ich oboje ponad kwadratowym szybem, wokół którego wyryto słowa INŻYNIERIA MIEJSKA. Przez długą chwilę czuł ciepło jej palców w swojej dłoni; ich spojrzenia spotkały się. Po czym Aubri cofnęła rękę.

Musiał coś powiedzieć i przez krtań przeszło mu tylko:

– Przybyłem na pokład*Gawrona*, mając zamiar zabić admirała Fanninga, choć nie spodziewałem się, że sam to przeżyję. Właśnie to miałem na myśli wcześniej, mówiąc, że nie mam przyszłości. Ale gdy to powiedziałem, stwierdziłaś, że ty też jej nie masz. Co miałaś wtedy na myśli?

Ekspresyjna twarz Aubri wykrzywiła się boleśnie.

– Nie umiem tego wytłumaczyć. Nie w sposób, który byłbyś w stanie zrozumieć.

Skrzyżował ramiona na piersi i pozwolił sobie zawisnąć w powietrzu przed nią.

– Czy to dlatego, że jestem „niedouczonym dzikusem”? Zdaje się, że użyłaś takiego określenia w stosunku do Martora kilka dni temu.

Przygryzła wargę.

– To nie tak... Nie wiem, jak ci to wyjaśnić. – Zaczęła się rozglądać i w końcu coś zauważyła. – Myślę, że powinniśmy udać się w tamtą stronę.

Hayden myślał, że kobieta znów zmienia temat, ale gdy wspólnie wlecieli w sześciokątny, wyłożony drewnem korytarz prowadzący do bibliotecznego departamentu historii, Aubri odezwała się znowu:

– Nie przybyłam do Virgi z własnej woli. A przynajmniej nie do końca. Nie kłamałam, gdy powiedziałam, że studiowałam nauki ścisłe i podziwiam waszych ludzi za posiadaną wiedzę.

Znaleźli się w obszernej, okrągłej komnacie, która nie wydawałaby się dziwna w warunkach normalnej grawitacji – o ile ktoś był w stanie zignorować zwyczajową plątaninę lin, które różni czytelnicy wykorzystywali jako żerdzie. Jasne latarnie dostarczały blasku rozświetlającego niezliczone rzędy książek pod ścianami.

– To moje zamiłowanie do pradawnych sztuk jak na przykład wytwórstwo wpędziło mnie w kłopoty – ciągnęła Aubri. W tym świetle wyglądała

naprawdę pięknie, niczym zatroskana lalka dryfująca w świetle lamp. – Wraz z kilkoma innymi osobami próbowałam obalić Sztuczną Naturę - przynajmniej lokalnie. Chcieliśmy powrotu tak szlachetnych cech jak pracowitość i umiejętność budowania! Chcieliśmy pracować, używając naszych umysłów i rąk. Przyznaję, że... pewne istnienia zginęły. Ale nie ludzie, nie zrozumiałbyś ich. To byli surferzy, stojące fale systemu S.N. Zabiło ich wyeliminowanie S.N. W ramach kary wygnano mnie tutaj.

– Wiem coś na temat roli wygnańca – powiedział Hayden. Aubri uśmiechnęła się.

– Zanim będzie mi wolno wrócić, muszę wypełnić misję dla Sztucznej Natury – dodała, niespodziewanie marszcząc brwi. – Wisi to nad moją głową jak katowski topór. Jeśli tego nie uczynię... umrę.

– Co? Wyślą jakiegoś skrytobójcę, czy coś?

Kobieta pokręciła głową.

– Zabójca już tu jest, wewnątrz mojego ciała. Czeka i obserwuje. Jeśli nie odegram swojej roli do końca, zabije mnie.

Takiego wyznania Hayden się po Aubri nie spodziewał. Próbował wyobrazić sobie jakąś obcą maszynę zwiniętą w jej krtani, obserwującą go przez cienką zasłonę ze skóry. Na samą myśl przeszły go ciarki.

– Więc na czym polega ta misja? – spytał po długiej chwili milczenia.

– Nie mogę ci tego powiedzieć – odparła wprost. – Mogłabym go aktywować.

Zmieszany i nieco zdenerwowany, podążył za nią do klatki zamontowanej przy jednej ze ścian. Wewnątrz niej siedziała znudzona kobieta o ramionach podobnych do ptasich nóżek i uczepionych strzemienia chwytnych stopach, która upychała książki w różnych miejscach klatki.

– Mogę w czymś pomóc? – spytała, patrząc na Aubri z wyższością.

– Dzień dobry, nie jestem stąd. Szukam informacji na temat Chóru Liści.

Twarz kobiety pojaśniała.

– Ojej, cóż za niezwykły akcent! Cóż, witamy w Gehellen. I witamy też w naszej bibliotece. Czy wiedziała pani, że jesteśmy nieprzerwanie otwarci od dwustu czterdziestu siedmiu lat?

– To mnie zupełnie nie dziwi – wtrącił Hayden.

– Ale co z tym Chórem? – naciskała Aubri.

Bibliotekarka ziewnęła.

– Powieści na ten temat zaczynają się tam i zajmują połowę tej przestrzeni. Dziecięce bajki są tam. Sztuki teatralne i operowe, tam.

– A co z aerografią?

– Mapy? Znajdziecie je w tamtej sekcji. – Wskazała przeciwległą ścianę pomieszczenia. – Ale jest w nich stosunkowo niewiele informacji. Chór Liści jest znacznie ciekawszy jako mit, aniżeli właściwe miejsce.

– Dlaczego?

– W tej chwili to jedynie wypalona skorupa. Nikt nie jest w stanie zapuścić się za daleko ze względu na brak tlenu i sporadyczne wybuchy. Wszystkie skarby z zewnętrznych warstw zostały dawno rozkradzione. Chór Liści to zwykłe sargasso.

Haydena nagle oświeciło. Dodatkowe elementy konstrukcji*Gawrona* nie służyły wyłącznie podróżom po zimie; były tam również zbiorniki z powietrzem i szczeliwo do iluminatorów. Okręt posiadał piec, ale wyposażono go również w baterię solną do gromadzenia ciepła.

Wlecimy do środka, pomyślał ze zdumieniem.

– To musiała być nie lada historia, skoro napisano o niej tyle powieści – powiedziała Aubri, spoglądając na stosy książek. Bibliotekarka pokiwała głową.

– Prawdziwa historia jest niemal równie niesamowita, jak ta w powieściach – odparła. – Dawno temu, w sercu Chóru Liści płonęły dwa słońca. Były niewidoczne z zewnątrz, ponieważ otaczał je zwarty, przepastny las: miliony nieważkich drzew łączących się ze sobą, a potem z innymi, niczym wici w pajęczej sieci jezior i skał. Las tworzył kulę o średnicy blisko pięćdziesięciu mil. Wewnątrz wzniesiono dziesiątki miasteczek oraz setki wiosek, umiejscawiając je pośród żyjących konarów drzew.

Bibliotekarka tworzyła dłońmi kształty, które przez światło lamp kładły się długimi cieniami na półkach z książkami za jej plecami.

– Nieprzepuszczalna bariera roślinności zapewniała mieszkańcom Chóru zarówno ochronę, jak i bogactwo, dzięki czemu ich nacja kwitła. Po wiekach pokoju, świat zaczęły obiegać pogłoski o niezwykłej urodzie spadkobierczyni Chóru Liści, co przyciągnęło uwagę pewnego władyki, który postanowił zdobyć ją dla siebie. Rozpoczął oblężenie Chóru, aż w końcu udało mu się zyskać kontrolę nad ogromną stacją pompowniczą, która uniemożliwiała przesycenie lasu tlenem. Zagroził wysadzeniem stacji,

jeśli młoda dama mu się nie odda. Rząd odmówił, ale następczyni uciekła ze stolicy i dotarła do obozu władyki, gdzie dobrowolnie oddała się w jego ręce.

– Za karę, watażka kazał wysadzić pompy. Po czym odleciał, zostawiając za sobą miliony drzew produkujących tlen. Mieszkańcy Chóru pielęgnowali je od wieków, aż w końcu zaczęli potrzebować sztucznego systemu cyrkulacyjnego, by upewnić się, że ilość tlenu nie urosłaby powyżej poziomu niebezpiecznego dla całej nacji. Bez przepompowni, nawet najmniejsza iskra mogła wywołać ogromną pożogę - tak też się stało, kilka tygodni po odlocie watażki. Ogień miał swoje epicentrum w sercu Chóru Liści i pochłonął wszystko: miasta, drzewa, słońce. Została tylko kula zwęglonego drewna i popiołu o szerokości trzydziestu mil. Kula ta unosi się teraz na skraju terytorium Gehellenów; od wieków wydobywamy z niej węgiel drzewny. To bardzo powolny proces, ponieważ żar wciąż uwięziony jest w dusznych kieszeniach wewnątrz sargassa. W zetknięciu z powietrzem na nowo stają w płomieniach; dlatego też Chór Liści pełen jest zastałego, martwego powietrza. Dysponujemy statkami, które są w stanie przetrwać wewnątrz, ale nawigacja jest istnym koszmarem; to czarny, wypalony wrak, który ciągnie się w nieskończoność. Chór to obecnie prawdziwe obrzydlistwo - szrama na niebie. Nikt go już nie odwiedza poza górnikami.

– To bardzo smutne – skwitowała Aubri.

Lecz gdzieś w jego wnętrzu ukryto skarb króla piratów, pomyślał Hayden.

Spędzili kilka godzin, studiując mapy tego miejsca. Bibliotekarka była bardzo pomocna – wyglądało na to, że Hayden i Aubri stanowili dla niej doskonałą odskocznię od rutyny. Przy okazji ta dwójka powoli zaczynała się dobrze czuć w swoim towarzystwie;. Hayden nie potrafił odwrócić wzroku od uda lub łydki Aubri, które sporadycznie wyglądały na zewnątrz, gdy ta po coś sięgała; kobieta natomiast udawała, że nie zauważa jego ukradkowych spojrzeń.

Czas szybko leciał. Mimo tego Hayden nie mógł przestać myśleć o skrytobójcy opisanym przez Aubri. Zastanawiał się, czy istniał jakiś sposób na wydobycie z niej tego potwora, zatrucie go lub ogłuszenie. Kobieta nie wracała już do tematu, więc i on nie wspomniał więcej o swoich kłopotach. Być może z wzajemnej potrzeby odwrócenia własnej uwagi, bardzo intensywnie skupiali się na porównywaniu zdjęć mapy dostarczonej przez Venerę z różnymi diagramami. Te ostatnie były jednak przedawnione co

najmniej o kilka stuleci. Jak zauważyła bibliotekarka, zewnętrzna warstwa sargassa została złupiona już dawno temu, natomiast wewnętrzne ścieżki były zwęglone. Tylko cud w dziedzinie nawigacji mógł sprawić, że trafią do skarbu.

– Chciałbym, żeby Gridde tu był – rzekł w końcu Hayden. – On byłby w stanie to rozpracować – mówiąc to, nagle zdał sobie sprawę, że żywił do zrzędliwego staruszka wiele sympatii. A dlaczego by nie? Gridde nie był żołnierzem, jedynie kochał swoją pracę. Był niewinny.

W końcu zebrali dość informacji, by zadowolić Aubri.

– Myślę, że zasłużyliśmy sobie na przerwę – powiedziała. – Gdzieś tutaj powinna być knajpka, nie sądzisz?

Poszli za wskazówkami bibliotekarki i wkrótce znaleźli się z powrotem na zatłoczonym niebie Vogelsburga. Odległe Candesce wchodziło właśnie w fazę wieczorną. Jego światło powoli czerwieniało. W miejscu, do którego skierowała ich pracownica biblioteki, powietrze było tak gęste od zabudowań, że przejście było niemal niemożliwe. Bryły i kule, trójkąty i wolnowiszące farmy koszowe, wszystkie te konstrukcje rywalizowały o światło słońca oraz powietrze. Ludzie latali we wszystkich kierunkach, a gdy niemal dochodziło między nimi do kolizji, odpychali się od siebie bez urazy, nawet nie przerywając ruchu. Powietrze pełne było zapachów gotowanych potraw i śmieci, a także krzyków oraz śmiechów przemieszanych z odległymi, nieustannie obecnymi odgłosami ścierających się ze sobą budynków.

Hayden wypatrzył wiklinowy lokal polecany przez bibliotekarkę, gdy nagle poczuł na ramieniu dłoń Aubri.

– Ktoś nas śledzi – mruknęła kobieta.

Powstrzymał się, by nie odwrócić głowy.

– Jesteś pewna? Jakim cudem jesteś w stanie stwierdzić to w tym tłumie?

– Ponieważ podąża za nami od biblioteki. Zauważyłam go jak kręcił się po pokoju historycznym, gdy pracowaliśmy. Jestem pewna, że próbował podejrzeć mapy. A teraz jest za nami.

– Cóż...

– Wygląda jak jeden z*nich*. – Spojrzał na nią w osłupieniu. – Jeden z piratów! – szepnęła.

Tym razem pozwolił sobie na spojrzenie. Oglądając się, zza pleców dostrzegł burzę blond włosów przelatujących na drugą stronę słonecznego

pasa i poczuł na głowie ciarki, jakby zobaczył coś znajomego.

– Chodź – Hayden wprowadził ich na krętą ścieżkę pomiędzy budynkami, chcąc sprawdzić, czy ogon pójdzie za nimi. Tak też się stało; jego postać ponownie zjawiła się w nieustannej paradzie twarzy i strojów.

– Musimy zapomnieć o lunchu. Lepiej wracajmy do aerocykla i ostrzeżmy pozostałych. – Chwycił komunalną linę, by zmienić tor lotu. Aubri uczyniła to samo, choć z mniejszą wprawą.

Dotknęła jego kostki.

– Spójrz, tam jest posterunek policji. Może powinniśmy..? – Hayden nie miał zamiaru zaufać jakiemukolwiek gliniarzowi, ale to mógł być dobry moment, by zrobić teraz wyjątek. Stęknął i oboje skoczyli w tamtym kierunku.

– Dogania nas.

– Może nie chce, byśmy dotarli na posterunek? – Hayden nie rozglądał się, ale podwoił wysiłki, by dotrzeć do budynku będącego sześcianem zbudowanym z kamienia oraz pokrytego rdzą żelaza.

– Jest tuż za nami!

Hayden spojrzał przez ramię, po czym syknął wstrząśnięty: pamiętał tego człowieka. Był to jeden z dwóch mężczyzn, którzy polewali naftą członków załogi*Gawrona*. Nie tylko był kilka jardów za nimi, ale poruszał się pomiędzy budynkami z dużą łatwością, nie patrząc w kierunku Haydena i Aubri.

Posterunek policji położony był zaraz po drugiej stronie wielkiej, sypiącej się kwatery pozwiązywanej liną i workowatym płótnem – ale i tak nie mieli szans.

– Pieprzyć to – powiedział Hayden; chwycił narożnik budynku i wyhamował. Następnie sięgnął po miecz.

Pirat zanurkował w jego kierunku, ale minął go o dobrych dziesięć stóp, wciąż patrząc w inną stronę.

– Co u... – Hayden i Aubri patrzyli z niedowierzaniem jak ich prześladowca leci przez pustą przestrzeń; nie mając po drodze żadnych lin, których mógłby się złapać i zmienić kierunek, zmierzał tylko w jedną stronę.

– Nie wierzę – rzuciła Aubri, gdy korsarz zniknął w lejkowatym wejściu posterunku policji. – Jak myślisz, co to oznacza?

– Chyba doskonale wiem, co to znaczy – odparł Hayden, gdy w wejściu nagle zakotłowało się od umundurowanych oficerów wyposażonych w potężnie wyglądające płetwy. Gdzieś za budynkiem usłyszał budzące się do życia silniki odrzutowe.

– Musimy wrócić do aerocykla!

Aubri przysiadła na krawędzi kwatery, gapiąc się na chmurę nadciągających policjantów.

– Ale co to...

– On współpracuje z nimi! No chodź, Aubri!

–*Och, myślę, że na to jest już za późno* – powiedział znajomy głos za ich plecami.

Hayden obrócił się.

Kapitan Dentius stał na budynku, nie dalej jak piętnaście stóp od nich. Po obu stronach miał oficerów policji. Wyglądał na niezwykle zadowolonego z siebie.

– Witam ponownie – rzekł swym chrapliwym głosem. – Zawsze miło mi spotkać byłych klientów... szczególnie, gdy mamy jeszcze parę spraw do załatwienia.

– Ty draniu! – Hayden nie powstrzymał swego gniewu, który w końcu znalazł właściwy kierunek. Z poczuciem ulgi dobył miecza i skoczył na mężczyznę, ignorując policjantów.

Lecąc, wykręcił ciało, kierując nogi przed siebie. Niemal udało mu się przeszyć ostrzem krtań kapitana, ale Dentius uniknął ciosu w ostatniej chwili. Policjanci nie byli w stanie zareagować zanim Hayden nie oparł stóp o pierś mężczyzny i nie kopnął z całej siły. Dzięki temu wrócił z powrotem do Aubri z dodatkowym impetem.

– Chodź!

Chwyciła jego dłoń i oboje skoczyli za róg budynku. Za nimi rozbrzmiewały gniewne krzyki.

– Nie wierzę w to, co właśnie zrobiłeś! – krzyknęła. Gdzieś bardzo blisko rozbrzmiał odgłos wystrzału. Chwilę później nadciągnęły policyjne aerocykle, czarny rój wyłaniający się zza posterunku policji.

– Przejmij inicjatywę i wykorzystaj swoją złą sytuację – roześmiał się Hayden. – Pierwsza rzecz, jakiej uczą w pirackiej szkole!

– Najwyraźniej Dentius opuścił kilka lekcji. Co teraz? – Znaleźli się w potrzasku, na otwartej przestrzeni bloku mieszkalnego. Ze wszystkich stron

otaczali ich ludzie. Istniał tylko jeden kierunek, w którym mogli pójść; Hayden wyłamał drewniany filigran okna swoim mieczem. Aubri wgramoliła się do środka przed nim, przy wtórze policyjnych komend, nakazujących im się zatrzymać.

Znaleźli się w dziwnym mieszkaniu o kształcie komórki, co przypominało te w gnieździe os. Od strony najbliższego łóżka doszły ich krzyki na wpół rozebranej pary. Ich posplatane ze sobą nogi były groteskowo długie i wygięte, przez co przypominali pająki, które sięgają po cokolwiek pod ręką, by cisnąć tym w nieproszonych gości.

– Przepraszamy! – Hayden i Aubri przemknęli obok nich, gdy policjanci i piraci zaczęli przeciskać się przez okno za ich plecami.

Znalazłszy się w rurkowatym hallu, Hayden zobaczył otwierane po obu stronach korytarza drzwi. Krzyki i strzały postawiły na nogi cały budynek. Razem z Aubri starali się jak najszybciej przeskakiwać od uchwytu do uchwytu, ale w ciągu kilku sekund otwarto wszystkie drzwi, a w powietrzu wokół nich zaroiło się od miejscowych.

– To grafika z drugiej dynastycznej ery Keppery – rzekł przymilnie dworzanin, wskazując na krzykliwą plamę w kolorze zielono-beżowym rozlaną niczym zniewaga na ścianie sali bankietowej. Venera przygotowywała właśnie jakąś mdłą odpowiedź (w stylu „bardzo ładne”), gdy zauważyła, że coś się dzieje w pobliżu drzwi.

– Proszę mi wybaczyć. – Odszukała swojego męża, który w towarzystwie Reissa sączył spokojnie czwarty już kieliszek wina. Ciążenie zaczynało działać na nich obu. Venera nachyliła się i warknęła:

– Zamykają nas.

– Wspaniałe wieści, moja droga – powiedział nieświadomy niczego ambasador. – Rząd Gehellenu pozwoli waszym załogom zejść z okrętów na ląd. Doprawdy, wierzę, że jeśli podejdziemy do tylnych okien, będziemy mogli ich zobaczyć.

Chaison spoglądał ponad ramieniem Venery ze zdziwioną miną.

– Wygląda na to, że masz rację, moja droga. A kim są ci ludzie, którzy właśnie weszli?

Nawet się nie oglądając, Venera zapytała:

– Krępi, mało charakterystyczne twarze, brak mimiki, sprawne ruchy, proste ubrania?

– Dokładnie tak, skąd to...

– Mój ojciec przywiózł kilku takich z Formacji Sokoła, o ile dobrze pamiętam. To tajna policja, ukochany, nie poznałbyś ich, ponieważ brak ci obycia na pewnych sferach. – Uśmiech nie znikał z jej twarzy. W istocie, nie był bardziej wymuszony niż zaledwie minutę temu. – Sądzę, że zaraz zostaniemy aresztowani, a naszych ludzi wyprowadzą z okrętów.

– Ależ nie mogą... – wybełkotał ambasador Reiss.

– Wymyśl coś, szybko – syknęła Venera, słysząc za plecami odgłos powolnych, lecz pewnych kroków.

– Państwo wybaczą – powiedział głos należący do mężczyzny zadziwiająco wręcz podobnego do Carriera.

Venera spojrzała w oczy Chaisona i zobaczyła tam coś, czego nie widziała nigdy wcześniej; admirał był wściekły, ale na pewien skryty sposób, czego w nim wcześniej nigdy nie widziała.. Na czas walki z piratami zostali rozdzieleni, ale słyszała, że jej mąż zastrzelił kilku ludzi z hangaru*Gawrona*. Dowódca, który tego dokonał, nie był tym samym człowiekiem, z którym Venera sprzeczała się podczas kolacji i który tak często ustępował w domowych sprawach, że doprowadzało ją to do szaleństwa. Miała nadzieję spotkać kiedyś tego człowieka, ale w przyjemniejszych okolicznościach.

Chaison Fanning miał właśnie kogoś zabić. Venera zdała sobie z tego sprawę w porę, by zejść mu z drogi. Zaczęła robić krok do boku, dostrzegła zdziwienie w jego oczach, a po chwili poczuła dłoń na ramieniu...

...po czym silny wstrząs rzucił ją na kolana w przypominającej wodospad kaskadzie kamieni i szkła.

Podniosła głowę, próbując mruganiem pozbyć się pyłu spod powiek, i zobaczyła Chaisona przeskakującego ją, jak gdyby była przewróconym stołkiem podczas karczemnej bójki. Salę bankietową wypełnił znajomy ryk. Jednak jego obecność tutaj była tak wielkim zaskoczeniem, że Venera na chwilę zamarła w bezruchu. W końcu obróciła się, jedną ręką wciąż opierając się o zasnutą pyłem podłogę i zobaczyła niewyraźne postacie walczące w tunelu wirującego kurzu. Powietrze wypełniał smród palonej nafty.

– Chodź! – Hayden Griffin wyciągnął dłoń z wnętrza pylistego obłoku. W snopie światła z Candesce wyraźnie widać było jego poważną twarz i rozdarty rękaw kurtki. Lecz gdy już miała chwycić podane ramię, chłopak wykonał obrót, a trzymany w drugiej ręce miecz świsnął nad jej głową. Ktoś krzyknął w białej chmurze kurzu, który ich otaczał.

– Oficerowie do mnie! – głos należał do Chaisona Fanninga.

Wystrzał z pistoletu wystraszył Venerę na tyle, że poderwała się na nogi. Po chwili obok zjawiła się Aubri Mahallan z dymiącą bronią w ręce.

– Sir, to pułapka – tłumaczył Griffin Chaisonowi. – Dentius dotarł tu przed nami. Musiał ubić interes z Gehellenami w zamian za część skarbu.

– Szczegóły później – odparł admirał. – Oficerowie, do mnie! Musimy wrócić na statki!

Venera spojrzała w górę. W ścianie, gdzie jeszcze niedawno znajdowało się witrażowe okno wprawione w misternie rzeźbioną, kamienną ramę,

ziała poszarpana dziura.

– Ach – mruknęła w przestrzeń. – Ale co...?

W rogu sali coś dudniło, plując ogniem, żarem i słodkawym smrodem nafty. Venera nagle zdała sobie sprawę, że był to czarny ścigacz, którym zwykł latać Griffin. I wszystko stało się jasne.

– Wlecieliście przez*okno*?

– To był jego pomysł – Aubri uśmiechnęła się szeroko.

Otaczał je chaos krzyczących ludzi i szczęk metalu. Venera była świadkiem prawdziwej walki na miecze, nie jednego z tych improwizowanych pojedynków w domu jej ojca, które kończyły się zranionym policzkiem. Ludzie umierali. Z jakiegoś powodu przeszyły ją dreszcze, choć nic takiego nie poczuła, gdy zastrzeliła kapitana*Gawrona*.

– Jak się stąd wydostaniemy? – zwróciła się do Mahallan. – Wdrapiemy się na okno i wyskoczymy na zewnątrz? Gdy już znajdziemy się w mieście, będziemy mogli wrócić na statki... – Ale Aubri pokręciła głową.

– Na otwartej przestrzeni będziemy łatwym celem – powiedziała. – Musimy znaleźć jakiś pojazd.

– Tam. – Venera wskazała kaszlący i dymiący aerocykl.

– Nie jestem pewna, czy dalibyśmy radę dotaszczyć go do okna – odparła Mahallan – poza tym jest w stanie unieść zaledwie trzy osoby.

Venera ścisnęła jej dłoń.

– Jestem pewna, że uda wam się powstrzymać ich dostatecznie długo, żebym mogła uciec wraz z Chaisonem.

Zbrojmistrzyni zmierzyła ją spojrzeniem.

– Pozwolę sobie założyć, że żartujesz.

– Czasami sama już nie wiem. – Niemal w tej samej chwili z chmury pyłu wyłoniła się tyraliera oficerów*Gawrona*. Zostali zepchnięci do obrony przez tłum mężczyzn wlewający się na salę balową przez drzwi po przeciwległej stronie pomieszczenia. Wrogowie mieli przewagę w stosunku trzech do jednego, a z każdą chwilą sprawy miały się coraz gorzej.

– To beznadziejna sytuacja! – krzyknął przystojny oficer, Travis. Trzymał w ręku zakrwawiony miecz. Włosy przykleiły mu się do czoła. – Tam, gdzie powinniśmy uciekać, stoi cała armia!

– Musimy oczyścić korytarz – odparł Chaison. – Co ja bym teraz dał za rakietę.

– Może wystarczy silnik odrzutowy? – Tym razem był to Hayden Griffin, który ponownie wyłonił się z tumanu kurzu. Część jego twarzy skrywał cień. W podartej skórze i z bronią w ręku wyglądał jak jakiś dzikus.

Chłopak podbiegł, by znaleźć się w rogu i uniknąć wściekłych wierzgnięć leżącego aerocykla, aż w końcu udało mu się pochwycić kierownicę. Chwilę później był już w siodle, szurając nogami o ziemię, i próbował okiełznać maszynę.

– Z drogi! – wrzasnął. Travis odwrócił się, krzyknął, po czym złapał za ramię mężczyznę stojącego obok. Obaj padli na ziemię, odsłaniając kilku przestraszonych Gehelleńczyków.

– Za Aerie!

Nie takiego okrzyku bojowego Venera się spodziewała, ale nie miało to znaczenia – widok Haydena Griffina otwierającego manetkę gazu do oporu i sunącego przez środek sali balowej w fontannie iskier, miał pozostać w jej pamięci do końca życia. Mężczyźni byli roztrącani na boki, a maszyna wciąż przyspieszała, przecinając salę. Venera wydała z siebie okrzyk, w połowie radosny, a w połowie nieprzyzwoity, i sięgnęła po miecz przeciwnika, który upadł u jej stóp. Travis i pozostali oficerowie*Gawrona* również krzyczeli, wbiegając w wyłom powstały po przejeździe Griffina.

Budynek zatrząsł się od głośnego*szuuust*, a w głębi korytarza, w kierunku którego zmierzał aerocykl nastąpił gwałtowny rozbłysk. Mahallan wydała z siebie przeraźliwy wrzask, natomiast Venera pomyślała:*To by było na tyle w kwestii mojego kierowcy*. Myliła się jednak, bo gdy wkroczyła do korytarza w obstawie oficerów, zobaczyła Haydena Griffina leżącego pośród roztrąconych żołnierzy. Gdy chłopak próbował stanąć na nogi, Venera przyłożyła sztych swego ostrza do krtani jednego z przeciwników, który miał czelność spróbować tego samego.

– Lepiej tu zostań – rzuciła wesoło.

– Zeskoczyłem z aerocykla, gdy tylko minąłem drzwi – powiedział Griffin do Mahallan. – Chodź. – Pokuśtykał naprzód. Aubri przez chwilę stała w bezruchu, trzymając dłonie przy twarzy.

Venera klepnęła ją w ramię.

– Na co czekasz? Zabijmy kilku ludzi.

Ku jej zaskoczeniu, Mahallan wybuchła śmiechem i odbezpieczyła pistolet.

– O tak! – Obie pobiegły za oficerami.

Koniec korytarza przypominał zasłonę z płomieni; wybuchł zbiornik naftowy aerocykla. Po drugiej stronie czekali klnący żołnierze. Kilku z nich wystrzeliło na chybił trafił, przez co jeden ze Slipstreamowców padł, zarobiwszy kulę w szyję. W tym samym czasie Travis z zapałem próbował zrobić dziurę w drewnianym panelu, zaledwie kilka metrów od płonącego wraku.

– Tędy!

Wbiegli w coś, co przypominało korytarz dla służby. Chaison wskazał sztychem miecza w lewo.

– Ale stamtąd nadciągają żołnierze! – zaprotestowała Venera.

– To droga do wyjścia – odparł. – Nie mam zamiaru skończyć plecami do ściany. – Szybkim krokiem ruszył w obranym kierunku, nie czekając na odpowiedź.

Przestraszeni słudzy uskakiwali im z drogi; wyglądali komicznie ze swoimi patykowatymi nogami i wystraszonymi minami. Venera poczuła przypływ energii, paradoksalnie pobudzona myślą o tym, że zapewne tu zginie. Przez chwilę, podążając za swoim mężem pośród krzyków i wrzasków, w ogóle ją to nie obchodziło.

Biegnąc, miał czas jedynie na ukradkowe spojrzenia na boki, ale to co zobaczył w pomieszczeniach służby Gehellenów było dziwne i niepokojące. Zamontowano tu system bloczków, dzięki którym ludzie wychowani w stanie nieważkości mogli przemieszczać się z pokoju do pokoju. Po drodze minęli trzymetrowego mężczyznę – niemogącego ważyć więcej niż jakieś siedemdziesiąt kilogramów – uczepionego jednego z uchwytów. Jego słabe nogi szurały po posadzce, gdy rozpaczliwie próbował zejść im z drogi. Nikt go nie skrzywdził. Wszędzie walały się wózki na kółkach, kule inwalidzkie i miękkie siedzenia, natomiast w większości pomieszczeń ustawiono ogromne zbiorniki z wodą, w których unosili się mężczyźni i kobiety, wycieńczeni, podczas rzadkich przerw od pracy.

– Tu jest jak w pieprzonym szpitalu – mruknął Travis, gdy mijali grupę sług skulonych na pryczach.

Gdzieś przed nimi rozległy się huki wystrzałów.

– Zablokowali nam drogę – powiedział Fanning bez cienia zaskoczenia.

Ktoś zaklął siarczyście. Hayden obrócił się i zobaczył wymyślnie ubranego mężczyznę ze znamieniem, który stojąc w drzwiach,

gestykulował rękami.

– Tędy, głupcy!

Fanning uniósł brew.

– Cóż, chodźmy za nim – rozkazał.

Mężczyzna, najwyraźniej dostojnik, jakimś cudem poprowadził ich okrężną drogą i trzymał teraz otwarte drzwi prowadzące na salony pałacu. Hayden znalazł się w ogromnym atrium, po obu stronach którego ciągnęły się półokrągłe schody. Portrety na ścianach były ponadnaturalnej wielkości. Na poręczach wykute zostały fantazyjne bestie. Z oddali doszły ich krzyki, ale jak na razie żadne buty nieprzyjaciół nie pobrudziły jeszcze puszystego, czerwonego dywanu.

– Nie stójcie tak, na górę! – wściekł się dygnitarz. Ruszając za grupą oficerów, dodał jeszcze: – Mogliście wcześniej spytać o drogę*jedynego* człowieka obeznanego z tym miejscem.

– Myślałem, że nie żyjesz, Reiss – powiedział Fanning, wzruszając ramionami.

– Tam! – Hayden pozwolił przepchnąć się przez potężne drzwi w obszernym korytarzu na piętrze. Dzięki temu znalazł się w bibliotece o wysokich galeryjkach, której przeciwległa ściana zbudowana była jedynie z fasetowego szkła. W pomieszczeniu znajdowało się tylko jedno dodatkowe wyjście. Natychmiast podbiegło i zabezpieczyło je kilku ludzi.

– Dokąd teraz? – spytał Fanning Reissa.

Podczas gdy ta dwójka zaczęła dyskutować, Hayden odszukał Aubri. Stała wraz z Venerą Fanning, która jak zawsze wyglądała na spokojną i opanowaną.

– Wszystko w porządku?

Aubri pokiwała głową.

– Naprawdę nie sądziłam, że numer z wlatywaniem przez okno zadziała.

– Zrobiłem to tylko dlatego, że mnie nie powstrzymywałaś. To ty znasz się na sprawach technicznych! Założyłem, że coś byś powiedziała.

– Ach.

Venera wybuchnęła śmiechem.

–Musicie opowiedzieć mi, jak do tego doszło.

Uwagę Haydena rozproszyły niedalekie wrzaski. Fanning krzyczał na Reissa.

– Ale musimy przeć naprzód!

Ambasador nie dawał za wygraną.

– Admirale, prędzej czy później, będziemy musieli zeskoczyć z miasta. Nie ma innej drogi do doków. Ta biblioteka znajduje się na krawędzi koła; to najlepsze miejsce.

– Jesteśmy uwięzieni! – Jeden z mężczyzn przy bocznych drzwiach zamachał. – Ciągną tutaj w sporej sile.

– Tędy też!

– Po prostu cudnie – mruknął Fanning.

–Richardzie, co się tutaj dzieje?

Wszystkie rozmowy na chwilę zamilkły. Dwie bogato ubrane kobiety, do tej pory niezauważone, stały na środku pokoju z wachlarzami w dłoniach. Widząc je, Reiss pobladł (natychmiast znikło też znamię) i wyjąkał:

– L-lady Dristow, cóż za niespodzianka! To, to jest...

Starsza z dwójki kobiet postąpiła kilka kroków, trzepocząc wachlarzem ponad błękitnym gorsetem.

– Richardzie, przyszłyśmy tu, mając nadzieję znaleźć ciche miejsce do rozmowy, a nie po to, by napadli nas jacyś rozhisteryzowani barbarzyńcy z mieczami. – Spojrzała z wyższością na admirała Fanninga. – Zakłóca pan nasz spokój, sir.

– Zabezpieczyć drzwi – powiedział admirał. – I zerwijcie te zasłony! Mogą się przydać. – Następnie zwrócił się do kobiety: – Najmocniej przepraszam, madame. Okoliczności zmusiły nas do chwilowego zajęcia waszej biblioteki. Sugeruję, by opuściły panie to miejsce zanim zacznie się strzelanina.

– Niczego takiego nie zrobimy! – Matrona skierowała czubek wachlarza w pierś mężczyzny, dźgając go rytmicznie dla podkreślenia swoich słów. – Richardzie, powiedz temu człowiekowi, jak bardzo się zapędza. Nie powinien w ogóle odzywać się do kogoś o mojej pozycji. To*pan* powinien opuścić to miejsce, sir, nie ja!

Hayden podskoczył na odgłos wystrzału. Lady Dristow pisnęła, gdy trzymany przez nią wachlarz rozpadł się na tysiące kawałków.

Hayden obrócił głowę. Venera Fanning stała z jedną ręką za plecami i pistoletem wycelowanym w głowę lady Dristow w drugiej.

– Zamknij – wycedziła powoli – gębę.

Chaison Fanning zdawał się powstrzymywać śmiech.

– Reiss, czy te kobiety mają jakąś wartość jako zakładniczki?

– Czy te...? – Ambasador wyglądał, jakby właśnie stracił umiejętność posługiwania się głosem. Pokręcił głową i strzepnął dłonie, potem natychmiast ruszył, by wyjąć resztki wachlarza z palców matrony.

– Później się tym zajmiemy – powiedział Fanning, wzdychając. – Na razie, zaprowadź je na górę. Zbuduj wokół nich fort z książek. Być może zatrzyma to kilka pocisków.

– Coś ty zrobił? – pisnął Reiss.

– Jeśli będziemy zmuszeni skoczyć, te zasłony posłużą nam jako spadochrony – ciągnął admirał. – Nie mam zamiaru zwiedzać miasta z prędkością dwustu kilometrów na godzinę.

– ...jak we śnie – mruknęła Venera. Jej wbite w przestrzeń oczy nagle zrobiły się wielkie.

– Coś ty*zrobił*! – Reiss w końcu dał upust swojej wściekłości, niczym silnik z opóźnionym zapłonem. Wyprostował plecy, przez co wydawał się o cal wyższy, a jego znamię nabrało barwy głębokiej czerwieni. – Od dwudziestu lat lojalnie służę tutaj swojemu krajowi. Ciągle pisywałem listy do Pilota: „Gehellen to naturalny sojusznik Slipstreamu, powinniśmy zacieśnić więzy gospodarcze”, powoli zyskując zaufanie tych ludzi. Doprawdy, zanim tu przybyłem, sądzili, że wszyscy ludzie, do których nie dociera światło Candesce to beznadziejni barbarzyńcy! Dwa lata zajęło mi wyprawienie pierwszego koktajlu. A teraz wy przylatujecie tu ze swoją flotą okrętów uzbrojonych po zęby, wysadzacie dziurę w pałacowym murze i pytacie mnie, czy owdowiała baronowa Cordii będzie dobrym*zakładnikiem*? – W zdenerwowaniu zaczął targać swoje włosy.

Venera zmieniła cel i uniosła brew, patrząc na męża. Fanning wydął usta i przecząco pomachał do niej palcem.

– Ambasadorze, jeśli tylko zacznę podejrzewać, że przywiódł nas tu pan, by uniemożliwić nam ucieczkę, to sam pana zastrzelę – rzekł cicho Fanning. Za jego plecami, Travis prowadził matronę oraz jej wystraszoną przyjaciółkę na żelazne schody do galeryjki.

– Admirale, jestem lojalny wobec Slipstreamu – wściekł się Reiss. – A pan?

– Jeśli nie wykonam swojego zadania, to nie będzie żadnego Slipstreamu – odwarknął Fanning. Te słowa najwyraźniej przemówiły Reissowi do rozsądku. Mężczyzna skrzyżował ręce na piersi i odwrócił się plecami.

– Możliwe, że będziemy musieli skakać – powiedział admirał. Podszedł do połyskliwych okien. – W takim układzie dobrze zaplanujmy naszą trajektorię.

Venera wcisnęła pistolet pod jedwabną szarfę.

– Miałaś mi powiedzieć, jak do tego wszystkiego doszło – powiedziała do Aubri. Powietrze za jej plecami rozbrzmiało odgłosami tłuczonego szkła, gdy ktoś zaczął wybijać szyby w oknach.

Aubri opisała jak śledził ich mężczyzna, który ostatecznie okazał się być jednym z piratów Dentiusa oraz jak spotkali samego pirackiego kapitana. Słysząc to imię, Venera zrobiła wielkie oczy; Hayden zobaczył, że napięła mięśnie szczęki, tuż poniżej blizny.

Nie kryła zawodu, gdy Hayden opowiedział o tym, jak chybił Dentiusa swoim mieczem.

– Musisz się bardziej postarać następnym razem, Griffin!

– Aubri zobaczyła otwarte okno i zanurkowała w jego kierunku – ciągnął dalej. – Gonili nas przez budynek - w pewnej chwili mieliśmy przewagę zaledwie kilku metrów. W całym tym pandemonium na korytarz zaczęli wylewać się mieszkańcy kwatery. Myśleliśmy, że to koniec, ale oni zaczęli rzucać meblami i sztućcami w policję! Narobili dostatecznie dużo zamieszania, by udało się nam wymknąć.

Aubri wzruszyła ramionami.

– Najwyraźniej ci ludzie nie przepadają za swoją władzą.

– Cóż, skoro celowo pozbawia ich ona grawitacji, to dlaczego miałoby być inaczej? – odparła Venera ze wzruszeniem ramion. – Uch, nie podoba mi się obraz, który przede mną malujecie - jak w gnieździe robactwa.

Istotnie, trafne określenie, pomyślał Hayden. Mieszkańcy wyciągali swoje patykowate i zniekształcone kończyny, a potem zaczęli ciskać nocnikami oraz pudłami, aż w końcu zaczęli wiwatować, gdy on wraz Aubri wydostali się przez okno po drugiej stronie budynku.

– Dzięki temu znaleźliśmy się w jamie złożonej z sześciu lub siedmiu budynków połączonych ze sobą; policyjne aerocykle nie były w stanie wlecieć do środka, więc mogliśmy przeskoczyć na sąsiedni budynek i zniknąć na zatłoczonym targowisku. Stamtąd dostaliśmy się do biblioteki i odzyskaliśmy nasz aerocykl.

– Wiedzieliśmy, że przyjęcie miało trwać do późnych godzin – dodała Aubri – a nie mogliśmy wrócić do doków, ponieważ policja uniemożliwiała

podróż w tę stronę.

– A czy chociaż przejrzeliście mapy, tak jak was prosiłam? – spytała Venera. Hayden i Aubri po prostu na nią patrzyli. – Co?

– Niebo pełne jest aerocykli – powiedział oficer, który wystawił głowę przez rozbite okno. Włosy miał zmierzwione, a oczy łzawiły mu od naporu wiatru. – Jeśli skoczymy, z łatwością nas wystrzelają.

– Proszę, musimy negocjować! – Reiss splótł przed sobą dłonie w wyrazie rezygnacji. – Proszę udzielić im informacji, których żądają, admirale, a będziemy mieli szansę na powrót do domu w jednym kawałku.

– Wykluczone! – Fanning wyglądał przez okno. Chwycił mężczyznę stojącego obok i wskazał coś. – Poza tym sądzę, że jest inne wyjście.

Podbiegł do zerwanych zasłon i przykucnął przy nich. Podniósł kilka, po czym zaczął wodzić wzrokiem po meblach.

– Kolory! Potrzebuję odpowiedniej kombinacji kolorów! Oraz kogoś, kto zna perfekcyjnie język semaforowy.

Travis przechylił się przez reling i zamachał.

– Zgłaszam się na ochotnika. O czym pan myśli?

– Widzę stąd kilka naszych okrętów. Doki nie są daleko stąd. Właśnie wyprowadzają z nich ludzi, ale nie wiem, jak wielu z nich już zeszło z pokładu. Musimy przyciągnąć ich uwagę i dać im sygnał. Myślisz, że jesteś w stanie to zrobić?

– Będę potrzebować większej dziury. – Podbiegł do schodów, dobywając pistoletu. Galeria przebiegała obok okien; metodycznie zaczął strzelać w kolejne szyby, obsypując skórzane fotele i zabytkowe stoliki szkłem. Wiatr powstały w wyniku obrotowego ruchu pałacu uderzał o pozostałe krawędzie, wyjąc i sycząc jak jakiś potwór, chcący wedrzeć się do środka.

– Slipstreamowcy! – Głos dobiegał z głównego hallu, zza barykady ze stolików i regałów z książkami, którą oficerowie Fanninga właśnie kończyli układać. – To nie musi skończyć się rozlewem krwi. Wiecie, czego chcemy. Prawnie nam się to należy, podobnie jak Chór Liści. Poddajcie się, a obiecuję, że nie stanie się wam krzywda. Zostaniecie odeskortowani na granicę i uwolnieni, wraz z waszymi okrętami.

– Widzi pan, admirale, to cywilizowani ludzie – wyrzucił z siebie Reiss. – Dotrzymają słowa.

– Cywilizowani ludzie nie zastawiają pułapek na swoich gości – odparł Fanning. – Ale proszę mu powiedzieć, że rozważamy jego ofertę. To ich

spowolni i czymś cię zajmie. – Obrócił się do pozostałych. – Musimy wystrzelić salwę przez to okno. Jej huk musi dotrzeć do statków, więc niech każdy wolny człowiek wystawi pistolet na zewnątrz.

Zaczęli strzelać. Stojący na balkonie nad ich głowami Travis wymachiwał prowizorycznymi flagami, podczas gdy wiatr próbował wyciągnąć go na zewnątrz. W międzyczasie Reiss stał przy zabarykadowanych drzwiach, wyjękując łańcuszek niejednoznacznych obietnic i przeprosin; nawet Fanning nie potrafił ukryć uśmiechu, słysząc jego pokrętny styl negocjacji.

– Tym sposobem jest nam w stanie kupić całą godzinę – skwitował.

– Sir, coś się dzieje w dokach. – Fanning podbiegł znów do okna. – Wszyscy cisza! Słuchajcie. – Travis zamarł w miejscu. Jego włosy powiewały na wietrze. Pomimo ryku wiatru Hayden był w stanie usłyszeć cichy, nieregularny odgłos wystrzałów.

– Ktoś strzela! Wokół statków wybuchło jakieś zamieszanie. Wydaje mi się, że próbują odbić od nabrzeża.

W tym samym momencie owdowiała baronowa Cordii poderwała się na nogi i zawyła:

– To podstęp! Próbują grać na zwłokę, wy durnie. Pozwolicie im uciec.

Venera obróciła się i wystrzeliła. Baronowa upadła na ziemię z krzykiem. W następnej chwili główne wrota zadrżały od wybuchu, który pozrzucał malowidła ze ścian i książki z półek. Ciężkie stoły, z których przygotowano barykadę, przesunęły się o kilka metrów, roztrącając na boki część obrońców w fontannie dymu i drzazg.

Fanning wycelował pistolet i wystrzelił na oślep w chmurę kurzawy.

– Podeprzeć to! – Gehellenowie najpewniej błędnie ocenili ilość prochu potrzebną do wysadzenia barykady, w związku z czym prawdopodobne było, że następnym razem przesadzą. Drzwi miały zostać sforsowane niezależnie od tego, co Slipstreamowcy by zrobili.

– Poruszają się! Okręty się poruszają! – Na te słowa rozległy się głośne wiwaty. Obrońcy drzwi znów stali na nogach i wykorzystywali resztki zapasów amunicji, by uniemożliwić komukolwiek zbliżenie się do barykady, podczas gdy sami wpychali dymiące meble w szczelinę. Jednak było już za późno. Z dymu wyprysnęły kule i ostrza, kładąc trupem dwóch oficerów.

Fanning stał na środkowym stoliku i wskazywał coś sztychem szabli.

– Pociąć te zasłony. Potrzebujemy spadochronów.

Część ludzi zajęta była wybijaniem ostatnich okien na niższym poziomie biblioteki. Wiatr zaczął hulać po wnętrzu, zasysając wszystko – odłamki szkła, złowrogie portrety gehelleńskich szlachciców, furkoczące strony z książek. Obie barykady zostały naszpikowane pociskami, spychając zebranych tam obrońców.

Ktoś krzyknął:

– Zaraz się przedrą!

Niespodziewanie, młodsza z dwóch Gehellenek wskoczyła na balkonową poręcz, wrzeszcząc niezrozumiale i skierowała pistolet w stronę ludzi na dole. Ręka człowieka, który miał jej pilnować, zwisała bezwładnie zza barierki. Kobieta wycelowała broń ponad głową Haydena, po czym nacisnęła spust. Odrzut sprawił, że straciła równowagę. Spadłszy z galeryjki, legła pośród pogruchotanych mebli. Hayden odwrócił głowę w ostatniej chwili, by ujrzeć Travisa chwytającego się za ramię. Mężczyzna postąpił kilka chwiejnych kroków, wprost w objęcia wiatru i został przezeń porwany.

Hayden usłyszał jak ktoś przekrzykuje ryk dmącego powietrza:

– Nadlatuje*Dręczyciel*!

Niemal w tym samym momencie barykady zostały przerwane, a do pomieszczenia zaczęli wlewać się uzbrojeni ludzie. Fanning zeskoczył ze stolika i podbiegł do okien.

– Najpierw młodsi oficerowie. Przygotujcie się i dobrze wymierzcie skok! – Wręczył wielkie płachty podartych zasłon najmłodszym członkom załogi, a następnie pchnął ich w kierunku otwartej przestrzeni. Tylko tyle Hayden zdążył zauważyć zanim stanął twarzą w twarz z uśmiechniętym przeciwnikiem, zmuszony odbić cios wymierzony w jego krtań.

Gehellenowie byli słabi. Haydenowi kilka sekund zajęło dojście do tego wniosku. Uderzając i parując, zdał sobie sprawę z tego, że przewyższał swojego przeciwnika zarówno pod względem siły, jak i szybkości. Podobnie było w przypadku pozostałych toczonych pojedynków. Grawitacja stanowiła tutaj cenny towar, którym wyższe klasy społeczne niechętnie się dzieliły. Ci żołnierze spędzili zbyt mało czasu, ćwicząc w jej warunkach.

Powalił swojego przeciwnika ciosem w żebra i zwrócił się ku następnemu. Na kilka sekund cały świat ograniczył się do naprzemiennych cięć i uników; w końcu ktoś zawołał go po imieniu.

Obejrzawszy się przez ramię, spostrzegł Aubri, która wyciągała dłoń w jego kierunku. Stała tuż przy oknie w towarzystwie kilku innych osób; w drugiej ręce ściskała karmazynowy pas materiału. Hayden z całej siły ciął człowieka, z którym walczył, po czym zanurkował w stronę kobiety. Ta pociągnęła ich oboje przez okno, a w następnej chwili biblioteka, pałac i całe królewskie miasto Gehellenu zaczęło oddalać się od nich z zawrotną prędkością.

Powarkujące aerocykle ciągnęły za sobą przez miasto smugi oparów. Chaison Fanning, skupiony na trzymaniu rogów szkarłatnej zasłony, którą wiatr chciał mu wyrwać z rąk, spodziewał się w każdej chwili zarobić kulkę. Ze względów bezpieczeństwa, tak blisko miasta z reguły ustanawiano strefy pustego powietrza; gdyby tylko udało mu się nie zgubić płachty, mógł wyhamować do rozsądnej prędkości, zanim grzmotnąłby w jakieś okno w nieważkiej części miasta.

Nitowane, żelazne podbrzusze królewskiego koła oddalało się z alarmującą szybkością, ale Chaison nie widział żadnych obłoczków dymu, które sugerowałyby, że ktoś do nich strzela. W istocie nie słyszał niczego poza warkotem aerocykli i świstem wiatru.

Jedna z maszyn cięła powietrze w jego kierunku. *To już koniec*, pomyślał. Jednak gdy baryłkowaty odrzutowiec pokonał ostatnich kilka metrów, by się z nim zrównać, spostrzegł na jego boku herb Slipstreamu. Jego kierowca pochylił się w siodle, wyciągając do niego dłoń.

Chaison puścił rąbek nieposłusznej tkaniny i chwycił podawane ramię. Chwilę mu to zajęło, ale zanim się obejrzał, siedział okrakiem na rozgrzanym, metalowym cylindrze, ściskając maszynę palcami, aż pobielały mu knykcie, w tym samym czasie próbując wcisnąć stopy w strzemiona pasażera.

Gdzie nie spojrzał, aerocykle przechwytywały spadających oficerów. Dzięki kolorowemu strojowi wypatrzył nawet Venerę, która oplotła ramionami swojego wybawcę. W pewnej oddali – pomiędzy aerocyklami a wirującym kształtem miasta – krążyło sześć krążowników.

Poklepał swojego kierowcę w ramię.

– Na *Gawrona*, jeśli można.

– Tak jest, sir. – Mężczyzna pochylił się w siodle i dodał gazu. – Piękny paradny mundur, jeśli mogę zauważyć.

– To jedna z tych rzeczy, które dają wraz z awansem na admirała – krzyknął Chaison ponad hukiem wiatru.

– Tak? A co jeszcze się z tego ma?

– Bóle głowy!

Mając kilka wolnych sekund, Chaison ocenił sytuację taktyczną. Tuż za statkami Slipstreamu, czaiła się cała flota aerocykli, kutrów i łodzi szturmowych. Z portu marynarki wojennej odbijał właśnie przynajmniej tuzin okrętów liniowych. Jednak jak dotąd nikt nie odważył się wystrzelić.

– Boją się, że wysadzimy ich miasto – powiedział. Istotnie, furty rakietowe Slipstreamowców zostały otwarte, a wyrzutnie wycelowane - część z nich prosto w pałac.

Chaison nie mógł ukryć uśmiechu.

Aerocyklista wysadził go w dobrze znajomym hangarze; członkowie ekipy hangarowej pomagający mu wejść do środka, gapili się na niego, jakby właśnie powrócił z martwych.

– Starsi oficerowie mają się zameldować na mostku, gdy tylko wrócą – rozkazał. – Przygotować się do odlotu.

Jednak nie wszyscy trafili z powrotem na pokład. Jeśli starcie w dokach przebiegało tak jak na to wyglądało, spora grupa Slipstreamowców mogła zostać w tyle, po tym jak ich okręty odlecą. To stawiało Chaisona przed trudną decyzją, którą rozważał, zamierzając w stronę mostka.

– Admirał na pokładzie! – Zignorował radosne okrzyki swoich podwładnych i przypiął się do fotela dowodzenia. Siedział w ten sposób, rozglądając się gniewnie, podczas gdy na mostek przybywali kolejni ranni, ale też nabuzowani adrenaliną oficerowie, śmiejąc się, pokrzykując i padając sobie w objęcia. Ku jego zaskoczeniu, Travis znalazł się pośród nich, blady i cierpiący z powodu rany na ramieniu, ale poza tym w jednym kawałku.

Za nimi wpadł do środka ambasador Reiss, który wydawał się być w szoku.

– Słuchajcie! – Chaison uderzył w poręcz fotela, by zwrócić uwagę wszystkich. – Mamy jedną minutę, by podjąć ważną decyzję. Wciąż mamy wybór. Rozumiem, że część naszych ludzi została w dokach albo mogła zostać rozproszona po całym mieście, jeśli w porę nie odłowiły ich aerocykle. Możemy odbić ich wszystkich, jeśli postawimy się tu i teraz, grożąc wysadzeniem królewskiego pałacu Gehellenów.

Zyskał sobie ich uwagę.

– Przy odrobinie szczęścia i sprawnych negocjacjach, otrzymamy eskortę do granicy i uciekniemy z tego gniazda zdrajców. Ale w trakcie całego tego

gadania oraz grożenia sobie, Gehellenowie dostaną mnóstwo czasu, by rozstawić swoje okręty. Będziemy musieli porzucić nadzieję na dotarcie do Chóru Liści.

– Ale to będzie oznaczało, że wygrali! – zawył młodszy oficer.

– Ale odzyskamy naszych ludzi.

Wszyscy popatrzyli po sobie z niezadowoleniem.

– Z drugiej strony – ciągnął Chaison – jeśli porzucimy maruderów, możemy ustawić kurs na Chór. Gehellenowie na pewną ruszą w pościg i będziemy musieli walczyć, ale z pełną prędkością mamy szansę dotrzeć do sargassa w ciągu godziny lub dwóch. Potem będziemy mogli skryć się w środku... i doprowadzić naszą misję do końca.

Ktoś otworzył drzwi i do środka weszła Aubri Mahallan. Podczas upadku jej szarawary wydęły się i podarły. Włosy miała w nieładzie, a oczy zaczerwienione – jednak wyglądała na spokojną, podając Chaisonowi skórzaną teczkę.

– To najbardziej prawdopodobna lokalizacja skarbu, na podstawie map znalezionych w bibliotece – powiedziała.

Wszystkie oczy spoczęły na admirale, który otworzył teczkę. Mężczyzna zauważył to i uśmiechnął się nieznacznie.

– Wygląda na to, że wszyscy wiemy, co robić – rzekł. – Być może później uda nam się odzyskać naszych ludzi, oddając Gehellenom część skarbu. Zgadzacie się oddać dziesiątą część swojego przydziału na ten cel?

– Tak! – krzyknęli wszyscy. To jest, wszyscy poza Richardem Reissem, który jedynie zwiesił głowę.

– Dobrze – odparł usatysfakcjonowany Chaison. – Złóżcie tę samą ofertę całej załodze i wyruszajmy! Cała naprzód, używać rakiet do wysadzania przeszkód. Przygotujcie się na wyścig do sargassa!

Na tak małej przestrzeni, wiwaty były wprost ogłuszające.

Hayden ściskał uchwyt obok iluminatora, gapiąc się w mrok. Światło Candesce słabło, w miarę jak *Gawron* i jego siostrzane okręty mijały ostatnie, zawieszone w przestrzeni wieżyce miasta. Różowawe niebo ciągnęło się w nieskończoność, a jego idealną symetrię zaburzały jedynie rozbłyski sztucznych źródeł światła z domostw oraz miasteczek. Przestrzeń tutaj gęsta była od linowych autostrad, boi nawigacyjnych, wielu rozproszonych farm oraz stad ryb i ptaków. Okręty nie zwalniały przed

żadnym z tych niebezpieczeństw; a nawet, przyspieszały pomimo ciemniejącego blasku, ryzykując fatalną w skutkach kolizję z kamieniem, bańką wody lub drzewem. Na ogonie siedziała im cała marynarka wojenna Gehellenu, posuwając się naprzód z niemal identyczną jak oni brawurą.

W oddali, częściowo przysłonięta wieczornym półmrokiem, ogromna, czarna plama zajmowała dobre trzydzieści stopni horyzontu. Sargasso Chóru Liści pochłaniało całe światło, jakie na nie padało, rzucając niebieskawy cień na setki mil otwartej przestrzeni. O ten szczególny kawałek zimy wywołany cieniem sargassa toczono pomniejsze wojenki; niewielka część księstewek Candesce była za wprowadzeniem w życie pomysłu pchnięcia Chóru Liści w kierunku centralnego słońca na ostatecznie spalenie. Większość była jednak przerażona myślą o przesłonięcia Słońca Słońc taką ilością popiołów, przewidując srogie konsekwencje takiego czynu, włączając w to długotrwałą ciemność oraz fontanny strawionych w ogniu pozostałości wyrzucanych przez słońce. Kłótnie na temat tego, co zrobić z Chórem, ciągnęły się od wieków.

Nikt nigdy nie zasugerował, by posłać Chór w zupełnie przeciwnym kierunku, w stronę zewnętrznych przestrzeni zimy. Pozbycie się sargassa na rzecz barbarzyńców byłoby skalaniem pamięci o jednej z najwspanialszych nacji Candesce.

Pomimo najlepszych chęci Chaisona Fanninga, korpus ekspedycyjny nie miał szans na dotarcie do Chóru w ciągu dwóch godzin. Spowalniała ich panująca ciemność oraz gęsto zaludniona przestrzeń, przez co musieli obierać okrężne trasy i wykonywać nieprzewidziane manewry. Od strony rufy zaczęły pojawiać się rakiety, zaledwie czerwone smugi przelatujące obok w upiornej ciszy. Za kilka sekund ich eksplozje mogły targnąć *Gawronem*; lecz mimo to nikt nie odczuwał strachu. Hayden przez dłuższy czas wyglądał przez okno, aż w końcu przysnął, śniąc zawiłe półsny o Aerie, swoich rodzicach oraz zniszczeniu ich niedokończonego słońca.

Obrazy te wciąż tkwiły w jego głowie, nawet gdy przebudził się, potrząśnięty przez kogoś.

– Zbrojmistrzyni cię potrzebuje – powiedział członek załogi. Hayden mruknął coś w podzięce, po czym odepchnął się od iluminatora. Silniki wciąż dudniły, czyli jeszcze ich nie dorwali. Nie sposób było jednak określić, gdzie się znajdowali, ani jak długo będzie jeszcze trwał pościg.

Sunąc przez statek, widział mężczyzn plombujących bulaje i wypełniających szczeliny gumowatą smołą. Inni montowali zbiorniki z wodą utlenioną przy silnikach, a następnie sprawdzali rury dopływowe powietrza, szykując statek do podróży we wnętrzu sargassa. Rzadko słychać było rozmowy, raczej zewsząd dochodziły przytłumione jęki towarzyszące podejmowanemu wysiłkowi.

W pewnym sensie przynosiło to ukojenie. Hayden nawet nie zauważył, kiedy zaczął myśleć o *Gawronie* jak o domu – ale nie stanowiło to dlań zaskoczenia. Już od wielu lat nie miał miejsca, które mógłby nazwać domem; najróżniejsze zapluskwione mieszkania i kawalerskie nory, w których zwykł sypiać, nie mogły się liczyć. Od tak dawna była sam, że zapomniał, co to znaczy być pośród przyjaciół. Lecz atmosfera na *Gawronie* przypominała mu Gavin Town. I oto, jak na ironię, był to statek wroga.

Minął Martora, który spał przywiązany do belki tuż za hangarem. Chłopak wyglądał młodziej niż te swoje piętnaście lat. Kilka godzin wcześniej opowiedział Haydenowi o walce, jaka rozgorzała w dokach Gehellenów. Miejscowi zaczęli wyprowadzać członków załogi po wąskim, metalowym rusztowaniu, czy też raczej klatce, na zewnątrz której wisieli w powietrzu żołnierze. To byłaby jatka, gdyby wszyscy znaleźli się w środku, kiedy od strony pałacu doszły ich odgłosy wystrzałów. Na szczęście pozostała część załogi była w stanie obsadzić stanowiska rakietowe i odstrzelić żołnierzy próbujących odpiąć klatkę, a następnie odholować ją do najbliższego bunkra. W powietrzu zaroiło się od ludzi. Wybuchła zacięta walka. Martor opisywał wszystko na swój sposób, wymachując rękami i imitując walczących. Ale nie wkładał w to całego serca; znał ludzi, którzy zginęli w czasie walk. Wydawał się powoli zdawać sobie sprawę z tego, co tak naprawdę oznaczała śmierć.

Hayden odwrócił się plecami do chłopaka, kręcąc głową. Nie, ci ludzie nie byli jego wrogami, niezależnie od tego, co ich nacja uczyniła jego ludowi. Aerie zasługiwało na wolność, a Slipstream był księstwem, które należało obalić. Ale mieszkańcy Slipstreamu oraz obywatele Aerie zasługiwali na równy szacunek i uwagę. Byli przecież tylko ludźmi, nawet ci lojalni Slipstreamowi marynarze, których uważał teraz za przyjaciół.

Musi istnieć sposób, dumał , *by oddzielić sprawy polityczne od osobistych*. Jego zgorzknienie z ostatnich lat coraz bardziej wydawało się

brać stąd, że nie wierzył, by było to możliwe.

Po drodze minął kolejną osobę: zrozpaczoną postać Richarda Reissa skulonego obok iluminatora, przez który obserwował niebo, opłakując nagle utracone życie pełne luksusów i prestiżu.

Hayden zapukał w drzwi pudełkowatego warsztatu Aubri Mahallan. Drewniana płyta uchyliła się ze skrzypnięciem, a potem otworzyła się szerzej, wpuszczając do środka snop światła latarni. Gdy przecisnął się do środka, ciemna sylwetka Aubri zamknęła za nim drzwi.

A potem je zatrzasnęła.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – Wyciągnął rękę. Jakimś sposobem kobieta znalazła się bliżej niż myślał, przez co jego palce musnęły jej gołe ramię i osunęły się lekko niżej...

Zaczął cofać dłoń, ale Aubri przytrzymała ją, pozwalając, by tym razem dotknął gładkiej skóry poniżej jej szyi.

– Cały czas byłeś z nami – wymruczała. – Pomyślałam, że zasłużyłeś sobie na nagrodę.

Za przyzwoleniem jej palców zaciśniętych na jego nadgarstkach, opuszkami ześlizgnął się w dół po satynowej stromiźnie piersi. Prostym ruchem Aubri owinęła swoje nogi wokół jego bioder i przyciągnęła go do siebie. Chłopak przesunął drugą dłoń na jej biodro, czując żar bijący od skóry.

– Teraz musimy być bardzo, bardzo cicho – szepnęła. – W przeciwnym razie przez najbliższe dni będziemy na ustach całego statku.

– Eee – wyjąkał; lecz już po chwili ona przylgnęła do niego ustami, oszczędzając mu trudu znalezienia jakiejś ciętej riposty.

Oświetleni przez dymiące, elektryczne pochodnie mężczyźni przywiązani zostali do wrót hangarów, skąd machali flagami w kierunku sylwetek swoich siostrzanych okrętów. Flagi łopotały i furkotały na silnym przeciwnym wietrze, ale wiadomości przekazywane przez rwące powietrze były jasne i klarowne. Zaszyfrowane raporty, stany magazynowe, aktualizacje map, wszystkie te informacje bez przerwy przepływały pomiędzy jednostkami ekspedycji, w ustalonym porządku i pod stałym nadzorem...

Dopóki jedna z wiadomości przekazanych na *Gawrona* nie sprawiła, że nadzorujący oficer nie zaklął pod nosem. Niechętnie wysłał Martora, by ten przywołał admirała.

Hayden Griffin dryfował w objęciach Aubri Mahallan, zanurzony w ponadczasowej przyjemności, gdy okręt zadrżał od jakiejś kolizji. Oboje natychmiast się przebudzili. Po chwili nastąpiło kolejne szarpnięcie, a po nim rozległ się odgłos kadłuba trącego o kadłub. Hayden usłyszał krzyki.

Aubri zrobiła wielkie oczy.

– To abordaż!

Hayden pokręcił głową.

– Nie słychać strzałów. Ale na pewno coś się dzieje. – Pospiesznie narzucili na siebie ubrania. – Zostań tutaj. To mimo wszystko mogą być Gehellenowie.

Kobieta zadrżała.

– Jeśli naprawdę zostaliśmy zaatakowani, to tym razem zamierzam wyskoczyć przez okno.

Otworzył drzwi i chwilę później zamknął je za sobą. Tuż po wyjściu wpadł na Martora.

– Chodź! – krzyknął chłopak. – Przyjmujemy nowych pasażerów – powiedział i skoczył z powrotem w stronę hangaru.

Gawron oraz *Niewidzialna Dłoń* zostały związane ze sobą, hangar w hangar. Oba okręty wierzgały, mocując się z linami i wiatrem wyjącym w przestrzeni pomiędzy nimi. Marynarze przeskakiwali z jednego pokładu na drugi, nosząc pudła oraz pociski rakietowe. Nowy bosman *Gawrona*, cały czerwony i spocony na twarzy, krzyczał, wskazując skrzynie oraz śpiwory, które obijały się o siebie, zostawione luzem w powietrzu.

– Co się tu dzieje? – spytał Hayden jednego z marynarzy z *Niewidzialnej Dłoni*. Mężczyzna wykrzywił usta i pomachał w kierunku swojego okrętu.

– System podawania tlenu jest uszkodzony. Udusimy się, jeśli wprowadzimy *Dłoń* do środka. Admirał nakazał przenieść wszystko na pokład *Gawrona*, zostawiając tam tylko szczątkową załogę. Przy mniejszej ilości oddychających, może im się udać. – Powiódł spojrzeniem po zatłoczonym wnętrzu *Gawrona*. – Gdzie mogę przypiąć swój śpiwór?

– Martor, zajmij się nim – powiedział Hayden. Podleciał do drzwi hangaru, mając zamiar pomóc w przenoszeniu załogi. Spojrzawszy w szczelinę pomiędzy okrętami, przestraszył się, widząc przed nimi jedynie czarną, ziejącą pustkę. – Gdzie my jesteśmy?

– Trudno powiedzieć – odparł jeden z pracowników hangaru. – Gadają, że jest zbyt ciemno, żeby coś zobaczyć, a nie znamy położenia lokalnych

punktów nawigacyjnych. Sargasso może być dziesięć mil stąd, a może zaraz wpadniemy na nie z pełną prędkością.

Hayden spędził kilka kolejnych minut, przeskakując pomiędzy pokładami i nosząc zapasy – skrzynie z pożywieniem, zwoje liny oraz bele materiału do żagli hamujących. Odwiązywał właśnie beczułkę wody utlenionej w tylnej części *Dłoni*, gdy dochodzące z ładowni krzyki przybrały histeryczny wydźwięk.

– Odbijaj! Odbijaj! Po prostu tnij!

Hayden wypuścił baryłkę z rąk i wyskoczył na poziom hangaru *Dłoni*. Członkowie załogi rozpaczliwie cięli liny łączące oba okręty. Otworzył usta, by spytać, w czym może pomóc, ale jego słowa utonęły w huku rogów kolizyjnych, które rozbrzmiały na obu pokładach.

– Przygotować się na uderzenie! – krzyknął ktoś.

Przez wąską szczelinę pomiędzy oboma statkami prześliznęło się coś, co przypominało ogromną, czarną łapę. Jeden z marynarzy, który właśnie pokonywał przerwę, nagle zniknął. W tej samej chwili statkami zakołysało, a przez pokład *Dłoni* przeszła seria suchych trzasków.

– Ugrzęźliśmy w drzewach! – I tak oto dotarli do Chóru Liści; koniec końców nawigatorzy źle ocenili odległość. Kolejne łupnięcia i trzaski oznajmiły o uderzeniu w zwęglone konary dawnego lasu. *Dłoń* zaczęła zwalniać.

Przerwa pomiędzy statkami gwałtownie rosła. Hayden zdał sobie sprawę z tego, że kurczowo ściska belkę na pokładzie okrętu, na którym nie było sprawnych podajników tlenu. Wszyscy, których znał, zostali na *Gawronie*, wliczając w to Aubri. Za kilka sekund mieli zostać rozdzieleni. Mógł jej już nigdy więcej nie zobaczyć.

Zrobił fikołka i zaparł się stopami o belkę. Podniósłszy wzrok, dostrzegł świetlisty kwadrat, będący otwartym hangarem *Gawrona*. Tłoczyli się tam ludzie, ale tylko jeden spoglądał w jego stronę. Carrier.

Ich spojrzenia na chwilę się spotkały. Hayden widział, że sługa Venery waha się – jedynie przez chwilę – i wyciąga dłoń.

Chłopak skoczył. Przez sekundę ciął wzburzone powietrze, otoczony poczerniałymi konarami, atakowany odorem węgla. W następnej chwili Carrier chwycił go za nadgarstek i wciągnął na pokład *Gawrona*. Członkowie ekipy hangarowej zaczęli wiwatować.

Carrier rozluźnił chwyt i odszedł. Bosman pchnął Haydena w kierunku wewnętrznych wrót hangaru, krzycząc przy tym:

– Zamknąć luk! Uszczelnić smołą! Przygotować się do lotu w sargassie.

Gdy zaczęto zamykać wrota, Hayden spojrzał przez ramię. Carrier zniknął. Przez zamykany luk wciąż jeszcze widać było światła *Niewidzialnej Dłoni* błyszczące pośród plątaniny smagających ją konarów. Chwilę później *Dłoń* wykonała zwrot, a jej światła zamigotały i zgasły; właz zamknięto na głucho. Ekipa hangarowa natychmiast przystąpiła do jego uszczelniania.

Dotarli do Chóru Liści.

Większość gehelleńskich jednostek cofnęła się, by z frustracją krążyć wokół czarnego lasu, jednak kilka okrętów przystosowanych do działań sargassowych kontynuowało pościg. Zwolnienie tempa oznaczało narażanie *Gawrona* na ryzyko – ale równie niebezpieczna była podróż z pełną szybkością. Zbieracze węgla drzewnego od wieków eksploatowali zewnętrzne pokłady Chóru Liści, przez co teraz w większości składały się na nie długie, zaostrzone pnie oraz sterczące gałęzie, które wiły się w powietrzu, czasami nawet na kilkaset stóp. Przy uderzeniu z dużą prędkością, ich czubki były w stanie przebić kadłub nawet ciężko opancerzonego okrętu.

Każde drzewo pierwotnie posiadało własną grudę asteroidalnej gleby. Rozrastając się, zaczęły owijać konary wokół siebie nawzajem, niczym pływacy chwytający się towarzyszy. Nie mając poczucia góry lub dołu, drzewa obrały sobie za cel Candesce oraz miejscowe słońca, wyciągając przez puste powietrze nitkowate łodygi i gałęzie, a następnie roztaczając wokół siebie siateczkę liści gotowych pochwycić drobiny światła i wilgoci. Stopniowo utworzyły ogromną, rozprzestrzenioną masę, która dyktowała własną pogodę, asymilowała dryfujący pył oraz kamienie i chciwie połykała pokłady dwutlenku węgla, a także dymu z manufaktur umieszczonych w jej wnętrzu. Z giętkich gałęzi ludzie utkali misterne budowle, miasta z żyjącej zieleni, które ciągnęły się całymi milami bez przerwy – jedna komnata przechodząca w następną, piękną, oddychającą komnatę. Pokolenia ogrodników dbały o nadrzewne domostwa, dodając kwiaty i liany. Centralne przestrzenie zajmowały otoczone tysiącami delikatnych listków, ogromne kule oraz pręty wody, w których pluskały się

ryby i ludzie. Ludność Chóru Liści z wprawą utworzyła z wody ogromne lustra – zwyczajnie rozciągając sieci i mocząc je dopóki krople wody z sąsiednich sznurów nie połączyły się w jedną powierzchnię – i używali ich do przesyłania światła Candesce oraz swoich dwóch własnych słońc w głąb lasu.

Wszystko to spłonęło. Wszystko okryła czerń i ciemność, a powietrze zastąpił zastały dym, który nigdy nie opadł, a jedynie wirował w bezkresnym tańcu żałobnym.

Pokładowych nawigatorów wkrótce przytłoczył ciężar odnajdywania drogi przez ten gigantyczny, labiryntowy grobowiec. Całe godziny spędzali, gapiąc się na przesuwające się linie czerni oświetlonej jedynie lampami czołowymi statku. Blask wyławiał z mroku dziwne przedmioty: framugi okien, poczerniałe buty, łyżki, kolumienki z łóżek. Ludzie zaczynali przysięgać, że widzieli postacie wołające do nich z ciemności, zza konarów.

Gehellenowie zaś cały czas deptali im po piętach.

Chaison Fanning zamknął się w pomieszczeniu nawigacyjnym wraz z Griddem i Aubri Mahallan. Porównywali fotografie bezkresnych przestrzeni oraz odległych, rozgałęzionych szkarp drzew z mapami znalezionymi przez Aubri w bibliotece. Drogocenna mapa skarbu ze stacji turystycznej czekała w szklanej gablotce pod stolikiem nawigacyjnym.

– Wszystko rozbija się o zlokalizowanie miasta Carlinth – powtarzał ciągle Gridde. – Jeśli znajdziemy miasto, to znajdziemy też resztę drogi. Jeśli nie...

Docierały do nich raporty o nagle mdlejących członkach załogi. Jeśli powietrze nie znajdowało się w ruchu, dwutlenek węgla, czad i dym z zewnątrz gromadziły się w pojedynczych miejscach. Można było nieświadomie wejść w niewidzialną chmurę śmierci i zwyczajnie stracić przytomność. Zupełnie, jakby na statku grasował jakiś niewidoczny potwór. Każdy uważał na każdego; nikt nie spał, chyba że jego twarz znajdowała się w pobliżu wiatraka.

Pomimo grożącego niebezpieczeństwa, niektórzy zaczęli obserwować świat przez iluminatory. Hayden był jednym z nich. Nie miał teraz żadnych obowiązków, ponieważ bez obecności powietrza aerocykle były bezużyteczne. Pragnął przebywać z Aubri, lecz ona zajęta była przeglądaniem map. Czuł się potrzebny jedynie wtedy, gdy udawało mu się zachować jakieś poczucie tego, gdzie się znajdują.

Oczywiście, słyszał wcześniej o sargassach. Powstawały wszędzie tam, gdzie lasy stawały się zbyt wielkie i dochodziło do pożaru. Zazwyczaj jednak sargassa nie utrzymywały się zbyt długo. Wiatr przeganiał dym. Poczerniałe plątaniny konarów pękały albo rozbierano je na kawałki i wszystko wracało do normy. Trudno było sobie wyobrazić, by las stał się tak ogromny, że powstałego w ten sposób sargassa nie dało się uleczyć. *Gawron* z buczeniem przelatywał obok kredowobiałych domów z kamienia i poczerniałych kół miast, które obecnie zamieszkiwały jedynie duchy i Hayden zdał sobie sprawę, że w mroku pogrzebana jest cała cywilizacja.

W liniach i splotach drzew dało się dostrzec ślady tego, że Chór Liści był kiedyś wielkim królestwem w ogromnej bańce utworzonej z kolei z mniejszych baniek, fraktalną przestrzenią o żyjących ścianach. Czasami skala przyprawiała o zawrót głowy. Komnaty o średnicy wielu mil i łuki utworzone ze ścian budynków – domy przypominały cegły, wieżyce były kolumnami, całe miasto stanowiło budulec. Było wręcz uspokajające, że nie dało się zobaczyć tego wszystkiego w pełnej okazałości; majestatyczność w parze z poczuciem straty, które to odczucia musiały temu towarzyszyć, trudno byłoby znieść.

Czasami mogło się wydawać, że *Gawron* znalazł się na innym poziomie rzeczywistości. Dom, przyjaciele, codzienne sprawy przestały istnieć. Wszystko to zastąpiły pompy do oddychania oraz odległy ryk silników. Twarze załogi były jedynie częściowo oświetlone lub też zupełnie niewidoczne, gdy zaledwie sylwetki postaci poruszały się pomiędzy aktywnymi stacjami roboczymi okrętu. I może to właśnie ta niezwykłość doprowadziła do tego, że członkowie załogi *Dręczyciela* na chwilę stracili czujność.

Hayden nie widział samego pocisku. *Dręczyciel* znajdował się poza zasięgiem jego wzroku, gdzieś po drugiej stronie *Gawrona*. Zobaczył jednak szereg odległych okien, do tej pory ciemnych, które rozbłysły jaskrawą czerwienią jedno po drugim – błyskawiczny przeskok od prawej do lewej – a chwilę później wybuch białego światła przyniósł upiornej sieci martwych konarów brutalny koniec.

Po chwili rozległ się huk.

Pozorny spokój zburzyły krzyki, wycie syren alarmowych oraz rozpaczliwa krzątanina. Iluminator niespodziewanie oddalił się od Haydena, w miarę jak *Gawron* zaczął wirować.

– Wyłączyć światła pozycyjne! – wrzeszczał bosman. – Zgasić lampę czołową!

– Co wy robicie? – stanowczym tonem spytał jeden z członków załogi *Niewidzialnej Dłoni*, z którym Hayden zamienił wcześniej kilka słów. – Nie zostajemy, by walczyć?

Bosman pokręcił głową.

– Rozkazy admirała. Pozostali odciągną wrogie jednostki, a my będziemy kontynuować poszukiwania skarbu. Nie martw się. Wszystko sobie zaplanował.

– Pogrywa sobie naszym życiem – mruknął załogant.

– Ostrożność może nas tutaj zabić – odparował bosman.

Przez dłuższy czas przez kadłub przebijały się odgłosy huków i grzmotów, ale światła bitwy szybko zgasły za rufą, aż w końcu nieustępliwa cisza Chóru Liści ponownie zawładnęła okrętem; tym razem było jeszcze gorzej, o ile w ogóle mogło być gorzej, ponieważ *Gawron* posuwał się naprzód bardzo powoli. Nawigator oraz pilot siedzieli na mostku z nosami przy iluminatorach, wpatrując się w ciemność aż zaczęły im łzawić oczy. Sporadyczne uderzenia o poszycie i ostre trzaski łamanych gałęzi świadczyły o ich pomyłkach. W takich przypadkach okręt drżał i zwalniał, a ekipy pożarowe biegały po całym pokładzie, szukając pękniętych złączeń, szczelin albo dziur – czegokolwiek, co mogłoby wpuścić do środka śmiertelną mieszankę gazów, która uchodziła w tym miejscu za powietrze. Minęły pełne dwie godziny zanim admirał pozwolił ponownie zapalić lampę czołową *Gawrona*.

Do tego czasu Hayden miał już pewność, że się zgubili.

Widok tyłu głowy Gridde’a zaczynał być dla Chaisona Fanninga nieprzyjemnie znajomy. Staruszek przykleił się do peryskopu w pomieszczeniu nawigacyjnym i nie poruszył się od dziesięciu minut; Chaison zaczął podejrzewać, że zasnął. Gdyby tylko on sam mógł uczynić coś podobnego.

Musiał przyznać, że była to forma ucieczki. Przebywanie na mostku kosztowałoby go teraz zbyt wiele nerwów. Koniec końców, powodzenie całej misji – a może i istnienie samego Slipstreamu – zależało od wydarzeń, które miały przynieść nadchodzące dni. Chociaż zdał sobie sprawę, że to nie powaga sytuacji sprawiała, że miał nerwy jak postronki. Stoczył już

kilka bitew, by tu dotrzeć i żadna z nich nie wpłynęła na niego tak, jak to nieznośne oczekiwanie. Nie, tak naprawdę dręczyła go myśl o tym, że mógł wyjść na durnia. Istniało wielkie prawdopodobieństwo, że piracki skarb nie istniał; sama ta nazwa wydawała się być oksymoronem, gdyż piraci byli wyrzutkami, najbiedniejszymi z biednych.

Gdyby okazało się, że zawiódł zaufanie swoich ludzi, wciągając ich w niebezpieczną misję na drugim końcu świata, to postanowił, że dobrowolnie wyskoczy z rufy statku bez hełmu tlenowego, a Chór Liści stanie się jego grobowcem. Mógł też zwyczajnie poddać się furii swoich ludzi. W tym momencie nie miało to znaczenia.

– Jest!

Czyli Gridde jednak nie spał. Staruszek nic więcej nie powiedział, dopóki Chaison nie położył mu ręki na ramieniu i nie zapytał:

– Co jest, człowieku? Co tam widzisz?

– Miasto – szepnął stary aerograf. – Wymarłe, jak w zapomnianej legendzie. Tutaj ma swój początek mapa pańskiej żony. Stąd mogę nas poprowadzić.

Chaison podszedł do jednego z iluminatorów, by wyjrzeć na zewnątrz. Przez kilka ostatnich godzin za bulajami *Gawrona*, poszukującego naturalnych punktów orientacyjnych w przepastnej, centralnej jamie Chóru, nie było nic poza nieprzeniknioną ciemnością. Dawno temu przestrzeń tę rozświetlały dwa słońca, ale teraz zmalała ona tak, że średnicą nie przekraczała piętnastu mil. Miasta, farmy i pałace unosiły się w jasnym powietrzu. Teraz, każdy ogień natychmiast dusił nieustannie dryfujący dym.

Admirał niecierpliwie doskoczył do tuby głosowej i powiedział:

– Wypuścić flary we wszystkich sześciu kierunkach. Białe, beztlenowe. – Czekał w napięciu przy iluminatorze na pojawienie się świateł.

Z zastygniętych kłębów dymu i zastanego powietrza zaczął wyłaniać się upiorny obrazek: sylwetka białego jak kość miasta, którego łuki ginęły pośród smoliście czarnych cieni.

Oto Carlinth, drugie co do wielkości miasto Chóru Liści. Patrząc, Chaison zdał sobie sprawę z tego, że spogląda na jedną z legendarnych form architektonicznych księstw Candesce. Miasto przypominało przekładnię.

Sześć kół Carlinth otaczało siódme, niczym płatki kwiatu. Ich krawędzie stykały się, zaś pozostający w ich cieniu skomplikowany system rusztowań wskazywał na stałe połączenie między nimi. Gdy się obracały, czyniły to

synchronicznie. Można było przejść z jednego koła na krawędź drugiego – bez użycia kolejek linowych.

Każde koło było dwa razy większe niż jakiekolwiek miasto Rushu. Wszędzie wznosiły się rezydencje oraz minarety, natomiast w otaczającym je mroku unosiły się kolejne dziesiątki dryfujących budynków. Wszystko to wyglądało jednak nierealnie, niczym dziecięca zabawka z kości słoniowej, gdyż całej scenie brakowało baw. Przedmioty i budynki łączył najczystszy odcień bieli.

Gridde syknął, spoglądając przez peryskop.

– To popiół, sir. Gęsty jak dym, a gdy się uleży, przypomina farbę. Całe to miejsce jest nim pokryte.

Całun, pomyślał Chaison, czując dreszcz.

– Ale widzę drogę – ciągnął mistrz nawigacji. Uniósł długą, przypominającą konar mapę, którą Venera zabrała ze stacji turystycznej. – Mogę nas dalej poprowadzić.

Węzeł w żołądku Chaisona poluźnił się odrobinę.

Gawron bezgłośnie przemknął obok wymarłych kół miasta. Tuż przed zgaśnięciem flar, admirał zauważył przebłyski wyblakniętych plam na nieruchomych budowlach; miejsca, skąd zabrano jakieś przedmioty, wyważono drzwi, wybito okna. Ktoś przybył tu, by ograbić dawno zapomniane miasto, ale najwyraźniej nie miał zbyt wielu ludzi do tej roboty i nie zabawił tu długo.

Czyżby przepędziły ich duchy? Odgłosy szurania w ciemności, zauważone kątem oka poruszenie na ulicach, które kiedyś pełne były ludzi? A może ta przytłaczająca i nieustająca cisza, która sprawiła, że ludzie zaczynali rozmawiać szeptem albo w ogóle nic nie mówili? Uciekli, porzucając swoje ambicje wzbogacenia się kosztem umarłych; jak niepyszni, zaniepokojeni pierzchli z Chóru Liści, by nigdy do niego nie powrócić?

Carlinth umieszczono na wierzchołku czteromilowego cypla z listowia. Gdy snop z lampy czołowej *Gawrona* omiótł spłowiałą plątaninę stało się jasne, że ogień nie dotarł do miasta. Być może jakimś cudem mieszkańcom Carlinth udało się odeprzeć płomienie; ale nawet jeśli, to tylko odwlekli swój wyrok do czasu, gdy powietrze wypełniło się dymem atakującym ich z wszystkich stron, przesączającym się pod drzwiami i wciskającym przez

szczeliny, aż w końcu musieli mu ulec. Mógł sobie jedynie wyobrażać te dramatyczne sceny, których ślady odcisnęły swe piętno w całym mieście.

Niewypalony las przypominał porcelanowy filigran pełen najdrobniejszych szczegółów; Chaison był już bardzo zmęczony i z chęcią powierzył nawigację Gridde'owi. Wrócił do swojej malutkiej kajuty na wirówce *Gawrona*, gdzie zastał chrapiącą Venerę leżącą w poprzek łóżka. Gdy spróbował ją przesunąć, obudziła się, uśmiechnęła rozbrajająco i przyciągnęła do siebie. Kochali się namiętnie i żarliwie; wszystkie słowa, które padły za dnia zupełnie znikały w chwilach takich jak ta. Potwierdzali swoją lojalność względem siebie poprzez troskę i pocałunki, słowa nie były tu potrzebne.

Gdy się obudził, wydawało mu się, jakby czas zatrzymał się w miejscu. Venera spała. Przynajmniej założył, że był to sen, ale na wszelki wypadek sprawdził jej puls. Nigdy nie można było być pewnym przy tych wszystkich niebezpiecznych gazach, które krążyły wokół.

Pomieszczenie nawigacyjne cuchnęło niemytym starcem, a Gridde wyglądał, jakby był śmiertelnie chory, jednak wciąż trwał na swoim posterunku.

– Prawie dotarliśmy – odparł zachrypniętym głosem. W prawej ręce ściskał końcówkę tuby głosowej, a spojrzenie co chwilę przenosił z gałęziastej mapy na peryskop i z powrotem. Gdy Chaison zobaczył jego zapadnięte oczy, ujrzał w nich niesamowitą zaciętość.

– Mapa działa? – Admirał nie potrafił ukryć zaskoczenia w głosie.

Gridde roześmiał się, charcząc jak woda w starych rurach.

– Idź na mostek, chłopcze. Nie możemy być dalej jak pół godziny drogi od celu.

Chaison wyszczerzył zęby. Istotnie czuł się jak chłopiec; nie odpowiadający przed nikim poza sobą samym. Czuł głód – należało zażądać posiłku. Powstrzymał chęć roześmiania się głośno. *To naprawdę zadziałało!*

Wychodząc z pomieszczenia nawigacyjnego, wyjrzał przez iluminator i wydał z siebie stłumiony krzyk.

Świat na zewnątrz *Gawrona* znów nabrał kolorów.

Tutaj las nie uległ płomieniom. Zduszone i pogrążone w ciemności drzewa same obumarły. Możliwe, że jedno z mniejszych słońc świeciło jeszcze przez jakiś czas po pożarze, ponieważ dziesiątki liści przelatujących

obok *Gawrona* miały jesienne barwy, zupełnie jak te z lasów, które oddryfowały zbyt daleko od własnego słońca. Raziły czerwieniami, połyskiwały złotawo lub nosiły delikatne pociągnięcia brązów. Ich niewielkie kłęby tańczyły w wirach powietrznych powodowanych przelotem *Gawrona*. Fragmenty liściastego tunelu, którym podążali, pokryte były cętkami w najróżniejszych odcieniach, pojawiając się na chwilę w świetle lampy czołowej okrętu, by potem szybko niknąć w mroku.

Widok był hipnotyzujący, lecz Chaison nie miał czasu do stracenia.

Zanim wszedł na mostek, upewnił się, że dobrze się oporządził, a poza tym chciał, by załoga widziała w nim człowieka pewnego siebie. Na mostku wszyscy spojrzeli na niego nieprzytomnie, ale też zaraz stanęli na baczność.

– Zarządzić stanowiska bojowe – powiedział, usadawiając się w fotelu kapitana. – Chcę, by drużyny wypadowe były przebrane i gotowe do działania. – Rozważył, czy nie wysłać kogoś, by obudził jego żonę, ale powstrzymało go nieznane mu dotąd, ale przyjemne uczucie mściwości. Dobrze jej zrobi, jeśli tym razem przegapi najważniejszy moment.

Przez jakiś czas nadzorował krzątaninę na statku. W końcu jednak nie mógł się powstrzymać i wrócił do iluminatora, by wyglądać na zewnątrz. Tym sposobem był jednym z pierwszych, który zobaczył cel ich podróży, gdy minęli kolano lasu niemal blokujące jesienny tunel, a ich oczom ukazał się osławiony skarb Anetene’a.

Starożytny okręt unosił się w samym środku jaskini z liści o szerokości około sześciuset stóp. W pełgającym świetle latarni trzymanych przez ekipę odzianych w czerwone kombinezony specjalistów, Venera była w stanie dostrzec sporadyczne przebłyski lin podtrzymujących stary piracki statek niczym muchę w pajęczej sieci.

– Strasznie długo im to zajmuje – wychrypiała. – Skąd to opóźnienie?

Mąż położył dłoń na jej ramieniu i wyjrzał przez iluminator.

– Sprawdzają, czy nie zastawiono żadnych pułapek, kochanie. Z mojego rozkazu.

– Wtedy przejdziemy na jego pokład?

– Ja przejdę. By znaleźć skrzynkę.

– Zrobimy to*wspólnie*. Ta skrzynka była moim odkryciem. Nie możesz zmusić mnie do przegapienia finalnego momentu wyprawy.

Mężczyzna westchnął.

– Miałaś kiedyś na sobie kombinezon sargassowy?

– A ty?

Jedna z małych postaci zaczęła wymachiwać latarnią w dziwny sposób. Pozostali zgromadzili się wokół ciemnego otworu w burcie okrętu. Statek był mniejszy od*Gawrona* i pozbawiony jakichkolwiek zdobień; jednak jego kształt wydawał się archaiczny, nawet laikowi takiemu jak Venera.

– Co on robi? – wskazała wymachującego specjalistę.

– Sygnalizuje, że droga wolna. Najwyraźniej Anetene stwierdził, że sargasso samo w sobie było wielką pułapką. – Maleńkie postacie zaczęły kolejno znikać w ciemnym luku. Niewielkie rozbłyski światła ujawniły obecność bulajów na burcie, które do tej pory skrywał mrok.

– Znajdziemy ją – powiedziała pewnie Venera. Gdyby tak się nie stało, musieliby poszukać nowego domu. Rush przestałby być odpowiednim miejscem do zamieszkania po przejęciu przez Formację Sokoła.

Venera próbowała udawać, że jest to jedynie kwestia wygody, ale wciąż wyobrażała sobie powrót na dwór swojego ojca wraz z wygnanym mężem. Pożarliby go żywcem, ci nieustannie plotkujący dworzanie, wysmarowane

proszkiem antymonowym damy z zatrutymi szpilami we włosach oraz mężczyźni o przeszywających spojrzeniach i gotowych do ciosu sztyletach. Chaison byłby zabawką w rękach zblazowanych albo zmarginalizowanych członków dworu, nie mając nikogo, kto mógłby go przed nimi obronić.

Gdyby go zabito, niewątpliwie byłaby to dla niej osobista zniewaga.

– Cóż, jeśli wszystko w porządku, to chodźmy – powiedziała, ale uwagę Chaisona zwróciło jakieś zamieszanie w pomieszczeniu nawigacyjnym. Gdy się odwrócił, Venera spojrzała na niego zniecierpliwiona.

– To Gridde! – Travis rozpaczliwie machał rękami w stronę admirała. – Zasłabł.

Chaison zanurkował w stronę drzwi.

– Złe powietrze?

– Nie sądzę. Raczej przemęczenie.

Venera podążyła za całą obsługą mostka do pokoju aerografa. Irytowała ją ta przerwa, ale musiała okazać wsparcie mężowi. Przybrała udawaną, zmartwioną minę, kiedy wchodziła do środka. Powietrze było duszne, śmierdzące, ale w zasadzie nie różniło się teraz od tego na całym okręcie. Gridde wisiał bezwładnie w powietrzu. Jego głowę otaczała aureola siwych włosów.

– Doprowadziłem was – wyszeptał, gdy Chaison pochwycił go w ramiona. Twarz staruszka wykrzywiła się w półuśmiechu, choć oczy miał półprzymknięte. – Muszę odpocząć.

– Dzięki tobie, Slipstream przetrwa – odparł Chaison.

Gridde uniósł głowę i skupił spojrzenie na admirale. Zdobył się na słaby uśmiech.

– Nie praw mi komunałów, chłopcze. Po prostu upewnij się, że ci durnie z akademii o tym usłyszą. Dowiodłem swego. – Zaczął ciężko dyszeć. – Stare sposoby... są lepsze... od map żelowych...

– Sprowadźcie chirurga! – ryknął Chaison, ale było za późno. Gridde zadrżał, wydał ostatnie tchnienie, po czym znieruchomiał.

Niektórzy członkowie załogi zaczęli szlochać. Venera niecierpliwie skrzyżowała ręce na piersi, ale mogła tylko czekać. Krótkie ukłucie żołnierskiego żalu miało się wypalić w ciągu kilku najbliższych minut, po których przecież wszyscy wrócą do pracy.

Zaszli już za daleko, by miała powstrzymać ich jeszcze jedna śmierć.

Jej oddech i odgłos pomp kombinezonu zlewały się w jedno i szumiały Venerze w uszach. Co kilka minut rozlegało się głośne bicie dzwonka, po którym musiała sięgnąć do mechanizmu napędzającego pompy i na nowo go nakręcić. Przez maleńkie okienko mosiężnego hełmu widziała bardzo niewiele. Uwięziona w nieprzyjaznym kombinezonie niczym w ceratowym worku, podświadomie denerwowała się. Do tego doszło jeszcze poczucie nieważkości oraz panujące wokół ciemności; wszystko to sprawiło, że zaczęła odczuwać ból w szczęce.

Stan duchowego uniesienia na widok najpiękniejszego miejsca, jakie w życiu widziała, spowodował, że była ponad te odczucia, których teraz bezpośrednio doświadczała.

Kierunkowe latarnie trzymane przez pozostałych członków ekspedycji posyłały jasne snopy niebieskawego światła w górę i w dół, a także na boki – każdy taki ruch wydobywał fontannę migotliwych odbić i załamań, których źródłem był skarb Anetene’a.

Venera widziała kiedyś ocierające się o siebie chmury, które wywoływały cyklony; z obu stron przypominały tuby pełne pourywanych strzępków pary wodnej. Wnętrze pirackiego okrętu było podobne – przy czym tutaj to nie chmury tworzyły wir, w głąb którego patrzyła, lecz nieprzebrane kosztowności: klejnoty, złote monety, a także fajans i figurki z kości słoniowej.

Sieci, które kiedyś przytrzymywały skarby przy ścianach przegniły wraz z upływem czasu. Co tydzień lub dwa kilka klejnotów lub monet odłączało się od reszty i dryfowało w kierunku centralnego punktu ładowni. Znalazłszy się tam, wpadały w niemal niezauważalny cykl rotacyjny, któremu poddawało się wszystko, co tylko było wewnątrz Virgi. Wedle jej wiedzy, miało to coś wspólnego z orbitami i pływami, lecz ten wir rósł i kręcił się przez całe wieki, wolniej niż minutowa wskazówka zegara, ale równie nieubłaganie. Ten delikatny, spiralny wzór miał właśnie zostać zaburzony przez barbarzyńskich poszukiwaczy skarbów.

Jednak zanim ta chwila miała nadejść, granaty, szmaragdy i rubiny stworzone w płomieniach Candesce rysowały linie i łuki w powietrzu. Tu i tam połyskiwał bursztyn z sargass po drugiej stronie świata; łańcuchy diamentów przypominające strumienie światła migotały w promieniu jej latarni. Monety dwóch tuzinów nacji wisiały w powietrzu, jakby schowane za szkłem (wybite na nich podobizny pilotów i królów, których blask

dawno zgasł, były jak lekcja historii), pośród obłoków platyny i srebrnych guzików. Pod zszarganymi sieciami kadłub wciąż pokrywały malowidła. Pejzaże częściowo przykrywały formalne portrety, których oczy ożywały niczym u duchów, gdy prześlizgiwało się po nich światło. Jeden obraz, tylko jeden, wyplątał się z sieci, przez co w samym oku cyklonu unosiła się sylwetka wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyzny w ciemnym stroju. Jego ciemne oczy surowego ojca spoglądały oskarżycielsko na szabrowników. Jedynie złota rama psuła tę iluzję rzeczywistości. W piersi mężczyzny ziała świeża dziura po kuli, zostawiona tam przez pierwszego ze Slipstreamowców, który wszedł na pokład.

Venera była pewna, że załoga będzie żartować o tym przez długie tygodnie.

Chaison spokojnie przepłynął przez migotliwą konstelację i zniknął na mostku. Venera podążyła za nim, po drodze zgarniając kilka upatrzonych błyskotek.

Latarnia Chaisona unosiła się w powietrzu, powoli oświetlając kolejne zakamarki ciasnego mostka zbudowanego w starym stylu. Venera spodziewała się, że natknie się na szkielety, ale nie było śladów po jakiejkolwiek walce; najwyraźniej Anetene skrupulatnie wszystko posprzątał. Na środku pomieszczenia wznosiło się podwyższenie nawigacyjne. Na jego szycie umieszczono kasetkę z kości słoniowej, której boki udekorowano fantastycznymi scenami z mitologii: kobietami i mężczyznami, którzy znajdowali się pod wpływem grawitacji, jeżdżącymi na zwierzętach nazywanych, o ile dobrze pamiętała, końmi. Chaison powoli przesunął dłonią po pokrywie skrzyneczki.

– Och, po prostu ją otwórz! – Oczywiście nie mógł jej słyszeć. Nawet ona sama miała wrażenie, że jej głos brzmiał jak przytłumiony. Doskoczyła, aby chwycić pudełko w tej samej chwili, gdy Chaison otworzył wieko. Snopy dwóch latarni oświetliły zawartość.

Znajdujący się tam przedmiot przypominał prosty, biały cylinder, odrobinę dłuższy niż jej dłoń, przez środek którego biegła pojedyncza, czarna opaska. Na jednym końcu zamontowano również obręcz do trzymania. Wykonano go z jakiegoś półprzezroczystego kryształu, który w tajemniczy sposób gromadził światło. Chaison znów się zawahał, po czym sięgnął do środka i go wydobył.

Przysunął się do niej.

– Klucz do Candesce – usłyszała zniekształcone słowa, ledwie słyszalne przez warstwę metalu. – Zupełnie, jak w starych księgach.

– Miejmy nadzieję, że działa – odparła.

– Candesce wciąż działa. Dlaczego to miałoby nie działać? – Włożył przedmiot z powrotem do kasetki i zamknął wieko. Następnie po prostu zastygł w powietrzu ze spuszczoną głową, jak podczas modlitwy.

Zbita z tropu Venera ponownie przysunęła się do niego jak można było najbliżej.

– Coś nie tak?

Wyobraziła sobie to ciężkie westchnięcie, czy było ono prawdziwe?

– Próbuję jedynie wymyślić, co dalej – powiedział. – Gehellenowie będą krążyć wokół Chóru Liści, czekając aż wylecimy. Jak dostaniemy się do Candesce?

– Nie potrafisz żyć chwilą, co? – spytała. Fakt, sama nie wybiegała myślami tak daleko. Może powinna, bo jej mąż miał rację. I tu tkwił problem.

Pomiędzy księstwami Candesce a samym Słońcem Słońc istniał szeroki pas pustego powietrza. Venera wiedziała, że będą musieli przebyć dwieście lub trzysta mil otwartej przestrzeni, żeby dotrzeć do starożytnego słońca. Candesce było tak gorące, że w strefie tej nie formowały się żadne chmury, a zamieszkanie jej było niemożliwe. Gdy poobijane okręty korpusu ekspedycyjnego miną jej granice, staną się łatwym łupem dla marynarki wojennej Gehellenów.

– Jeśli znów wyślemy pozostałych jako przynęty, a zabierzemy wyłącznie*Gawrona*...

Ich hełmy zazgrzytały o siebie, gdy mężczyzna pokręcił głową.

– Zauważą nas. W tej chwili nawet aerocykl nie przedostanie się do Candesce.

– W takim razie będziemy musieli ukryć się i przeczekać.

– Ale to rodzi kolejny problem – powiedział. – Zaczyna brakować nam czasu.

– Co?

– Ten pancernik... Biorąc pod uwagę, jak bardzo zaawansowanie były prace nad nim na twoich zdjęciach, sądzę, że do tej pory jest już zdolny do lotu. Natomiast za kilka dni flota Slipstreamu będzie w pełni zaangażowana

w konflikt z Mavery. Jeśli Formacja Sokoła zamierza zaatakować Slipstream, to właśnie w tym momencie zbierają do tego siły.

Venera spojrzała z ukosa na małą skrzynkę. Pierwotny plan zakładał wizytę na Candesce podczas nocnego cyklu i pozwolenie Aubri Mahallan na odprawienie czarów, które przysięgała, że może uczynić ze Słońcem Słońc. Następnie mieli obrać najkrótszą drogę w kierunku Formacji Sokoła i leżącej tam tajnej stoczni. Mahallan twierdziła, że byłaby w stanie ustawić regulator czasowy, który uruchomiłby odpowiednie procedury po określonej liczbie dni i godzin.

– Ktoś będzie musiał zostać na miejscu – powiedziała. – Zaczekać aż nasze okręty odlecą, a Gehellenowie ruszą w pościg. Dopiero wtedy dostaniemy się do słońca.

– Też tak sądzę – przytaknął mężczyzna. – Mahallan, rzecz jasna. Do tego ktoś, kto jej przypilnuje. Twój człowiek, Carrier, wydaję się być idealnym kandydatem.

– Ja – dodała szybko.

– Nie, kochana, w żadnym...

– Dlaczego? Myślisz, że będę bezpieczniejsza na pokładzie*Gawrona*, gdy ty wyruszysz do walki z Formacją? Poza tym, ukochany, to nasz wspólny plan, twój i mój. Komu mamy powierzyć jego wykonanie, jeśli nie sobie nawzajem? Gdy ruszysz do boju przeciwko pancernikowi, musisz być w pełni skupiony na czekającym cię zadaniu, a nie na martwieniu się, czy Mahallan właściwie wykonała swoją robotę albo czy Carrier jest naprawdę lojalny. Potrzebujesz kogoś zaufanego.

– A mogę zaufać tobie...

– Doprawdy, Chaisonie, to niemal zabrzmiało jak pytanie. – Roześmiała się i dała mu kuksańca w bok. – To najlepsze wyjście, przyznaj.

Przyznał, razem więc ruszyli do wyjścia. Gdy Chaison zerwał puzderko z kości słoniowej z podwyższenia, spadło zeń coś małego. Nawet tego nie zauważył. Venera przyświeciła sobie lampą, wypatrując jakiegokolwiek błysku; był tam, powoli sunąc w stronę bulaju. Kobieta wyciągnęła rękę i wzięła przedmiot, po czym przytrzymała go między dwoma palcami.

Był to pierścień, czy też raczej sygnet przygotowany z myślą o męskiej dłoni. Kamień miał barwę ciemnego szkarłatu, a kształtem przypominał konia stojącego na zadnich nogach. Konia ze skrzydłami.

Włożyła sygnet na palec od rękawicy kombinezonu i podążyła za mężem.

Radosne okrzyki rozbrzmiały na pokładzie całego*Gawrona*, gdy przez wrota drewnianej śluzy wylała się góra złota i kosztowności. Chwilę później do środka wcisnął się mężczyzna w czerwonym kombinezonie sargassowym, machając ręką nad głową. Z wnętrza jego okrągłego, mosiężnego hełmu doszło stłumione „umm, umm”, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Członkowie załogi i oficerowie, wcieleni do armii siłą oraz ochotnicy, wszyscy porzucili pozory cywilizowanego zachowania i rzucili się na uciekające skarby. Mężczyzna w kombinezonie w końcu ściągnął hełm z głowy i krzyknął:

– To tylko ochłapy, chłopcy! Są tam tego tony! Tony!

Ramię Haydena musnęła czyjaś dłoń.

– Hej – szepnęła mu Aubri do ucha. Chłopak poczuł rumieniec na twarzy. Jego serce zaczęło bić odrobinę szybciej.

– Admirał chce cię widzieć – ciągnęła. Patrząc ponad jego ramieniem, powiedziała: – Wyglądają na szczęśliwych, prawda?

Po prostu musiał się roześmiać, słysząc tak absurdalny eufemizm. Ludzie płakali, walczyli o świecidełka, krzyczeli i odbijali się od ścian.

W końcu dotarły do niego jej wcześniejsze słowa.

– Fanning chce mnie widzieć?

– Tak, jest w pomieszczeniu nawigacyjnym. – Pchnęła go lekko w plecy, przez co zaczął powoli sunąć przez sam środek grupy szalejących załogantów.

Wpadł na kilku ludzi, ale ominął najgorszą przepychankę – w samą porę, bo ktoś ponownie otworzył śluzę i wrzucił do środka kolejny worek złota.

Do czasu, gdy Hayden dotarł do pokoju nawigacyjnego, dziób okrętu był niemal opustoszały. Zapukał do drzwi.

– Wejść – odpowiedział mu stłumiony głos Fanninga.

Obecność wielu zapalonych latarni nie wpływała na jasność wewnątrz cylindrycznego pomieszczenia. Ku zaskoczeniu Haydena, Fanning był sam, unosząc się z jedną nogą w strzemieniu nad stolikiem mapowym. W półmroku przypominał studium milczących cieni, które zaległy mu w oczodołach i fałdach munduru. Ramiona trzymał skrzyżowane na piersi. Wyglądało na to, że wokół oczu i ust pojawiły mu się nowe zmarszczki.

– Słyszałem, że ostatnimi czasy bardzo dobrze poznałeś naszą zbrojmistrzynię – rzekł Fanning z kamienną twarzą.

Skąd mógł to wiedzieć? Czyżby wieści na temat jego schadzki z Aubri obiegły już cały okręt?

– Dość dobrze – odparł ostrożnie.*Co miał na myśli?*

– Może. Może dostatecznie dobrze, by wykonać zadanie, o którym myślę. – Gestem nakazał, by chłopak wszedł do środka. – Zamknij drzwi, jeśli łaska. – Nawet po spełnieniu tej prośby, Hayden wciąż słyszał przez ściany odgłosy przepychanek; podleciał do strzemienia w pobliżu admirała i wcisnął weń stopę. Stanęli ze sobą twarzą w twarz ponad oświetlonym stolikiem mapowym.

– Zamierzam właśnie spuścić z oczu moją żonę na dłuższy czas – powiedział Fanning z tajemniczym uśmiechem. – Możliwe nawet, że na całe miesiące. Chcesz znać szczegóły naszego planu? Dlaczego tu jesteśmy?

– Nie bardziej niż inni, sir.

– Hmm. – Fanning na chwilę zapatrzył się w mrok. – Chodzi o to, panie Griffin, by pokonać wroga posiadającego znaczną przewagę liczebną. Gdy Venera przyszła do mnie po raz pierwszy i powiedziała, że zebrała mnóstwo starych poszlak oraz dokumentów, na podstawie których ustaliła, że użycie radaru na obszarze Virgi może być możliwe, niespecjalnie mnie to interesowało. Ta technologia miałaby jedynie marginalne znaczenie w uczciwej bitwie - mam na myśli walkę prowadzoną w jasny, przejrzysty dzień. Ale dowody świadczące o tym, że Formacja Sokoła ma zamiar dokonać inwazji, zupełnie odmieniły mój sposób myślenia. Bez zdecydowanej postawy Pilota, mieliśmy popełnić strategiczny błąd i utracić suwerenność.

– Niespecjalnie mnie to obchodzi, sir. Urodziłem się w Aerie. – Było to wymuszone wyzwanie, to prawda, ale czuł, że musi to zrobić.

Ku jego zaskoczeniu, admirał jedynie pokiwał głową.

– To wyjaśnia pewne kwestie z tobą związane, ale bynajmniej nie wszystkie. Jesteś dobrym lotnikiem, Haydenie, ale zastanawiam się, czy mogę ci zaufać. Ramię w ramię wywalczyliśmy sobie drogę z Gehellenu, ale sam wiesz, że niczego to nie dowodzi.

Tym razem to Hayden odwrócił spojrzenie.

– Przez wiele lat uważałem pana za swego wroga – powiedział.

Fanning odpowiedział uśmiechem.

– Cóż, prawdopodobnie wciąż jestem twoim wrogiem, z politycznego punktu widzenia. Nie wydaje mi się jednak, byśmy byli wrogami na polu osobistym, Griffin. A to czyni ogromną różnicę w obecnej sytuacji. Powiedz mi: jak myślisz, co stanie się z Aerie, gdy Formacja Sokoła podbije Slipstream?

– Będzie tak, jakby nigdy nie istniało – odparł. Fanning pochwycił jego wzrok, więc Hayden wzruszył ramionami. – Wiem, że jest pan teraz jedyną nadzieją dla mojego ludu.

– A co myślisz o mojej żonie?

Nieco zaskoczony tym pytaniem, Hayden powiedział:

– Cóż, dość ją lubię, jeśli o to pan pyta.

Fanning westchnął.

– By zrealizować nasz plan, muszę zostawić ją tutaj, podczas gdy nasza flota ruszy w kierunku granicy Gehellenu – powiedział. – Venera musi prześliznąć się obok miejscowych, dostać do wnętrza Słońca Słońc i przełączyć pewien prztyczek, który pozwoli nam korzystać z jednostek radarowych przygotowanych przez Aubri Mahallan. W zasadzie, to nie Venera zajmie się prztyczkiem; nie ma dostatecznej wiedzy technicznej. To zadanie będzie należało do Aubri Mahallan.

Do wnętrza Słońca Słoń? Aubri też? Twarz Haydena musiała zdradzić jego zaskoczenie, ponieważ Fanning uśmiechnął się.

– Sam rozumiesz, że nie czuję się zbyt pewnie, zostawiając ją tutaj, Griffin, ale to od początku był jej plan, a któreś z nas musi patrzeć na ręce Mahallan. Czy mam rację, myśląc, że tobie dla odmiany nie byłaby w smak rozłąka z Aubri?

Hayden przygryzł wargę. Był zupełnie nieprzygotowany na wieść o tym, że ich ekspedycja będzie zmierzać w kierunku Candesce. Zaczęły kotłować się w nim stare emocje i zrodziły się nowe pytania. Skupiwszy uwagę na tu i teraz, powiedział:

– Sądzę, że tak. Do czego pan zmierza?

– Chcę, żebyś zabrał je do Candesce, a po wykonaniu zadania odnalazł drogę z powrotem do Slipstreamu – odparł Fanning bez ogródek. – Nie znam nikogo innego, komu mógłbym powierzyć to zadanie. Co prawda logika podpowiada mi, że jesteś ostatnią osobą z tej ekspedycji, której powinienem zaufać. Ale uważam też, że nie mylę się co do ciebie, więc pytam wprost: czy mogę ci je powierzyć?

– Nie zamierzacie uszkodzić Candesce, prawda? To byłoby...

– Szalone. Samobójcze. Ludobójcze. – Fanning potrząsnął głową. – Nie sądzę, byśmy*byli w stanie* uszkodzić Candesce, nawet gdybyśmy bardzo tego chcieli. Nie, wprowadzimy tylko niewielką zmianę, tymczasową. Nikt jej nie zauważy. Jeśli przystaniesz na moją propozycję, będziesz mieć szansę, by osobiście tego dopilnować.

Hayden nie wierzył własnym uszom. Fanning mu ufał! Nie miał wątpliwości, że nie zasługiwał na to zaufanie, biorąc pod uwagę rzeczy, jakie planował i zamierzał uczynić. Nie powinien przyjmować takiej oferty; miał niemalże obowiązek zdradzić owo zaufanie, ze względu na honor i od dawna trzymaną urazę.

Z drugiej strony, Aubri miała tam być. Mogła potrzebować jego ochrony. Dlatego, z narastającym poczuciem winy, rzekł:

– Dobrze, zrobię to.

A potem, by zawstydzić Haydena jeszcze bardziej, Fanning uśmiechnął się do niego.

– Wiem, że mogę na ciebie liczyć; wiem, że bezpiecznie sprowadzisz je do domu – powiedział.

Hayden uśmiechnął się i skinął głową, choć sam w to nie wierzył.

***

Powietrze na statku stało się zastane i ciężkie do czasu, gdy*Gawron* ponownie spotkał się z pozostałymi jednostkami. Sześć okrętów sunęło pod pustymi spojrzeniami okien Carlinth. Ogromne sieci pełne skarbów odholowano na częściowo naprawionego*Dręczyciela* oraz jego siostry, podczas gdy admirał Fanning czytał zapiski z potyczki z Gehellenami, siedząc w pomieszczeniu nawigacyjnym*Gawrona*. Niebezpieczny manewr dywersyjny powiódł się. Nikt nie zginął, choć dwa kolejne statki miały uszkodzone kadłuby. Ich załogi mogły operować teraz jedynie dzięki maskom tlenowym, jakie nosili przy naprawianiu szkód. Nie miało to jednak większego znaczenia; ludzie radowali się z powodu zdobytego skarbu, a głośne wiwaty poniosły się echem po ciemnych ulicach Carlinth po raz pierwszy od wielu wieków.

Gdy admirał Fanning dawał natchnione przemówienie przez megafon umieszczony na kadłubie*Gawrona*, Hayden przebywał w hangarze. Z pomocą Martora przerabiał jeden z wojskowych aerocykli. Stłumione słowa

dowódcy eskadry docierały do nich przez ściany; niemal wszyscy na statku trzymali głowy przy kadłubie, uważnie słuchając.

...Formacja Sokoła zniszczy...

Admirał perorował, a Hayden uniósł do góry obudowę dopalacza, by Martor mógł ją zobaczyć.

– Przystosowany do szybkości, ale zaprojektowany, by nie zawodzić – rzekł młody aerocyklista. – Typowo wojskowe podejście. Te maszyny są wytrzymałe, ale całe dodatkowe opancerzenie musi zniknąć.

...tylko dzięki niezwykłemu wysiłkowi ocalimy...

Martor mocował na aerocyklu dwa dodatkowe siodła.

– Izolację pancerza też, tak? – poklepał zewnętrzną skorupę cylindra. – Niemal przypaliłem sobie stopę na tym twoim ścigaczu, a tam była izolacja.

...do nas należy wykonanie zadania...

Hayden wzruszył ramionami.

– Siodło, strzemiona i kierownica, to wszystko. Dotknięcie aerocykla w dowolnym innym miejscu skończy się oparzeniami. To cena, jaką będziemy musieli zapłacić za prędkość w tym cacku.

...nie tylko bogatszymi, lecz bohaterami...

Hayden wyciągnął dłoń, trącając złoty łańcuch zawieszony na szyi Martora.

– Co zrobisz teraz ze swoim bogactwem?

Z braku grawitacji, błyskotki sterczały z chłopaka na wszystkie strony, tworząc przed jego twarzą absurdalną plątaninę, którą Martor co chwilę odgarniał na bok.

– Nie wiem – odparł chłopak. – Zawsze byłem w marynarce... Chyba kupię statek. Zostanę odkrywcą.

Hayden posłał mu szeroki uśmiech.

– Zapolujesz na piratów? – Ale Martor pokręcił głową.

– Kiedy przyszło co do czego, to nie podobała mi się walka – rzekł z poważną miną. – O niektórych rzeczach wspaniale się opowiada, ale gorzej jest je widzieć lub robić samemu. – Nieśmiało odwrócił spojrzenie. – Ale, wiesz... snucie historii na ten temat sprawiało mi wiele frajdy. Chłopakom podobały się moje opowiastki, a łatwo je wymyślać. Myślę, że po powrocie mogę spróbować nauczyć się czytać i pisać.

– Ty, bajarzem? – Hayden niemal zaniósł się śmiechem, ale w porę zobaczył, że chłopak mówił poważnie. – To wspaniały pomysł. Byłbyś

świetny. Umm, podaj mi ten klucz, dobrze?

– Cześć. – Hayden uniósł spojrzenie, gdy Aubri weszła do hangaru. Miała na sobie praktyczny strój podróżny ze skóry, wliczając w to pilotkę z goglami. Podpłynęła do aerocykla i zatrzymała się, wspierając jedną rękę na maszynie, a drugą na ramieniu Martora.

– Jak się miewasz? – spytała chłopca. Młodzieniec wybełkotał coś pod nosem.

– Musisz trzymać się z dala od kłopotów, gdy nas nie będzie – powiedziała. – Żadnej walki i żadnych szachrajstw, zrozumiano? Wszystko sprawdzimy po powrocie.

Martor posłał jej nieśmiały uśmieszek.

– Dam sobie radę... choćby po to, żeby jeszcze raz panią zobaczyć, pani Mahallan.

Aubri przez chwilę wyglądała na zmieszaną, ale w końcu również odpowiedziała uśmiechem.

– To tylko dziesięć dni – powiedziała. Tyle zajmie wam dotarcie do Formacji Sokoła, zakładając, że uda wam się uciec gehelleńskiej obławie. Zakładając też, że na nic nie wpadniecie oraz że wasi nawigatorzy znajdą właściwą drogę do słońca Slipstreamu i nie spędzicie reszty swoich dni, włócząc się po zimie. – Uśmiechnęła się szeroko, widząc wyraz twarzy Martora. – Nie martw się. Wszystko jest zaplanowane co do minuty.

– To mnie najbardziej martwi – mruknął Hayden.

To była najsłabsza część całego planu: Fanning zmuszony był wrócić na obszar Formacji Sokoła, by zaatakować sekretną stocznię o dokładnie wyznaczonej porze. Wziąwszy pod uwagę wszystkie kaprysy podróży po Virdze – błędy nawigacyjne, kolizje, braki paliwa, uszkodzenia, a nawet piratów – dotarcie na miejsce o właściwej porze graniczyło z cudem. Dla kontrastu, udział Haydena w całym planie był niezwykle prosty.

Wlecieć prosto w Słońce Słońc.

– *A co potem?* – spytał niespodziewanie Martor. Hayden spojrzał na niego; był tak skupiony na pracy, że nie zorientował się, do kogo było skierowane pytanie. Otworzył usta, zauważając, że Aubri robi to samo. Wzruszył ramionami.

– Nie wybiegałem myślami tak daleko. – Wolał unikać wzroku Aubri, choć wyglądało na to, że ona także patrzyła w inną stronę.

***

Psia wachta trwała już od dłuższego czasu, gdy Hayden wrócił do hangaru.*Gawron* oraz pozostałe okręty powoli posuwały się w stronę obrzeży Chóru Liści, znacznie ostrożniej niż wcześniej. Ekipa włazowa opuściła hangar, ale całe pomieszczenie wypełniało chrapanie przeróżnych członków załogi*Niewidzialnej Dłoni*, którzy zostali tu zakwaterowani. Hayden kluczył pomiędzy mężczyznami, którzy niczym poczwarki zwisali ze ścian, podłogi i sufitu, aż w końcu dotarł do aerocykla. Następnie zrzucił z ramienia poskładaną sieć towarową oraz zwój kabla i zatrzymał je w powietrzu obok siebie. Rozłożywszy zestaw narzędzi, wybrał odpowiedni klucz; przez chwilę grzebał w kieszeni, po czym wyciągnął przyniesione zaciski oraz śruby. Cicho, by nie obudzić śpiących, zaczął przykręcać zaciski z tyłu aerocykla, ponad dopalaczem.

Admirał Fanning wziął go z zaskoczenia, prosząc, by zawiózł Venerę oraz Aubri do Candesce – tak bardzo, że przez następną godzinę w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, co to może oznaczać. Dotarło to do niego w środku rozmowy z nowym bosmanem; Hayden w połowie zdania zupełnie stracił wątek i po prostu gapił się z otwartymi ustami na ciemne poszycie okrętu, dopóki jego rozmówca nie spytał:

– Wszystko w porządku? Masz udar czy co?

Wybełkotał coś w odpowiedzi, wykręcając się od dalszej rozmowy. Podleciawszy do iluminatora, wyjrzał w czarną pustkę sargassa. Powoli zaczęło go ogarniać nieznane mu dotąd poczucie lekkości.

W głowie słyszał szepty; wyobrażał je sobie, czy też były to jakieś dawne wspomnienia? Głos, który mógł należeć do jego ojca, mówił:*Candesce to matka wszystkich słońc. Jeśli Aerie ma zdobyć nowe słońce, jego rdzeń będzie pochodził właśnie stamtąd.*

Nikt nigdy nie powiedział Haydenowi, w jaki sposób Candesce oddawała swoje skarby; słyszał jednak, że zdobycie ich było łatwe.

– To jak zbieranie owoców – powiedział kiedyś jeden z inżynierów Ruchu Oporu.

Teraz zaś, pracując tak cicho jak tylko mógł, dumał nad ironią faktu, że sam Fanning prawdopodobnie pochwaliłby go za to, co w tej chwili robił. Gdyby ktoś go nakrył, mógł się odwołać do admirała. Carrier był jednym z tych, którzy bez wątpienia by protestowali, ale Hayden nie bał się go. Nie, robił to w tajemnicy i sam nie dlatego, że obawiał się schwytania, ale ponieważ była to wyłącznie jego sprawa. Osobista.

Wyciągnął wypełniacz z siodła aerocykla i zastąpił go zwiniętą siecią towarową. Małe kępki gąbki zaczęły odlatywać, więc wcisnął je do kieszeni. Następnie pochylił się nad dyszą wydechu i zaczął owijać cienki kabel wewnątrz obudowy maszyny. Utworzywszy ciasną spiralę, odchylił się zadowolony i podziwiał swoje dzieło.

Miles i jego zausznicy z Ruchu Oporu mieli rację co do jednego: nieważne za co się walczyło; liczyło się jedynie to, co samemu się zbudowało. Rodzice Haydena wiedzieli to, ale on sam o tym zapomniał w kilka lat po ich śmieci. Kilka straconych lat? Chyba nie, skoro przywiodły go tu i teraz, by dokończył coś, co powinno zostać zrobione dawno temu.

Odłożył narzędzia, poklepał aerocykl, po czym ruszył w stronę wirówki okrętu, by po raz ostatni na bardzo długo spać pod wpływem grawitacji.

Candesce płonęła pod stopami Haydena. Nawet tutaj, setki mil dalej, żar Słońca Słońc był niemal nie do zniesienia. Osłaniając oczy i spoglądając w pobliże źródła blasku, ledwie mógł dostrzec jasne ogony jezior, które wyparowywały, zbliżając się do owego rozżarzonego punktu.

– Przypominają komety – powiedziała Aubri, widząc je po raz pierwszy.

Inne obiekty również poruszały się wokół Candesce. Okręty ze wszystkich księstw dryfowały tuż poza strefą gorąca, zabierając się do pracy po wygaszeniu słońca. W okolicznych krainach częstą praktyką było wysyłanie trumien ze zmarłymi w kierunku Słońca Słońc; Hayden wyobrażał sobie, że one również musiały stawać się kometami, nigdy nie docierając do celu, lecz wyparowując, by w przyszłości stać się częścią nowych miejsc i ludzi. Tak też musiało stać się z jego matką, gdy eksplodowało nowe słońce Aerie. Jego ojciec zapewne stał się kompostem dla jednej z farm Slipstreamowców.

Niektóre statki skryte w blasku Virgi musiały być jednostkami pogrzebowymi. Lecz część z nich miała zupełnie inne zastosowanie.

– Co robisz? – Aubri objęła go w pasie. – Spalisz sobie oczy. Chodź do środka.

Hayden rozmyślał o okrętach, które zbliżały się do Candesce w godzinach nocnych. Były to żniwiarki – łodzie zbierające śmieci wyrzucone ze Słońca Słońc. Właśnie te odpadki były głównym źródłem komponentów do produkcji słońc. Jego rodzice wykorzystali części rdzenia fuzyjnego przywiezionego z księstw do budowy sekretnego słońca Aerie.

Jak na razie wolał nie dzielić się swoimi przemyśleniami. Pozwolił się wciągnąć Aubri do chaty zbieraczy węgla drzewnego, którą znaleźli na peryferiach Chóru Liści. Budynek przypominał kanciastego robaka na czarnej gałęzi drzewa sięgającego swymi korzeniami głęboko w mrok. Venera Fanning oraz Carrier zamieszkali w innej chacie zbieraczy, kawałek dalej; swój aerocykl ukryli w stercie patyków. Carrier nie zaryzykował powierzenia go pieczy Haydena.

Nie obchodziło go to. Dziwnie i cudownie zarazem było przebudzić się w objęciach Aubri, w ciszy, gdy pierwsze promienie światła z Candesce wpadały do chaty przez jedno z okien z zatrzaśniętymi okiennicami, . Sypiał wcześniej z kobietami; jednak nigdy nie obudził się następnego ranka obok żadnej z nich. Dlatego przez długi czas napawał się tą chwilą, oddychając powoli i z zadowoleniem, mając ją u boku.

Znajome buczenie silników*Gawrona* znikło. Nawet trele ptaków nie sygnalizowały nastania poranka. Gdy Hayden podciągnął się do okna (wraz z Aubri, która była niemal przyklejona do niego), ujrzał zapierającą dech w piersiach panoramę. Poczuł się jak kruszyna uczepiona włosów olbrzyma; na przestrzeni wielu mil we wszystkich kierunkach cienkie, czarne pnie wyciągały się w stronę Candesce z miejsca okrytego mrokiem. Pukle giganta wykręcały się i splatały ze sobą, łaknąc światła. Wiele z nich wciąż posiadało konary, choć żniwiarze systematycznie je ogołacali. Żadna gałąź nie miała liści, ale wcale nie oznaczało to, że nie istniało tu życie. Dzikie kwiaty gnieździły się w zagłębieniach konarów, a wiele pniaków znaczyły jasnozielone kępki. Aubri znalazła na ich drzewie krzak dzikich malin, co mogło usprawiedliwiać umiejscowienie chaty właśnie tutaj. Dla ryb było za gorąco, ale w oddali dało się dostrzec kilka ptaków.

Po godzinie lub dwóch Hayden zaczął zastanawiać się, czy w okolicy nie ma jakiegoś gniazda os lub pszczół, bo zdał sobie sprawę, że okolica nie była zupełnie cicha. Powietrze wypełniało głębokie, basowe dudnienie – słabe, lecz nieustające. W nocy go nie słyszał.

Gdy wspomniał o tym Aubri, kobieta jedynie wzruszyła ramionami.

– To Candesce. Z bliska musi brzmieć jak boski śpiew.

Był zauroczony jej wiedzą i nie omieszkał tego wyrazić.

– Naprawdę wiesz, jak kontrolować Candesce? Możesz sprawić, że podda się twojej woli, jak aerocykl?

Pokręciła głową.

– Raczej będę w stanie dosiąść go jak rakiety. Musisz wiedzieć, że Candesce zaprojektowano przed istnieniem Virgi. Jego plany wciąż dostępne są ludziom, którzy zechcą opuścić Virgę, aby ich poszukać. Gdy tu przybyłam po raz pierwszy, miałam je ze sobą.

Ową rozmowę przeprowadzili kilka godzin wcześniej, ale szybko przerodziła się ona w kolejne pocałunki i bardziej intymne zbliżenia. Lecz słowa te dzwoniły w uszach Haydena, a im więcej o nich myślał, tym

dziwniejsze mu się wydawały. Teraz, gdy przysiedli w chłodniejszym cieniu chaty, spytał:

– Dlaczego miałabyś przywozić ze sobą plany Candesce? Wiedziałaś, że je odwiedzisz?

Nieznacznie zmarszczyła brwi, po czym powiodła wzrokiem po wiklinowych ścianach. Kiedy ponownie spojrzała mu w oczy, jej twarz rozpromieniał beztroski uśmiech.

– Przybyłam tutaj, mając przy sobie każdą drobinę informacji, jaką kiedykolwiek udało nam się ustalić na temat Virgi – powiedziała. Uniosła dłoń, trzymając dwa palce bardzo blisko siebie. – Wszystkie te dane można było zmieścić w urządzeniu mniejszym od ziarenka piasku, więc dlaczego nie miałabym zabrać ich ze sobą? Rzecz jasna, znalazłszy się tutaj, bank pamięci został wyłączony przez sygnał Candesce. Dlatego właśnie będę musiała pracować, korzystając z niewielkiej ilości zapamiętanych informacji. A pamiętam ich dostatecznie dużo.

Pokiwał głową, wciąż o tym myśląc. Aubri niespodziewanie złapała go za ramię.

– Spójrz!

W drzwiach bzyczał jeden z tych niewielkich, chromowych owadów, które widywano tylko czasami.*Tankowce,* mówiła o nich Aubri. Hayden wyciągnął rękę.

– Mam go złapać?

Kobieta potrząsnęła głową.

– Nie mam przy sobie żadnych przyrządów, więc nie mogłabym go teraz zbadać. – Maleńki tankowiec odwrócił się i odfrunął. Po chwili tuż za oknem śmignęła cała chmara podobnych insektów.

– Miałaś rację – rzekł Hayden. – Zmierzają w stronę Candesce.

– Niosą paliwo – odparła, potwierdzając to skinięciem głowy. – Do fuzorów Farnswortha.

Milcząc, dryfowali wspólnie wewnątrz chaty, zmęczeni uprawianiem miłości. Hayden czuł, że między nim a Aubri było jeszcze wiele niedopowiedzeń.

W końcu obrócił się i delikatnie ułożył dłoń w niewielkim zagłębieniu poniżej jej szyi.

– Czy to słucha? – spytał. Nie musiał dodawać, o co mu chodziło.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Muszę uważać, ale... mało co to obchodzi. Niespecjalnie. To tylko głupi mechanizm.

Zamyślił się. Niedługo potem ruchem głowy wskazał okno.

– To była twoja misja? Odwiedzić Candesce?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie. W rzeczywistości... zupełnie odwrotnie. Jeśli istnieje w Virdze jakieś miejsce, gdzie mogłabym uwolnić się od tego... – Popukała się w krtań. – To właśnie tam.

Hayden pokręcił głową z zakłopotaniem.

– Nie musisz uważać, mówiąc mi o tym?

– Nie. Pluskwę interesuje wyłącznie to, czy zdradzam innym cel swojej prawdziwej misji. Nie jest w stanie dbać o cokolwiek innego.

– Nawet o własne życie?

– To nie żyje. Więc odpowiedź brzmi „nie”. – Udała uśmiech. – Pomyśl o tym w ten sposób: niektóre rzeczy mnie zabiją, inne nie. To wszystko.

– Więc... – Zaczął dumać. – Myślisz, że znajdziemy w Candesce jakiś sposób, by można było się tego pozbyć?

– Właśnie dlatego namówiłam na to Fanningów. Może i było to trochę samolubne. – Wzruszyła ramionami, szeroko się uśmiechając. – Ale zadziałało.

Hayden roześmiał się.

– Mogę jakoś pomóc?

Pocałowała go.

– Po prostu bądź czujny. Ja zajmę się resztą.

– Ty też możesz mi pomóc – powiedział z poważną miną. Aubri przechyliła głowę na jedną stronę. – W zasadzie to nam obojgu – dodał. – Aubri... myślałaś o tym, co zrobisz, gdy już uwolnisz się od tego czegoś? Zostałabyś tu czy odlecisz?

Zawahała się.

– Zostanę tutaj – powiedziała w końcu. – Zostałabym.

Hayden westchnął. Chwilę zajęło mu pozbieranie myśli.

– Ja również mam swoje powody, by dostać się do Candesce – wyznał. Czuł, że serce mu rośnie, w miarę jak nakreślał jej swój plan odnalezienia w środku komponentów nowego słońca, z którymi miał zamiar wrócić do Aerie. – Chcę dokończyć pracę moich rodziców. Rozpalić nowe słońce na

granicy zimy, wokół którego zgromadzi się ludność Aerie. Pozwoli im to zostawić Slipstream i resztę Południka za sobą. Ocali to mój lud.

Gdyby matka i ojciec z taką determinacją nie dążyli do osiągnięcia tego samego celu, dziś Hayden słowa te traktowałby jako niemożliwe do zrealizowania marzenie.

– Będę potrzebował inżyniera – powiedział. – Byłabyś niezastąpiona.

– Och. – Odwróciła wzrok. – Tylko dlatego mnie potrzebujesz? By skorzystać z moich umiejętności?

– Nie! – Roześmiał się i przyciągnął ją do siebie. – Więcej. Chciałbym znacznie więcej. Aubri, moglibyśmy razem stworzyć nowe państwo. Czy to nie jest coś, co chciałabyś osiągnąć?

Oplotła go ramionami, po czym wtuliła twarz w jego ramię.

– Chciałabym – mruknęła. – Bardziej niż czegokolwiek innego.

Oboje poderwali się ze snu. Był środek nocy i wnętrze chaty skrywały absolutne ciemności. Z oddali dochodziły jakieś wrzaski.

– Słyszałaś to? – spytał Hayden. Poczuł, bardziej niż zobaczył, jej skinienie głowy. Przez jakiś czas nasłuchiwali w bezruchu; w końcu Aubri przytuliła się do niego.

– Może związek Venery z Carrierem nie jest tak cnotliwy jak się nam mogło wydawać – powiedziała.

– Uch – jęknął. – Nawet tak nie mów. Ja... – Przerwał, gdy przeciągły, zawodzący dźwięk rozdarł noc, wciskając się do chaty ze wszystkich stron.

Sekundę później byli już przy oknie, wyglądając w mrok.

– To nie mógł być człowiek – powiedziała Aubri. Jednak na zewnątrz nic nie było widać - nic, poza nieprzeniknioną ciemnością, której Hayden nie widział nawet w zimie. Przez chwilę zastanawiał się, czy chata w jakiś sposób nie osunęła się w głębiny Chóru Liści. Skąd mogli wiedzieć, czy zaraz nie zabraknie im powietrza?

Ryk znów rozbrzmiał, ale tym razem towarzyszył mu odgłos łamanych gałęzi. Dźwięk narastał – wyglądało na to, że coś ogromnego roztrącało drzewa na boki, sunąc przez mrok. Chata zaczęła drżeć.

W następnej chwili ryk umilkł tak niespodziewanie, jak się pojawił.

Jeszcze długo wyglądali przez okno, ale nic więcej się nie wydarzyło. Po jakiejś godzinie po pniu drzewa zaczął sunąć rozedrgany snop światła latarki. Chwilę później do środka weszli Carrier z Venerą. Oboje mieli nietęgie miny.

– Jakieś pomysły? – spytał Carrier bez wstępów.

Hayden pokręcił głową.

– Może dziś powinniśmy trzymać się razem – odparł. Po chwili dodał jeszcze: – Co z aerocyklem?

Carrier pomachał mu przed oczami kawałkiem sznurka, którego Hayden wcześniej nie zauważył. Linka niknęła w mroku.

– Przyciągnąłem go za sobą – rzekł. – Pomyślałem, że tak będzie najlepiej. Chłopak odpowiedział skinieniem głowy.

Wszyscy stłoczyli się w małej chatce i usiedli, popatrując na siebie od czasu do czasu.

– To niedorzeczne – powiedziała Venera, gdy niewygodne milczenie trwało już dobry kwadrans. – Musimy coś robić. Przynajmniej rozmawiajmy.

– Zgadzam się – przytaknęła Aubri.

Zanów zapadła cisza.

– Opowiadajmy historie – rzuciła wesoło Venera.

Wszyscy spojrzeli na nią w wątłym świetle latarki.

– Historie o duchach – nalegała, po czym zaczęła się śmiać. – No,*dalej*. Potraficie sobie wyobrazić lepszą sposobność?

Pozostałym również udzieliła się ta wesołość. Minutę później Hayden snuł już opowieść o czarnych, pirackich słońcach oraz potworach, które rzekomo zamieszkiwały zimę.

Druga w kolejności zaczęła opowiadać Venera. Z jakiegoś powodu nie był zaskoczony jej znajomością mnóstwa historyjek i tym, że dzieliła się nimi z radością.

Jedna z legend Venery opowiadała o tym, jak samo Candesce wyruszyło pewnej nocy na wędrówkę; słońce było tak głodne od świecenia przez całe stulecia, że zjadło kilka okolicznych księstw, zanim pewien bezczelny, młody farmer zdołał przekonać je, by więcej nie posilało się w ten sposób. Venera opisywała wydarzenia tamtej nocy: oto niewidoczne słońce kroczące pośród majestatycznego huku, całej kakofonii dźwięków, nie zostawiające żadnych śladów po zniszczonych przez siebie księstwach, by w końcu powrócić na swoje miejsce i ponownie zapłonąć.

Aubri klasnęła w dłonie, gdy kobieta dokończyła historię.

– Masz ukryte talenty, Venero!

Żona admirała wypięła pierś, ostentacyjnie przyglądając się swoim paznokciom.

– Nieprawdaż?

– Mam nadzieję, że nie pogniewasz się, jeśli spytam: zastanawiałam się cały czas, jak udało ci się przekonać Chaisona, by pozwolił ci dołączyć do ekspedycji. – Aubri wyglądała na naprawdę zdumioną. – Na etapie planowania wydawało się, że jest zdecydowany cię pozostawić.

– Ach – mruknęła Venera uśmiechając się – to było zanim go zaszantażowałam.

– Ach... Co? – Zarówno Aubri i Hayden zaśmiali się nerwowo. Venera lekceważąco machnęła ręką.

– Jeszcze w akademii, mój Chaison napisał kilka wywrotowych pamfletów potępiających Pilota. Nikt o tym nie wie, rzecz jasna. Nikt o takich rzeczach nie rozmawia. – Kobieta spojrzała na Carriera, którego twarz jak zawsze pozbawiona była wyrazu. – Dowiedziałam się tego od jego starego druha, więc trzymałam go w szachu, żeby być pewną, że mnie zabierze. To wszystko. – Ostatnie słowa wypowiedziała ze swoistą skromnością.

Hayden nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

– Chaison Fanning... potępiał Pilota?

Carrier z wyraźną niechęcią patrzył na Venerę.

– Nigdy mi o tym nie powiedziałaś – rzekł.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Dlaczego miałabym to robić? – Omiotła go protekcjonalnym spojrzeniem. – Tak czy inaczej, teraz twoja kolej, Lyle. Podzielisz się z nami jakimiś historiami o duchach?

Carrier bąknął coś, po czym spuścił wzrok. Po chwili spojrzał Venerze prosto w oczy i powiedział:

– Historie o duchach są dobre dla dzieci. Rzeczy, które zdarzyły się naprawdę są o wiele straszniejsze niż jakakolwiek bajeczka.

Przekroczono właśnie pewną niewidzialną granicę, lecz Venera zdawała się tego nie zauważać. Kobieta zrobiła nadąsaną minę, mówiąc:

– Na przykład?

–*Na przykład* – odparł chrapliwie – historia o człowieku, który odkrył, że jego syn nie ma jaj, by zrobić to co należy, aby ochronić swój lud. Ten sam

chłopak potem dołącza do Ruchu Oporu podbitego wroga i próbuje przekonać swego ojca, by uczynił to samo.

Venera uniosła brew.

– Co w tym takiego strasznego?

Carrier wziął głęboki wdech.

– Ojciec postanawia zagrać w tę grę. Pod koniec Ruch Oporu zaczyna ufać chłopakowi, a ten oczywiście ufa swojemu ojcu - na tyle, by pewnego razu zdradzić mu lokalizację nowego słońca budowanego przez jego przyjaciół. Zaś ojciec – dokończył z ponurym uśmiechem – robi to, co zrobiłby każdy*lojalny* człowiek. Mówi Pilotowi.

Poniewczasie Venera zdała sobie sprawę, jak wściekły był Carrier.

– Młodzieńczy zapał – powiedziała. – Z tego się wyrasta.

– Tylko jeśli się dożyje – odparł Carrier. – Tylko jeśli się dożyje.

Aubri zmieniła pozycję, zwracając się do mężczyzny.

– Co stało się z twoim synem? – spytała cicho.

– Zginął, gdy te bękarty z Aerie wysadziły swoje nowe słońce – odpowiedział; jego głos pozbawiony był emocji i jakiejkolwiek modulacji. – Ale wiecie co? Gdybym musiał to powtórzyć, zrobiłbym to. Ponieważ lojalny mieszkaniec Slipstreamu nie powinien robić nic wbrew swojemu Pilotowi; ale uczyni wszystko dla swego kraju – mówiąc to, zmierzył wzrokiem Venerę.

Cisza, która potem zapadła, była długa i niezręczna. Aubri próbowała ratować sytuację, opowiadając humorystyczną anegdotkę na temat jej krótkiego pobytu w Rushu, ale sposób w jaki ją opowiadała był wyjątkowo sztywny i nie spotkała się ona z uznaniem.

Szkody zostały wyrządzone; teraz mogli jedynie siedzieć w milczeniu, oczekując świtu. Haydenowi to nie przeszkadzało; stracił ochotę na rozmowy. Skulił się w kącie, zupełnie zszokowany.

Mężczyzna, którego poprzysiągł zabić siedział tuż obok. Przez chwilę nie liczyło się nic innego.

Jednak wydarzyło się coś dziwnego. W miarę upływu czasu gniew Haydena osłabł. Gdy Candesce znów zapłonęło o świcie, pozwolił sobie nawet na wymianę zdumionych spojrzeń z Carrierem, gdy spoglądali przez okno na ogromne pęknięcia ziejące w wielomilowych pniakach obumarłego lasu.

– Zupełnie, jakby jakiś stwór*ocierał się* o drzewa – powiedziała Aubri.

– Wielki robak? – spytał Carrier, choć było jasne, że sam w to nie wierzy. Robale były duże jak chmury, ale niespecjalnie silne. To, co doprowadziło do czegoś takiego, byłoby w stanie pożreć całe miasta.

– Pochód Candesce – rzekła zadowolona z siebie Venera. Wszyscy parsknęli śmiechem, a napięcie po nocy znikło.

Nieco później, Hayden obserwował powrót Carriera i Venery do ich własnej chaty. Czuł się nadzwyczaj lekko, jakby z barków zdjęto mu jakiś ogromny ciężar. Ostatecznie Lyle Carrier był tylko człowiekiem, a co więcej, człowiekiem nieszczęśliwym.

Gdzie ulotniła się jego złość? Przez jakiś czas dumał nad tym, obserwując to Aubri, to Candesce płonące na samym środku nieba. Nie było wątpliwości. W ciągu ostatnich kilku tygodni Hayden nauczył się ignorować przeszłość i teraźniejszość. To możliwość wpłynięcia na przyszłość go zmieniła.

Kto wie, być może był nawet w stanie dotrzymać przyrzeczenia danego Chaisonowi Fanningowi.

Rój aerocykli mknął przez zimę. Wszyscy lotnicy posiadali zamontowane przy siodle lampy magnezowe. Ogromne, świetliste włócznie rozdzierały mrok w poszukiwaniu bezpiecznej trasy. Za nimi, z niebezpieczną szybkością sunęły okręty korpusu ekspedycyjnego. Rosa skraplała się na smukłych kadłubach statków, tworząc smugi za rufami. Każdy mógł ich po tych smugach kondensacyjnych śledzić, gdyby tylko chciał; lecz flota Gehellenów poddała się przy granicy. Niezbyt skwapliwie ich ścigano, stąd okręty Slipstreamu przebyły wiele mil pod osłoną nocy, zanim zostały zauważone.

Ogromne, rozłożyste chmury pojawiały się znikąd, zbyt wielkie, by można je było wyminąć. Dowódca eskadry aerocykli pochylił się, by wypuścić rakietę alarmową, po czym obserwował jak jej żółta głowica znika we mgle. Gdyby uderzyła w cokolwiek, eksplodowałaby fontanną fosforowych iskier. Bacznie obserwował zarys chmury, nie zważając na świszczące wokół, lodowate powietrze. Po chwili dał sygnał, że droga wolna i podkreślił smugę po rakiecie pasmem z wydechu własnej maszyny.

Kilka mil za aerocyklami, Chaison Fanning wyszedł na zewnątrz przez boczny właz*Gawrona* i zaczepił stopy o pierścień przytwierdzony do kadłuba. Spojrzał wskroś upstrzonej na setki mil chmurami przestrzeni na

srebrny punkt w ciemności, który wskazywał położenie słońca Mavery. Wysoko ponad jedną stroną srebrnego obszaru niebo rozświetlały słabe błyski i wybuchy.

Mogła to być zwykła burza, ale kolory się nie zgadzały. Niektóre punkciki miały czerwoną barwę, inne jaskrawo pomarańczową. Światło docierało tu z granicy Mavery i zimy. Rzecz jasna, byli zbyt daleko, by Chaison mógł usłyszeć huk eksplozji, ale bitwa musiała być wielka i zażarta. Czuł, że powinien w niej uczestniczyć.

Po jakimś czasie z włazu wyłonił się Travis, w sprawnej dłoni trzymając łopoczący koc.

– Najmocniej przepraszam, admirale, ale zamarznie tu pan – krzyknął, próbując owinąć materiał wokół ramion Chaisona.

– Spójrz na to – rzekł starszy z mężczyzn. Maleńkie gwiazdy świadczące o eksplozjach nie były w stanie na długo przykuć jego uwagi, nawet pomimo tego, co odnośnie do tamtejszych wydarzeń podpowiadała mu wyobraźnia. Jego wzrok nieuchronnie podryfował dalej, aż w końcu zdał sobie sprawę, że ma przed sobą zebrane światła wszystkich nacji obramowane przecinającymi się smugami aerocykli. Połowa nieba lśniła ułożonymi w okręgi punkcikami, zbyt dużymi, by można było je objąć rozpostartymi ramionami. Ich zewnętrzne krawędzie wyraźnie ciemniały, ale obszary najbliżej centralnych punktów jaśniały błękitem nieba. Tu i tam pojawiało się na kilka sekund jakieś słońce. Wewnątrz grupy nacji znanych pod nazwą Południkowych istniały dziesiątki takich królestw światła, choć bliższe z nich przesłaniały te położone dalej.

Perłowy obszar nieba tuż obok Mavery to Slipstream – choć kiedyś należał do Aerie. Wielosłoneczną Formację Sokoła częściowo przesłaniał kadłub*Gawrona*. Chaison kilkakrotnie wychylał się, by spojrzeć w tym kierunku.

– Ludzie chcą tam być – rzekł Travis, ruchem głowy wskazując światła bitwy. – Wiedzą, że mamy inny cel, ale nie są z tego powodu szczęśliwi.

Admirał westchnął.

– Ja również nie jestem z tego powodu szczęśliwy. Flota przeklnie mnie, jeśli nie stawię się na miejscu. Nie tylko mnie. Nas wszystkich. Do tej pory zapewne już ogłoszono nas zdrajcami. Jeśli nie przywieziemy ze sobą galionu z okrętu flagowego Formacji, Pilot każe mnie publicznie wychłostać. W najlepszym wypadku.

Upewnił się, że jego stopy mocno się trzymają, po czym wyprostował się pomimo przeciwnego wiatru.

– Lecimy tam – krzyknął, wskazując rozświetloną przestrzeń Formacji Sokoła. – Istnieje spore prawdopodobieństwo, że już nigdy nie zobaczymy świateł Slipstreamu. Więc ciesz się ich widokiem, póki możesz, Travis!

– Proszę wejść do środka, sir!

Admirał pokręcił głową.

– Dopiero, gdy będę na to gotowy. Zostaw mnie samego.

Travis wycofał się z zatroskanym wyrazem twarzy.

Chaison Fanning został sam na poszyciu statku z uczuciem osamotnienia. Venery nie było z nim po raz pierwszy od wielu miesięcy. Szybko odkrył, że ból rozstania był większy, niż początkowo przypuszczał. Potrafiła być ogromnie irytująca i uparta; lecz uśmiechał się z jej powodu równie często, jak był przez nią wściekły.

Rozstając się, nie powiedzieli sobie do widzenia; ostatni raz widział ją, gdy oglądała się za siebie, szukając go wzrokiem i zobaczyła, że odprowadza ją spojrzeniem z otwartych wrót hangaru. Zrobiła wtedy wielkie oczy, po czym znów odwróciła głowę.

Uśmiechnął się, gdy wiatr zaczął zdzierać słone krople z jego twarzy, rzucając je w wir smugi kondensacyjnej*Gawrona*.

Candesce przygasało niczym rozżarzony węgielek, gdy cała czwórka wdrapała się na siedzenia, a Hayden odpalił palnik silnika odrzutowego. Wystrzelili przed siebie, z dala od pałąkowatych drzew Chóru Liści, pozornie wprost w kierunku słońca. Hayden po raz ostatni spojrzał przez ramię na domek żniwiarzy, szeroko się uśmiechając. Następnie poprawił gogle na nosie i otworzył manetkę gazu.

Szybko zauważył, że nie zostawiają za sobą smugi kondensacyjnej. Zrzucił to na karb temperatury powietrza w pobliżu Słońca Słońc; niezależnie od przyczyny, byli dzięki temu znacznie mniej widoczni dla gehelleńskich krążowników, które wciąż patrolowały okolicę.

A przynajmniej tak sobie powtarzał przez pierwszych dziesięć minut lotu, dopóki nie zobaczył, że Carrier macha do niego z drugiej strony aerocykla.

Hayden wyciągnął szyję ponad metalowy cylinder. Początkowo widział jedynie normalny ruch statków pogrzebowych oraz śmieciarzy ostrożnie posuwających się w kierunku słońca. Dopiero po chwili dostrzegł to, co

Carrier zauważył wcześniej: osiem świetlistych iskier unoszących się ponad czarnym kolcolistem sargassa. Miały barwę słońca na tle bladoróżowego nieba o poranku.

Carrier wychylił się zza Venery, krzycząc:

– Są większe niż aerocykle! – Ale mniejsze niż kupieckie okręty; Hayden skinął głową. Wyglądało na to, że mają do czynienia z katamaranami, dwusilnikowymi jednostkami, których załogę tworzył pilot oraz artylerzysta. Były szybkie, a znalazłszy się dostatecznie blisko, potrafiły zrobić sito zarówno z aerocykla, jak i jego pasażerów.

Hayden poklepał manetkę gazu, oczekując reakcji ze strony maszyny. Następnie przypadł do rozgrzanego metalu tak blisko, jak było to możliwe i włączył dopalacz. Kobiety po jego bokach również przypadły do kadłuba. Przelatujące obok powietrze huczało w uszach, a Candesce zauważalnie pojaśniało.

Ale tylko na kilka minut; niedługo później Słońce Słońc zaczęło przygasać.

Nie uczyniło tego jednak od razu. W rzeczywistości, gdy Hayden, mrużąc oczy, spojrzał ponad kierownicą, zaczął zauważać skąpaną w blasku konstrukcję. Ku swojemu zdumieniu zdał sobie sprawę, że Candesce nie było jednym słońcem, lecz całą ich gromadą. Próbował je policzyć, ale gasły szybciej niż był w stanie to robić. Każde z nich zostawiało po sobie czerwoną plamę na niebie oraz plamę powidoku na siatkówce.

Ale żar pozostał. Z początku wyczuwalny był w miejscach, których nie dosięgał wiatr: we wgłębieniu gardła i na łydkach. Po kilku minutach nagrzany był już cały aerocykl, zupełnie jakby parli w głąb opornej powierzchni stworzonej z żaru. Po przebyciu pięćdziesięciu mil powietrze było od niego gęste; po stu milach oddychanie zaczynało być problematyczne. Katamarany wciąż za nimi podążały, chociaż inne statki dawno już się wycofały. Snopy świateł z ich lamp czołowych migotały w falującym powietrzu.

W kącikach oczu Hayden zaczął dostrzegać małe plamki światła. Zaniepokoiło go to – czyżby miał zaraz stracić przytomność? – lecz chwilę później spostrzegł smugi kondensacyjne przecinające niebo niczym linie południka.

Venera rozpaczliwie zamachała rękami. Gdy na nią spojrzał, kobieta ułożyła palce tak, że przypominały pistolet. Hayden pokiwał głową i zaczął

zmuszać aerocykl do lotu slalomem, z początku bardzo delikatnie, by nie zrzucić pasażerów – jednak potem nieco gwałtowniej, gdy powietrze ze wszystkich stron zaczął rozdzierać świst pocisków.

Po minucie kanonada umilkła. Chłopak spojrzał przez ramię i zobaczył, że pościg był już blisko, ale wciąż udawało im się zachować przyzwoity dystans.

Hayden uśmiechnął się. Nie mieli dokąd uciekać – a przynajmniej tak musieli myśleć ścigający go ludzie. Wierzyli, że jeśli dostatecznie długo będą siedzieć mu na ogonie, w końcu się podda. Ostatecznie nie było gdzie się ukryć, nie mówiąc już o dostaniu się do wnętrza Candesce.

Czekała ich niespodzianka.

Długie skrzydło cienia wdarło się w zimę za Sargassem 44. Spękana, czarna pięść wypalonego lasu, której krawędzie wygładzała mgła, nie stanowiła specjalnie okazałego widoku dla tych, którzy widzieli Chór Liści, choć posiadała godne szacunku trzy mile średnicy.*Gawron* oraz jego siostrzane statki zakradły się do sekretnej stoczni od nieoświetlonej strony, uprzednio wygasiwszy światła pozycyjne. Dwa aerocykle zwiadowcze wyleciały z niezbyt okazałego okrętu flagowego Chaisona Fanninga. Musiał czekać na ich powrót, ale nie czynił tego na mostku, lecz w hangarze.

Niech diabli wezmą dobre zwyczaje. Spojrzał na tykający zegar na ścianie, a potem na swoich ludzi. Za dwie godziny słońca Formacji miały rozpocząć swój cykl nocny. Za dwie godziny miało się okazać, czy ich plan się powiedzie. Wiedzieli o tym wszyscy, ale nikt nie podejmował na ten temat rozmowy.

Sondy radarowe zamontowano na dziobie wszystkich okrętów, a następnie je wypróbowano. Oczywiście nie działały – na ręcznie dmuchanych rurkach promieni katodowych przymocowanych obok stanowiska pilota na*Gawronie* pojawiały się jedynie jasne mazaje. Jednak gdy na którymś z okrętów włączano lub wyłączano sygnał radarowy, niewyraźne odczyty stawały się jaśniejsze lub przygasały. Wyraźnie wskazywało to na działanie jakiejś niewidzialnej energii. Ta delikatna aluzja przyszłego sukcesu podniosła Chaisona na duchu.

A ludzie... Znów na nich spojrzał. Od kilku dni prowadzili szkolenia w zakresie ostrzału artyleryjskiego prowadzonego jedynie na podstawie doniesień z mostka. Strzelcy rakietowi wyglądali na pewnych siebie.

Pokręcił głową i parsknął śmiechem.

– Marynarze, nie chcę wam ubliżać, ale wyglądacie jak piraci. – Część wciąż lizała rany, inni zaś pośpiesznie łatali jeszcze dziury po kulach i ostrzach w swoich mundurach. Jednak to wszystkie te kosztowności najbardziej odróżniały ich od innych załóg, z którymi Chaison miał okazję pracować. W miarę nadciągania bitwy, marynarze chyłkiem udawali się do swoich szafek, skąd zabierali zdobyte skarby, zupełnie jakby magiczny ciężar przyszłego bogactwa miał utrzymać ich przy życiu.

Było to zupełnie niezgodne z regulaminem i właściwie mógł za to kazać któregoś wychłostać. W decydującym momencie naszyjniki mogły trafić kogoś w oko albo zaplątać się w dłoni.

Dobrze jednak wiedzieli, że nikt nie poniesie za to kary. Dość przekornie, zdawali sobie sprawę z tego, że Chaisonowi nawet to odpowiadało. Admirał żywił wobec nich uczucia, którymi nigdy wcześniej nie darzył żadnej swojej załogi.

Smugi kondensacyjne aerocykli dotarły do granicy sargassa i znikły w jego wnętrzu. Sargasso 44 było zbyt małe i stare, by zachowały się w nim jakiekolwiek toksyczne gazy, zwłaszcza biorąc pod uwagę ciągły ruch statków transportowych oraz prowadzone wewnątrz prace. Chaison mimo wszystko nalegał, aby aerocykliści mieli na sobie kombinezony sargassowe. Ironią losu byłoby, gdyby nawdychawszy się toksycznych oparów, stracili przytomność i wlecieli wprost w stocznię.

– Pozostaje czekać – powiedział Travis. Chaison posłał mu zdumione spojrzenie.

– Zostały nam już tylko frazesy, co? – spytał.

Trabie wydukał coś, ale admirał zbył to machnięciem ręki.

– Nie zwracaj na mnie uwagi – powiedział. – Po prostu czuję się wolny po raz pierwszy od wielu tygodni.

– Tak, sir. – Travis wskazał coś palcem. – Sir? Proszę spojrzeć.

Aerocykle już wracały. Stocznia Formacji musiała leżeć bliżej powierzchni sargassa niż myśleli.

– W porządku. – Chaison z werwą zatarł dłonie. – Zobaczmy, jak wygląda sytuacja.

Hayden widział chmury większe od tych strzelistych iglic, ale nic innego, nawet góry lodowe przy skórze Virgi, nie mogły się z nimi równać. Długie,

łukowate słupy łączyły szereg połyskliwych, półprzezroczystych kolców, które pięły się w niebo niczym odnóża meduzy skrytej w zimowych chmurach. Każdy z nich miał kilka mil długości, ale nie przytwierdzono ich do żadnego stałego podłoża. Najbardziej zaskoczyło go to, że Candesce nie była zwartą konstrukcją, lecz*regionem*. Setki obiektów najróżniejszych rozmiarów i kształtów migotały wewnątrz kuli powietrza wyznaczonej przez gigantyczne iglice. Słońce Słońc było maszyną otwartą na świat zewnętrzny.

Do czego więc służył klucz Venery? Z niedużą prędkością wlecieli pomiędzy zewnętrzne ramiona. Wrogie katamarany zwolniły, mając pewność, że aerocykl im nie ucieknie, a jednocześnie chcąc sprawdzić, co zamierza Hayden. Chwila ta była osobliwie spokojna, a raczej byłaby, gdyby nie potworny żar bijący od kryształowych iglic.

– Są ze szkła? – zaczął myśleć na głos. Siedząca obok Aubri pokręciła głową.

– Z diamentu – odparła. – To re-emitery ciepła.

Gdy minęli strzeliste wieże, pomarańczowawy blask z uśpionych słońc ukazał im siateczkę misternych szczegółów umieszczonych bardziej w głębi: żeber i łukowatych nici kabli, lustrzanych kul wielkości miast oraz długich, meandrujących pomostów. Przy zapalonych wszystkich słońcach, wewnętrzne odbicia musiały dwoić się i troić aż w końcu nie sposób było odróżnić rzeczywistości od ułudy. Skąpane w świetle, Candesce znikało jako fizyczny obiekt. Te iglice i kable były niczym surowe duchy czegoś innego, czegoś pozbawionego formy. Owo coś opuściło to miejsce, przynajmniej na razie – być może, by pożreć jakieś księstwo lub nawet dwa. Lecz wraz z nastaniem poranka miało wrócić, a wtedy ten diamentowo-żelazny świat znikał, ustępując wyższej rzeczywistości utkanej ze światła. Każdy, kto był na tyle głupi, by tu wtedy przebywać, również by znikł.

Venera i Carrier także patrzyli w zachwycie. Hayden brał tylko krótkie wdechy; od wysokiej temperatury zrobiło mu się słabo.

– Dokąd? – spytał pośpiesznie Aubri.

Kobieta omiotła wzrokiem niezwykłe wnętrze Słońca Słońc.

– Tam. – W miejscu, gdzie wskazywała, widać było ciemny kształt prostokąta wsparty o jedno ze słońc. Umieszczono go tuż poniżej

diamentowego czubka u podstawy jednej z iglic. – To powinno być... coś na kształt punktu informacyjnego dla gości.

Hayden parsknął śmiechem, ale natychmiast pożałował tego, gdy powietrze poparzyło mu gardło.

– Kolejna stacja turystyczna?

Aubri jedynie pokręciła głową.

– Ta tutaj... – gwałtownie nabrała powietrza – ...służy nauce i pracom konserwacyjnym. Żadnego zdalnego sterowania. Żadnych turystów.

– Mam nadzieję, że nikt tam na nas nie czeka.

Znów potrząsnęła głową. Hayden uruchomił silnik i już po chwili mknęli pomiędzy migotliwymi chmurami maszyn oraz kabli. Teraz, jednakże, dało się słyszeć buczenie innych silników. Zbliżały się gehelleńskie katamarany.

Hayden poprowadził maszynę po łuku iglicy, wypatrując czegokolwiek znajomego. Prostokąt powoli zamienił się w pudełkowatą budowlę o długości około trzydziestu metrów, którą wykonano z jakiejś białej substancji. Kryształowy kolec przechodził przez jej bok, a tuż obok tego punktu widać było niewielki kwadrat. Hayden zamrugał kilkakrotnie w falującym powietrzu; czy mu się to wydawało? Nie, tam były drzwi.

Po obu flankach aerocykla pojawiły się smukłe niebieskie wrzeciona: katamarany. Przypominały opływowe rakiety z zewnętrznymi silnikami odrzutowymi i kokpitami z dwóch stron. Przy obu kabinach umieszczono ciężkie karabiny maszynowe; te wycelowane były w maszynę Haydena. Jeden z Gehellenów gestem nakazał mu zawrócić.

Chłopak machnął na zgodę, ale leciał dalej.

Kwadratowe drzwi znajdowały się w odległości zaledwie dziesięciu jardów, gdy Gehellenowie oddali strzał ostrzegawczy. Pocisk zrykoszetował od diamentowej ściany. Hayden puścił kierownicę aerocykla i uniósł obie dłonie w geście poddania, jednocześnie mocno ściskając maszynę kolanami, by móc nią sterować.

Kolejny strzał. Tym razem na powierzchni aerocykla pojawił się nowy otwór, zaledwie kilka cali od twarzy Aubri.

Gdy sięgnął w dół, aby wyłączyć silnik, zauważył, że Carrier niedbale wychyla się ze swojego miejsca. W ciszy pozbawionej szumu silnika rozległo się głośne*bang!* Chwilę później mężczyzna zeskoczył z aerocykla, koziołkując w powietrzu i oddał kolejne strzały.

Obaj artylerzyści byli martwi. Pośrodku czoła ziały im identyczne dziury po kulach. Carrier ściągnął Venerę z siodła, a następnie pchnął ją w kierunku ciemnego obrysu drzwi, samemu wylatując na otwartą przestrzeń. Hayden krzyknął ostrzegawczo i zobaczył, że nieprzytomna Aubri zaczęła spadać ze swojego siedziska. Szybko wyjął jedną stopę ze strzemienia i wyciągnął się po Carriera. Chwyciwszy jego dłoń, ściągnął większego mężczyznę z powrotem, podczas gdy katamarany obróciły się do góry brzuchami – ciągnąc za sobą smugi krwi i ukazując pilotów uzbrojonych w karabiny maszynowe.

Venera znalazła w ścianie wgłębienie i wcisnęła weń biały cylinder, którego strzegła jak oka w głowie. Piloci katamaranów otworzyli ogień. Świsnęły kule. Ich ostrzał był jednak dość nieporadny, gdyż odrzut karabinów wprawiał w ruch platformy strzeleckie. Jeden z pocisków trafił w pistolet Carriera, roztrzaskując mu go w dłoni. Mężczyzna cofnął się, przeklinając.

Hayden jedną ręką chwycił Aubri za koszulę, drugą oparł na krawędzi drzwi, które gwałtownie otworzyły się w diamentowej ścianie. Wkrótce udało mu się wciągnąć dziewczynę oraz aerocykl w plamę oślepiającego światła, przy ogłuszającym akompaniamencie huku karabinów maszynowych.

Dźwięk umilkł niespodziewanie, gdy drzwi zamknęły się za nimi, a cała czwórka wraz z aerocyklem wpadła w świetlistą studnię.

– Nic? Nic a nic? – Chaison poczuł mdłości. Dwaj aerocykliści nie wyglądali lepiej; członkowie załogi utworzyli wokół nich półokrąg. Ich również poraziła ta wiadomość.

– Sargasso jest porzucone, sir. Znikło wszystko poza jedną lub dwiema chatami, które przypominają budynki strażnicze. Wszystkie statki odleciały, jeśli nie liczyć holowników, ale...

– Na pewno nie ukryto ich gdzieś wewnątrz sargassa?

Dwaj mężczyźni spojrzeli po sobie i obaj wzruszyli ramionami.

– Nie byłoby ich gdzie schować, sir. Szukaliśmy. Sir... sir, oni odlecieli.

Odlecieli. Pancernik Formacji Sokoła oraz cała flota nowych okrętów wojennych zmierzała do Slipstreamu. A może nawet już tam dotarła. Zaś Chaison Fanning zabrał siedem statków, które mogły pomóc w obronie ich

ojczyzny, trwoniąc ich siły na bezsensowną wyprawę w nadziei na zdobycie złudnej przewagi. Przegrał wszystko.

– Sir? Co teraz?

Chaison Fanning nie miał żadnej odpowiedzi na to pytanie.

Chłodne powietrze obmyło twarz Haydena. Przez chwilę napawał się tym, biorąc głębokie wdechy i przebiegając palcami po spoconej głowie. Następnie przeniósł całą uwagę na Aubri.

– Nie oberwała. – Carrier już był przy niej, kręcąc nią w powietrzu, jakby była jakimś towarem na targowisku. Miał rację, nie było śladu krwi.

Czy sprawiła to zabójcza pluskwa, która tkwiła w jej wnętrzu? Czy Aubri przekroczyła jakąś niewidoczną linię albo zaczęła mówić coś, co mogło wywołać taką reakcję? Przez chwilę Hayden był pewien, że tak się stało i kobieta nie żyła.

Wtedy Carrier położył jej rękę na czole.

– Rozpalone. Ma przyspieszone tętno. Nie poci się; wygląda na to, że straciła przytomność z powodu gorąca.

Aubri kaszlnęła słabo, otwierając oczy.

– Och, moja głowa – mruknęła. Powiodła dookoła zdezorientowanym wzrokiem. – Jakim cudem wróciliśmy na... Aha. – Wyciągnęła ramiona, szukając jakiegoś uchwytu. Hayden podał jej rękę. Kobieta złapała ją i przyjęła pozycję pionową w stosunku do dwóch mężczyzn.

– Jesteśmy wewnątrz Candesce – powiedziała.

– I działamy pod presją czasu. – Venera niecierpliwie czekała w pobliżu drzwi. Wojskowy aerocykl zawisł w powietrzu obok niej, dudniąc i trzaskając, w miarę jak stygły jego części. Hayden policzył dziury po kulach, przeciągając obok niego Aubri; było ich przynajmniej dwadzieścia. Szybki rzut oka pozwolił mu ocenić, że bak był nienaruszony, nie miał jednak pewności co do palnika oraz wiatraka.

– Chodźcie – powiedziała Venera. – Mahallan, jesteś dostatecznie przytomna, żeby zrobić swoje?

– Tak, oczywiście – odparła Aubri z irytacją. Jednak Carrier pokręcił głową.

– Potrzebujesz wody i zimnego okładu – rzekł. – Nie chcemy chyba, żebyś popełniła jakiś błąd w krytycznym momencie.

Venera dobyła zdobiony zegarek z kieszeni jedwabnej koszuli.

– Mamy godzinę – oznajmiła. – Daję ją wam bardzo niechętnie.

Zaczęli zwiedzać. Hayden z łatwością prowadził Aubri, wciąż rozgorączkowaną i słabą; gdyby działała na nich siła grawitacji, prawdopodobnie nie byłaby w stanie chodzić.

– Znajomy wystrój – powiedziała Venera, gdy przeszli kawałek jasnym, białym korytarzem. Wnętrze budynku, który Aubri nazwała „informacją dla gości” zostało podzielone na niezliczoną ilość pomieszczeń i korytarzy, ale tylko z grubsza, gdyż ściany oraz podłogi nie wszędzie się ze sobą stykały. Zamiast zamkniętych pudełek, z których korzystano przy grawitacji, tutaj natrafiali na zawieszone w powietrzu, pastelowe prostokąty z materiału sugerujące zarys pomieszczeń, ale nie ograniczające poruszania się. W wielu miejscach można było prześliznąć się pod „ścianą” do następnego pomieszczenia lub przefrunąć przez otwór w podłodze do pokoju „poniżej”. Tu i tam dryfowały elektryczne lampy w wielu kolorach, rzucając cienie, które rozmywały ostre krawędzie otoczenia. Tego typu rozplanowanie pomieszczeń było typowe dla domostw umieszczonych w stanie nieważkości, jednak tam zawsze widać było sznury lub kable utrzymujące prostokąty w miejscu. Tutaj Hayden nie zauważył, aby ściany były mocowane w jakikolwiek sposób.

Pomieszczenia zostały z kolei podzielone ekranami na strefy funkcjonalne: nawy kuchenne i jadalne, centra rozrywki, a nawet zacienione nisze do spania. Znalezienie wody dla Aubri nie zajęło im wiele czasu. Kobieta obmyła sobie twarz i od razu zaczęła wyglądać na żywszą.

– To miejsce mogłoby pomieścić setki osób – powiedział Carrier. – Jesteś pewna, że nikt nigdy tutaj nie przychodzi? Wygląda na trochę zbyt zadbane.

Aubri parsknęła śmiechem.

– Po przeprowadzeniu prac konserwacyjnych nad słońcami Candesce, utrzymanie w porządku tego miejsca musi być lekkim zajęciem.

– Ale kto wykonuje to lekkie zajęcie?

– Nie kto, ale co. Nic, co moglibyśmy tutaj spotkać, Carrierze. Nic ludzkiego.

Mężczyzna wyglądał na podenerwowanego.

– Tutaj jest zbyt pusto. Nie podoba mi się to.

Hayden przeszukał szuflady w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby pomóc Aubri. Ku swojemu zaskoczeniu odkrył, że wszystkie były doskonale zaopatrzone, choć pakunki oraz pudełka opisano w nieznanym mu języku.

Aubri jednak nie chciała już niczyjej pomocy.

– Czuję się lepiej, Venero. Zabierzmy się do roboty. – Wyfrunęła z niszy kuchennej i prześliznęła się przez pierścień dużej, cylindrycznej sofy w salonie tuż obok.

Venera zmarszczyła brwi.

– Cóż, w takim razie, na co czekasz? Gdzie jest... mostek, centrum dowodzenia, jakkolwiek się to nazywa?

Aubri wskazała gestem pustą ramkę zajmującą większą część sufitu.

– Wszędzie, gdzie sobie tego życzysz, Venero. Spójrz. – Wypowiedziała kilka słów w języku, którego Hayden nigdy wcześniej nie słyszał. Ramka niespodziewanie rozjarzyła się wewnętrznym blaskiem. W następnej chwili otworzyła się jak drzwi lub okno, zaś Hayden miał okazję zajrzeć w głąb połyskliwego wnętrza Candesce.

W samym sercu Słońca Słońc, oświetlonym jakimś magicznym nieświatłem, roiło się od maleńkich stworzonek, które Hayden widział kiedyś przez okular szkolnego mikroskopu. Same słońca przypominały nieco kolczaste i opalizujące okrzemki; choć przeszły w stan spoczynku, wszędzie wokół nich otwierały się główki czegoś, co przypominało metalowe kwiaty. Ich płatki poruszały się niczym dłonie zmanierowanych tancerzy, o szerokości kilkuset stóp, odsłaniając skomplikowane pąki maszynerii, która w czasie dnia najwyraźniej pozostawała w letargu, skryta w wolframowych kokonach. Z ich wnętrza wylatywały jasne plamy, przywodząc na myśl nasiona ze strąka – lub aerocykle z hangaru.

Inne części konstrukcji również pozostawały w ruchu – długie, wrzecionowate ramiona ostrożnie zbierały z powietrza kryształowe cylindry, łącząc je następnie ze sobą. Hayden zauważył we wnętrzu walcowatych obiektów kolejne maszyny.

– Co one robią? – spytał.

– Naprawiają – powiedziała Aubri nieobecnym głosem. – Przebudowują. Nie przyglądajcie się niczemu zbyt intensywnie, bo możecie coś uszkodzić.

Hayden posłał jej zmartwione spojrzenie; po chwili zauważył, że Carrier również się jej przygląda. Kobieta wyglądała jednak o wiele lepiej niż jeszcze kilka minut temu. Hayden postanowił puścić jej dziwną uwagę mimo uszu.

– Tam! – Wskazała Aubri. Hayden zerknął w tę stronę i zobaczył dwa katamarany oddalające się od przebudzonej do życia maszynerii.

Gehellenowie nie mogli kontynuować pościgu we wnętrzu Słońca Słońc, więc go zarzucili. Być może mieli zamiar poczekać na świt na zewnątrz niepokojącego serca Candesce. Cóż, trzeba było przygotować się na taką ewentualność.

Hayden ponownie zwrócił uwagę na rozwijające się nieżycie Candesce. Przez kilka minut szukał czegoś, aż w końcu to dostrzegł. Jeden z okrętów zbieraczy z księstw powoli zbliżał się do strefy mechanicznej aktywności. Leciał pod dziwną banderą, której chłopak nie widział nigdy wcześniej, ale postanowił zignorować zarówno to, jak i dziwny kształt statku, skupiając się na tym, dokąd ów zmierzał.

– No i? – spytała niecierpliwie Venera. – Gdzie jest sterowanie, Mahallan? Chyba czas, byś już zaczęła?

– Ciii, Venero – odparła Aubri. – Już zaczęłam.

Hayden słyszał, że wszystkie słońca Virgi zbudowano z odrzuconych komponentów Candesce. Nie był pewien, czego się spodziewać, ale mimo wszystko zaskoczyło go, gdy okręt zbieraczy podleciał do jednego z dużych, przejrzystych cylindrów wciąganych właśnie w pobliże któregoś ze słońc. Pomiędzy rzeczonym cylindrem a jednym z kwiatów zaszła właśnie jakaś skomplikowana wymiana; w krysztale otworzyły się drzwi, między którymi a „kwiatem” krążyła chmara metalowych insektów. Chwilę później w mozaikowej ściance słońca otworzył się kolejny właz i rozpoczęła się następna wymiana.

W tym samym czasie otwarto wrota hangaru na okręcie z księstw, a ze środka wylecieli ludzie w kombinezonach sargassowych – z tej odległości stanowiący zaledwie gwiaździste kształty – którzy rzucili się w strumień wymienianych pakunków. W końcu udało im się wyrwać coś owadzim kurierom; Hayden mógłby przysiąc, że widział wcześniej podobne łuki i opaski jak te z owego urządzenia, gdzieś w na wpół dokończonym sercu nowego słońca jego rodziców.

Ale czy metalowe insekty nie zamierzały oponować? Kradzież od nich wydawała się graniczyć z samobójstwem. Czekał aż rój odwróci się i zaatakuje mężczyzn. Po dłuższej chwili oczekiwania tak właśnie się stało; pozostałe trutnie porzuciły swoje pakunki i zwróciły się przeciwko ludziom, którzy najwyraźniej nie byli świadomi niebezpieczeństwa.

Uciekajcie, uciekajcie, ponaglał nieznajomych, gdy stalowe owady wyciągnęły szpony i rzuciły się na mężczyzn w kombinezonach.

– Hayden, cokolwiek robisz, przestań – powiedziała Aubri, machając mu przed oczami.

– Hmm? Przecież ja nic... Spójrz tam, na ten statek! – Wskazał palcem.

Aubri odwróciła głowę i popatrzyła w kierunku okrętu z księstw.

– Och. Powiedz, że tego nie zrobiłeś. – W jej głosie brzmiał zawód. – Powstrzymajmy to.

W ostatniej chwili metalowe insekty zawróciły.

– Hayden, przestań – powiedziała Aubri. – Odwróć spojrzenie. – Złapała go za ramię, obracając wokół osi.

– Co ty...

– Hayden, patrzysz w lustro sterujące. Nie wiesz, co to jest? – Dopiero wtedy dostrzegła ich pełne zdziwienia twarze. – Nie wiesz. Przepraszam. Posłuchajcie, lustra sterujące służą kontrolowaniu systemów Candesce. Za każdym razem, gdy spojrzycie w lustro, wydarzy się to, o czym pomyślicie - o ile jest to możliwe wewnątrz Candesce. Hayden, przerwałeś pracę tych małych tragarzy, martwiąc się tym, czy nie przestaną robić tego, co robiły do tej pory.

Venera zaśmiała się.

– Kazałeś robalom zaatakować tych ludzi! Jesteś gorszy niż myślałam.

– Hej, nie miałem zamiaru...

– Lustra sterujące są wrażliwe – powiedziała Aubri. – Chyba lepiej będzie, jeśli żadne z was nie będzie w nie spoglądać przez jakiś czas. Muszę dojść do tego, które komponenty Candesce należy wyłączyć. To zajmie kilka minut.

Cała trójka zeszła z kanapy i udała się do pomieszczenia kuchennego.

– Skąd będziemy wiedzieli, czy wykonała swoje zadanie? – szepnął Carrier. Venera przewróciła oczami.

– Trochę za późno, by się o to martwić. Chaison i ja rozmawialiśmy na ten temat kilka miesięcy temu. Mahallan nie jest jedyną osobą, która wie co nieco na temat starej technologii; poprosiliśmy profesora z Uniwersytetu, by zbudował*to*. – Sięgnęła do kieszeni, wyciągając prostą, metalową rurkę. Urządzenie miało z boku jakiś przełącznik oraz szklaną szybkę, a przypominało podłużną latarkę. – Kiedy wciskam ten guzik, nic się nie dzieje. Jeśli Mahallan wykona zadanie, wewnątrz cylindra powinno zapalić się światło. – Zademonstrowała, naciskając przycisk. Nic się nie stało.

– Czy ona wie o tym? – spytał Carrier. Venera prychnęła szyderczo.

– Nie. Dlaczego miałabym jej mówić? – Ponownie, dość bezmyślnie, wcisnęła przełącznik. Tym razem szklane oko zapłonęło czerwonym blaskiem. Venera krzyknęła z zaskoczenia i wypuściła urządzenie z dłoni, pozwalając, by zawisło w powietrzu między nimi.

– Proszę, proszę – powiedziała.

Hayden patrzył jak pozostała dwójka przygląda się urządzeniu, wymieniając podekscytowane uwagi. Wskaźnik Venery nie robił na nim najmniejszego wrażenia; nie mógł przestać myśleć o doświadczeniu z lustrem kontrolnym. Szklane panele rozmieszczone były w całym budynku; spróbował przypomnieć sobie słowa, których Aubri użyła do aktywowania swojego.

– Słuchajcie, aerocykl jest pełen dziur po kulach – powiedział. – Jeśli coś zostało uszkodzone, to lepiej żebyśmy wiedzieli o tym wcześniej, dopóki jest czas na naprawy. Nie jestem pewien, czy będzie tu bezpiecznie, gdy słońca zaczną na nowo budzić się do życia. – Matka i ojciec dużo opowiadali o promieniowaniu; doskonale pamiętał ich słowa. Nawet, jeśli przez cały dzień było tu chłodno, dawka promieniowania bijąca od pracujących słońc mogła być zabójcza.

Carrier kiwnął głową.

– W takim razie sprawdź wszystko.

Hayden raz jeszcze spojrzał na Aubri. Kobieta zawisła w powietrzu, wpatrując się w świetliste obrazy na ekranie. Jej twarz przypominała maskę, zupełnie pozbawioną wyrazu.

Czując przyspieszone bicie swego serca, Hayden prześliznął się pod ścianą i uciekł z dala od spraw Slipstreamu.

– Kiedy skończą ci się pomysły, po prostu wydaj kolejny rozkaz. – Chaison Fanning przypomniał sobie cyniczną radę jednego ze swych nauczycieli z akademii, gdy sternik zajął się wykonywaniem jego ostatniej komendy. Korpus ekspedycyjny przeczesywał przestrzeń wokół Sargassa44, wykorzystując do tego zaawansowany manewr spiralnego przeszukiwania. Wszystkie aerocykle miały wyglądać smug kondensacyjnych. Nie wiedział, cóż innego mogliby zrobić. W międzyczasie przywdział maskę pełnego opanowania, godnego profesjonalisty; tak, jakby przewidział to wszystko i miał jakiś plan. Nie miał żadnego. Nie pozostało im nic innego jak tylko wracać do domu.

– Szesnasta brygada aerocykli zgłasza, że nic nie znalazła, sir – poinformował go członek ekipy semaforowej. Chaison pokiwał głową. Za bulajami na dziobie nie było nic poza szarą mgłą. Chmury tworzące się na skraju zimy dałyby im ogromną przewagę, gdyby udało im się wywabić okręty Formacji z ich nory. Jak na ironię, te same widmowe obłoki znacznie zmniejszały ich szansę na odkrycie, dokąd udał się wróg.

Światło na zewnątrz przygasło; nadciągała noc. Formacja zsynchronizowała swój cykl dnia i nocy z Candesce, co oznaczało, że Słońce Słońc prawdopodobnie też przechodziło obecnie w stan spoczynku. Jeśli Aubri Mahallan zrobiła, co do niej należało, za kilka minut subtelne emanacje czasoprzestrzenne bijące od Candesce miały ustać. Dzisiejszej nocy znów mieli skorzystać z dawno zakazanej technologii. Miał zadziałać ich radar.

Radarowy, którego Mahallan wyszkoliła osobiście, spoglądał na admirała wyczekująco. Chaison posłał mu połowiczny uśmiech. Czemu nie?

– Rozpocząć odczyt radarowy – powiedział, opierając podbródek na pięści. Dobrze było wiedzieć, że głos wciąż miał pewny, nawet pomimo tak strasznego rozczarowania.

Nawet teraz nowy pancernik Formacji mógł zmierzać w stronę Rushu. I żadna siła Slipstreamu nie mogła go pokonać. Pilot w pełni zasłużył sobie na detronizację – Chaison wiedział, że jego ludzie poparliby go w tej kwestii – lecz po podbiciu Slipstreamu, Formacja Sokoła pochłonęłaby wszystko. Czyniono tak już w przeszłości: obrazy zostałyby przemalowane, by odpowiadać arbitralnym standardom biurokracji, książki zaś napisano by od nowa, aby pasowały do ideologii Kolektywu. Wprowadzono by zmiany w architekturze, aż w końcu nawet sam język zostałby dostosowany do idealnej wizji świata Formacji Sokoła.

Chaisona przepełniło straszliwe uczucie. Zaczął zastanawiać się, czy obywatele Aerie czuli to samo, gdy Pilot wystosował wobec nich ultimatum.

Młodszy Chaison Fanning nigdy nie zaprzątałby sobie głowy takimi rzeczami.

– Działa! – Admirał posłał radarowemu poirytowane spojrzenie. – Przepraszam, sir. Chciałem powiedzieć, że mamy odczyt. Obraz jest wyraźny! Proszę spojrzeć.

Wbrew samemu sobie, Chaison był ciekaw tego urządzenia. Aubri Mahallan przygotowała zabawkową wersję systemu, która pokazywała, jak powinny wyglądać odczyty. Teraz, gdy wypiął się z fotela i podleciał do radaru, zobaczył małe, świetliste smugi na dwóch zielonkawych wyświetlaczach, bardzo podobne do tego, co widział wcześniej na atrapach Mahallan. Kobieta wyszkoliła całą załogę mostka w odczytywaniu znaczeń poszczególnych kształtów, dzięki czemu Chaison nie miał problemu z rozpoznaniem pozostałych statków korpusu ekspedycyjnego, widocznych jako wrzecionowate romby o jasnozielonej barwie. Dwa ekrany pokazywały odczyty z obracających się promieni, położonych prostopadle względem siebie. Porównując je, można było z grubsza określić pozycję danego obiektu w trójwymiarowej przestrzeni.

Członkowie załogi spoglądali mu przez ramię. Chaison postanowił ich zignorować.

– Co to jest? – spytał, wskazując na obszerny kleks znacznie oddalony od centralnego punktu wyświetlacza, reprezentującego*Gawrona*.

– Sądzę, że to sargasso, sir.

– Hmm. – Przez kilka chwil uważnie wpatrywał się w odczyt. – W porządku, skoro to jesteśmy my... – Wskazał palcem ich pozycję. – ...a to jest sargasso... – Przesunął dłoń w inne miejsce. – ...to czym tak właściwie jest*to*?

Na krawędzi wyświetlacza migotała grupa maleńkich punkcików, które kolejno znikały za krawędzią ekranu, co sugerowało, że poruszają się z dużą szybkością.

Chaison oraz radarowy popatrzyli po sobie. Chwilę później admirał doskoczył do swojego fotela.

– Wszyscy na pokład! Przygotować się na maksymalne przyspieszenie! Odwołać wszystkie aerocykle! Drużyna semaforowa, nakazać wszystkim okrętom włączenie radaru! Przekażcie im, że jeśli chcą mieć jakieś miejsce, gdzie mogliby trwonić swoje bogactwa, niech lecą za nami!

Po oględzinach aerocykla i spędzeniu następnej godziny na jego naprawach, Hayden wrócił na korytarze stacji. Wahał się, czy nie zobaczyć, co u Aubri – choć kobieta twierdziła, że tylko ona sama jest w stanie pozbyć się owej mrocznej rzeczy owiniętej wokół gardła. Nie chciał przeszkadzać jej w tak ważnym zadaniu. Miał inny obowiązek i zamierzał wypełnić go jak najlepiej.

Odnalazł niewielkie pomieszczenie z dala od miejsca, gdzie pracowała Aubri. W ciemności, na ścianie wisiało jednak lustro sterujące. Przypiął się naprzeciwko niego i spróbował przypomnieć sobie słowa konieczne do aktywacji, które wypowiedziała Aubri.

Potrzebował do tego kilku prób, ale w końcu prostokąt zaczął jaśnieć wewnętrznym światłem.

– Hmm. – Hayden nie mógł uwierzyć, że naprawdę był tutaj,*wewnątrz* Candesce. Kontrolował samo Słońce Słońc – nigdy nie pomyślałby, że to możliwe.

Swoje podwoje otworzył przed nim osobliwy, nocny balet machinerii Candesce. Chłopak zlustrował spojrzeniem przestrzeń w poszukiwaniu potrzebnych mu rzeczy. Wydawało mu się, że minęło wiele lat odkąd bawił się w trzewiach niedokończonego słońca, podczas gdy jego matka dyrygowała ekipami budowlanymi. Z punktu widzenia dorosłego nie było to jednak aż tak dawno. Pamiętał dzień, w którym bezcenny rdzeń dotarł na miejsce, przesłany w tajemnicy i za bajońskie sumy z księstw Candesce. Skrzynie oblepione egzotycznymi znaczkami oraz opisane dziwnymi literami były dla Haydena bardziej interesujące aniżeli sama zawartość, ale doskonale ją zapamiętał. Teraz przeszukiwał wnętrze Słońca Słońc, wyglądając czegoś podobnego.

Z tego, co widział wcześniej, Hayden wywnioskował, że kryształowe cylindry były czymś w rodzaju fabryk produkujących nowe części dla słońc. Gdy się im teraz przyglądał – przybliżając obraz na każde życzenie i z równą łatwością go oddalając – zaczął rozumieć logikę Słońca Słońc. Te maleńkie, połyskliwe chmury wirujące wokół cylindrów, to były insekty nazywane przez Aubri tankowcami, tyle że tutaj występowały w ilościach idących w miliony. Transportowały zapasy. Wewnątrz cylindrów i rozwiniętych kwiatów z metalu, stalowi brygadziści oraz robotnicy Candesce przygotowywali nowe knoty dla słońc. Spełniwszy swoje zadanie, przekazywali je innym maszynom, które montowały je w odpowiednich miejscach.

Hayden musiał jedynie zlokalizować potrzebne mu komponenty, a potem wyobrazić sobie, że zostają one przyniesione tutaj.*Zostawcie je przed drzwiami*, rozkazał. Z narastającym poczuciem ekscytacji, patrzył jak jego komenda zostaje wcielona w życie.

Nic dziwnego, że nikogo tu nie wpuszczano! Każdy mógł zniszczyć Candesce jedną myślą; zniszczenie Słońca Słońc oznaczałoby koniec Virgi.

Sama ta myśl napawała go niepokojem. Mina Haydenowi rzedła, w miarę jak obserwował pochód maszyn mknących w kierunku informacji dla gości. To było aż za proste – drzemała tu niewyobrażalna potęga. Zaczął się zastanawiać, co mogłaby uczynić Venera, gdy ten epizod dobiegnie końca. Albo do czego mógłby posunąć się Pilot Slipstreamu, gdyby zażądał i otrzymał od Fanningów klucz do Candesce.

Upewniwszy się, że maszyny wykonują jego rozkazy, Hayden opuścił niewielkie pomieszczenie. Przeskakiwał nad lub prześlizgiwał się pod ścianami, śpiesząc z powrotem do wejścia oraz pozostawionego tam aerocykla.

Jeszcze raz sprawdzić, czy maszyna nadaje się do lotu. Poukładać zdobyte komponenty słońca w sieci towarowej, a następnie przywiązać ją do aerocykla. A następnie... powtórzyć, co zamierzał powiedzieć innym, gdy zobaczą, co przyniósł.

Bez wątpienia będzie trzeba ich przekonywać – szczególnie Carriera. Miał zamiar przemówić mu do rozsądku przez jego panią, Venerę. Gdyby udało mu się ją przekonać, że komponenty te były czymś w rodzaju zapłaty za jego udział w tej wyprawie, być może powstrzymałaby Carriera.

Wypadł za róg i zobaczył wejście.

Stało otworem.

Zwolnił, ostrożnie dobywając miecza. Czyżby Gehellenom udało się w jakiś sposób sforsować drzwi? Wydawało się to mało prawdopodobne; dlaczego teraz, po tylu wiekach? A może – ta myśl zmroziła go do kości – może teraz, gdy już je otworzyli, każdy mógł się tu dostać. O tym nie pomyślał. Czy gehelleńscy żołnierze wtargnęli do środka?

Spostrzegł pierwsze zamówione pakunki unoszące się w ciemności na zewnątrz. Mimo zgryzot, ich widok wywołał uśmiech na jego twarzy. Obok unosił się aerocykl, na pierwszy rzut oka nienaruszony. W zasięgu wzroku nie było nikogo innego. Ostrożnie ruszył w kierunku otwartych drzwi.

Carrier wpadł do środka, opierając dłonie po obu stronach wejścia. Za plecami miał noc.

– Tutaj jesteś – powiedział. – Zastanawiałem się, jaki numer będziesz chciał wywinąć. Nie miałem wątpliwości, że będziesz czegoś próbować.

– To nie twoja sprawa – odparł Hayden.

– Nowe słońce dla Aerie to jest moja sprawa.

Carrier dobył miecza.

Gawron z rykiem mknął przez mrok, nie zważając na niebezpieczeństwa. Chaison wyobrażał sobie regulaminy i przepisy marynarki wojennej ciągnące się w ślad za ich statkiem. W jednej chwili złamali chyba wszystkie zasady dotyczące tego, jak szybko można poruszać się w chmurach. Zmusił okręt do lotu z prędkością stu mil na godzinę, potem dwustu, obserwując jak maleńkie kropki, odzwierciedlające flotę Formacji Sokoła, zmieniały się w koła, aż w końcu dało się rozpoznać kształt poszczególnych statków.

Wszyscy członkowie załogi mostka byli bladzi. Travis przysiadł obok Chaisona. Jego usta przypominały teraz cienką linię. Palce wpijały się w oparcie fotela. Logika podpowiadała, że z pędząc z taką prędkością wkrótce w coś uderzą – jednak ze wszystkich ludzi na mostku to właśnie radarowy był najspokojniejszy.

– Dwa stopnie na bakburtę, pięć na południe – mówił, albo: – Teraz sześć stopni na sterburtę. – Lecący na oślep pilot stosował się do jego zaleceń, nerwowo kręcąc sterem.

– Odbieramy poboczne sygnały – rzekł krótko mężczyzna. – Tak jak mówiła.

– W porządku. – Chaison uśmiechnął się złowrogo. – Wiecie co robić.

Flota Formacji powoli przedzierała się przez ocean chmur; nikt nie był w stanie stwierdzić, jak daleko sięgała mgła. Oczywiście nie potrzebowali żadnej zasłony, bo i tak trwała noc. Ale gdyby udało im się sprawić, że wrogie okręty utkną w mlecznym oparze, mieliby przewagę nawet wraz z nastaniem dnia. O ile wciąż będą wtedy walczyć.

W międzyczasie musieli wytrącić przeciwnikom wszystkie atuty.

– Ustawić kurs na te aerocykle – powiedział. – Przekażcie pozostałym załogom, by uczyniły to samo. Zdmuchniemy wartowników Formacji jak stary kurz.

Silniki zawyły, gdy wyciśnięto z nich jeszcze trochę mocy. Tuż za iluminatorem mignęła ciemna sylwetka, a po chwili rozległo się*bang!* Okręt zadrżał od uderzenia, ale parł naprzód.

Chaison skrzywił się. Rozjeżdżali właśnie aerocykle zwiadowcze Formacji Sokoła. Podobnie jak wtedy, gdy*Dręczyciel* wysłał swoje

maszyny, by wyglądały jakichkolwiek przeszkód – nieskutecznie, zresztą – flota Formacji musiała wymacać sobie trasę, rozpraszając się z przodu i po bokach. Bez radaru, był to jedyny sposób na bezpieczną przeprawę przez chmury i mrok.

Jeszcze jedno uderzenie o kadłub, a po nim kolejne. Chaison widział na radarze jak siostrzane okręty*Gawrona* wlatują między wrogie aerocykle reprezentowane przez kropki, które najzwyczajniej w świecie znikały po ich przelocie.

Przed nimi sunęła ogromna, ale dość bezkształtna plama, którą musiał być nowy pancernik – straszliwa broń, jakiej nie widział na oczy żaden Slipstreamowiec, jeśli nie liczyć kilku nieostrych fotografii. Jak na ironię, teraz też mieli niewielką szansę go dojrzeć. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, marynarze ze Slipstreamu mieli nigdy nie nawiązać kontaktu wzrokowego z dziesiątkowanym przeciwnikiem.

Gawron zmienił kurs i zatoczył wielkie koło. Gdy przygotowali się do drugiego odejścia, Chaisona uspokoił fakt, że przed nimi nie było żadnej bezchmurnej przestrzeni.

– Przygotować miny – powiedział. A po chwili: – Hamować, hamować!

Usłyszał furkot wyrzucanych ze środka żagli hamulcowych. Sekundę później szarpnęło nimi w dół. Travis przywarł do oparcia fotela, gdy*Gawron* z jękiem zaczął zwalniać.

– Wyłączyć silniki!

W ciszy zakłócanej jedynie wyciem wiatru oraz łopotaniem żagli hamulcowych,*Gawron* przemknął obok niewidzialnego pancernika, przecinając jego kurs.

– Rozstawić miny! Teraz, teraz, teraz! Szybko, szybko, szybko!

W otwartych drzwiach hangaru zahuczał wiatr. Dało się też słyszeć odległe chrobotanie, przywodzące na myśl odchrząkującego potwora.

A potem grzmot.

Wstęga krwi Haydena wiła się na środku pomieszczenia, jak gdyby chciała odnaleźć go po omacku. Carrierowi udało się zranić chłopaka w policzek.

– Zaczekaj! – Hayden cofnął się. Pierwszy cios mężczyzny wziął go z zaskoczenia, ale teraz zdążył już dobyć własnej broni. Tak, ogromną satysfakcję dałaby mu możliwość zaatakowania Carriera, który przyczynił się do śmierci jego rodziny; jeszcze lepiej, gdyby udało się przekonać go do zmiany zdania.

– Wciąż jeszcze masz szansę się uratować – powiedział Hayden, widząc, że Carrier szykuje kolejny wypad.

– Uratować? – Carrier parsknął śmiechem. – O wiele lepiej władam mieczem od ciebie!

– Nie to miałem na myśli. Mówię o twoim synu.

Twarz Carriera przybrała ziemistą barwę.

– Co...

– Zdradziłeś go! Zdradziłeś, a potem zamordowałeś. To nie daje ci spokoju. Twoje życie stało się puste od tamtego momentu, nieprawdaż? Każdy może to dostrzec w twoim sposobie chodzenia, w tembrze twojego głosu. Nie potrafiłem jedynie odpowiedzieć na pytanie*dlaczego*? Aż do niedawna.

– Moje życie to nie twoja sprawa – wycharczał Carrier. – Zajmij się swoim.

– Nie wierzysz w istnienie czegokolwiek, co mogłoby wynagrodzić krzywdę, jaką mu uczyniłeś. Moim zdaniem istnieje coś takiego. Potrafisz w ogóle to sobie wyobrazić? Mówię ci, że istnieje.

Carrier wyraźnie walczył o panowanie nad sobą.

– Nie.

– Jak poczułby się twój syn, wiedząc, że koniec końców zmieniłeś zdanie? Że pozwoliłeś zrealizować ten projekt?

Teraz Carrier zamilkł, robiąc wielkie oczy.

– Za kilka lat Slipstream opuści Aerie. Dlaczego nie mielibyście zostawić za sobą samowystarczalnego państwa? On tylko tego chciał. Pozwól mi

zawieźć części nowego słońca mojemu ludowi; i tak nie będzie ono zbyt szybko gotowe, by stanowić dla was zagrożenie. Dlaczego nie? Duch twojego syna odrodzi się w jego blasku. W ten sposób go odzyskasz. Wciąż nie jest jeszcze za późno.

Carrier opuścił broń. Wyraźnie łamał sobie głowę nad kwestią, której wcześniej w ogóle nie brał pod uwagę. Następnie, bardzo powoli, rysy jego twarzy stężały, zupełnie jakby poczucie winy było jedynym uczuciem, z jakim czuł się naprawdę dobrze.

– Niezła próba! – krzyknął i ponownie ruszył do ataku.

Cztery krążowniki Slipstreamu bezgłośnie cięły mrok. Syreny oraz odgłosy wystrzałów rozbrzmiewały w chaotycznej wrzawie, ale panujące ciemności uniemożliwiały określenie kierunku i odległości, z których dochodziły poszczególne dźwięki.

Kursy krążowników zaczęły różnić się od siebie; obserwatorzy na jednym statku, wyglądali sylwetek innych, które szybko przemykały pomiędzy chmurami. Teraz, obok kadłubów zaczęły przelatywać dziwne obiekty, krótkotrwale rozświetlane płomieniami; ludzie i rozrzucone kończyny; dymiące resztki; pogruchotane cylindry wojskowych aerocykli. Mijały statki z zatrważającą prędkością, choć to nie one się poruszały, lecz okręty.

Wydano rozkaz:*hamować!* Krążownik wyprężył swe cielsko i zadrżał, gdy w strumieniu powietrza załopotały chorągiewki na żaglach hamujących.

Potem przyszło najtrudniejsze zadanie. Drużynom artyleryjskim od zawsze wpajano, by nigdy nie strzelać rakietami na oślep. Po wystrzeleniu pocisk po prostu leciał przed siebie. W czasie walk w gęsto zaludnionej przestrzeni, głowice, które nie trafiły w przeciwnika mogły uderzyć w przyjazny okręt albo zabić cywili.

Admirał Fanning od kilku tygodni próbował oduczyć tej ostrożności swoich członków załogi. Teraz zaś obsady wyrzutni rakietowych czekały w napięciu na rozkaz, niespokojnie wodząc spojrzeniami po sobie, po ścianach, po klatkach z pociskami – wszystko, byle tylko nie patrzeć w czarną otchłań po drugiej stronie kwadratowych furt artyleryjskich. Pierwszy rozkaz był dla nich niemałym szokiem, choć przecież w pełni się go spodziewali.

– Dziesięć stopni na czterdzieści trzy! – warknął oficer do tuby głosowej. Obsługa stanowiska natychmiast obróciła wyrzutnię, unosząc jej nos. – Ognia!

Świetliste, pomarańczowe linie pomknęły w mgłę – pięć, dziesięć, piętnaście w niecałą sekundę. Obsadę stanowiska okrył dym z dysz rakietowych. Przyzwyczajeni do tego mężczyźni nawet nie drgnęli. Nikt nawet nie zakaszlał. Smugi kondensacyjne pożarł mleczny opar.

Silniki krążownika przebudziły się do życia; okręt zaczął skręcać jeszcze zanim seria huków potwierdziła trafienia. Zanim wrogowie ustalą położenie ich statku na podstawie smug kondensacyjnych i odpowiedzą ogniem,*Gawrona* już tam nie będzie.

Chaison Fanning podniósł wzrok znad ekranów radaru. Travis wpatrywał się w zielonkawo błyszczące okręgi, nieznacznie kręcąc głową i mrucząc coś pod nosem. Admirał pochwycił jego spojrzenie i posłał mu uśmiech.

– Proszę spojrzeć na nich wszystkich – rzekł młodszy oficer. Travis miał sińce pod oczami; ranne ramię wyraźnie dawało mu się we znaki, ale mężczyzna nie narzekał. Możliwe, że nawet nie zauważał bólu.

Proszę spojrzeć na nich wszystkich. Marynarka wojenna Formacji Sokoła rozpierzchła się w nieokreślonych kierunkach; węzły, grupy i chmury okrętów najróżniejszych rozmiarów oraz przeznaczeń.*Gawron* brawurowo kluczył pomiędzy nimi z prędkością dwustu mil na godzinę. Niczym sokół pomiędzy gołębiami. Przeciwnicy czasami nawet przez kilka sekund byli w stanie oglądać blask silników ich krążownika, gdy wyłaniali się z nicości, ale zanim wycelowali broń, statek Slipstreamu znikał ponownie.

– Admirale, sir! – Chaison spojrzał przez ramię i zobaczył salutującego Martora, który stanął w przejściu. – Sir, musieliśmy skrępować Slewa.

– Co? Naczelnego cieślę? Co takiego zrobił?

– Biegał po całym pokładzie, każąc ludziom przestać. Powiedział, że to nienaturalne prowadzić walkę w ten sposób. – Stary Martor prawdopodobnie miałby na twarzy szelmowski uśmieszek, donosząc o czymś takim; w nowym wydaniu, z opatrunkiem na boku, z którego Fanning nie tak dawno wyciągnął kulę, jawił się śmiertelnie poważny, na dodatek nieprzerwanie salutując.

– Dobrze. Nie pozwólcie, żeby przeszkadzał dopóki trwa bitwa. – Przeniósł spojrzenie z powrotem na ekran radaru.

– Te jednostki – rzekł Chaison, wskazując pudełkowate kształty na skraju wyświetlacza. – To transportowce, prawda?

Travis skinął głową.

– Mają odpowiedni kształt. Najwyraźniej nie było sensu zmuszać ich do manewrów. Poza tym poruszają się, jakby były obciążone.

Flota leciała w kierunku Slipstreamu. Szpiedzy Venery mieli rację, to naprawdę była inwazja. Rzecz jasna Chaison od początku wiedział, że szpiedzy mieli słuszność, w przeciwnym wypadku nie powziąłby tej szalonej wyprawy. Jednak z jakiegoś powodu, widok tej floty oraz jej cel sprawił, że po raz pierwszy w życiu poczuł do Formacji Sokoła szczerą nienawiść. Zupełnie, jakby dopiero dowiedział się o wszystkim.

– Kolejne miny, sir. Możemy ich jeszcze uniknąć, ale wkrótce się rozproszą. Następnym razem trudno będzie znaleźć okrężną drogę.

– Hmf. – Pancernik nawet nie zwolnił, gdy jego załoga zdała sobie sprawę, że*Gawron* zaminował powietrze przed okrętem. Ku zdumieniu i przerażeniu Chaisona, ogromny statek po prostu przeleciał przez pole minowe, znosząc serię wybuchów bez wyraźnego uszczerbku na poszyciu. W ten sposób nie byli w stanie go zatrzymać; prąc naprzód, pancernik wcześniej czy później musiał wlecieć w bezchmurną przestrzeń. Slipstream straciłby wtedy całą swoją przewagę.

Dlatego właśnie Chaison postanowił obrać za cel jego silniki. Artylerzyści słali salwę rakietową za salwą, ale jak na razie pancernik nie zwalniał. Zdawszy sobie sprawę z tego, co się dzieje – choć nie mając pojęcia, jak do tego doszło – Formacja postanowiła zaminować powietrze wokół swoich statków. Miny ustawiono tak, by ich mechanizmy ignorowały wszystkie kolizje przy prędkości mniejszej niż pięćdziesiąt mil na godzinę; dzięki temu flota Formacji mogła posuwać się naprzód. Jednak dla Slipstreamowców manewrowanie stawało się coraz trudniejsze.

– Chcę powstrzymać pancernik – rzekł admirał – ale chcę również, by zniszczono te transportowce. Żadne siły okupacyjne nie poradzą sobie bez żołnierzy. – Wydał rozkaz ekipie semaforowej, która porzuciła swoje flagi i bez przekonania przerzuciła się na elektromagnetyczną technikę sygnalizacyjną, którą nazwano „radiotelegrafem”. Urządzenia wykorzystywały do działania tę samą zasadę, co radary Mahallan. Pozwalało to okrętom Slipstreamu na bezproblemową komunikację, nawet pod osłoną chmur.

Travis spojrzał na Chaisona.

– Zachowanie Slewa było co najmniej zaskakujące, prawda?

Obaj uśmiechnęli się – Chaison miał właśnie skwitować to jakąś ciętą ripostą, gdy przez iluminatory wpadło do środka światło tysięcy krążących w powietrzu flar.*Gawron* wleciał w bezchmurną przestrzeń.

Hayden uskoczył na bok, nie zważając na to, gdzie może wylądować. Pozbawiony wątpliwości szef siatki szpiegowskiej Venery nie ustawał w natarciach. Goniąc za Haydenem po całym pomieszczeniu stale był bardzo oszczędny w ruchach, a jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Nie pomagał fakt, że we wnętrzu Candesce nie było żadnych ornamentów. W przedsionku, gdzie zostawili aerocykl znajdowało się zaledwie kilka uchwytów na ścianach, suficie oraz podłodze, jak również kilka szafek i półek, które nie stanowiły jednak zbyt dobrego punktu oparcia. Podczas fechtunku w stanie nieważkości nie można było dopuścić do tego, by utknąć w jednym miejscu – tutaj nie było to proste. W miarę jak krążyli wokół siebie, Hayden starał się, by w każdym momencie mieć w zasięgu uchwyt na dłoń lub stopę albo znaleźć oparcie na którymś z mebli. Mając za plecami jedynie gładką ścianę, można było tylko wykonać skok do przodu. Przeciwnik od razu wiedziałby, co zamierzasz zrobić. Nurkując w stronę wroga zamieniało się całe swoje ciało w pocisk, lecz jednocześnie nie można było zahamować, dopóki coś nie stanęło na twojej drodze; oponent mógł w tym czasie upewnić się, że tym czymś będzie ostrze jego broni.

Carrier działał niespiesznie. Wyglądało, jakby adrenalina nie miała nań żadnego wpływu; zupełnie, jakby odtwarzał jedynie serię mechanicznych ruchów: cięcie, parada, unik, cięcie. Miał zamiar powtarzać je aż do śmierci Haydena.

Chłopak zanurkował w stronę drzwi, ale starszy mężczyzna przewidział jego ruch. Starli się na środku pomieszczenia, uderzając mieczami, drugą ręką zaś starając się pochwycić rękaw lub stopę przeciwnika. Przez kilka rozpaczliwych sekund kotłowali się w powietrzu, aż w końcu ostrze Carriera raniło Haydena w lewy biceps. Młodzieniec wrzasnął z bólu.

Zabójca mruknął z satysfakcją. Chłopak próbował się wyrwać, ale Carrier bez wysiłku podążał za nim, nie wyszarpując ostrza z rany. Hayden zaklął.

Carrier drugą ręką sięgnął pozbawionym gracji ruchem uchwytu na ścianie. Złapał go – ledwo co – po czym machnął mieczem, na drugim końcu którego wciąż znajdował się Hayden. Chłopak wiedział, że za kilka sekund znajdzie się na środku pomieszczenia, z dala od wszystkich ścian, dzięki czemu Carrier mógłby skakać wokół niego, ćwiartując go podług własnego widzimisię.

W przypływie rozpaczy Hayden wypuścił swój miecz, chwycił ostrze Carriera i*pchnął*. Metal wyszedł z jego skóry, zraszając powietrze kroplami krwi. Mężczyzna wyszarpnął broń z jego uchwytu, raniąc dłonie młodego lotnika do kości. W następnej chwili Hayden uniknął uderzenia na odlew. Próbował pochwycić swoją własną broń, ale oddryfowała ona za daleko. Dopiero wtedy zauważył, że naprawdę utknął, dwa metry od najbliższego uchwytu.

Carrier uśmiechnął się szyderczo i wyprostował, trzymając stopę zaczepioną o strzemię na ścianie. Hayden wywinął w powietrzu kozła i zdołał kopnąć starszego mężczyznę w twarz. Gdy tamten przeklął, plując krwią, chłopak bardzo powoli zaczął sunąć przez pomieszczenie.

Szpieg raz jeszcze zanurkował obok niego z morderczym cięciem. Hayden uczynił to, czego nauczył go Katcheran: zwinął się w kłębek, stawiając stopy na drodze ostrza. Głownia z łatwością przeszła przez grubą skórę, ale rana stopy nie była śmiertelna. Zaś siła uderzenia pchnęła go bliżej aerocykla.

Jego miecz błyszczał, wirując po przeciwległej stronie pomieszczenia. Carrier oparł się teraz o wewnętrzne drzwi i ostrożnie mierzył swój następny skok. Hayden doskonale wiedział, że tym razem zamierzał pchnąć, miast ciąć; nie miał szans uniknąć ciosu.

Wyciągnął się, sięgając aerocykla. Carrier parsknął śmiechem.

– Nawet jeśli go dosięgniesz, to co? – spytał. – Rzucisz nim we mnie? Spróbujesz uciec? Dobrze wiesz, że nie pozwolę ci odzyskać broni.

Wyprężone palce Haydena musnęły gładką powierzchnię maszyny. Carrier skoczył.

– W tył zwrot! – Chaison zanurkował do iluminatorów, nie trafił dłonią w uchwyt i grzmotnął podbródkiem w ścianę. Chwilę później przyciskał twarz do szyby, patrząc na obszerne, zmysłowe kształty skąpanej w zielonkawym blasku chmury. Wciąż mieli tu przewagę, ponieważ dziesiątki flar

wylatujących z obłoków rozświetlały jedynie niewielką przestrzeń; plan zakładał, że na krawędzi zimy niebo będzie upstrzone jedynie mniejszymi chmurkami. Jego statek mógł bezkarnie nurkować w głąb nich. Ale choć sześć poobijanych, przestarzałych jednostek Slipstreamu posiadało tu przewagę w prędkości oraz manewrowości, mogło to nie wystarczyć. Formacja zwyczajnie dysponowała zbyt dużą liczbą okrętów.

– Wszystkie wyrzutnie, celować w ten statek! Nie dajcie im szans na włączenie syren!

Za późno. Gdy pierwsze rakiety pomknęły w kierunku odległego krążownika, do uszu Chaisona dotarło echo sygnału informującego o czystych przestworzach. Zaklął.

– Zniszczyć go!

Bitewny zgiełk uniemożliwiał innym jednostkom usłyszenie wycia samotnego rogu – lecz gdyby usłyszano go choćby na jednym innym okręcie, wrogowie przekazaliby go dalej, aż informacja dotarłaby do wszystkich. Wkrótce chmury rozbrzmią sygnałem świadczącym o znalezieniu otwartej przestrzeni.

Wrócił do ekranu radarowego. Cień olbrzymiego statku Formacji Sokoła wciąż leżał kilka mil w głębi zasłony chmur. Na dodatek zwalniał.

– Wszystkie okręty: skupić się na powstrzymaniu pancernika. Rozłożyć przed nim sieci hamujące, zaminować powietrze...*Cokolwiek!*

...dudnienie kul o poszycie. Nagłe rozbłyski przelatujących obok rakiet. Chwilę później usłyszał jak karabiny maszynowe*Gawrona* otworzyły do kogoś ogień.

– Schowajcie nas z powrotem w chmurach – rozkazał Chaison, wracając na fotel.

Okręt został trafiony jeszcze zanim zdążył uciec za mglistą osłonę. Przez jakąś minutę panował chaos, a potem przekazano informację, że sytuacja została opanowana. Chaison zmarszczył brwi na ten brak dyscypliny, ale większość uwagi mimo wszystko skupiał na radarze.

Za późno przystąpili do walki. Świt oddalony był zaledwie o jakąś godzinę. Nim słońca Sokoła zapłoną pełnym blaskiem, Venera każe Mahallan na nowo włączyć systemy obronne Candesce.

Tej długiej, pełnej manewrów nocy, Slipstream rzucił flotę Formacji Sokoła w rozsypkę, dziesiątkując ich eskadry aerocykli oraz mniejszych jednostek i zadając poważne obrażenia okrętom średniej wielkości.

Transportowce również wyglądały na uszkodzone. Ale to było wszystko – czyli nic.

Gdyby w ciągu najbliższych minut nie udało im się zadać siłom najeźdźcy decydującego uderzenia, cała ich misja poszłaby na marne.

– Sir! – Głos należał do radarowego. – Chyba... Wydaje mi się, że właśnie straciliśmy okręt.

Chaison spojrzał we wskazywane przez mężczyznę miejsce. Jedna z szybko poruszających się po ekranie plam pękła na dwie części. Na ich oczach oba fragmenty dalej się podzieliły i wyparowały. Po kropkach zostały jedynie smugi na wyświetlaczu.

– Wiesz, który to statek? – spytał Chaison, po tym jak zapadła nagła cisza. Spojrzał z ukosa na radar.*Cholerni* głupcy wlecieli na pole minowe.

Załoga mostka milczała; ludzie spoglądali po sobie.

– Wracając do pancernika – rzekł admirał. – Naszpikować wszystkie kutry ładunkami wybuchowymi - głowicami, pociskami, wszystkim, co mamy. Ostrzał rakietowy nie zrobił na nim wrażenia, więc będziemy musieli wepchnąć mu do gardła coś większego.

A jeśli to nie zadziała, to zrobimy pocisk z samego Gawrona.

Carrier skoczył.

Hayden wpił palce w szew na siodle aerocykla i pociągnął najmocniej jak potrafił.

Sieć towarowa, którą wcisnął pod siedzisko rozwinęła się w powietrzu. Chłopak zakręcił się na ile był w stanie, po czym cisnął siecią w Carriera. Szef siatki szpiegowskiej krzyknął, próbując uniknąć pułapki, ale był już w powietrzu i nie mógł nic wskórać. Zaplątawszy się, klnąc wściekle, znów odbił się od aerocykla w powietrze.

Hayden oparł obie nogi o metalowy korpus maszyny i wybił się. Pokonawszy całą długość pomieszczenia, odzyskał swój miecz, a następnie wykręcił się w locie i odepchnął od przeciwległej ściany. Carrier ze wszystkich sił próbował uwolnić swoją broń z sieci; niezdarna parada nie wyszła mu jednak i nagle ujrzał na ostrze Haydena sterczące ze swojej piersi.

– Co... – Próbował unieść dłoń, ale zabrakło mu sił. Spojrzał Haydenowi w oczy, jeszcze próbując coś powiedzieć.

– Ani słowa – rzekł Hayden. – Jedynej osoby, której jesteś winien wyjaśnienia tutaj nie ma. Ale wkrótce się z nim zobaczysz. – Puścił rękojeść miecza, obrócił się i zanurkował w stronę aerocykla. Sięgnąwszy pod rurę wydechu, wymacał zwój sznura, który umieścił tam zanim opuścili pokład*Gawrona*. Zdjął pętlę z rury i zaczął go rozwijać.

Mając pewność, że Lyle Carrier nie żyje, uwolnił mężczyznę z sieci, do której następnie przywiązał linkę, po czym podleciał do drzwi, by poszukać pierwszego zamówionego przez siebie pakunku.

Aubri Mahallan zachowywała się nerwowo, co doprowadzało Venerę do szaleństwa. Po tym jak kobieta zrobiła dziesiąte okrążenie wokół pokoju, żona admirała powiedziała:

– Czy nie powinnaś teraz czegoś robić?

Mahallan pokręciła głową, zupełnie sztywniejąc.

– Nie. Nic.

– Więc się uspokój. To nie twój mąż prowadzi teraz ludzi do boju. Twój mężczyzna jest tuż za tymi drzwiami.

– To nie jest mój mężczyzna – odparła szybko Aubri.

Venera uniosła brew.

– Naprawdę? On myśli co innego.

Teraz to Mahallan wyglądała na podenerwowaną; Venerze wystarczyło to, by poprawić sobie humor.

– Myślisz, że to oczekiwanie mnie nie irytuje? – ciągnęła Venera. Skrzyżowała ręce na piersi, rzucając okiem na wskaźnik, który włożyła do swojej torby pod ścianą. Urządzenie wciąż świeciło jednostajnym blaskiem. Dopóki tak było, Chaison miał przewagę; w pewnym sensie czerwony punkcik był więc czymś w rodzaju sygnału wsparcia od niej dla niego. Wiedziała jednak, że wraz z nastaniem świtu będzie musiała go wyłączyć.

– Nie jestem tobą – powiedziała Aubri, patrząc z ukosa. – Zrobiłam bardzo wiele dla waszego malutkiego projektu, Venero. Zadałaś sobie kiedykolwiek pytanie, co ja będę z tego miała?

Venera wzruszyła ramionami.

– Nigdy o nic nie prosiłaś, nieprawdaż? Co dziwne, jeśli nie liczyć faktu, że jesteś wygnańcem, dla którego wszędzie jest tak samo... Ale czemu nie weźmiesz sobie Haydena Griffina? To dobra partia dla kogoś z klasy służącej. Z tym masz problem? Że nie jest to jeden z twoich?

– Nie zrozumiałabyś – odparła Mahallan.

Venera zaśmiała się.

– Nie jeden raz powtarzano mi, że moim problemem jest brak zrozumienia dla ludzi; że zwyczajnie ich nie czuję. Pewnie to prawda. Ale masz rację, nie rozumiem tego. Wykonaliśmy misję, jesteś wolna i bogata. Za kilka minut systemy obronne słońca zostaną włączone na nowo, a ty będziesz mogła zabrać swoje pieniądze, swego mężczyznę i cieszyć się życiem. Nic prostszego.

Mahallan wyglądała na podenerwowaną.

– To już?

Venera spojrzała na zegarek kieszonkowy.

– Już prawie.

– Dobrze. – Aubri posłała jej uśmiech; Venerze wydał się dość wymuszony. Mahallan podleciała do lustra sterującego. – W takim razie przygotuję procedurę odłączenia.

– W porządku. – Venera zmierzyła ją wzrokiem, próbując zachować niewinny wyraz twarzy. Gdy dziwna kobieta z zewnątrz zaczęła wbijać spojrzenie w lustro, Venera podleciała do swojej torby. Chciała się upewnić, że będzie mogła obserwować światło wskaźnika oraz Mahallan, nie musząc odwracać głowy.

Na wszelki wypadek poluzowała miecz w pochwie.

Pancernik zaplątał się w żagle i ciągnął za sobą długą brodę płonących lin oraz kawałków drewna. Jego silniki przypominały metalowe węzły plujące czarnym dymem. Stery łopotały bezużyteczne jak flagi.

Jednak kadłub wciąż nie nosił śladów poważnych uszkodzeń.

Mgła przed nim rzedła, w miarę jak zbliżał się do oświetlonego flarami powietrza. Jeszcze kilkaset jardów i miał w końcu uwolnić się od koszmarnej przeszkody, jaką były chmury. Jego przeciwnicy przestaną być niewidoczni. Jeden strzał z gwintowanych, dziesięciocalowych dział rozmieszczonych na burtach wystarczył, aby zamienić mniejsze okręty w drzazgi. Potrzebował jedynie czystej linii strzału.

Gdy*Dręczyciel* zajął pozycję do oddania salwy, pancernik otrzymał swoją szansę. Okręt Slipstreamu polegał na osłonie chmur, by powtórzyć to, co do tej pory zrobił już dziesięć razy: zatrzymać się w ukryciu i ostrzelać większe od siebie jednostki, a następnie zmienić pozycję strzelecką. Jednak

tym razem, chmury okazały się być jedynie cienką zasłoną. Gdy mleczny opar przerzedł,*Dręczyciel* niefortunnie znalazł się w świetle szperacza. Artylerzyści z pancernika tylko na to czekali.

Pierwszy pocisk wstrząsnął krążownikiem, wywołując wewnętrzną eksplozję. Kolejny przełamał okręt na pół. Następnych sześć starło na proch poskręcane resztki statku, jeszcze zanim rozproszyła się fala uderzeniowa z pierwszego wybuchu.*Dręczyciel* oraz cała jego załoga został po prostu zdmuchnięty z przestworzy.

Rakiety wciąż bombardowały pancernik z innych kierunków – rozzuchwaleni sukcesem artylerzyści zaczęli strzelać na oślep. Jeśli któryś z przyjaznych okrętów znajdował się w pobliżu, to trudno; każdy trzeźwo myślący dowódca statku Formacji skierowałby już swoją jednostkę w stronę przejaśnienia w chmurach. Tylko wrogowie mogli czaić się w mroku, dlatego też to mrok został ostrzelany w pierwszej kolejności.

Przypadkowy pocisk zniszczył ster*Niewidzialnej Dłoni*, a następnie uszkodził jej silniki. Członkowie załogi zaczęli uciekać ze statku, wymachując stopami napędzającymi skrzydła, ale kapitanem*Dłoni* był stary, ponury Hieronim Flosk. Mężczyzna wyciągnął pistolet, po czym wycelował go w drzwi mostka.

– Każdy, kto spróbuje stąd wyjść, zginie! – ryknął. – Przygotować się do taranowania! Zająć pozycje! Wasze życie w końcu się do czegoś przyda!

Dłoń wciąż był sterowna i leciała z prędkością blisko stu mil na godzinę. Gdy wytrysnęła spomiędzy chmur, artylerzyści pancernika mieli tylko kilka sekund na oddanie strzału. Zaledwie jeden pocisk drasnął opływowy kadłub krążownika. Chwilę później*Niewidzialna Dłoń* wbiła się w burtę ogromnego statku i eksplodowała.

W strefie rzednącej mgły, gdzie ogromne obłoki chmur przeplatały się z kieszeniami otwartej przestrzeni, pancernik zadrżał z głośnym jękiem i stanął.

– Sir. – Radarowy wydawał się być zbity z tropu. Chaison uniósł spojrzenie znad pasów bezpieczeństwa, które próbował pochwycić. Cały statek trzeszczał z wysiłku. Pęd powietrza zrywał deski poszycia z otwartej rany we wrotach hangaru. Musieli nieco zwolnić, choć wciąż ścigało ich kilka kutrów i aerocykli.

Radarowy uniósł swój chronometr.

– Sir, w Formacji nastał świt. Radar nie powinien już działać, ale odczyt wciąż jest wyraźny.

Chaison spojrzał na niego. Co to mogło oznaczać? Czyżby Venera zdołała wygospodarować mu trochę dodatkowego czasu? A może coś w Candesce poszło nie tak?

Kto wie, może mogli korzystać z radaru tak długo, jak było im to potrzebne... urządzenie mogło też przestać działać w każdej chwili. Nie miało to jednak większego znaczenia: nadciągał świt.

Chmury przypominały perłową otchłań usianą poczerniałymi zwłokami, wypalonymi flarami i wrakami widocznymi jedynie przez chwilę za iluminatorami pędzącego*Gawrona*. Z wijącej się białości wyłonił się żelazny kontur pancernika. Ogromny okręt wydawał się zdeterminowany, by utrzymać wokół siebie całun nocy; cały kadłub przesłaniał płaszcz dymu oraz szczątków. Dym gęstniał jeszcze bardziej wraz z każdą wystrzeloną salwą.

– Założę się, że nigdy nie przyszło im to do głowy – powiedział Travis, kręcąc głową. – Rakiety zabierają spaliny ze sobą. Ale działa... Oślepiają sami siebie.

– To prezent – odparł Chaison. – Wykorzystajmy go, póki możemy. – Podszedł do tuby głosowej. – Czy kutry są załadowane i gotowe? Dobrze. Zaczekajcie aż dam rozkaz do wylotu.

Gawron okrążył nieruchomego olbrzyma, wyprzedzając kanonadę śmiercionośnego ognia. Chaison wyglądał przez iluminatory, szukając jakichkolwiek słabych punktów pośród rozedrganych pozostałości po pociskach smugowych, które dzieliły przestrzeń. Obok przemknęły wrogie aerocykle, bzycząc niczym szerszenie, a chwilę później*Gawron* wierzgnął pod wpływem niespodziewanego uderzenia.

– Wrogowie nadciągają ze wszystkich stron, sir – rzekł radarowy. – Wygląda na to, że udało im się okrążyć kolejnego z naszych... Wydaje mi się, że to*Areszt*. Nie widzę*Zrywu*, ale ich urządzenia wciąż nadają.

– Podprowadź nas bliżej – rozkazał Chaison pilotowi. Widział już kiedyś coś podobnego: trójkątne wgniecenie w kadłubie pancernika o szerokości wielu jardów. Otaczający je metal był wyżłobiony i osmalony; w to miejsce musiało uderzyć coś znacznie większego od rakiety. Sięgnął po tubę głosową...

I wszystko wokół zawirowało. Coś w niego uderzało, ściany, meble, ludzie obijali się o siebie we wstrząsie ogromnej eksplozji. Na wpół ogłuszony, Chaison potrząsnął głową i sięgnął do uchwytu, mimochodem zauważając, że drzwi prowadzące na mostek były wypaczone i lekko uchylone.*Slew nie da rady tego naprawić*, pomyślał.

Z powrotem wdrapał się na fotel dowódcy. Pilot stracił przytomność. Travis odepchnął mężczyznę na bok, by samemu stanąć za sterami. Chaison sięgnął po tubę głosową.

– Raport, raport!

Słaby po głos po drugiej stronie odpowiedział:

– Nie żyją.

– Kto nie żyje?

– Oni... wszyscy, którzy byli w hangarze, sir.

– Martor, to ty? A co z kutrami?

– Jeden jest cały. – Chwila ciszy. – Poprowadzę go osobiście, sir.

Chaison na chwilę odsunął tubę od ust, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

– Synu – zaczął – po prostu wyceluj odpowiednio i skacz. Zabierz ze sobą parę skrzydeł, a potem wynoś się stamtąd. To rozkaz.

– Tak jest, sir.

Travis opanował okręt i mocno przechylił go na jedną burtę, aby uniknąć gradu kul z pancernika.

– Sir, nadciąga reszta floty Formacji – powiedział oschle.

Chaison wyjrzał przez iluminator i zobaczył białe niebo pełne statków. W tej samej chwili widoczność przesłonił mu duży kształt: napakowany ładunkami wybuchowymi kuter wyprzedził*Gawrona* i łukiem mknął w kierunku żelaznego potwora.

Admirał nie potrafił odwrócić spojrzenia. Pociski smugowe i rozedrgane powietrze po wybuchach utworzyły wokół kutra kontur; mężczyzna zobaczył pękające i odlatujące fragmenty opancerzenia. Sekundę później łajba wyparowała, a Chaison mrugał oczami, chcąc pozbyć się powidoku błysku, który musiał być widoczny na obszarze wielu mil.

Huk eksplozji dotarł do*Gawrona*, wstrząsając pokładem i sprawiając, że pękł kolejny bulaj. Chaison jedynie wpatrywał się w puste miejsce, gdzie wiły się smugi dymu. Poczuł druzgoczący żal, który na kilka chwil go sparaliżował, uniemożliwiając swobodne myślenie.

Wszystko zależało teraz od jego decyzji. Zapanował jednak nad emocjami i spojrzał na Travisa.

– Przygotować się do wysadzenia okrętu – powiedział.

Hayden przywiązał ostatni z komponentów słońca do sieci towarowej. Ręce mu drżały. Mocując się ze sznurkami, zauważył cień, przygarbiony i niewyraźny, rzucany na szarą ścianę pomieszczenia stacji gościnnej. Podniósł głowę na czas, by zobaczyć, że metalowe kwiaty z dziwnego ogrodu Candesce zaczynają zamykać główki. Otaczał je pomarańczowy blask, którego nie było tam jeszcze minutę temu.

– O nie. – Szybko dokończył wiązanie supła, po czym wspiął się po sieci towarowej do wejścia stacji. To tam zacumował aerocykl; maszyna rzucała cień – nie, dwa cienie. Dopiero teraz zobaczył, że drugie słońce również otwierało swoje błyszczące oko.

Ciało Carriera wyrzucił na zewnątrz. Zamierzał utrzymywać, że Gehellenowie wrócili i przy wejściu rozgorzała walka. Napastnicy zostali odparci, ale Carrier został śmiertelnie ranny. W ciągu ostatniej godziny wielokrotnie powtarzał sobie tę historyjkę, walcząc z bólem, który sprawiały mu rany podczas napełniania sieci częściami słońca. Robiąc to, nie był w stanie powstrzymać napływających łez.

Nie roztrząsał jednak tych łez. Powtarzając w głowie kłamstwo o Gehellenach, zaczął zastanawiać się, przed kim chciał ukryć prawdę – przed Venerą, przed Aubri, czy przed sobą samym. Tak czy inaczej, nie czuł satysfakcji ze śmierci Carriera. Był jedynie dumny, że próbował odwieść mężczyznę od jego zamiarów.

W głowie zaczął więc układać inną historię. Tej nie miał zamiaru opowiadać nikomu do czasu aż się zestarzeje i wszystkiego nie naprawi. Rozpoczynała się ona i kończyła słowami: „Carrier był ostatnim człowiekiem, którego zabiłem i ostatnim, którego chciałem zabić”.

Znalazłszy się wewnątrz stacji, przeskakiwał błyskawicznie od uchwytu do uchwytu, zmierzając w stronę wewnętrznych komnat.

– Musimy iść! – krzyczał, lecąc dalej. – Chodźcie, słońce budzi się do życia!

Nikt nie odpowiadał. Co one tam kombinowały? Z doświadczenia z lustrem sterującym wiedział, że raz wprawiwszy coś w ruch, można było

zignorować to i zająć się swoimi sprawami. Aubri nie musiała nadzorować Candesce po tym jak wyłączyła jego systemy obronne przeciwko Sztucznej Naturze.

– Aubri! Venero! Gdzie jesteście? Musimy stąd iść, teraz!

Gdzieś przed nim rozległo się głuche uderzenie. Hayden prześlizgiwał się pod lub przeskakiwał nad ścianami, przechodząc przez kilka znajomych pomieszczeń. Po chwili, lecąc przez na wpół oświetlony pokój wypełniony hamakami oraz wnękami wypoczynkowymi, usłyszał kobiecy głos wywarkujący jedno słowo:

– Suka!

Zza ściany doszły go kolejne głuche odgłosy oraz jęk. Hayden przystanął na chwilę, mrugając oczami, po czym przeskoczył do sąsiedniego pomieszczenia. Znalazłszy się na górze, zamarł.

Aubri Mahallan i Venera Fanning trzymały się uchwytów umieszczonych na przeciwległych ścianach. Obie ściskały w dłoniach miecze skierowane przeciwko sobie. Twarz Venery wykrzywiał grymas wściekłości. Mięśnie grały pod skórą jej osławionej szczęki.

– Włącz to! – wrzasnęła Venera. – Włącz je z powrotem!

Aubri w milczeniu pokręciła głową.

Hayden wpadł do pomieszczenia, koziołkując.

– Co się tu dzieje? – Chciał dołączyć do Aubri, ale kobieta się odsunęła.

– Trzymaj się ode mnie z daleka – mruknęła.

– Trzymaj...? Co tutaj się dzieje? – W tej chwili był zbyt zmęczony i obolały, by próbować ją złapać.

Venera wskazała miejsce, gdzie unosił się w powietrzu jej specjalny wskaźnik. Światełko w jego oku wciąż płonęło.

– Nie zamierza włączyć ich z powrotem. Systemów obronnych Candesce! Z chęcią je wyłączyła, ale teraz nie chce ich na nowo aktywować. Otworzyła drogę dla swoich przyjaciół spoza Virgi!

– Aubri? – Wbił w nią wzrok, ale kobieta nie odwzajemniła spojrzenia.

Powinien był się domyślić. Zdał sobie sprawę, że na przestrzeni ostatniego tygodnia dała mu dostatecznie dużo wskazówek – ale on był tak zaprzątnięty myślą o poszukiwaniu części do nowego słońca Aerie, że nie poświęcił choćby chwili, by przemyśleć to co mu powiedziała. Powiedziała mu, że nie przysłano jej do Virgi, by dostała się do wnętrza Candesce; lecz niemal jednocześnie uświadomiła go, że zabójcza pluskwa tkwiąca

wewnątrz niej cały czas nasłuchiwała, czy kobieta nie ujawni prawdziwego celu swojej misji. Jej zaprzeczenie powinno dać mu do myślenia; ale nie był dość przebiegły, żeby to zauważyć.

– Przepraszam – powiedziała niskim, drżącym głosem. – Jeśli włączę je z powrotem, umrę.

– Wysłano cię tu, byś utorowała Sztucznej Naturze drogę do Virgi – rzekł. – Tego nie mogłaś mi powiedzieć. – Kobieta pokiwała głową.

Hayden miał mętlik w głowie. Powinien próbować to powstrzymać? A może powinien stanąć po stronie Aubri?

– Co teraz? – spytał. – Gdy już wpuścisz ich do środka... Dlaczego to robisz?

Spojrzała na niego. Na jej pełnym wyrazu obliczu odmalował się smutek.

– Najpierw przybędzie bilion duchów. Pozbawione ciał SI oraz postludzie zaleją Virgę, czyniąc z niej swój plac zabaw. Są złaknione zasobów. Przemienią wszystko, czego dotkną... i wszystkich. Gdy dojdzie już do transformacji, wasz świat zacznie znikać. Słońca, ciemność, miasta, okręty... Zostaną zastąpione wirtualnymi królestwami. Cudowne miejsca pokroju Raju zostaną stworzone wokół wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszystko, o czym pomyślisz, stanie się rzeczywistością. Wszystko, oprócz samej Virgi. To, co znacie, przestanie istnieć, zastąpione przez fantazje, które staną się faktem.

Venera zadrżała.

– Nie przeżyjemy tego – powiedziała.

Aubri potrząsnęła głową.

– Nie w obecnej postaci – wyjaśniła. – Wszystkie wasze nadzieje i marzenia staną się przestarzałe. Będziecie potrzebować nowych. Nowych powodów do życia. – Jej usta wykrzywił żal. – A to jedyna rzecz, której system nie może zrobić za was.

– Nie! – Venera skoczyła w poprzek pomieszczenia. Zanim Hayden do nich dopadł, obie kobiety wirowały w powietrzu. Venera z całą wściekłością atakowała Aubri, która próbowała parować. Hayden krzyknął, gdy zobaczył, że ostrze żony admirała dosięgło Mahallan poniżej lewego obojczyka.

Jego kochanka, zbrojmistrzyni z*Gawrona*, poleciała w tył, brocząc krwią.

Skoczył, wrzeszcząc. Za późno. Venera zaklęła, odpychając się nogami od bezwładnego ciała Aubri. Dotarła do rogu i przycupnęła pod panelami

ściennymi, posyłając Haydenowi jedno, przestraszone spojrzenie.

Chłopak chwycił Aubri i obrócił się tak, by to jego plecy przyjęły całą siłę uderzenia w przeciwległą ścianę. Kobieta dygotała w jego ramionach. Z każdym oddechem z jej ust uciekało kilka kropel krwi.

– Prze... Przepraszam – wycharczała. – Tak strasznie się bałam.

– Ciii – powiedział, gładząc jej włosy. – To nie twoja wina. To oni zawinili tworząc cię taką, a następnie potępiając za to, kim jesteś.

Zamknęła oczy, szlochając.

– Ciii – powtórzył, przyciskając ją do siebie.

– Nie. – Odepchnęła go. – Nie! Puść mnie. Pomóż mi dojść do lustra. – Wskazała szklisty prostokąt pod sufitem.

– Nie ruszaj się.

– Nie. Pozwól... – Wykręciła się, by spojrzeć mu w oczy. – Pozwól mi ich pokonać.

Mostek pełen był dryfującego pyłu oraz cuchnącego dymu. Ogłuszające wybuchy strzaskały drewniane belki; wszystkie iluminatory popękały. Chaison wpijał palce w poręcz fotela, patrząc prosto w jaśniejące słońce, podczas gdy*Gawron* rozpadał się na jego oczach.

– Gotowe, sir! – Travis palcami stóp przytrzymywał się jakiejś rurki, jedno ramię mając unieruchomione w temblaku; wolna ręka zawisła nad konsolą autodestrukcji.

Chaison czuł niesamowite zmęczenie. Nie miało znaczenia, czy Formacja Sokoła położy łapska na urządzeniach radaru. I tak nie mogliby z nimi nic zrobić. Zakładając, oczywiście, że Aubri Mahallan wykonała swoje zadanie. Myśl o tym, że mogłaby nie dotrzymać słowa wydawała mu się niepokojąca, ale nie miał teraz ochoty rozmyślać o takich abstrakcjach. Zamiast tego zmarszczył brwi, spoglądając przez potłuczone szkło bulaju na wytrwałą sylwetkę pancernika, który nawet teraz kierował swoje największe działa w stronę*Gawrona*.

Chciałem jedynie, pomyślał z ironicznym uśmiechem, *pozbyć się tego potwora.*

Zawracając, pancernik odsłonił wgniecioną część kadłuba, gdzie coś uderzyło w niego z dużą siłą. Promienie słońca kładły się cieniami na ciemnym poszyciu. Chaison dostrzegł, że pancerz wielkiego okrętu pękł u samej podstawy wgniecenia; ział w nim trójkątny otwór.

– Zaczekaj chwilę, Travis – powiedział. Marszcząc czoło, sięgnął po tubę głosową.

– Baterie rakietowe jeden i dwa, jesteście tam?! – krzyknął.

– Tak jest, sir. Co mamy robić, sir?

– Nie opuszczajcie okrętu – odparł. – Na otwartej przestrzeni rozstrzelają was na kawałeczki. Mam plan. Załadujcie wyrzutnie i przygotujcie się.

– Sir!

Spojrzał na Travisa, który obserwował go z uniesioną brwią. Radarowy oraz obsługa semaforów również wbijali w niego wzrok.

– Stań za sterem – rozkazał Travisowi. – Wciąż mamy trochę mocy. Staranujemy go.

– Ach, rozumiem. – Młodszy oficer wyglądał na zawiedzionego. Chaison musiał się roześmiać.

– Nie rozumiesz – rzekł admirał. – Uderzymy w*to* miejsce. – Wskazał palcem. Travis zaczął się uśmiechać.

Gawron zszedł z linii strzału największych dział, kierując dziób ku górze, prosto w kierunku linii okrętów wojennych Formacji Sokoła sunących w jego stronę. Przez chwilę byli bezpieczni, gdyż żaden statek nie zaryzykowałby spudłowania statku Slipstreamu w obawie przed trafieniem pancernika.

Gawron jęknął, gdy Travis zawrócił okręt, obierając kurs na olbrzyma.

– Będą mieć przynajmniej jedną szansę na strącenie nas, sir – powiedział.

Chaison wzruszył ramionami.

– Masz jakiś lepszy pomysł?

Travis nie odpowiedział, jedynie pchnął przepustnicę w przód. Admirał usłyszał stłumione wycie silników osiągających maksymalną moc.

– Jeśli chcecie uciekać – powiedział do radarowego oraz obsługi semafora – to teraz jest ku temu najlepsza okazja.

Nikt nawet nie drgnął.

– W porządku.

Podziurawiony, sypiący drzazgami i fragmentami pancerza*Gawron* przyspieszył po raz ostatni. Mijana przestrzeń gęsta była od dymu i szczątków, ciał ludzi oraz niewybuchów. Chaison obserwował to wszystko z obrzydzeniem.*Jakież to bezsensowne*. Nie był pewien, czy miał na myśli inwazję sił Formacji, czy też swoją własną próbę jej powstrzymania.

– Przygotować się na uderzenie! – Przypiął się do fotela, a następnie nim zakręcił. Siedzisko było zbudowane z myślą o tego typu kolizjach;*Gawron*, podobnie jak siostrzane jednostki, posiadał zamontowany na dziobie taran. Nigdy jednak nie miał okazji taranować coś wielkością przypominającego miasto. Możliwe, że ich manewr wywoła jedynie uśmieszki politowania na twarzach Sokolników, jeśli*Gawron* zwyczajnie rozbije się na poszyciu pancernika niczym mucha na iluminatorze.

Zamknął oczy, wracając myślami do domu, którego już nigdy nie miał ujrzeć.

Uderzenie, kiedy już nadeszło, było nadzwyczaj łagodne. Uszy Chaisona wypełnił głośny chrzęst. Okręt zadrżał i wierzgnął. Po czym się zatrzymał. W rozkołysanym świetle lampy gazowej, jego spojrzenie napotkało wzrok Travisa. Obaj się uśmiechnęli.

– Zobaczmy, gdzie jesteśmy. – Bulaje zawalone zostały szczątkami. Mężczyźni doskoczyli do drzwi mostka. Travis otworzył je na oścież. Chaison nie wierzył w to, co zobaczył.

Gawron miał dziury w kilkunastu miejscach. Jego wnętrze leżało w ruinie. Martwi ludzie, poplątane zwoje liny, strzaskane grodzie i drzewce sterczały na wszystkie strony. Tam, gdzie dawniej znajdował się hangar, promienie światła słonecznego tworzyły w przestrzeni niebieskawe snopy. Bliżej, dziury w kadłubie wychodziły jedynie na ciemność.

– Utknęliśmy w środku – rzekł z niedowierzaniem Travis. – Więcej niż do połowy.

Admirał pokiwał głową.

– Właśnie coś takiego miałem na myśli. – Przedarł się przez szczątki, zmierzając w kierunku artylerzystów, którzy przycupnęli obok pogiętych wyrzutni. – Lotnicy, gotowi do strzału?

Odpowiedziały mu ogłupiałe spojrzenia. Chaison wybuchnął śmiechem.

– No dalej! – krzyknął. – Tak właśnie rodzą się legendy! Zdmuchniemy tego sukinsyna z przestworzy za pomocą ognia zaporowego, który rozniesie go na strzępy - a na dodatek uczynimy to*od środka!*

Wciąż się wahali, a wtedy zrugał ich czyjś donośny głos:

–Na co jeszcze czekacie?

To Slew. Stary cieśla był cały osmalony i, lecąc od strony rufy, ciągnął za sobą rozerwany łańcuch owinięty wokół nadgarstków. Obok niego,

pomagając mu wymijać szczątki, sunął ambasador Reiss. Obaj ściskali miecze w dłoni; na ich twarzach malował się wyraz ponurej determinacji.

– Słyszeliście admirała! – ryknął Slew. Członkowie załogi spojrzeli po sobie, po czym zajęli stanowiska. Do uszu Chaisona doszedł huk wystrzałów, zaś żołnierze w mundurach Formacji Sokoła deptali Slewowi po piętach, przeciskając się przez dziury w kadłubie.*Wściekła załoga*. Cóż, przybyli odrobinę zbyt późno.

– Reiss, Slew, za wami. Marynarze... ognia!

Wyrzutnie na sterburcie i bakburcie plunęły rakietami. Kadłub*Gawrona* próbował zapaść się do środka, gdy wszystko na zewnątrz zaczęło wybuchać. Niektóre pociski musiały znaleźć drogę w głąb długich korytarzy, wybuchając w odległości setek jardów. Inne nie przeleciały nawet dziesięciu stóp. Ale pancernik nie został przygotowany na taki atak. Gdy artylerzyści wyczyścili lufy i załadowali kolejną salwę,*Gawronem* wstrząsnęła nowa eksplozja, znacznie silniejsza od tych, które przed chwilą wywołali. Teraz poszycie naprawdę zaczęło się zapadać. Travis uczepiony słupa, twarze Reissa oraz Slewa wyrażające bezbrzeżne zdumienie, wszyscy oni zniknęli w jasnych promieniach słońca, gdy okręt pękł na pół, a niebo wypełniły kłęby dymu i dryfującego mroku.

Jakimś sposobem Chaison pochwycił linę i wisiał teraz ponad bezkresną przestrzenią Virgi, obserwując jak rufowa część pancernika odpada, rozrywana na kawałeczki przez następujące po sobie eksplozje. Zahipnotyzowany tym widokiem, nie odwracał spojrzenia dopóki nie poczuł, że ktoś ciągnie za drugi koniec liny. Wtedy uniósł głowę.

Strzaskany kadłub*Gawrona* wciąż tkwił w dziobowej części pancernika, dokładnie w miejscu, w którym ogromny okręt pękł na dwoje. Z przedniej sekcji wydobywały się już kłęby dymu, ale wciąż jeszcze nie wybuchła. Trzej lotnicy Formacji wciągali linę trzymaną przez Chaisona, groźnie połyskując białkami oczu. Po reszcie załogi nie było śladu.

– Panowie – rzekł Chaison, wyciągając dłoń – poznajcie człowieka, który was pokonał.

Venera patrzyła na płaczącego Haydena Griffina. Targało nią uczucie niepokoju; próbowała z nim walczyć ze wszystkich sił.

Aubri Mahallan coraz słabiej poruszała się w ramionach młodzieńca, gestykulując przed lustrem sterującym, przed którym się unosili. Venera

ściskała miecz w spoconych dłoniach, zachodząc w głowę, dlaczego Lyle wciąż jeszcze się tu nie pojawił.

Światełko wskaźnika systemów obronnych Candesce leniwie obracało się w powietrzu. Nagle, bez wielkiej pompy, zwyczajnie zgasło. Venera zmarszczyła brwi. Wyczerpały mu się baterie czy... Spojrzała na Aubri Mahallan.

Kobieta zamarła, a jej głowa powoli opadła na pierś. Griffin wydał z siebie ostatni szloch, po czym spojrzał w lustro. Przypominało teraz prostokąt z białego światła. Wszystkie szczegóły nikły w blasku budzących się słońc.

Griffin odwrócił głowę, patrząc prosto na Venerę. Wbrew sobie drgnęła pod jego spojrzeniem. Ale on powiedział tylko:

– Musimy iść.

Jego słowa nie miały żadnego sensu; Venera nie wierzyła w to, co właśnie usłyszała.

– Zabiłam twoją kobietę – rzekła. – Jeśli pozwolę ci się zbliżyć, zabijesz mnie.

– Nie – odparł.

Posłała mu szyderczy uśmieszek.

– Doprawdy? A gdzie Lyle? – Griffin odwrócił spojrzenie. Venera straciła cały animusz. – Nie wraca z nami, prawda? Rozstrzygnęliście w końcu między sobą ten spór, chłopcy?

Chłopak ponownie wziął w ramiona ciało Mahallan, po czym wybił się w stronę otwartego narożnika.

– Jaki miałam wybór? – zawołała za nim. – Wiesz, co próbowała zrobić!

– Zamknij się – odkrzyknął, nie patrząc za siebie. – Po prostu się zamknij.

Venera była wściekła i... przerażona; ale nie zamierzała odpuszczać. Nie przed swoim sługą.

– Więc zwiąż mnie albo zastrzel – zawyła. – Zrobiłam, co musiałam.

Jeszcze zanim zniknął za rogiem, Hayden spojrzał przez ramię.

– Venero, nie zamierzam cię zabijać – powiedział. – Na aerocyklu jest jeszcze miejsce. Chodź ze mną.

– To by oznaczało, że musiałabym ci zaufać.

– Tak.

Parsknęła śmiechem i jeszcze mocniej wcisnęła się w kąt.

– W całym swoim życiu nikomu nie zaufałam – powiedziała. – Nie zamierzam teraz zaczynać.

– Jak chcesz – odparł chłopak ze znużeniem. Po czym zniknął.

Venera przez długie sekundy trwała na swoim miejscu. Na zewnątrz, Candesce nabierało mocy. Nie czuła deszczu maleńkich cząsteczek, które – zgodnie ze słowami Mahallan – miały zalać to miejsce w ciągu dnia, ale wyobrażała je sobie jako złośliwą truciznę przesączającą się przez ściany. Nawet jeśli nie zabiłby jej żar...

Ale zaufać człowiekowi, którego miłość właśnie zabiła? Szaleństwo. Zaufać Griffinowi? Zaufać*komukolwiek*? Istnieli głupcy, którzy tak robili i żyli. Wiedziała jednak, że ona mogła nie mieć tyle szczęścia.

Venera gniewnie potarła szczękę. Miała tutaj umrzeć, nieszczęśliwa i porzucona.

Gdy dosięgła ją kula, leżała na kamiennej posadzce, jęcząc – czekała aż ktoś przybędzie i odkryje jej ból. Czekała na krzyki pełne rozpaczy, na nawoływania jej wybawców. Ale nikt nie przychodził. Dla Venery Fanning nie było ratunku. Ostatecznie więc czołgała się, sama, bez niczyjej pomocy, przez korytarze, aż do samej Admiralicji. W ostatniej chwili straciła przytomność, i nie wiedziała nawet, czy ten, kto ją odnalazł, zatroszczył się o nią; tak, jak Griffin troszczył się o Mahallan; czy ktoś otarł jej zasychające łzy, szepcząc, że wszystko będzie dobrze. Gdy Chaison próbował, dużo później, było już za późno.

Venera wypluła przekleństwo i podniosła się ze swojej pozycji obronnej, prostując się. Następnie, tak cicho jak tylko potrafiła, ruszyła ciemniejącymi korytarzami stacji za Haydenem Griffinem.

Żar i niemożliwy do zniesienia blask przywitał Haydena przy wejściu. Kierownica aerocykla była niemal zbyt gorąca, by jej dotknąć. Musiał mocno mrużyć oczy, niemal po omacku szukając kawałka liny, którą mógłby przywiązać Aubri.

Sznura nie starczało, by przywiązać ją do siodła, więc zaczął szukać innego rozwiązania. Umieścić ją w sieci towarowej? Może – gdyby udało mu się do niej dostać. Żar opalał mu twarz za każdym razem, gdy obracał głowę w stronę słońc; samo powietrze atakowało jego usta i płuca. Nie był pewien, czy zdąży doskoczyć do sieci i wrócić, zanim skwar zupełnie go pochłonie.

Już i tak ją straciłeś. Podobnie jak wszystkich innych w swoim życiu. Powinien był się do tego przyzwyczaić.

Z bólem serca delikatnie pchnął jej ciało. Kobieta prześliznęła się przez jego palce – biodra, ramiona, aż w końcu jedynie dłoń muskała jego rękę w chwili rozstania. Wydawało się, że zwraca ku niemu swoją spokojną twarz; rozwarte usta chciały powiedzieć mu, że wszystko będzie dobrze. Mechaniczne kwiaty Candesce za jej plecami kuliły się za swoimi lustrzanymi płatkami. Gdy oczy słońc otworzyły się wszędzie dookoła, Aubri Mahallan utonęła w blasku.

Hayden odwrócił się i wskoczył na siodło.

Uruchomił wiatrak. Palnik zaskoczył natychmiast. W miarę jak narastał wizg silnika odrzutowego, Hayden kurczowo trzymał się znajomej rutyny, nasłuchując dźwięku z wydechu i oceniając ogólny stan maszyny. Kolanami zakołysał aerocyklem, oceniając, ile zostało mu paliwa. Doskonale się na tym znał. Wiedział, że ta maszyna miała w sobie jeszcze trochę życia. Był przekonany, że po kilku tankowaniach powinien być w stanie dotrzeć z powrotem do Rushu.

A potem... Palcami wyczuł kieszenie kurtki, pełne klejnotów i monet ze skarbu Anetene’a. Prawdopodobnie miał dość, by zatrudnić odpowiednich rzemieślników. Rdzenne komponenty do nowego słońca Aerie już posiadał. Może nawet nie będzie potrzebował pomocy Ruchu Oporu, by je zbudować.

Bez uśmiechu otworzył manetkę gazu, powoli wylatując ze stacji dla gości. Poczuł szarpnięcie, gdy sznur napiął się, a sieci ruszyły w ślad za aerocyklem. Ładunek go spowolni, to oczywiste.

W drodze powrotnej mógł natknąć się na Gehellenów. Ale co, jeśli dostali się do wnętrza stacji? Lepiej było zamknąć drzwi. Spojrzał przez ramię i zobaczył, że przejście prowadzące do wnętrza informacji dla gości zostało zamknięte. Tuż obok niego przycupnęła Venera Fanning otoczona huraganem blasku.

Sieć towarowa mijała ją w odległości zaledwie kilku jardów. Ich spojrzenia skrzyżowały się; w jej wzroku nie było prośby, jedynie żądanie. Hayden skinął głową, po czym wrócił do pilotowania aerocykla. Chwilę później poczuł słabe szarpnięcie, które przeniosło się po sznurze do maszyny, gdy Venera uczepiła się przelatującej sieci.

Dodał gazu i aerocykl zaczął przyspieszać, ale robił to wolno, zbyt wolno, podczas gdy morze ognia wzbierało w samym sercu Candesce. Wydawało mu się, że słyszy znajomy, niski syk Słońca Słońc, nawet pomimo ryku silnika. Po kilku minutach nie widział nic na oczy; oddychać mógł jedynie krótkimi wdechami; w końcu zaczął zdzierać z siebie ubranie, które parzyło go przy każdym dotyku. A wszystko to w coraz szybszym i szybszym strumieniu powietrza. Zanim zupełnie odszedł od zmysłów, powstrzymał samego siebie przed wyrzuceniem koszuli oraz kurtki. Światło słońca paliło jego nagą skórę równie mocno jak ubrania.

Ból zaczął stopniowo słabnąć. Żar Candesce sięgał setki mil w głąb Virgi, ale udało mu się przed nim uciec. Ledwo co.

Mrużąc oczy, zobaczył długie, cieniste palce sięgające w jego kierunku. Katamarany czy aerocykle? Obrócił głowę, próbując odgadnąć, czym były.

Niebo pełne było okrytych całunami, ludzkich ciał. Wszystkie w milczeniu zmierzały w stronę Candesce. By dołączyć do Aubri. Maleńkie kropki – setki okrętów pogrzebowych – nikły w oddali, wracając do portów po rozładowaniu ładunków.

Gdy w końcu mógł na nowo założyć łopoczącą koszulę oraz kurtkę i rozejrzał się wokół, stwierdził, że nie ma pojęcia, gdzie się znajduje. Pierwotnie planowali podróżować, mając w polu widzenia Chór Liści. Mieli zamiar udać się do jednego z księstw graniczących z Gehellenem i stamtąd wrócić do Slipstreamu. Mógł w tej chwili podróżować w dokładnie przeciwnym kierunku.

Nie miało to znaczenia. Wiedział, że ostatecznie znajdzie drogę powrotną. Nie potrafił sobie wyobrazić dni i nocy bez Aubri u jego boku; wydawało mu się nieprawdopodobne, że żył bez niej wcześniej. Ale musiał spróbować. Miał teraz zobowiązania.

Kilka minut później poczuł kolejne szarpnięcie sznura. Spojrzał przez ramię, osłaniając oczy dłonią.

Wybijając się w powietrze, Venera Fanning przypominała czarny krzyż na tle Słońca Słońc. Lecieli z prędkością dobrych sześćdziesięciu albo siedemdziesięciu mil na godzinę; kobieta złożyła ręce nad głową w pozycji pikującej i odfrunęła, furkocząc ubraniami.

Przy odrobinie szczęścia miała szansę dotrzeć do księstw Candesce. I choć wolałby, żeby to sylwetka Aubri odcinała się w całej okazałości na tle słońca, to miał nadzieję, że Venera przeżyje i odnajdzie drogę do domu.

Wrócił myślami do swojego zadania. Miał już dość walki, dość rozpamiętywania przeszłości. Jego życie oraz państwo już zbyt długo leżało w ruinie; przyszła pora na odbudowę.

Miał zbyt wiele do zrobienia, by tracić czas na dawne urazy.

Poprawił swoją pozycję na siodełku aerocykla, po czym otworzył do końca manetkę gazu.

O Autorze

KARL SCHROEDER to pisarz science fiction urodzony w Kanadzie w 1962 roku. Do tej pory (stan na czerwiec 2011) autor może poszczycić się 9. powieściami (dziesiąta w przygotowaniu) oraz szeregiem opowiadań.

Cykl Virga, rozpoczęty wydanym w 2006 roku Sun of Suns, to druga z kolei seria książek tego pisarza. Autor chwalony był za stworzony w nim świat przez takie tuzy literatury jak Peter Watts czy Larry Niven.

Schroeder mieszka obecnie w Toronto, gdzie pracuje nad ostatnią częścią cyklu virgańskiego o roboczym tytule Ashes of Candesce

Tytuł oryginału:
Sun of Suns: Virga, Book One

Copyright © 2006 by Karl Schroeder
Copyright for the Polish translation © 2011
by Wydawnictwo Ars Machina

Tłumaczenie:
Andrzej Jakubiec

Redakcja i korekta:
Mateusz Fafiński,
Dominika Rycerz-Jakubiec

Ilustracja na okładce:
Marek Madej

Opracowanie graficzne okładki:
Łukasz Fedorowicz

Wydanie I
ISBN 978-83-932319-6-6

Wydawnictwo:
Wydawnictwo „Ars Machina”
ul. Hetmańska 6/5, 20-553 Lublin
www.arsmachina.pl
Plik opracowany i przygotowany przez Woblink

www.woblink.com